

Nowy, mrożący krew thriller psychologiczny  
autorki bestsellerowej serii z Lacey Flint

# SHARON BOLTON

# MAŁE MROCZNE KŁAMSTWA

Trzy wyznania...

Dwóch kłamców...

Jeden morderca...



  
AMBER

**SHARON BOLTON**

**MAŁE MROCZNE  
KŁAMSTWA**

Przekład  
**MAŁGORZATA STEFANIUK**



Redaktor serii  
Małgorzata Cebo-Foniok

Redakcja stylistyczna  
Dorota Kielczyk

Korekta  
Jolanta Kucharska  
Barbara Cywińska

Projekt graficzny okładki  
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce  
© Richard Lindie/iStock/Thinkstock

Tytuł oryginału  
Little Black Lies

Copyright © Sharon Bolton 2015  
All rights reserved.

For the Polish edition  
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5633-7

Warszawa 2015. Wydanie I

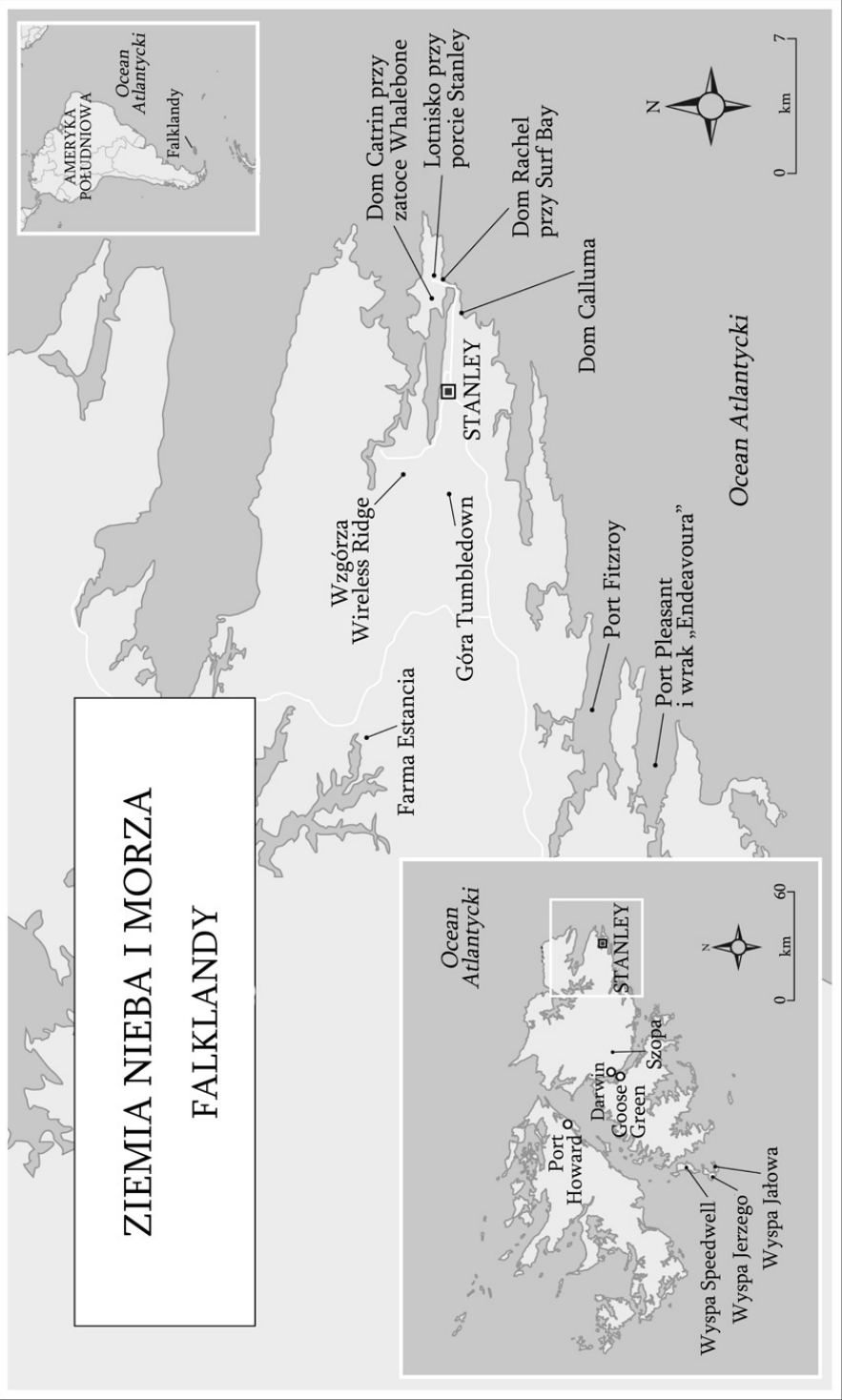
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63  
tel. 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Konwersja do wydania elektronicznego  
P.U. OPCJA  
juras@evbox.pl

*Anne Marie, która pierwsza mówiła mi, że dam radę;  
i Sarah, dzięki której daję radę dać radę*

# ZIEMIA NIEBA I MORZA FALKLANDY



*O! biada! Jakież oczy złe  
Tłum majtków we mnie wbijał!  
Nie krzyża znak, a martwy ptak  
Na mojej zawisł szyi.*

Samuel Taylor Coleridge *Rymy o sędziwym marynarzu*<sup>4</sup>

# CZEŚĆ I

## Catrin

*Zastanawiałam się, czy mam w sobie to coś, co pozwala zabić. Czy potrafiłabym patrzeć żywej istocie w oczy i zrobić tę jedyną nieodwracalną rzecz, która kończy życie. Spytałam i chyba dostałam odpowiedź. Nie mam problemu z zabijaniem. A nawet jestem w tym całkiem dobra*

# DZIEŃ DRUGI

## wtorek, 1 listopada 1944

### 1

Wierzę, że w odpowiednich okolicznościach każdy może zabić, jeśli tylko ma wystarczającą motywację. Pytanie brzmi, czy dotarłam już do tego punktu. Chyba tak. Bo wygląda, że ostatnio nie myślę prawie o niczym innym.

Jest minuta po północy. Za dwa dni będzie trzeci listopada. Jeszcze dwa dni. Czy dotarłam już do tego punktu?

Coś się porusza. Nie otaczająca mnie woda – ta wydaje się zastygła w czasie – ale odbicie ptaka. Nie muszę spoglądać w górę, wiem, że to petrelec olbrzymi. Potężne, jakby prehistoryczne bestie o skrzydłach rozpiętych na prawie dwa metry, z wielkimi zakrzywionymi dziobami, często podążają za łodzią, zwłaszcza gdy wypływam nocą; są ze mną, nieważne, jak daleko lub jak szybko płynę.

Teraz nie steruję. Siedzę w kokpicie i wpatruję się w fotografie swoich dwóch synów. I to chyba już od jakiegoś czasu, bo oczy mnie szczypią. Zaciskam powieki, potem zmuszam się, żeby odwrócić wzrok.

W oddali góry są ciemne na tle bledszego nocnego nieba, a woda wokół mnie ma wygląd i fakturę starego lustra. Zastygłego szkła, miejscami porysowanego, nie całkiem przejrzystego. Czasem tak robi, ten ocean, przyjmuje postać niepodobną do siebie, żeby cię zwieść, żebyś zapominał, że to jedno z najokrutniejszych, najrzadziej wybaczących mórz świata.

Stoję na kotwicy niedaleko wybrzeży Falklandów, małego archipelagu na południowym Atlantyku, tak odległego od czegokolwiek, co się liczy, tak nieważnego na scenie świata, że przez stulecia umykał uwadze wszystkich. A potem stał się porzuconą kością, o którą postanowiły zaważczyć dwa psy polityki podjudzane przez własne ego. Przez kilka krótkich tygodni cały świat o tym mówił. To było prawie dekadę temu, a świat szybko zapomniał.

My jednak nie zapomnieliśmy ani Argentyńczycy nie zapomnieli. Co jakiś czas, nawet po dwunastu latach od momentu, jak im skopaliśmy tyłki, rząd argentyński łypie na nas złym okiem. Argentyńczycy twierdzą, że *Islas Malvinas* należą do nich. My im odpowiadamy „chrzańcie się”.

Nie żebyśmy byli bardzo zadowoleni z tego, czym się staliśmy: kosztownym kaprysem, jednym z ostatnich skrawków imperium brytyjskiego. Chcemy niezależności, chcemy mieć środki na stworzenie własnej obrony. Nadzieja jest nikła. I nigdy nie czujemy się bezpieczni.

Fotografie moich synów wyblakły. Teraz to nie jest tak oczywiste, ale w świetle dnia czerwona



kurtka Kita będzie ciemnoróżowa, a żółte buty Nedaprzybiorą chorobliwą kremową barwę.

Na wodzie odbicie księżyca jest nieruchome i perfekcyjne, jakby księżyc, w całości, bez uszkodzenia, spadł z nieba. Leży niedaleko rufy, tak delikatny i eteryczny jak drewniane wiórki. Gwiazdy są rozsypane wokół niego niczym paprochy, jak gdyby ktoś rozrzucił je na chybił trafił po oceanie. W tym odległym zakątku południowego Atlantyku nie ma świetlnego smogu, więc tej nocy każda gwiazda na niebie odbija się w wodzie. Jakbym była nimi otoczona. Kiedy krótko mieszkałam w miastach północnej półkuli, gdzie gwiazdy to tylko punkciki światła, czasami zupełnie niewidoczne, łatwo mi było zapomnieć o tym, że jest ich tak dużo. Po powrocie do domu za każdym razem, gdy nocą wychodzę nad ocean, niebo przypomina mi o swoim bezmiarze.

Otrząsam się niepewna, jak długo tak siedziałam, ale wiem, że czeka mnie jeszcze ze dwadzieścia minut pracy, zanim będę mogła uznać, że to koniec na tę noc. Zmieniam butlę, sprawdzam poziom tlenu, zakładam maskę, wkładam do ust ustnik i zeskakuję z tyłu łodzi.

Woda natychmiast spowija mnie płaszczem zimna. Pomimo kombinezonu ochronnego, który mam na sobie, przeszywa mnie chłód, ale to mi nigdy nie przeszkadzało. Myślę o tym jako części procesu aklimatyzacyjnego, transformacji, którą muszę przejść, ze stworzenia lądowego w morskie.

W miejscu, gdzie nurkuje, nie jest głęboko, maksymalnie dwadzieścia metrów. Oczywiście nie powinnam nurkować w pojedynkę. Łamię podstawową zasadę bezpieczeństwa nurków nawet tym, że jestem na łodzi sama, ale już nie ma na tym świecie człowieka o takim autorytecie albo wpływie, żeby mnie przed tym powstrzymać. A samej mało mi zależy, żeby dbać o własne bezpieczeństwo.

Spoglądam w dół, widzę, jak linka opada i znika w mroku, potem wypuszczam powietrze z kombinezonu i się zanurzam. Kilka metrów poniżej powierzchni odwracam się i zaczynam płynąć ku wyłaniającemu się pode mną zagajnikowi listownic.

Listownice, przez większość ludzi nazywane wodorostami, rosną tu obficie. Przyczepione do podłoża przylgami wyciągają się w stronę światła, ich liście i łodygi trzymają się prosto dzięki pęcherzykom powietrza.

W tym miejscu zatonała łódź, dawno temu. Od tamtego czasu cała konstrukcja zdążyła się rozpaść i utworzyć majestatyczną podwodną architekturę oceanicznego dna. Wielkie bale drewna skolonizowane przez morskie żyjątka wyrastają z podłoża jak podwodne miasta. Nad tym wszystkim, niczym wiekowy bór – tyle że w nieustannym pełnym gracji ruchu – górują wodorosty.

Docieram do wierzchołka zagajnika i płynę w dół. Za dnia, przy dobrej widoczności, otaczałaby mnie zdumiewająco czysta jaskrawość barw. Nocą, tylko w blasku mojej latarki, kolory są łagodniejsze, bardziej stonowane. Kremowość wodorostów, głęboki przydymiony błękit wody, okazjonalny błysk rubinowej czerwieni, gdy po piasku czmychają kraby.

Zbieram okazy jeżowców. Lasy wodorostów to ważne obszary składania ikry przez ryby, ale ostatnio te tarliska zaczęły zanikać, a jednym z możliwych winowajców są jeżowce, które pożerają korzenie wodorostów. Ludzie, z którymi pracuję, muszą wiedzieć, czy nie pojawił się jakiś nowy, inwazyjny gatunek albo czy dotychczasowa populacja po prostu nie zrobiła się bardziej żarłoczna. Potencjalnie sprzedaż licencji na połów ryb mogłaby być ekonomicznie lukratywna dla wysp. Ryby są ważne, lasy wodorostów są ważne, więc moje jeżowce też są ważne. Przez noc przechowam je w chłodniach na łodzi; z rana zawiozę do swojego laboratorium w Stanley.

Kilka metrów od podłoża oceanu przedzieram się ścieżką, którą mam już zapisaną w pamięci. Wielu nurków nie lubi wodorostów. Brzydzą się, gdy smagają ich śliskie odnóża; boją się, że rośliny owiną się wokół ich nóg niczym macki. Ja lubię to poczucie bezpieczeństwa, jakie mi dają. Lubię się kryć, zaskakiwać znieścacka inne stworzenia, czasami też dać się zaskoczyć. Moje poszukiwawcze misje zawsze są owocniejsze, gdy pracuję wśród wodorostów.

Nagle uświadamiam sobie, że nie jestem na dole sama. Kępa wodorostów przede mną porusza się niezgodnie z łagodnym kołysaniem fal. Coś się w moją stronę zbliża. Sekundę później młoda foka i

ja unosimy się przed sobą niemal nos w nos. Foka spogląda mi w oczy, potem odpływa w pościgu za rybą, która porusza się zbyt szybko, żebym mogła określić, jaki to gatunek. Przyglądam się, jak zygziem pędzą po dnie oceanu, jednak uczucie niepokoju mnie nie opuszcza.

To się dzieje błyskawicznie. Nade mną pojawia się złowrogi wielki cień, woda uderza we mnie z ogromną siłą i potężne stworzenie nurkuje obok mnie, goniąc za foką. Zwierają się. Szaleńcze wirowanie i rzucanie się ciał. Woda wybucha bąbelkami, potem dwa stworzenia się rozdzielają.

Ten nowy to słoń morski, olbrzymi samiec, ponad dwa metry długości. Jest o wiele wolniejszy od foki, ale nadzwyczaj silny. Zaczyna się dziki pościg przez wodorosty, a mnie grozi niebezpieczeństwo. Słoń morski normalnie nie zaatakuje człowieka, nie zainteresowałby się nawet dużą foką, ale ten jest w trybie polowania, musi zabijać. Woda wokół mnie już jest zabarwiona krwią młodej foki. Jeśli foka uda się uciec, a słoń morski mnie zauważy, może zadziałać instynktownie. Zastygam, ukryta nisko w wodorostach, z nadzieją, że pościg przeniesie się dalej.

Nie przenosi się. Foka płynie prosto na mnie; żeby się schować, chce zanurkować w gęstym listowiu glonów, gdy słoń morski pojawia się nad nią. Myśliwy zatrzaskuje swoje potężne szczęki na szyi ofiary i gwałtownie nią potrząsa. W ciągu kilku sekund mechaty łeppek foki opada. Napastnik wraca ze zdobyczą na powierzchnię.

I właśnie tak to się robi. Szybko, brutalnie, bez chwili przerwy na wątpliwości lub zastanowienie. Tak zabijamy. Dużo myślałam o śmierci tej nocy, gdy siedziałam na powierzchni oceanu, gdy nurkowałam w jego głębiny, o śmierci i o zdolności ludzi do jej zadawania. O swojej zdolności do tego, żeby zabić.

Jakkolwiek na to patrzeć, pochodzę przecież z długiej linii morderców. Mój dziadek Bartholomew, o trafnym nazwisku Coffin<sup>[2]</sup>, był jednym z najskuteczniejszych i najokrutniejszych zabójców, jakich znała ta część świata. Dzień po dniu on i jego gang wypływali w morze, polowali bez przerw i litości, patrzyli, jak woda staje się czerwona od krwi. Oczywiście dziadek zabijał wieloryby, nie ludzi, ale tak naprawdę, jaka to różnica?

Zebrałam i schowałam do torby swój ostatni próbny okaz, mogę już wypłynąć. Ścigam się z wirującymi wokół mnie bąbelkami powietrza; gdy wciąż jeszcze jestem kilka metrów pod wodą, widzę gwiazdy. Przebijam się na powierzchnię; przez chwilę nie mogę odnaleźć łodzi. Gdy byłam na dole, czar, który trzymał ocean na uwięzi, prysł i woda znowu zaczęła się poruszać. Wokół mnie unoszą się fale, czuję ukłucie ostrej ekscytacji. Jestem sama, daleko w morzu. Jeśli nie zdołam wrócić do łodzi, zginę tutaj. Już od jakiegoś czasu mam przeczucie, że moje życie zbliża się ku końcowi. Czy to więc teraz? Mam umrzeć dzisiaj?

Ale potem ją dostrzegam, nie więcej niż dwadzieścia metrów ode mnie.

Queenie się obudziła. Biega po pokładzie i ujada, dopóki nie wespnę się do niej po drabince. Pochylam się, żeby poklepać Queenie, ochlapuję ją wodą. Odbiega i przynosi mi ze swojego posłania stary ręcznik. Ubłocony, w psiej sierści, ale doceniam jej troskę.

Queenie to terier staffordshire, nieduża jak na ten gatunek, zbity mały kłębek mięśni i miękkiej jak jedwab sierści. Nos, nogi i czubek ogona białe, ale reszta czarna, tak jak mój umysł. Queenie ma cztery lata i mogę przysiąc, że czasami przypomina sobie moich chłopców. Kiedy też za nimi tęskni i po nich rozpacza.

Wciążam kotwicę, włączam silnik i płynę na południe w stronę Stanley, znowu rozmyślam o dziadku. Tej nocy moje myśli są jakby zmuszone błąkać się po mrocznych zakamarkach, tam gdzie skrycie snute plany wiją się niczym splątane korzenie w leśnym podłożu, tam gdzie najciemniejsze części naszych umysłów wyrrywają się na wolność.

Dziadek Coffin, ojciec mojego ojca, był jednym z największych poławiaczy wielorybów na południowym Atlantyku. Ostatni potomek dynastii morskich myśliwych, która opuściła Nantucket w 1804 roku i kilka miesięcy później dotarła na Nową Wyspę na Falklandach. Przez następne dwieście

lat plądrowali wyspy wraz z otaczającym je oceanem. Morska i lądowa fauna i flora na tym obszarze wciąż usiłują się zregenerować po wstrząsie, jakim była działalność dziadka Coffina oraz jego poprzedników.

Dziadek zmarł, gdy byłam dzieckiem. Szkoda.

Wpływam na bardziej osłonięte wody Port William i poprawiam kurs, żeby ominąć wizytujący statek wycieczkowy „Princess Royal”. Od teraz do końca lata będziemy przeżywali stały napływ takich wycieczkowców, zatrzymują się u nas na kilka dni w drodze do Georgii Południowej i Antarktyki. Są błogosławieństwem i utrapieniem zarazem, te setki turystów, którzy codziennie schodzą na ląd, gdy statek stoi w porcie. I jak to bywa w takich okolicznościach, po równo ich kochamy i przeklinamy. Dzisiaj, ze względu na porę, na statku jest nadzwyczaj głośno i ruchliwie, ale turyści z wycieczkowców potrafią niezłe balować; odgłosy ich hulanków rozchodzą się na wiele kilometrów w głąb lądu.

Niezauważona przez nikogo na pokładzie, prześlizguję się obok i płynę ku wewnętrznemu portowi. Jest prawie pierwsza w nocy. Wkrótce zacznę odliczać godziny, nie dni. Mam jeszcze do zrobienia kilka rzeczy, muszę wypełnić parę obietnic, które złożyłam innym, ale to dobrze, że będę zajęta. Rozglądam się po łodzi. Dopilnowałam, żeby zbiorniki z paliwem i wodą były pełne. W szafce zamkniętej na klucz leży pistolet na strzałki usypiające. Trzymam go tam na wypadek rzadkich okazji, gdybym musiała uspić dużego ssaka. Mam też stary pistolet dziadka na sytuacje, gdy jedyną opcją jest eutanazja. Oba są w doskonałym stanie i działają. Jestem gotowa.

Gotowa sprawdzić, jak dużo krwi moich przodków płynie w moich żyłach. Przez Narrows wpływam do wewnętrznego portu i od razu widzę, że moje starannie ułożone plany mogą spełznąć na niczym.

Czeka na mnie policja.

## 2

**W** tym krótkim czasie, gdy byłam w morzu, coś się tu wydarzyło. Większość ludzi z Falklandów mieszka w Stanley, ale to wciąż i tak nieduża społeczność. Tylko około dwóch tysięcy osób w jakichś siedmiuset obejściach. Trzy godziny temu, gdy wypływałam, małe światełka setki lub więcej halloweenowych latarek z dyni połyskiwały na zboczu wzgórza jak gwiazdy, jednak do tego momentu wszystkie pewnie się wypaliły. O tej później porze Stanley powinno być pogrążone w niemal całkowitej ciemności. A nie jest. Patrząc na policyjny wóz – jedzie drogą wzdłuż nabrzeża, na przodzie portu miga więcej niebieskich świateł.

Minęły trzy lata, prawie co do dnia, od ostatniego razu, gdy wpłynęłam do portu i zobaczyłam, że czeka na mnie policja.

– Był wypadek. – Trzy lata później wciąż wyraźnie słyszę głos Bena, jak płynie z radia na łodzi, łamie się i drży. – Ned i Kit, obaj, zostali zabrani do szpitala, ale nic więcej nie wiem. Wracaj jak najszybciej.

Szybko się rozłączył, zostawił mnie z najgorszymi myślami. Tyle że ja wcale nie wyobrażałam sobie najgorszego. Nie mogłam sobie na to pozwolić. Wyobrażałam sobie, że cierpią, że ich boli. Wyobrażałam sobie ich małe, doskonałe ciała posiniaczone, połamane, poharatane ostrym jak

zyletka metalem. Całą drogę powrotną do Stanley słyszałam w głowie, jak wołają mamę i nie rozumieją, dlaczego, kiedy najbardziej mnie potrzebują, mnie przy nich nie ma. Wyobrażałam sobie ręce, nogi oderwane od tułowia, cięte szramy na ich ślicznych buźkach. Ani razu nie wyobraziłam ich sobie jako pozbawione życia zwłoki, które leżą obok siebie, w kostnicy.

W uścisku złych wspomnień zbyt mocno dodają gazu. Nie powinnam zbliżać się do portu z taką prędkością. Są tam skałki, więcej niż jeden wrak, ukryte przeszkody, które mogą rozłupać łódź. Zmuszam się, żeby zwolnić, czekam, aż mój oddech i serce zrobią to samo. Okazuje się, że jedno i drugie trudniej kontrolować niż przepustnicę. A mimo to muszę zachować pozory normalności, udawać, że sobie radzę. Jeszcze przez jakiś czas skorupa ludzka, w której jestem zamknięta, musi wytrzymać.

Ktoś czeka na mnie w miejscu, gdzie zwykle cumuję; jeden z emerytowanych rybaków. Mieszka w chacie przy porcie z dwiema kobietami – ludzie się zgadzają, że to jego matka i siostra, chociaż nikt woli się o to nie zakładać. Facet nazywa się Ralph Larken, za plecami Ralph Padlina. Kiedy mu rzucam cumę dziobową, widzę, że pod sztormiakiem jest w wyblakłej pasiastej piżamie. Nogawki spodni ma wetknięte w wielgachne czarne rybackie kalosze i w tym dziwnym półświecie taki ubiór nadaje mu wygląd pirata. Zeskakuję na nabrzeże, zabieram ze sobą bulinę.

– Co się dzieje?

– Zaginął dzieciak.

Gapię się na niego i zastanawiam, które z nas powie to na głos. On to robi.

– Kolejny. – Kiwa głową w stronę grupy przy murze portu. Widzę mundury policyjne, kogoś w wojskowym moro. – Czekają na ciebie – mówi. – Zauważyli światła twojej łodzi.

Zaginęło kolejne dziecko. Wciąż jeszcze byłam pogrążona we własnej rozpacz, gdy zniknęło pierwsze, niewiele ponad dwa lata temu, ale pamiętam, że ludzie gadali między sobą, że to okropny wypadek, aczkolwiek tajemniczy. Kiedy zaginęło następne, ci sami ludzie twierdzili, że mamy straszliwego pecha. A teraz trzecie?

Ktoś odłączył się od grupy przy murze i idzie w moją stronę. To ta młoda policjantka, ta, której nikt nie traktuje serio, bo jest taka młoda i tak bardzo wysoka, i wydaje się, że nie potrafi się ruszyć, żeby czegoś nie przewrócić. Posterunkowa Skye McNair to jedna z tych osób, które wszyscy lubią, bo im żal takich ludzi, a chcą uchodzić za współczujących. Ja nie muszę niczego udowadniać, więc się przyznam: fajłapowatość posterunkowej Skye mnie irytuje.

Teraz, gdy się jej przyglądam, po raz pierwszy przychodzi mi na myśl, że sprawia wrażenie bardzo żwawej. Jej włosy, długie i proste jak drut, o dokładnie takim samym odcieniu jak kolor świeżo zrobionej marmolady, fruują wokół głowy, a jej twarz, w blasku księżyca biała jak papier, mówi mi, że Skye jest zdenerwowana i bardziej niż trochę podekscytowana. Noc na kilka centymetrów przy niej nie wydaje się aż tak ciemna.

– Catrin, wybac. – Jest ode mnie dużo wyższa. Podchodzi, potem się odchyła, tak jakby się obawiała mnie przytłoczyć. – Ale muszę spytać, czy widziałaś kogoś dzisiaj w nocy na morzu? Jakies jednostki, których nie rozpoznałaś?

Mówię, że nie widziałam. Kilka dużych komercyjnych łodzi rybackich opuściło port w tym samym czasie co ja, ale wszystkie znałam. Sporo mieszkańców wysp wybiera się na nocne połowy, jednak zwykle w mniejszych łodziach, i trzymają się blisko brzegu.

– Przykro mi, to musi być trudne. – Wydaje się, że Skye nigdy nie wie, co zrobić z rękami. Teraz nimi wymachuje. – Zdaję sobie sprawę, że to prawie tak, jak...

Nie było jej tu przed trzema laty. Była w Anglii, w szkole policyjnej. A mimo to wie, że za dwa dni rocznica dnia, w którym straciłam życie.

– Co się stało, Skye? – Zerkam na Ralpa, głaszcze Queenie. – Słyszałam, że chodzi o zaginione dziecko? – Nie dodaję, że kolejne. To zbędne.

– Jednej z przyjezdnych rodzin. – Ogląda się na tłumek za nami. – Nie z wycieczkowca. Przyjechali sami, zatrzymali się w jednym z pensjonatów w mieście. Zrobili sobie piknik w pobliżu Estancii w porze lanczu. Dzieci bawiły się na łące. Stracili z oczu najmłodsze.

Estancia to farma położona jakieś trzydzieści kilometrów dalej, na południowo-wschodnim cyplu dużej zatoki.

– To zaledwie trzylatek. – Skye wygląda tak, jakby się miała rozplakać.

Trzylatek. Te dwoje dzieci, które zaginęły poprzednio, były starsze, ale niedużo. Obaj chłopcy. Trzylatek, oddzielony od rodziny przez wiele godzin, sam nocą. Marzył, jest głodny, przerażony. Czyż strach przed porzuceniem to nie najgorszy z dziecięcych lęków? Na tej wyspie, nocą, chłopczyk pewnie czuje się opuszczony przez cały świat.

– Szukaliście go?

Mięśnie twarzy Skye lekko drżą, gdy zbiera się w sobie.

– Cały dzień. I kilka osób znowu tam pojechało. Między innymi Callum Murray. Zabrał ze sobą paru żołnierzy z bazy. Wkrótce spodziewamy się jakichś wieści.

– To rodzina tego dziecka? – Odnajduję matkę, choć specjalnie się nie staram. Tęga, ciemnowłosa kobieta pod czterdziestkę. Stoi mocno spięta, jakby się bała, że jeśli odpuści, rozpadnie się. Znam to. Kiedy podejść bliżej, twarz będzie wyglądała tak, jakby zniknęło z niej całe ciało, zostanie tylko skóra oblekająca kości. Oczy będą się wydawały martwe. Będzie wyglądała jak ja.

Tyle że w najważniejszej kwestii dzielą nas całe światy. Ona wciąż ma nadzieję.

– Tak, to oni. – Skye sprawia wrażenie, jakby stała teraz na jednej nodze. – Westowie. Sytuacja robi się naprawdę trudna. Są też ludzie z wycieczkowca. Cóż, nie chcę być nieuprzejma, ale oni niekoniecznie pomagają. Chyba uważają, że powinniśmy przeszukać posesje. Chcą, żeby zablokować wszystkie łodzie, które od teraz miałyby opuścić port. Wyobrażasz sobie, jak zareagują rybacy, jeśli im powiemy, że rano nie mogą wypłynąć?

– Wątpię, żeby wielu się zastosowało. – Tu władzy się słucha, ale tylko do pewnego stopnia.

– A rodzina i tak jest już wystarczająco zdenerwowana. Ostatnie, czego im potrzeba, to żeby ludzie nakładli im do głów niestworzone rzeczy.

Kusi mnie, żeby powiedzieć, że biorąc pod uwagę tutejszą historię zaginięć dzieci, te opowieści o niestworzonych rzeczach i tak już pewnie krążą.

– To wszystko jest bardzo niepokojące. – Skye mówi, ja udaję, że słucham, obie idziemy w stronę mojego samochodu. – Od dziewiątej byliśmy wzywani do pięciu interwencji. Komisarz Stopford próbuje zagnać gości z powrotem na wycieczkowiec, ale oni nie chcą wracać, dopóki ten chłopiec się nie odnajdzie. To będzie ciężka noc.

Mamrocze to, czego, jak wiem, się ode mnie oczekuje – żeby Skye dała znać, gdybym mogła w czymś pomóc – po czym się ulatniam. Queenie wskakuje do samochodu i obie jedziemy do domu po zachodniej stronie przylądka Pembroke, na małym cyplu pomiędzy wewnętrznymi i zewnętrznymi portami Stanley a samym oceanem.

Nie myślę o zaginionym dziecku. Albo raczej myślę, ale tylko pod kątem tego, na ile to zaginięcie może zmienić moją sytuację. Jeśli nie pozwolą łodziom wypływać, jeśli będą przeszukiwane, zanim opuszczą port, moje plany się rozpadną. Dwa i pół dnia od teraz. Około sześćdziesięciu godzin. Dzieciak do tego czasu musi się znaleźć.

Nie jadę do domu najkrótszą drogą. W niektóre dni, zwłaszcza wtedy, gdy w moim umyśle przewagę zdobywa mroczna mgła, coś jakby mnie pchało w stronę domu Grimwoodów. Zawsze nocą, gdy prawdopodobieństwo, że zobaczę kogoś z rodziny prawie nie istnieje, coś mnie ku temu domowi ciągnie. Dzisiaj okrążam najbardziej wysunięty na wschód cyfel naturalnego portu Stanley, jadąc w kierunku dużego budynku z dachem w kolorze pawiego błękitu, z frontem skierowanym na wschód, na Surf Bay. Za ostatnim zakrętem zwalniam, widzę pobielane ściany, ciemne okna,

niewysokie zarośla janowca, teraz połyskujące żółtymi kwiatami. Po obu stronach niskiej drewnianej furtki stoją latarenki z dyni; w zawiłych, starannych rzeźbieniach rozpoznaję ręczną robotę dziadka dzieci. Kiedyś rzeźbił dynie również dla mojej rodziny.

Ktoś nie śpi. Zauważam światło w oknie na piętrze. W pokoju Petera. Nigdy nie widziałam Petera, najmłodszego dziecka Grimwoodów. Ostatnie dwa i pół roku żył w mojej głowie. Wyobrażam go sobie jako jasnowłosego, szczupłego chłopca z pyzată buzią, takiego, jacy byli jego dwaj bracia w tym wieku. Będzie miał też, tak jak oni, promienne niebieskie oczy ich matki.

Nie byłam w tym domu od lat, od czasu jeszcze przed urodzeniem się Petera, ale znam dom Rachel tak dobrze jak własny. Peter nie śpi; Rachel pewnie z nim jest, utula go, kołysze, żeby zasnął. Wdycha zapach jego włosów, czuje, jak drży w jej objęciach, i jest zachwycona swoją mocą, która pozwala ukoić lęk syna. Nienawidzę jej w tej chwili tak bardzo, że jedyne, co mogę zrobić, to dodać gazu i odjechać.

Tak, myślę. Zabiję Rachel bez problemu.

### 3

Otwieram drzwi i natychmiast wyczuwam coś dziwnego, nietypowego. Jest coś – zapach, echo śmiechu, jakaś zmiana w atmosferze. Drobnе oznaki, ale oczywiste. Oni znowu tu są.

Cicho zamykam za sobą drzwi i się rozglądam. W mroku nie dostrzegam błyszczących oczu. Nie słyszę szurania małych stóp, jak uciekają w cień. Powoli okrążam duży staroświecki pokój i wychodzę na korytarz. Jestem jednocześnie nieufna i podekscytowana. Dziwny to rodzaj pragnienia, ta potrzeba zobaczenia zmarłych.

W ciągu trzech lat od ich śmierci chłopcy mnie nawiedzają. Czy naprawdę tak uważam? Nie wiem. Jako naukowiec szybciej uwierzyłabym w przybyszów z innej planety niż w duchy, jednak w kilka dni po wypadku obecność chłopców w domu stała się bardziej realna, bardziej namacalna niż obecność mojego męża lub kogokolwiek z gromady współczujących znajomych, którzy od czasu do czasu do nas zaglądali.

Prawdziwi ludzie odchodzili, ale chłopcy pozostali – pojawiali się w moim życiu i znikali z niego z niezawodnością, jeśli nie regularnością, pływów morskich. Zawsze kiedy najmniej się tego spodziewam, widzę cień ich sylwetek za zasłonami, zarys ich ciał pod narzutami na łózkach, z których cały czas nie mam siły sprzątnąć pościeli. Ich głosy, czasami roześmiane, szepczą sekrety, nierzadko się sprzeczą, mieszają z odgłosami płynącymi z telewizora lub z radia. Często ich czuję. Charakterystyczną mocną jabłkową woń włosów Kita dzień lub więcej po umyciu. Kwaskowy zapach trampek Neda docierający z niedomkniętej szafki na buty.

Nie siedzą na dole schodów ani na kanapie, wpatrzeni w pusty ekran telewizora. To dobrze, nienawidzę, jak to robią. Idę do schodów. Zabezpieczająca bramka, której jakoś nigdy nie mieliśmy czasu zdjąć, jest zamknięta. To ja ją zamknęłam? Tylko po co? Raczej nie podejrzewam, żeby chłopcy mogli mieć wpływ na fizyczne otoczenie. Choć czasem wpada mi w oko zabawka, która wcześniej leżała gdzie indziej. Wgniecenie na łóżku. Oczywiście za obie rzeczy może być odpowiedzialny mój pies.

Queenie, jak zwykle gdy chłopcy są w domu, stoi na dole przy drzwiach kuchennych i skowyczy.

Nie mam pojęcia, czy też wyczuwa ich obecność, czy po prostu nie znosi, jak jestem w takim nastroju, tak czy inaczej te wizyty ją przerażają. Szkoda, bo też ich kochała, no ale w sumie zwierzęta domowe to nie matki.

Jestem przekonana, że zobaczą ich w pokoju Neda, zwiniętych w kulki niczym para szczeniąt, ale kształt, który widzę po otwarciu drzwi, mówi mi, że na łóżku leży tylko duży pluszowy miś. Nie ma ich też w pokoju Kita. Teraz już poruszam się szybciej, choć mówię sobie, że mam zwolnić, ale czuję normalną panikę matki, która nie może znaleźć dzieci. Nawet tych martwych. Moja sypialnia też pusta. Albo tylko tak wygląda.

Chowają się.

Wolałabym, żeby dali z tym spokój, ale uwielbiali chowanego, gdy żyli, i teraz czasami też się ze mną tak bawią. Jeszcze raz zaczynam przeszukiwać dom, tym razem dokładniej, a chmura burzowa w mojej głowie coraz bardziej gęstnieje. Otwieram drzwi szaf, odsuwam zasłonę prysznicową, zaglądam pod łóżko w pokoju gościnnym. Jeśli mam być szczerą, ta zabawa zawsze mnie denerwowała, nawet kiedy wiedziałam, że na końcu znajdę dwa silne ciała.

Znowu jestem na dole. Chłopcy mogą być już tylko na podwórku. Otwieram tylne drzwi, do środka wdziera się wiatr, jakby tylko czekał na okazję.

Nie ma ich tu. Czuję, że mi się wymykają. Dwa odgłosy wdzierają się w wycie wiatru, oba to jęki skrajnej rozpacz. Jeden jest Queenie, drugi mój.

– Ned! Kit!

Odeszli. Tak jak wcześniej byłam pewna ich obecności, tak teraz jestem pewna, że ich nie ma.

W mojej głowie pozostało bardzo mało światła. Znowu jestem na górze, w małej wnęce przy sypialni, służy mi za gabinet. Klęczę przy biurku i grzebię w wysuniętej szufladzie, którą zawsze trzymam zamkniętą. Znajduję to, czego szukam. Zawsze dbam, żeby był naostrzony.

Na dole Queenie zaczyna wyć.

Jakiś czas później mgła się unosi. Zwlekam się z dywanu na krzesło przy biurku. Lewa dłoń mi krwawi. Odkładam grot harpuna do szuflady. Zdjęcie Rachel u moich stóp zostało pocięte, pokłute i poszarpane w podłużne paski.

Pochyliłam się i wyrzucam je do kosza. Mam więcej odbitek tej samej fotografii. Na następny raz.

Jestem tak zmęczona, że ledwie mogę myśleć. Muszę wziąć prysznic i położyć się spać, ale coś mnie tu trzyma. Bandażuję pokaleczoną dłoń i rozglądam się po ścianach wokół. Reszta mojego domu wygląda prawie tak, jak wyglądała, gdy żyli chłopcy i mieszkał tu Ben, ale przez ostatnie trzy lata ta mała gabinetowa przestrzeń stała się moim pokojem folgowania uczuciom.

Na ścianach wszędzie fotografie Neda i Kita, niektóre w ramach, większość po prostu przyklejona taśmą dwustronną. Ich rysunki ze szkoły też tu wiszą, małe dyplomy za osiągnięcia, nawet niemowlęce ubranka, które zachowałam, to wszystko jest na ścianach w ponurym wspomnieniowym kolażu.

– Rany, Catrin – obruszył się Ben, gdy kiedyś przyszedł zabrać coś ze strychu. – To nie gabinet, tylko świątynia.

Jednak na ścianie za mną wisi coś innego. Zdjęcia dwóch innych małych chłopców; dwóch ciemnowłosych, ciemnokochanych chłopców, którzy zaginęli – niespodziewanie, w tajemniczy sposób. Pierwszy, Fred Harper, zaginął podczas Dnia Sportu na Falklandzie Zachodnim niewiele ponad dwa lata temu, kiedy moja rozpacz była jeszcze świeża, sączyła się łzami niczym otwarta rana. Chłopiec miał pięć lat.

Oczywiście słyszałam o jego zaginięciu. Radio trąbiło o tym przez wiele dni, a Ben, który przebywał na wyspie z całą ekipą medyczną, uczestniczył w poszukiwaniach. Kiedy w „Penguin

News” zobaczyłam obwieszczenie i do tego duże portretowe zdjęcie, serce zabiło mi mocniej. Fred był bardzo podobny do Kita. Instynktownie wyciąłam zdjęcie, ukryłam i ostatecznie zawiesiłam na ścianie obok wszystkich innych materiałów o Fredzie, które się pojawiały w gazecie przez następne tygodnie.

Tę fotografię zachowałam może w ramach jakiegoś testu na swoje człowieczeństwo. Gdyby Fred się odnalazł, a ja bym się ucieszyła, to byłby znak, że wciąż jest dla mnie nadzieja. A potem, z półtora roku temu, wyspy straciły kolejnego chłopca. Siedmioletniego Jimmy’ego Browna ostatni raz widziano przy Surf Bay, gdzie mieszka Rachel. Całkiem dobrze znałam rodzinę Brownów. Przyjaźniłam się z matką, Gemmą, której córka, młodsza siostra Jimmy’ego, chodziła do klasy z Kitem. Ben znał ojca, Brown pracował w szpitalu, był laborantem.

Kiedy Jimmy zniknął, gdy całe miasto szukało go dniami i nocami, a rodzina pogrążała się w coraz głębszej rozpacz, kilka osób powiedziało mi, że ja przynajmniej miałam domknięcie. Wiedziałam, co się stało z moimi synami, mogłam ich pochować, przejść proces żałoby, to przywilej, którego los odmówił rodzinom zaginionych.

– Tak, dziękuję – odpowiedziałam jednej kobiecie. – Doceniam to, jaką jestem szczęściarą.

Od tamtej pory się do mnie nie odezwała.

Pod zdjęciami Freda i Jimmy’ego wisi jeszcze jeden wycinek, nie jest bezpośrednio powiązany z chłopcami, ale w tamtym czasie bardzo mnie poruszył. Parę miesięcy po zaginięciu Jimmy’ego, kiedy nadal prowadzono poszukiwania, choć już nie na tak dużą skalę i bez większych nadziei, redaktor naczelny „Penguin News” opublikował swój artykuł o wpływie zaginięć dzieci na społeczność, zwłaszcza tak małą. Pisał o zbiorowym poczuciu winy, o wierze, że dzieci są wspólną odpowiedzialnością i że gdy któreś spotyka krzywdę, odbija się to na nas wszystkich.

Tekst nie był napisany z myślą o moich synach, ale mimo to znalazłam w nim pewne pocieszenie. Uświadomił mi, że Ben i ja, i nasze najbliższe otoczenie, nie jesteśmy osamotnieni w przeżywaniu śmierci Neda i Kita. Że w choćby niewielkim stopniu ból dzielą z nami inni.

Autor artykułu – o, ironio, ojciec Rachel – rozwodził się dalej nad sposobami, w jakie różne kultury radzą sobie z zaginięciami dzieci. Tłumaczył, jak te zniknięcia szybko przedostają się do lokalnego folkloru, pojawiają się przede wszystkim w relacjach o spotkaniach z duchami, a potem w formie opowieści tworzą tradycję ustną. Autor twierdził, że to właśnie zaginione maluchy są tłem bajek o dzieciach wykradzonych przez wróżki lub pożartych przez złe trolle albo czarownice. Z własnym wstydem radzimy sobie przez eksternalizację. Przez obciążanie winą sił nadprzyrodzonych.

Ojciec Rachel przywoływał też stare legendy o dzieciach duchach, które nawiedzają nasze wyspy, i łączył je z rzeczywistymi przypadkami niewyjaśnionych zgonów i zaginięć. Uważał, że w ciągu pięćdziesięciu lat Jimmy i Fred staną się częścią mitologii Falklandów.

Ned, Kit, Fred i Jimmy. Moja mała kolekcja martwych chłopców. Czyżby miał do niej dołączyć piąty, czy nasz zbiorowy wstyd miał się stać jeszcze większy?

Pochyliłam się nad biurkiem i włączam radio. Lokalna radiostacja nadaje dzisiaj dłużej niż zwykle. Dowiaduję się, że zaginiony chłopiec nazywa się Archie West. Ma trzy lata i dwa miesiące. Niewiele starszy od najmłodszego dziecka Rachel.

Nie, nie myśl o Rachel, nie teraz.

– Tak dla przypomnienia – mówi prowadzący, pseudonim Bill z Rybnego. – Archie ma jasne włosy, piwne oczy i jest dość pulchny. Kiedy ostatnio go widziano, był ubrany w pasiastą czerwoną futbolową koszulkę Arsenalu z białymi rękawami, białe spodenki i czerwone skarpetki. Jeśli gdzieś zobaczycie którąś z tych części ubrania, natychmiast skontaktujcie się z policją. Okej, tu nadaje radiostacja Falklandy, przez kilka następnych godzin będzie rozmawiać z wami Bill Krill. Jest pierwsza czterdzieści trzy w nocy, i nie zapominajcie: jutro rano, a raczej powinienem powiedzieć: później dzisiajszego poranka, odwiedzi nas Ray Green z Towarzystwa Astronomicznego, żeby



opowiedzieć o czwartkowym zaćmieniu Słońca: gdzie najlepiej je oglądać, jak uniknąć uszkodzenia wzroku i jak dużego zaciemnienia możemy się spodziewać nad wyspami.

Gaszę lampkę, idę do okna i patrzę na zachód. Czwartkowe zaćmienie ma nastąpić niemal dokładnie o godzinie, o której wprowadzę swój plan w czyn. Tak daleko na południu będziemy widzieli tylko częściowe zaćmienie, mimo to gdzieś między piętnastą a szesnastą nasz mały zakątek świata pograży się w ciemności.

I nie tylko chodzi o Słońce.

– W studiu jest ze mną Sally Hoskins – ciągnie Bill. – Znajoma rodziny. Wcześniej opowiadała, że Archie jest energicznym, ciekawym świata dzieckiem. Tak, Sally?

Oczywiście nie spodziewam się dojrzeć grupy poszukiwawczej. Poszukiwania toczą się jakieś trzydzieści kilometrów dalej, a po drodze są góry.

– Tak, Bill, to prawda. Archie to kochany chłopak. Radosny, lubi psocić. Uwielbia zabawę w chowanego.

W dole w porcie jest już mniej światła. Skye widocznie zdołała w końcu przekonać pasażerów, żeby wrócili na wycieczkowiec.

– I to dlatego rodzina początkowo się nie niepokoiła?

– Właśnie. Sądziliśmy, że się gdzieś schował. Potrafi siedzieć w kryjówce naprawdę długo.

Prawie nie widzę konturów góry Tumbledown. Poszukiwania są za nią.

– Szukaliśmy go ponad dwie godziny, zanim zadzwoniliśmy na policję. – Głos Sally płynący z radia zaczyna się łamać. – Rodzice Archiego prosili mnie, żebym podziękowała wszystkim za wsparcie tej nocy. Mieszkańcy zachowali się wspaniale. Dołączyli do poszukiwań, przepatrzyli swoje posesje. Proszę, bądźcie nadal czujni. A jeśli ktoś z was wie, gdzie jest Archie, błagam, niech zrobi to, co trzeba. Niech pozwoli mu wrócić do rodziny.

– Sally, może opowiesz nam coś więcej o Archiem? – szybko wtrąca Bill. – Wiemy, że uwielbia chowanego. W co jeszcze lubi się bawić?

– Och, to zapalony kibic Arsenalu. Notabene tak jak cała reszta rodziny. Przechodzi fazę, że nie chce się ubierać w nic innego, tylko w koszulkę Kanonierów, i jego biedna mama musi ją co wieczór prać, żeby mały mógł ją na siebie włożyć następnego dnia. Zna wszystkie piosenki klubowe, niektóre niezbyt odpowiednie dla trzylatka, ale co poradzić?

Dalej słucham tylko jednym uchem, Sally opowiada o tym, jak bardzo chłopiec kocha muzykę pop. Że nie potrafi usiedzieć spokojnie, kiedy w radiu puszcza *Here Comes the Hotstepper*. I o tym, jak nie przepuści żadnego odcinka *Power Rangers*.

– Więc jeśli ktoś przetrzymuje Archiego, niech nie robi mu krzywdy i go nie wystraszy – mówi Sally teraz. – Jeśli ktoś porwał Archiego... my tylko chcemy go odzyskać. Proszę, powiedzcie, gdzie go znajdziemy. Błagam, nie róbcie mu nic złego.

– Tak, oczywiście. Cóż, dziękujemy ci, Sally. Ale uważam, że warto zaznaczyć, tak w ramach przypomnienia, że policja na razie zakłada, że mały Archie po prostu za daleko odszedł od rodziny i się zgubił. Na tym się teraz skupiamy, moi drodzy. Chłopiec oddalił się samotnie, a my musimy go odnaleźć. No tak, tu Bill Krill, a wy słuchacie radiostacji Falklandy.

– Kurczę, co z wami jest, ludzie? – Głos Sally wdiera się w początkowe takty kolejnej piosenki. – Ile jeszcze dzieci musi zginąć, zanim zaczniecie poważnie...

Wrzaski kobiety gwałtownie cichną. Wyłączyli jej mikrofon. Muzyka zaczyna grać głośniej: utwór reggae, o którym przed chwilą usłyszeliśmy, że to ulubiona piosenka Archiego. Wyobrażam sobie, jak Sally łagodnie, choć stanowczo jest wyprowadzana z zaplecza biura lokalnej gazety, skąd nadaje radiostacja. Inna kultura, mówię sobie. W Anglii, gdy znika dziecko, od razu myśli się o pedofilach. U nas mamy nadzieję, że nie natknęło się gdzieś na swojej drodze na kolonię lwów morskich.

Troje dzieci zaginionych w ciągu trzech lat. To dużo, żeby winą za wszystkie przypadki obarczyć

lwy morskie.

Słyszę charakterystyczne westchnienie – Queenie uznała, że jest bezpiecznie i może wrócić. Wskakuje na moje łóżko i układa się w zagłębieniu między poduszkami. Wyłączam radio i odpalam komputer. Kiedy jest gotowy, zapisuję notatki o swoim wieczorze, potem zamykam plik i klikam jedyny dokument, który kiedykolwiek zabezpieczyłam hasłem.

Przed śmiercią chłopców nigdy nie pisałam pamiętnika. Nie miałam takiej potrzeby, zresztą przy mężu, dwojce dzieci i pracy, kiedy znalazłabym na to czas? Moje życie było zbyt pełne, żebym jeszcze musiała je dokumentować. Teraz, z pustym sercem i pozbawionym sensu życiem, jest tak, jakbym potrzebowała tych regularnych zapisków swoich przyjść i wyjść, swoich procesów myślowych i wahań emocjonalnych, żeby mi przypominały, że wciąż istnieję.

Zaczynam pisać. Zawsze dokładnie streszczam wydarzenia dnia, nie dlatego, że zależy mi na zapamiętaniu, co robiłam w pracy, ale dlatego że to, co w niej robię, pomaga mi zaakcentować to, co czuję. To taka forma terapii, to codzienne wylewanie z siebie rozpaczy i gniewu. Głównie gniewu, jeśli mam być szczerą, niezmiennie skierowanego pod adresem kobiety, której zdjęcie leży w koszu pocięte na strzępy. Kobiety, która kiedyś była moją najlepszą przyjaciółką.

Miałam osiem lat, jak poznałam Rachel, ona była kilka miesięcy młodsza. Szłam dróżką tak wąską, że mogło się na niej zmieścić tylko dziecko, bo po bokach była gęsto porośnięta wysokimi trawami, i nagle natknęłam się na mały osłonięty majtkami w motyle zadek sterczący w niebo. Szłam bardzo cicho, ale musiała mnie usłyszeć, ponieważ bez odwracania się wysoko podniosła brudną dłoń z ogryzionymi paznokciami. Ten władczy gest natychmiast wyprostował moje ośmioletnie plecy.

– Co ty robisz?

Odwróciła się w moją stronę – zobaczyłam drobną, okrągłą twarzyczkę z dużymi niebieskimi oczami; kremową, nakrapianą piegami cerę i bardzo długie włosy, tylko o ton ciemniejsze od blondu. Brwi wyginały się w łuk, przez co wyglądała, jakby się ciągle czemuś dziwiła, a uszy odstawały zupełnie jak u elfów.

– Smocze jaja – syknęła. – Bądź cicho.

Skarcona opadłam na piasek i na kolanach podeszłam do niej. Wpatrywała się w dwa kremowo-żółte kształty, każdy doskonały owal, długie na jakieś dziesięć centymetrów. Gniazdo pingwina białobrewego.

– Należą do Ozmajiana. – Wyglądało, że koniecznie chce, żebyśmy rozmawiały szeptem, choć na kilometr wokół nie było żywej duszy. – Bardzo pięknego potężnego smoka. Przyszedł na świat, gdy rozpękło się tysiąc serc, czyli strasznie dawno temu, ale pamięć smoków różni się od naszej.

Już nawet jako ośmiolatka wiedziałam, że pingwiny białobrewe często zakładają gniazda w trawach, że matka zwykle nie pozostawia ich samych na tak długo i że my dwie prawdopodobnie ją odstraszymy. Powinnam zaproponować, żebyśmy odeszły, ale przyznaję, zaciekawił mnie ten smok.

– Naprawdę? – spytałam też szeptem, żeby dostosować swój ton do jej tajemniczego tonu.

Przybliżyła się, przylgnęła do mnie całym ciałem, tak zupełnie odruchowo, jak to robią małe dzieci.

– Uhm. Smoki pamiętają wszystko, co było, co jest i co będzie.

Cóż, to wymagało nieco zastanowienia.

– Chyba musimy stąd odejść – powiedziałam. – Matka smoczycy może w każdej chwili wrócić.

– Co ty, nie wróci. Jaja pozostaną tu, aż trzy księżycy wzejdą i zajdą. Potem zabierze je czarny orzeł o szafirowych oczach i będzie ich strzegł do czasu, aż smoki się wyklują. To może się stać jutro. Albo za milion lat.

Już wtedy potrafiłam rozpoznać niemal czterdzieści gatunków falklandzkich ptaków gniazdowników, ale czarny orzeł z szafirowymi oczami to była dla mnie nowość. Wiatr się wzmagął, przynosił ze sobą zapach soli, a ja zaczynałam się niepokoić o matkę pingwina. Bo jak pingwiny za bardzo się zestresują, potrafią odejść, porzucić gniazdo.

– Następny nów jest za pięć dni. – Doskonale znałam fazy Księżyca, nawet jako dziecko. – Do tego czasu jaja nie znikną. Mogę tu wrócić, jak chcesz, i sprawdzić.

Siedziała wsparta pośladkami na stopach i patrzyła na mnie ze świeżo nabytym szacunkiem. Ogarnęła mnie nagła i bolesna zazdrość o te błyszczące niebieskie oczy. Wydawało mi się to okropnie niesprawiedliwe, że jedna osoba (ja) musi mieć oczy matowe i nijakie, jak chmury sztormowe, a inna (Rachel) może mieć takie rozmarzone, o barwie lazurowego morza w słoneczny poranek.

– Przyjdziemy razem – oznajmiła. – Skoro zostaliśmy przyjaciółkami.

Nie byłam pewna, jak to zrobimy, nawet nie umiałabym powiedzieć, skąd Rachel się wzięła w tym miejscu – ta wyspa należała do mojej ciotki i mojego wuja – ale podobało mi się, że mam przyjaciółkę.

– Dobra – zgodziłam się.

– To twój dom? – Poderwała się na nogi i wskazała zielony dach domu ciotki Janey.

Kiwnęłam głową, bo w pewnym sensie tak właśnie było. Mieszkałam u ciotki przez lato, jak moi rodzice pracowali.

– Macie lody?

Znowu kiwnęłam. Ciotka Janey zawsze dbała o to, żeby przed moim przyjazdem dobrze zaopatrzyć lodówkę.

– No to chodźmy. – Chwyciła mnie za rękę i pobiegłyśmy. Biegła niesamowicie szybko. Przez trawy, wybieg dla koni, przez podwórze.

I tak to się odbyło. Od tamtego dnia Rachel i ja byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami, potrzebowałyśmy siebie tak bardzo, że takiej żarliwej intensywności kontaktów nie odnalazłam już nigdy potem w żadnym ze swoich związków. A przecież nie mogłyśmy się bardziej różnić. Ona widziała światy w świetle, połączone tęczą nieskończonych możliwości. Ja widziałam pingwiny jaja. Mimo to stałyśmy się sobie bliższe niż siostry, bo tę naszą więź same wybrałyśmy; bliższe niż kochankowie, bo kochankowie przychodzą i odchodzą, a to, co nas łączyło, wydawało się na zawsze. Rachel była drugą połówką mnie. Blaskiem słońca na skale przy moim zaciemnionym zakątku pod drzewem. Wysokimi tonami przy moich niskich. Była wszystkim, czym ja nie byłam, i wszystkim, czym chciałam być, tylko że te cechy w jej wydaniu wypadały lepiej i ja o tym wiedziałam. Byłyśmy nierozłączne, bez względu na dzielącą nas odległość. Byłyśmy przeszłością, teraźniejszością i wieczną przyszłością.

Aż do dnia, gdy zabiła moich synów.

Jest prawie czwarta nad ranem. Pisałam i rozmyślałam, potem długo nie robiłam ani jednego, ani drugiego. Wyłączam komputer i przechodzę przez pokój, do Queenie, gdy nagle słyszę jakiś hałas na zewnątrz.

Tego nie mogę zlekceważyć, nie mogę udawać, że to wiatr.

Nie potrafię określić, kiedy to się zaczęło. Może ciągnie się od lat, może dopiero od paru miesięcy, ale jeśli wiatr wieje w odpowiednim kierunku, zdarza mi się późnym wieczorem coś usłyszeć, coś, co każe mi się zastanawiać, czy przed domem kogoś nie ma. Te odgłosy nie wydają się dźwiękami natury, to raczej takie szuranie, podobne do kroków. Kilkakrotnie, gdy się pojawiały, Queenie zrywała się z ujadaniem, domagała się, żebym ją wypuściła, ale kiedy otwierałam drzwi, nie

szała dalej, tylko podenerwowana stała w progu. I wcześniej, w ciągu roku, kiedy wieczory były ciemniejsze, zanim zaciągnęłam zasłony, miałam wrażenie, że z ciemności na zewnątrz przypatrują mi się czyjeś oczy.

Na wyspach nikt nie zamyka drzwi wejściowych, jednak ja zaczęłam to robić, i teraz się z tego cieszę, bo to, co usłyszałam, nie pozostawia wiele miejsca na wątpliwości. Ktoś tam jest. Wychodzę z sypialni. Queenie dalej śpi. Odgrywa w moim życiu kilka ról, lecz rola psa obronnego do nich nie należy.

Na dole, nie włączając światła, podchodzę do okna.

Teren wokół mojego domu wygląda niezwykle, nawet na standardy Falklandów. To pomnik, jeśli wolicie: muzeum, wielorybnictwa na otwartym powietrzu. Poczesne miejsce zajmuje w nim czaszka płetwala błękitnego. Stoi na frontowym trawniku, prawie trzy metry w górę, szczęki rozwarte, jakby zastygły w trakcie pożerania ofiary. Obok prawie idealny szkielet orki. Za płótem kręgosłup kaszalota złowionego przez dziadka u wybrzeży Georgii Południowej. Między nim a domem rozciąga się mielizna ze szkieletami delfinów. Większość z tej kolekcji została upolowana przez dziadka. Broń też należała do niego: harpuny i liny, potężne działko harpunniczne, podobne do armaty. Jednak za przesłanie muzeum w pełni odpowiada mój ojciec. To on zebrał te wszystkie szczątki. Nie żeby uczcić wielorybnictwo, lecz żeby je potępić. „Między 1886 a 1902 rokiem z tego działka zabito ponad 20 000 wielorybów”, brzmi tekst na tabliczce pod działkiem. Ojciec był głęboko zawstydzony spustoszeniami, jakich się dopuścili jego przodkowie na morzach. Poświęcił życie na próby przywrócenia równowagi.

Odgłos, który słyszałam zaledwie sekundy wcześniej, brzmiał jak brzdęknięcie, jakby na ziemię spadło kilka metalowych rzeczy. Coś przewróciło kolekcję wielorybicznych oszczepów przy krzaku janowca.

Jakiś cień przesuwają się wzdłuż szkieletu orki; zbliżam się do drzwi, aż mogę dostrzec duży, ciemny kształt. Kiedy go rozpoznaję, serce mi się uspokaja. Po chwili znowu zaczyna mocno bić, ale z zupełnie innych powodów. Przyglądam się mężczyźnie w moim ogródku, ustawia najpierw jeden oszczep, potem następny, dopiero wtedy odsuwam zasuwkę i otwieram drzwi.

– Trochę za późno na zbieranie halloweenowych słodyczy – rzucam, zanim zdążę się zastanowić nad sensem tego, co mówię.

Callum Murray odstawia na miejsce ostatni oszczep i odwraca się do mnie.

– Zauważyłem, że się u ciebie świeci. I wydawało mi się, że widziałem cię w ogrodzie. Chciałem się upewnić, czy wszystko w porządku.

Nie odpowiadam. Po co? Już nigdy nic nie będzie w porządku. Potem dociera do nas odgłos rżenia konia. Którego nie powinniśmy słyszeć, bo nigdzie w pobliżu nikt nie trzyma koni.

– Hm, ktoś ci chyba ukradł wierzchowca. – To miał być żart. Nigdy nie widziałam Calluma na koniu. Wątpię, żeby na wyspach znalazł się na tyle duży, żeby mógł takiego faceta unieść.

– Przyszedłem piechotą. – Idzie na skraj ogródka i wygląda na drogę. Koń pewnie już zniknął z widoku, bo Callum szybko traci zainteresowanie i wraca.

– Na pewno wszystko gra? – nie odpuszcza.

Murray nie jest Kelperem<sup>®</sup>. To Szkot, który brał udział w konflikcie, były podporucznik Regimentu Spadochroniarzy. Po tym jak odszedł z wojska, niedługo po zwycięstwie Brytyjczyków, kupił domek położony kilka kilometrów za Stanley. Jeśli ktoś go pyta, czy osiedlił się na wyspach na dobre, odpowiada, że na razie wstrzymuje się z decyzjami.

– Znaleźliście to dziecko? – pytam, bo bardziej czuję potrzebę, żeby coś powiedzieć, niż dlatego, że się nie domyślam.

W oczach Calluma odbija się światło z okna na piętrze. Za dnia te oczy są niezwykle, wynik genetycznego zaburzenia w rozwoju. Nazywa się to różnobarwność tęczęwek. Skutek: prawe oko

Calluma jest niebieskie, a lewe zielone. Jednak w blasku księżycy te dziwne niedopasowane kolorem oczy są niczym więcej jak tylko iskierkami światła.

– Wznawiamy poszukiwania za cztery godziny – wyjaśnia.

W oddali słysząc jakieś terkotanie, przybliża do nas z wiatrem. Nadlatuje śmigłowiec.

– Są duże szanse, że nic mu się nie stało. – Staram się mówić tak, jakby mi zależało. – Pewnie błąkał się po okolicy, aż się zmęczył, potem gdzieś się skulił i zasnął. Rano go znajdziecie.

– Mam nadzieję. Bo już robiło się nieprzyjemnie. Głównie dlatego znów poszliśmy go szukać, żeby uspokoić nastroje.

Dlaczego on to robi? Po co tu przyszedł, tak późno w nocy, i udaje, że jestem zainteresowana tym, co się wokół mnie dzieje? Powinnam wrócić do domu, zamknąć drzwi. Na zamek.

– Tak, Skye wspominała, że ludzie z wycieczkowca się ciskali.

Oczy Calluma zerkają w niebo, potem wracają do mnie.

– Oni to najmniejszy problem. Po południu przyleciała rodzina Freda Harpera. Urządzili Stopfordowi niezłą awanturę o to, że zbyt łatwo się poddał dwa lata temu.

– W sumie takie rzeczy się zdarzają – mówię. – Farmerzy ciągle tracą owce, które wchodzą na bagna i toną. Albo spadają z klifu i zabiera je morze. Kuce i krowy wpadają do rzek. Jeśli są nieduże, porywa je prąd. Od czasu do czasu tracimy też ludzi. Bardzo przygnębiające, ale co poradzić. To nie park krajobrazowy. – Nie chcę nikogo pouczać, jednak Callum nie ułatwia mi sprawy.

Śmigłowiec, Sea King, jest nad nami, wisi na niebie jak wałka nad stawami. Od kurtki Calluma bije zapach suchych torfowych wzgórz, tak różny od woni morza. Jak zawsze, gdy jest blisko, uzmysławiam sobie, jaki jest wysoki.

– Czy to coś nad naszymi głowami też prowadzi poszukiwania? – pytam. – Bo jeśli coś ma z tego spaść na ziemię, to lepiej tu nie stać.

– Czekali, aż skończymy – odpowiada. – Żeby się sprzęt nie pomieszał.

Sea King upewnia się, że żadne z nas nie jest trzyletnim chłopcem, i odlatuje. Callum i ja znowu zostajemy sami.

– Idę się trochę przespać. – Odwracam się, wchodzę do domu i zamykam za sobą drzwi.

Dopiero kiedy wiem, że mnie nie widać, pozwalam sobie odetchnąć i ciężko opieram się o najbliższą ścianę. Przyszedł do mnie? Po co? Ode mnie do domu Calluma jest co najmniej siedem kilometrów.

Na górze Queenie nadal chrapie, kiedy wyłączam lampkę i skradam się do okna. Callum właśnie spogląda do tyłu, jakby czekał, aż zgasze światło. Przyglądam się, jak przecina ogródek i daje krok nad niskim płotem.

Siedem kilometrów z mojego do jego domu, jeśli pójdzie drogą. Obiera jednak inny kierunek, więc się domyślam, że nie wybrał tej trasy.

Jakiś rok temu siedziałam do późna i tak się złożyło, że widziałam go, jak przechodzi pod oknem. Pod wpływem impulsu, którego nawet nie próbuję zrozumieć, poszłam za nim. Patrzyłam, jak schodzi z drogi, zbliża się do wysokiego ogrodzenia z drutu, poluzowuje trzy nitki i potem prześlizguje się przez otwór na pole minowe.

Pole minowe?

Jest ich kilka na terenie wysp, głównie wzdłuż wybrzeża, zrobionych przez Argentyńczyków podczas inwazji. Ostrożne szacunki sugerują, że na torfowiskach i w piachu czai się około trzynastu tysięcy potencjalnych eksplozji. Obiecuje się nam, że kiedyś bomby będą rozbrojone. Na razie, biorąc pod uwagę fakt, że to tylko szesnaście procent naszych nieużytków, pola minowe po prostu ogrodzono.

Pozwalam Callumowi zanurzyć się w mroku, zanim sama podejść do ogrodzenia. Trzy nitki drutu zostały przecięte, Callum zamocował na nich małe zaczepy, żeby mógł je połączyć. Stworzył sobie

tajne przejście na pole, dekadę po konflikcie wciąż naszpikowane śmiertelnymi pułapkami. Każdy krok, który stawiał na tym polu, mógł być jego ostatnim.

Teraz wpatruję się w już pustą drogę i zastanawiam, czy znowu tam poszedł, czy zamierza łązić po polu, żeby sprawdzić, czy ta noc jest tą ostatnią, kiedy wszystko się zakończy.

A mnie się wydawało, że to ja mam problemy.

Kładę się do łóżka, jest dziwnie duże i puste, nawet mimo tego, że na najlepszym miejscu, popuszczając bąki, chrapie mój pies. To zwykle najtrudniejszy moment dnia, gdy nie mam już nic do roboty poza rozmyślaniem, co straciłam. Sen nigdy nie przychodzi szybko.

Czasami nocą, kiedy jeszcze do końca nie śpię, w stanie pół jawy, pół snu, czuję, że chłopcy wdrapują się na materac obok mnie. Wtedy leżę nieruchomo i upajam się ich obecnością, rozkoszuję gładką jedwabistością dotyku ich skóry; wdycham zapach ich włosów, czuję, jak ich małe nóżki oplatają się wokół mnie. Rankiem, po takich snach, budzę się w obłoku czystego szczęścia, niespodziewanego, oszałamiającego, tak dalekiego od rozpacz, która potem następuje, że jest ono prawie nie do zniesienia.

Dzisiaj nie przychodźcie, chłopcy. Bo nie wiem, czy to wytrzymam. Dajcie mi spokój, tylko ten raz.

## 4

**K**toś słuchał gubernatora w radiu z samego rana? – pyta Brian, kiedy przyjeżdżam do siedziby funduszu, o którym myślę jako o firmie rodzinnej.

Dziadek Coffin miał kilka córek – każda na swój sposób równie uparta i bezwzględna jak on – i jedyne go syna, który się okazał potężnym rozczarowaniem. Mój ojciec założył Falklandzki Rezerwat Przyrody, charytatywny fundusz, którego celem jest ochrona dzikiej przyrody na wyspach dla przyszłych pokoleń. Nie sądzę, że tym przedsięwzięciem ojciec chciał osobiście urazić dziadka, niemniej pan Coffin właśnie tak to odebrał.

Brian to ornitolog, tuż przed sześćdziesiątką. Ojciec zatrudnił go w funduszu przed dwudziestu laty. Brian nadal wspina się na klify, sprawdza miejsca gniazdowań i znakuje pisklęta, mimo że jest na to o dziesięć lat za stary i o dwadzieścia kilogramów za ciężki. Pewnego dnia znajdziemy go, zimnego i pokiereszowanego, u stóp klifu. Jeśli komuś jest pisane zginąć w pracy, to na pewno Brianowi.

Jego tłuste pośladki jak zwykle rozplaszczają się na moim biurku. Od lat obiecuję sobie, że któregoś razu przyjdę wcześniej i cały blat wysmaruję klejem.

– Nie wyobrażam sobie, żeby miał coś wartościowego do powiedzenia. – Susan w kuchennym aneksie pobrzękuje kubkami do kawy.

– Czysta propaganda – rzuca Pete, nasz student na rocznym urlopie dziekańskim. – Nie może pozwolić, żeby ludzie pomyśleli, że w grę wchodzi coś innego niż tylko to, że dzieciak sam się oddalił.

– No, nie może. – Brian wierci się na biurku. – Bo przecież tak właśnie było.

Szef odchrząkuje. John Wilcock jest niskim żylastym mężczyzną o ciemnych włosach i ziemistej cerze, który od dwóch dekad hoduje ulizane wąsy. Sądzimy, że jesteśmy spokrewnieni,

prawdopodobnie poprzez jakieś małżeństwo sprzed kilku pokoleń, ale żadnemu z nas nie chce się tego sprawdzić.

– Cat, nastąpiła zmiana planów. – John rzadko zwraca sobie głowę powitaniem, a mnie to odpowiada. Nie lubię częściej gadaniny. – Twoja grupa chce dołączyć do poszukiwań. Powiedziałem, że ich tam zawieszysz. Będziesz kierownikiem tej grupy.

Pierwotny plan zakładał, że zabiorę gości na George i Barren, dwie nieduże, za to obfitujące w dziką przyrodę wyspy u południowych wybrzeży Falklandu Wschodniego. Jedynych dwoje tamtejszych mieszkańców, moja ciotka Janey i jej mąż Mitchell, również stanowi pewnego rodzaju turystyczną atrakcję. Janey jest pierwszą i ostatnią osobą, jaką znam, która sama odchowalała piskląta pingwina. Znalazła Ashley zakopaną w popiele ogniska, w którym samica starała się ogrzać. Przez ostatnie piętnaście lat Janey uczyła pingwina siadać i prosić, ześlizgiwać się na brzuchu z dachu szopy do strzyżenia owiec, za co mógł liczyć na wyciągane z kieszeni skrawki ryb.

– Ludzie muszą coś robić. – Susan widzi po mojej minie, że nie jestem zachwycona pomysłem. – Kiepsko tak się bawić, gdy gdzieś tam błąka się samotne zagubione dziecko. Nikt nie czuje się z tym dobrze.

– Miejmy nadzieję, że jest samo – wtrąca Pete.

– Nooo, nie pomagasz, Pete. – O zaledwie ósmej trzydzięci z rana John już jest zestresowany. – I ty Brian też nie mać, naprawdę nie mamy na to czasu.

– Jeśli ci ludzie są skłonni zrezygnować z wycieczki, to my przynajmniej powinniśmy zapewnić im przewodnika – oznajmia Susan.

Biorę telefon i zawiadamiam ciotkę Janey, że może sobie odpuścić dzisiaj pieczenie. Doliczam się czterech przekleństw w jej odpowiedzi – dość łagodnie jak na nią.

– Już wyciągnęłam ze strychu pieprzony strój czarownicy.

– Jakby ktoś miał zauważyć różnicę. Poza tym Halloween było wczoraj. – Odkładam słuchawkę, nie słucham dalszego gderania.

– Musisz iść na posterunek. – Susan uwielbia mówić mi, co mam robić. – Wszyscy przewodnicy grup poszukiwawczych o dziewiątej dostaną tam zalecenia od komisarza.

Wreszcie tłusty tyłek zsuwa się z mojego biurka. Brian staje i drapie się po częściach ciała, o których naprawdę wolałabym nie myśleć.

– Zaproponować im zwrot opłaty? – Mówię to tylko po to, żeby wkurzyć Johna.

– Nie, do cholery. To był ich pomysł, nie mój.

Kolekcja naszych flag łopocze na wietrze, tak jak pozostałości po halloweenowych dekoracjach; spokój minionej nocy się skończył. W drodze na posterunek policji mijam ludzi, którzy zmierzają w tę samą stronę. Widzę twarze – te znane mi od zawsze i te zupełnie obce. Zauważam na płotach wydrukowane w domach ogłoszenia. Zwalniam na tyle, żeby rozpoznać, że to powiększone zdjęcia tych dwóch chłopców, którzy zniknęli wcześniej. I nagłówek: „Wciąż zaginieni”. Archie nie dostanie całej uwagi, nie dadzą mu takiej szansy.

Plastikowy kościotrup, uwolniony z mocowań przez wiatr, przetacza mi się przed maską po szosie; nie odbieram tego jako pomyślny znak.

Na parkingu przed posterunkiem zostało już tylko miejsce dla mnie.

– Catrin!

Odwracam się – w moją stronę śpieszy wysoka postać; poły płaszcz przeciwdeszczowego powiewają, podobnie jak czerwona apaszka. Dłoń w czerwonej rękawiczce macha do mnie energicznie, żebym zaczekała. Kurczę się w sobie. Jedną z niewielu osób, której nie zdołałam do siebie zniechęcić w ostatnich trzech latach. Jedną z bardzo niewielu, która się nie poddaje.

– Jadę z tobą, okej, skarbie? – Mel jest zasapany. – Te kalosze kosztowały cholerny majątek, nie zamierzam ich stracić w trzęsawiskach. Nie obchodzi mnie, ile dzieciaków krąży tu samopas, będę się trzymał kogoś, kto wie, co robi.

Mel ubiera się chyba najlepiej na wyspie, wydaje fortunę na ciuchy ze stolic państw europejskich i Ameryki Południowej. Spoglądam w dół na czyściutkie nowe kalosze.

– One są różowe.

Z rozbawieniem klepie mnie w ramię.

– No wiem. Wyobrażasz sobie, że robią teraz różowe huntersy? I co ma z czymś takim począć biedna dziewczyna?

Często rozmyślałam, że gdybym miała jeszcze kiedykolwiek się śmiać, to na pewno z czegoś, co powie Mel. Przy wzroście metr dziewięćdziesiąt, wadze osiemdziesięciu kilogramów z hakiem, pobłogosławiony, jak mi opowiadano, przyrodzeniem nadzwyczajnych rozmiarów, Mel w żadnym razie nie jest kobietą. Nie jest nawet transwestytą: jego ubrania, choć rzeczywiście pięknie skrojone i niesamowicie kolorowe, są jak najbardziej rzeczami szytymi dla mężczyzn.

Mel pracuje jako szef kuchni w tawernie Globe tutaj, w Stanley. Na dwa wieczory w tygodniu porzuca jednak gotowanie i przygrywa na pianinie grupowemu śpiewowi. Po siódmej wieczorem do Globe dosłownie nie da się wcisnąć nawet szpilki.

– Skarbie, posterczę przy twoim samochodzie, kiedy ty będziesz w środku. – Rozkoszuje się słowem „sterczeć”, przetacza je w ustach niczym miętówkę o podwojonej mocy smaku. – Tylko się tam nie zasiedź. Bo mnie tu zawieje jak dziwkę na rogu. – Opiera się o drzwi samochodu w pozie prostytutki wypatrującej klientów.

Wokół nas tłumek na parkingu zgęstniał, wygląda na to, że dowodzi mu posterunkowa Skye. Jest jeszcze bledsza niż zwykle. Na głowie ma ptasie gniazdo i coś mi się zdaje, że spała w mundurze. Pamiętam ją jako dziecko, zawsze brudna, z pokrwawionymi kolanami i rozdartą koszulką, dzieciak z resztkami lodów we włosach albo plamami czekolady na ubraniu. Kiedy idę do wejścia, słyszę, jak próbuje zmusić stale rosnące zbiorowisko, żeby podzieliło się na dwunastoosobowe grupy, upewniło, że ma transport, a każda grupa wybrała kierownika.

Moją uwagę przykuwa gwar piskliwych głosów; odwracam się – ulicą idą dzieci do szkoły. Żołądek mi się skręca, bo w grupce na samym przodzie kroczy Christopher Grimwood, najlepszy kolega Neda.

Bardzo urósł. Niesamowicie wystrzelił w górę w ten rok lub coś koło tego od ostatniego razu, gdy go widziałam. Sięgałby mi pewnie teraz do ramienia. Twarz też mu się zmieniła, znacznie straciła dziecięcą krągłość. Broda mu się wydłużyła, nasada nosa zrobiła się wyraźniejsza. Ból napływa monstrialną falą.

W mojej wyobraźni – w sercu – Ned wciąż ma osiem lat, tyle ile miał, gdy go straciłam. Nadal ma pulchne kolanka i ręce, a kiedy patrzy w dół, od dziecięcego tłuszczu robi mu się podwójny podbródek. A jednak teraz, w Christopherze, tym niezgrabnym, kościstym chłopcu, który już niedługo na zawsze pożegna się z okresem dzieciństwa, widzę, jak Ned wyglądałby dzisiaj. Na jego idealnej cerze mogłyby się pojawiać pierwsze oznaki trądziku, mógłby mieć napady złości, jak drażliwy młody mors. Byłby taki jak ja, do tego napakowany testosteronem, diabeł w ludzkim ciele, który nie daje mi żyć. Tęsknota za synem prawie rzuca mnie na kolana.

Oczywiście jakoś się trzymam. Trzy lata doskonaliłam udawanie, że u mnie wszystko gra. Na posterunku znajduję swoje nazwisko na liście za biurkiem; ktoś kieruje mnie do sali konferencyjnej.

Dołączam do dziesięcioosobowej grupy, w której skład wchodzi trzech wojskowi i dwaj policjanci, jeden z nich jest na wyspach najwyższy rangą.



To postawny mężczyzna, schludny, oszczędny w gestach. Zawsze w myślach nazywam go Stopford, Bob, komisarz, bo tak się przedstawia nieznanym. Stopford przeczytał trochę książek, obejrzał kilka filmów dokumentalnych i zdołał przekonać samego siebie oraz całkiem spore grono innych osób, że jest znacznie bystrzejszy, niż wskazywałyby na to fakty.

Mężczyzna nalewający kawę z dzbanka na stole to dyrektor szkoły, Simon Savidge, który stał się kimś w rodzaju bohatera ruchu oporu wysp. Nazwa jest tylko częściowo ironiczna. W początkowym okresie argentyńskiej okupacji, gdy mieszkańcy wysp czekali na przybycie brytyjskich oddziałów interwencyjnych, Simon za pomocą zakazanego radionadajnika nawiązał kontakt z brytyjskim wojskiem i przekazał mu informacje o ruchach Argentyńczyków na lądzie. Stanowisko dyrektora liceum piastował jeszcze w czasach, gdy ja tam chodziłam, dlatego wydaje się, że pełni tę funkcję od zawsze. Jego syn Josh to najstarszy rangą śledczy na wyspach.

Nie ma wolnych miejsc, ale z tyłu rozlega się szuranie nóg krzesła po podłodze i widzę swojego byłego męża, jak wstaje. W jego włosach połyskuje więcej siwych nitek, niż wtedy gdy go widziałam ostatnio, i jest mizerniejszy.

– Proszę, siadaj, Catrin. – Trzyma oparcie krzesła, żeby podsunąć je pod stół, gdy będę siadała.

Ben jest zawsze wobec mnie bardzo uprzejmy, przy ludziach i prywatnie. Szczerze, niezbyt to lubię, uważam, że traktuje mnie protekcyjnie. Ale mój sprzeciw mógłby sugerować, że żywię do Bena urazę, że mam do niego pretensję o rozpad naszego małżeństwa. Nie mam. To nie jego wina, że nasze małżeństwo się rozpadło. To wina Rachel.

I moja, jak sądzę, jeśli już mówić uczciwie.

Więc siadam i udaję, że się nie zorientowałam, że dłoń Bena pozostała na oparciu. Naprzeciwko nas dowódca straży pożarnej mówi coś do Roberta Duncana, właściciela lokalnej rozgłośni radiowej i tygodnika „Penguin News”.

Robert przekroczył siedemdziesiątkę, ale ma energię faceta kilkadziesiąt lat młodszego, mierzy ponad metr osiemdziesiąt i jest chudy jak patyk. Włosy gęste, siwe okalają jego twarz niczym grzywa u starego lwa. Nosi siwe wąsy i siwą kocią bródkę.

To następna ważna postać ruchu oporu; nadawał na żywo, gdy przybyli żołnierze argentyńscy, butnie puszczał patriotyczne piosenki własnego wyboru. *London Calling* Clashów grzmiało przez głośniki, kiedy argentyński dowódca prowadził swój pluton na budynek radiostacji. Jej drzwi wejściowe roztrzaskiwały się w drzazgi pod uderzeniami podeszew argentyńskich kamaszy przy wtórze Sex Pistolsów odśpiewujących *Boże, chroń Królową*. Rob puścił w eter całą swoją kłótnię z południowoamerykańskimi żołnierzami, którzy przyszli zamknąć mu radio. Upływ lat nie zmienił jego charakteru, Rob nie złagodniał. Wątpię, żeby obecnie poza nim na wyspach żyła druga taka osoba, na którą spływałoby tyle skarg, a która zarazem byłaby tak kochana. Rob jest również ojcem Rachel.

Nagle sobie uświadamiam, że ona pewnie też się pojawi, a to byłoby o krok za daleko. Nie mogę być w tym samym pomieszczeniu co ona. Już się prawie podnoszę, gdy dostrzegam parę niedopasowanych kolorem oczu; przyglądają mi się z kąta sali. Callum nie kładł się w nocy. Jego piaskowe włosy dopominają się mycia, a zarost ma ten charakterystyczny melanz brązu, blondu i imbiru, który mi mówi, że ostatnio był golony co najmniej półtorej doby temu. Mam przecucie, że gdybym wyszła, poszedłby za mną. I Ben też mógłby to zrobić.

Drzwi się zamykają, a centralne miejsce w sali zajmuje Stopford, Bob, komisarz. Po jego lewej staje major Wooton odpowiedzialny ze strony wojska za kontakty z cywilami. Zaraz obejrzymy zwykłe w takich sytuacjach przepychanki o pozycję, w których Stopford będzie sobie rościł prawa, żeby dowodzić, a Wooton, żeby traktować go jako eksperta.

– Szacujemy, że maksymalna odległość, jaką w osiemnaście godzin może przejść dziecko w takim wieku, to około szesnastu kilometrów. – Stopford usuwa się w bok i odsłania dużą naścienną mapę

Falklandu Wschodniego. Ktoś obrysował czerwonym kołem punkt w Estancii, gdzie ostatnio widziano chłopca. Spory wycinek okręgu zajmuje ocean.

– Major Wooton zamierza zebrać pluton i zacząć stąd. – Stopford pokazuje środek koła. – On i jego ludzie pójdą w stronę granic okręgu. W tym samym czasie reszta rozpocznie poszukiwania z zewnątrz, oczywiście uwzględniając plaże, i będziemy posuwali się ku środkowi.

– Czy wykluczamy opcję, że chłopiec nie oddalił się sam? – Callum nie rusza się z kąta sali. – Z tego, co mówi Skye, wynika, że w tej okolicy wczoraj widziano też inne samochody, nie tylko rodziny zaginionego.

– Wszystkie były miejscowe. – Stopford ledwie zwraca uwagę na Calluma. – Rozmawialiśmy z każdym, z kim trzeba. Nikt nic nie widział w związku z chłopcem.

Komisarz mówi dalej, wyjaśnia, że przeszukanie wyznaczonego terenu zajmie nam od czterech do pięciu godzin.

– A co z uczniami? – To znowu Callum. – Nie chcemy, żeby nam się tam plątała banda podekscytowanych dzieciaków. Skończy się na tym, że zgubi się kolejne.

– Boże broń. Dzieci będą przeszukiwały plaże. Tylko te starsze. Jedenastolatki i powyżej. – Stopford kiwa głową w moją stronę. – Na czele tej grupy stanie kolega Catrin, Brian. Dzieciaki pozostaną cały czas pod okiem dorosłych. Sporo mam zgłosiło się do pomocy.

To tam przyjdzie Rachel. Na plażę. Będzie pilnowała Christophera. Jestem podwójnie zadowolona, że młodsze dzieci mają nie uczestniczyć w poszukiwaniach. Już mi wystarczyło, że widziałam Christophera. Gdybym zobaczyła Michaela, który teraz ma osiem lat – tyle ile miał Ned, tyle ile miałby Kit – mogłabym nie wytrzymać.

– Ben? – Stopford patrzy bezpośrednio za mnie, na mojego byłego. – Chciałbyś coś dodać?

– Przygotowaliśmy karetkę. Pani West, mama Archiego, będzie w niej czekała, żebyśmy cały czas wiedzieli, gdzie jest. – Ben odchrząkuje, zanim zacznie mówić dalej. – Kiedy znajdziemy chłopca, będzie wyziębiony i głodny. Ogrzejcie go, dajcie mu trochę wody do picia, ale nie dawajcie nic do jedzenia. Jeśli zauważycie, że jest ranny, nie ruszajcie go. Po prostu zostańcie przy nim do czasu, aż ja lub któryś z moich kolegów do was dołączymy. To wszystko.

– No to już. – Stopford klaszcze w dłonie. – Zbierajmy się, żeby mieć to jak najszybciej za sobą.

Ludzie wychodzą, ale optymistyczne wizje, jakie roztoczył komisarz, wydają się tak kruche, że wystarczyłoby raz mocniej dmuchnąć, żeby się rozwiały. Już to wcześniej przerabiali. Dwukrotnie. Land roverami, na koniach, quadami przetrząsali teren pewni, że szybko odnajdą zaginionego. Mówili sobie, że tutaj złe rzeczy się nie zdarzają.

– Mogę się z tobą zabrać, Catrin? – Ben dogania mnie przy wyjściu. Nie znajduję powodu, żeby mu odmówić, ale wiem, że on nigdy nie robi niczego bez przyczyny.

Wyruszamy konwojem. W mojej grupie wszyscy – oprócz Mela, Bena i mnie – to przyjezdni, ale wyglądają na sprawnych i są odpowiednio ubrani, mają buty do pieszej wędrówki i wodoodporne stroje. W tym momencie najbardziej się martwię o gościa, który jedzie za mną wynajętym samochodem, bo ubita droga szybko się skończy.

Jazda w terenie jest trudna. Nawet ci, którzy mieszkają tu całe życie, zakopują się przy pokonywaniu rzek, przy jeździe po kamieniach i przy podjazdach na strome śliskie zbocza. Jeśli będę się musiała zatrzymać, żeby faceta holować, wyciągać z tarapatów, to równie dobrze mogliśmy nie rezygnować z wycieczki do pingwinów. Zanim ruszyliśmy, uprzedziłam go, że ma jechać po moich śladach, chociaż nie za blisko, przyspieszać i hamować ostro, tak jak ja, żeby strome podjazdy pokonywał ukosem i żeby starał się jak najmniej używać sprzęgła, a zamiast tego, w razie potrzeby, korzystać z diff locka. Zaznaczyłam też, żeby zwracał uwagę na zmianę koloru roślin, bo to zwykle oznacza miększe podłoże. Potwierdził, że będzie się stosował do moich wytycznych. Wyglądał raczej na wystraszonego niż zniecierpliwionego, co uznałam za dobry znak.

Na obrzeżach Stanley mijamy przygotowaną na tę akcję karetkę. Udaje mi się dostrzec matkę Archiego, akurat wsiada do środka. Odwraca głowę, żeby na nas spojrzeć.

– Ktoś mi mówił, że to pan dowodzi zespołem medycznym – zwraca się do Bena jedna z przyjezdnych kobiet. – Nie powinien pan być z resztą w karetce?

– Tam nie będzie nic do roboty, dopóki nie znajdziemy zaginionego. – Ben posyła turystce swój zawodowy uśmiech. Zawsze świetnie sobie radził z pacjentami i wciąż ma ten smagły latynoski wygląd, którym oczarowuje większość ludzi. – Do tego czasu bardziej się przydam przy poszukiwaniach.

Goście są zaszokowani, że tak szybko pozostawiamy za sobą wszelkie oznaki cywilizacji. Tych kilka setek tubylców spoza Stanley jest rozrzuconych po całych Falklandach, które wielkością mniej więcej dorównują powierzchni Walii, a w głównej mierze składają się z pomniejszych wysepek. Kiedy opuszczasz stolicę, wyjeżdżasz na ugór, krajobraz jest niemal pierwotny, nie ma dróg, niewiele drzew i roślinności, prawie nikt tu nie mieszka. Nieliczne osady, które się tu widzi, to pojedyncze gospodarstwa otoczone przybudówkami oraz rdzewiejącymi maszynami rolniczymi i samochodami.

Kilka kilometrów dalej konwój się rozdziela. Niektóre auta kontynuują czterdziestokilometrową podróż w stronę Estancii. My zgodnie z instrukcją zjeżdżamy z drogi i kierujemy się na zachód. Samochód natychmiast zaczyna się gibać i podskakiwać na wybojach.

– O mój Boże, to jak próbować założyć nogę na głowę w czasie szturmu. – Mel obok mnie trzyma się mocno siedzenia.

Z tyłu panuje kamienna cisza. Przechwytyję spojrzenie Bena w lusterku wstecznym. Posyła mi półuśmiech. Oboje już to wcześniej słyszeliśmy.

– Dlaczego macie tu tyle wojska? – pyta jedna z kobiet; mówi z wyraźnym akcentem z Walii.

– Na Falklandach ciągle stacjonuje wojskowy personel, dwa tysiące osób – informuje siedzący obok niej mężczyzna. – To mniej więcej jeden żołnierz na każdego mieszkańca wysp. Na wszelki wypadek, gdyby Argentyńczycy chcieli wrócić.

Nikt tego nie komentuje. Podczas konfliktu byłam na ostatnim roku studiów na uniwersytecie. Ben robił specjalizację w Anglii. Mel oglądał wszystko ze względnie bezpiecznego pokładu MV „Norland”, jako pracownik tego cywilnego promu, który sprowadził Regiment Spadochronowy na południe. Żadne z nas nie czuje się w pełni upoważnione do komentowania, czym te siedemdziesiąt cztery dni okupacji były dla mieszkańców wysp. Poza tym, zgodnie z najlepszą tradycją *Hotelu Zacisze*, mieszkańcy nie lubią mówić o wojnie. Może czujemy, że wszelkie rozmowy na ten temat, jakie chcieliśmy przeprowadzić, już odbyliśmy. Bez względu na przyczyny, po prostu nie podejmujemy wątku.

– Sporo kasy z brytyjskich podatków idzie na to, żeby ludzie tutaj czuli się bezpieczni – rzuca z przekąsem jeden z gości.

– A czy kiedykolwiek obudził cię widok, jak żołnierze wrogiej armii maszerują twoją ulicą, skarbie? – Mel co prawda nie jest rdzennym Kelperem, ale tego nie zamierza odpuścić. – Byłeś kiedyś w domowym areszcie? Musiałeś przestrzegać godziny policyjnej? Zamknęli cię i pięćdziesiąt innych osób w domu kultury, gdzie działa tylko jedna toaleta?

– Ale co chce pan przez to powiedzieć?

– Ano to, skarbie, że dobrzy ludzie z Argentyny, którzy uważają, że te wyspy należą do nich, są czterysta osiemdziesiąt kilometrów stąd. Z drugiej strony Brytyjczycy mają do nas dwanaście tysięcy kilometrów, a obecny premier nie posiada takich *cojones*, jakimi los obdarował panią Thatcher. – Mel patrzy na faceta ostro.

– Tylko skoro macie po jednym żołnierzu na każdego mieszkańca, jakim cudem mogło tu zginąć dziecko?

– Trzymajcie się mocno. – Wjeżdżam rozbujanym samochodem do parowu. Z tyłu słychać

stękniecie, obok zduszone przekleństwo Mela, ale udaje nam się przebrnąć na drugą stronę.

Callum, który prowadzi wóz przed nami, znika na zboczu stromo schodzącym w dół, parę wystraszonych kaczek zrywa się do lotu.

– Magelanki skalne – informuję, żeby grupa przynajmniej trochę zyskała z tego, za co zapłaciła. – Samiec jest cały biały, przez co łatwo go wypatrzeć. Samiczka ma bardzo charakterystyczne czarno-białe upierzenie na piersi. Zwykle spotyka się je na nabrzeżu, ale w tym parowie jest sadzawka ze świeżą wodą. Już prawie dojeżdżamy, trzymajcie się.

Po drugiej stronie stromizny się zatrzymuję. Podłoże w miejscu, gdzie stoimy, to naga skała, ale gdy wyruszymy na zachód, zaczną się mokradła. Callum i jego grupa pojechali dalej.

Chodziłam po tym terenie mnóstwo razy, przez kępy wysokich traw, po kamieniach przez moczary. Ilekroć tu przychodzę, na coś poluję, zwykle na stworzenia dużo mniejsze ode mnie, które lepiej się kamuflują i zdecydowanie lepiej niż ludzkie dziecko umieją unikać drapieżników. Jeśli chłopiec gdzieś tu krąży, jest łatwym celem. Obserwuję kolorystycznie zróżnicowane otoczenie, wypatruję jakiegoś ruchu, ale nie wywołanego przez wiatr, nasłuchuję ukradkowych szelestów, które by mi powiedziały, że coś się wystraszyło.

Prowadzę grupę przez swoją dziką, smaganą wiatrami ojczyzną ziemię i rozmyślam o matce zaginionego chłopca, którą mijaliśmy pod drodze. Kiedy Ned miał piętnaście miesięcy, na kilka minut straciłam go z oczu. Byliśmy na plaży, poszłam na brzeg sprawdzić, czy plamy, które widziałam, to przypadkiem nie ropa z wycieku, a Neda zostawiłam wyżej na wydmach. Gdy się obejrzałam, nie było go.

Nie umiem opisać swojego przerażenia w tamtej chwili. Do wtedy to była najgorsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić. Zupełnie odebrało mi rozum, nie potrafiłam logicznie myśleć. Wróciłam do miejsca, w którym go zostawiłam, wołałam, pobiegłam w trawy i tam go znalazłam. Przeraczkował za małym kormoranem, patrzył, jak piskłę kica w trawie.

– Catrin, wszystko w porządku? – Ben przygląda mi się z nieukrywaną troską. Pomimo chłodnego wiatru oblewam się potem, oddycham o wiele za szybko. Kiwam głową, ale nadal po części jestem zagubiona w złych wspomnieniach. Bo tamto wydarzenie na wydmach to nie była najgorsza rzecz, jaka mnie spotkała, zdecydowanie nie. Najgorsze wydarzyło się później, gdy wypłynęłam daleko w morze, a mój mąż skontaktował się ze mną przez pokładowe radio.

„Był wypadek. Samochód Rachel stoczył się z klifu przy naszym domu. Zostawiła w nim samych Neda i Kita. Bóg jeden wie dlaczego. Hamulec ręczny musiał być niesprawny. A może któryś z chłopców go zwolnił. Nie wiadomo. Obaj zostali zabrani do szpitala. Wracaj jak najszybciej”.

Kiedy doszłam do siebie na tyle, żeby móc się nad tym zastanowić, zrozumiałam, że już gdy dzwonił, wiedział, że nie żyją. Jak mógłby nie wiedzieć? Był tam, w domu, kiedy to się wydarzyło. Widział, jak ich wyciągano z wody. Zginęli na miejscu, a on – lekarz, na litość boską, umie ocenić, czy ktoś jest martwy. Zwyczajnie nie miał odwagi mi powiedzieć. Bał się ryzykować, bał się tego, jak zareaguję – ja na morzu, dwie godziny drogi od brzegu, z taką świadomością. Myślał, że z rozpaczyny zrobię coś strasznego, że odbiorę sobie życie, i nie mógł tak ryzykować. Nie, kiedy byłam w szóstym miesiącu ciąży.

– Co robisz we czwartek? Będzie ktoś z tobą?

– Dam sobie radę. – Patrzę przed siebie. Nie pozwolę, żeby Ben zaczął podejrzewać, że mam jakieś specjalne plany na czwartek. A zwłaszcza że zamierzam zabić swoją najlepszą przyjaciółkę. – Minęły trzy lata. Ludzie dochodzą do siebie, przekraczają ból.

– Ja ruszyłem z miejsca. – Nie widzę twarzy Bena, ale wiem, że jest blisko. Ściszył głos, abym tylko ja słyszała. – Znalazłem sposób, żeby się z tym uporać. Ty nie, kochanie.

Nie zatrzymuję się, mimo to dociera do mnie przeciągłe smutne westchnienie.

– Nadal mi na tobie zależy, Catrin.

– Podobno słonie morskie mogą być agresywne. – Dzięki Bogu dogonił nas Mel. – Jeśli chłopiec natknął się na jakiegoś, pewnie nie miał większych szans, co? Z uchatkami też by nie wygrał.

– Raczej tak. – Spoglądam za siebie, żeby się upewnić, że nikt z reszt grupy nie znajduje się w zasięgu głosu. – Ale jeśli odszedł w tę stronę, to nie musimy się o to martwić. Zdziwiłabym się, gdyby któryś z tych osobników zawędrował aż tak daleko w głąb lądu.

– A ptaki? Mogły zaatakować trzyletnie dziecko?

To, muszę przyznać, jest możliwe. Wydrzyki są znane z tego, że atakują ludzi. Podczas sezonu lęgowego zarówno miejscowi, jak i przyjezdni zapuszczają się w pobliże ich lęgowisk tylko wyposażeni w drągi.

– Zależy, czy byłyby bardzo wygłodniałe, ale o tej porze roku mają tu mnóstwo pożywienia. – Uśmiecham się do Mela pocieszająco. To uroczy człowiek, nie ma sensu go stresować. – Chyba nie musimy się martwić, że zostanie zadziobany na śmierć.

– Wszystko dobrze, Catrin? – odzywa się przez radio głos Calluma.

Widzę go w oddali, na nieco wyższym wzniesieniu, i nagle uświadamiam sobie, że moja grupa w zasadzie stoi w miejscu. Podnoszę rękę, żeby mu pokazać, że u nas w porządku. Nie odpowiada, odwraca się i idzie dalej. Robię to samo.

– Powiedz mi, skarbie. Uważasz, że marnuję czas? – Mel zarzucił sobie zwiniętą linę na ramię, jak ranczer.

– Próbując nie pobrudzić sobie kaloszy? Nawet na pewno.

– Z podporucznikiem Murrayem. – Mel głośno wzdycha prosto do mojego ucha. – Tym wspaniałym ogromnym, przecudownym imbirowym przystojniakiem. Wróciłem na ten zapomniany przez Boga kawał skały tylko dla niego.

Choć to brzmi niewiarygodnie, Mel i Callum poznali się w okresie konfliktu, na pokładzie MV „Norland”, Mel pracował na promie jako ochmistrz. Callum opowiadał, że początkowo żołnierze, klasycznie homofobiczni, byli do Mela nastawieni dość wrogo, jednak swoją pogodą ducha, operatywnością i mistrzowską grą na pianinie szybko zjednał sobie ich przychylność. Do czasu gdy prom dotarł do Falklandów, Mel praktycznie stał się maskotką regimentu.

– Naprawdę nie sądzę, żebyś był w jego typie, kolego. – W głosie Bena pobrzmiwa coś na tyle ostrego, że nawet Mel postanawia zamilknąć i zastanowić się, zanim znów się odezwie.

– Dotarliśmy do mokradeł – oznajmiam grupie. – Rozciągają się na jakieś trzydzieści metrów, więc od tej chwili będziemy szli gęsiego.

Jedna z kobiet się rozgląda nerwowo: wokół gęste poszycie z paproci i jasnych dzikich traw, pod spodem ciemne podłoże.

– A jak on gdzieś tu wpadł? – pyta. – Może być teraz na dnie. Możemy przejść tuż nad nim.

– Jesteśmy dość daleko od miejsca, gdzie zaginał – odpowiadam. – Mało prawdopodobne, żeby dotarł aż tak daleko.

– Ale to już trzecie dziecko, które zniknęło. Musieliście się zastanawiać, dlaczego tak się dzieje.

Nie próbuję ukryć westchnienia; Ben mnie uprzedza z odpowiedzią.

– Niech sobie pani wyobrazi, że ginie dziecko na Barra<sup>[4]</sup>, i nic nie wskazuje na to, że wydarzyło się coś groźniejszego, niż tylko że wpadło do morza.

Kobieta słucha, wyraźnie zadowolona, że ktoś poświęca jej uwagę.

– Ponad rok później znika dziecko w Rhyl<sup>[5]</sup> – kontynuuje Ben. – Niekoniecznie skojarzyłaby pani te dwa przypadki. Mówimy o podobnych odległościach, podobnym odcinku czasu. Mija kolejny rok i ginie trzecie dziecko, trochę młodsze od poprzednich, mimo to wszyscy głęboko wierzą, że się znajdzie. Nikt by nie krzyczał o seryjnych mordercach i pedofilach. I my też nie wszczynamy takiego alarmu.

Zdaje się, że to przekonuje kobietę. A przynajmniej na trochę ją ucisza. Oczywiście Ben właśnie

zrelacjonował scenariusz najlepszy z możliwych: dziecko wkrótce się odnajduje, a o przygodzie, jaką przeżyło, będą świadczyły tylko wilczy apetyt i kilka siniaków. Jednak nadal nic nie wyjaśnia, dlaczego poprzednie poszukiwania zakończyły się fiaskiem.

Radio ożywa. Wołam, żeby wszyscy się uciszyli; grupa zbiera się wokół mnie. Widzę, że w oddali ludzie Calluma robią to samo. Serce bije mi trochę mocniej. W mojej grupie ktoś zaczyna coś mówić, ktoś inny natychmiast go ucisza. Callum znowu patrzy w moją stronę. Ja też na niego patrzę – to o wiele łatwiejsze, gdy jest w dużej odległości, gdy nie ma zagrożenia, że dojdzie do kontaktu wzrokowego. Potem widzę, że Ben mi się przygląda.

Przez radio pada informacja o muchach, masie aktywnych larw.

– O mój Boże! – woła Walijka ode mnie. – Znaleźli go.

## 5

Kobieta z Walii bardzo szybko dochodzi do oczywistych, choć błędnych wniosków, ale ja kręcę głową – tak posyłam komunikat mężczyźnie na wzgórzu.

– To nie może być Archie. – Unoszę głos, zwracając się do grupy; krótkofalówkę przekazuję Melowi: – Larwy wykluwają się przez dobę, ale potrzebują do tego o wiele cieplejszych warunków niż te, które panują podczas falklandzkich nocy, nawet późną wiosną. Archie musiałby zginąć, jeszcze zanim zniknął. Nawet wtedy...

Mel klepie mnie po ramieniu i podnosi kciuki.

– Martwa owca – mówi. – Poprosiłem, żeby przesłali ją do Globe na dzisiejszą kolację.

Nie znajdujemy go. Do drugiej po południu dwa razy obeszliliśmy cały teren. Chłopca tu nie ma.

Wracamy na posterunek; gdy pojawia się jedzenie, grupy poszukiwawcze rzucają się na nie. Mel niemal wisi na Callumie. Ja trzymam się z tyłu, chętnie bym już wyszła. Po kilku minutach ktoś prosi kierowników grup, żeby przeszli do oddzielnej sali.

– Krążą słuchy, że ludzie chcą w nocy urządzić czuwanie – oznajmia Stopford. – Trąbili o tym przez radio cały poranek. Wzywali wszystkich, żeby rozbijali obozy. Palili ogniska. Żeby dzieciak miał się na co kierować. Oczywiście to idiotyzm. W najlepszym razie połowę okolicy postawią w ogniu. Nie wiem, w czym to by miało pomóc.

– Teren jest raczej zbyt wilgotny, żeby doszło do pożaru, Bob – zauważa Ben. – Poza tym to całkiem zrozumiałe. Nikt nie chce myśleć, że dziecko spędzi noc na dworze samotnie. Jeśli połowa wyspy też rozbije obozowiska, wtedy chłopiec nie będzie sam, prawda?

– Moim zdaniem powinniśmy rozważyć ewentualność, że opuścił wyspę.

Zwracamy się w stronę majora Wootona. Zapada cisza.

– I dokąd się udał? – pytam, choć w pewnym sensie wskazuję na oczywistość. – Ziemia Ognista jest prawie pięćset kilometrów stąd. Georgia Południowa to niecałe tysiąc sześćset kilometrów w drugą stronę. Co nam pozostaje? Hm, Antarktyka, jeśli ma się kilka wolnych tygodni.

– Jedna z pozostałych wysp, oczywiście – odpowiada Wooton.

– Cóż, to zawęży obszar.

Major mierzy mnie wściekłym spojrzeniem.

– Nie chcę niczego utrudniać, ale wysp jest ponad siedemset.

Callum odchrząkuje.

– Sądzę, że major Wooton zmierza do tego, że sytuacja zaczyna wyglądać tak, jakby chłopiec nie opuścił terenu na własną rękę. I przynajmniej uczciwie, te wyspy są tak ukształtowane, że łatwo na nich ukryć zaginione dziecko.

Cisza. I to emanująca uporem, a przecież to jasne, o czym każdy myśli. Jesteśmy małą społecznością. Wszyscy się znamy. Wystarczy się cofnąć kilkaset lat i okazuje się, że stanowimy jedną wielką rodzinę. Przystępność tu nie istnieje, nie licząc mandatów za złe parkowanie, śmiesznej liczby kradzieży sklepowych w wydaniu małolatów i całkiem regularnych, ale nieszkodliwych bijatyk w weekendy. W naszych więzieniach siedzą sami pijacy. Pomysł, że ktoś mógł porwać Archiego Westa, wydaje się szalony.

– Musimy zamknąć porty – stwierdza Wooton, tak jakby tych portów było u nas dziesiątki. – Nikt nie może opuścić wysp.

Wooton panikuje. Nikt nie może opuścić wysp i bez jego pozwolenia na wielkiego macho. Do jutra nic nie odlatuje, nawet jeśli przemycenie trzyletniego dziecka na pokładzie samolotu RAF-u byłoby możliwe.

– A co z wycieczkowcem? – pyta Ben. – Ma wypłynąć we czwartek.

Mamrocze jakieś usprawiedliwienie i wychodzę z sali, po drodze biorę kilka małych parówek. Na parkingu wypuszczam Queenie z samochodu i karmię ją podkradzionym jedzeniem. Wylizuje mi dłonie, aż nie pozostaje na nich najmniejszy ślad czegokolwiek poza psią śliną.

Za moimi plecami słychać kroki; wiem, kto za mną wyszedł.

– Ktoś musi myśleć o tym, co jest nie do pomyślenia – rzuca Callum.

– Nikt na tych wyspach nie skrzywdziłby dziecka. To ktoś z przyjezdnych.

Kręci głową.

– Przyjezdni mogą mieć chęci, ale nie środki. Ktoś, kto nie zna wysp, nie miałby dokąd wywieźć dzieciaka. Nie wiedziałaby, gdzie go ukryć.

Nic na to nie odpowiadam.

– Siedemnaście miesięcy temu, kiedy na Surf Bay zaginął Jimmy Brown, nie było tu tej samej grupy turystów. Nie było ich tu dwadzieścia siedem miesięcy temu, gdy zniknął Fred Harper z Port Howard.

Mogłam się domyślić, że Callum zarzuci mnie faktami.

– Nikt go nie porwał. – Odwracam się w stronę otwartej przestrzeni. – Gdzieś tam jest. Wpadł do rzeki i zmyło go do morza albo do bagna i z jakiegoś powodu jeszcze nie wypłynął. Najlepszy sposób, żeby go znaleźć, to usunąć z terenu zwierzęta hodowlane i znowu wysłać wojsko, żeby porządnie przeczesało teren. Teraz już szukamy zwłok. To bardzo smutne, ale trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

Zerkamy na siebie.

– Po południu przeszukają wycieczkowic – odzywa się Callum po kilku sekundach. – Stopford nie chciał się zgodzić, ale go przekonaliśmy. Wooton zwolni cały personel, który nie musi być na służbie. Przejrzą też łodzie rybackie. Z pomocą naszej prywatnej armii do końca dnia zdołamy wykluczyć przyjezdnych.

Jeśli łodzie mają być przeszukane dzisiaj, jutro wszyscy powinniśmy być mobilni. Będziemy mogli swobodnie się poruszać. Ta rozmowa prowadzi nas donikąd. Lepiej, żebym wsiadła do samochodu i odjechała.

– A rodzice? – rzucam. – Może Stopford powinien przeprowadzić długą i stanowczą rozmowę z rodziną Westów.

Callum lekko się uśmiecha, w jego oczach mieni się współczucie, kiedy się odwraca i odchodzi z

powrotem na posterunek. Uważa, że ja i reszta miejscowych po prostu nie chcemy zaakceptować faktu, że ktoś, kogo znamy, może być zły. Że między nami może żyć potwór.

W środku dnia orientuję się, że potrzebuję czegoś ze sklepu, więc biorę Queenie i ruszam na szybki spacer po mieście. Pamiętam, że to prawie pora zakończenia lekcji w szkole, i ta świadomość sprawia, że jeszcze bardziej przyspieszam, a wzrok trzymam spuszczone. Trudno mi patrzeć, jak dzieci radośnie wybiegają z bramy; nie chcę też, żeby matki próbowały być dla mnie życzliwe. Jednak nie mogę nie zauważyć land cruisera Calluma. To chyba jedyny wóz na wyspie o tak charakterystycznym kolorze błękitu niezapominajek.

Kiedy sobie uzmysławiam, że najprawdopodobniej jest w knajpie Bob-Cat, i kiedy rozmyślam, że w zasadzie mogłabym... – nie, nie zrobię tego – właśnie go dostrzegam. Siedzi przy barze, naprzeciwko okna. Jeszcze nie wracał do domu, jest w tym samym ubraniu co rano. Nie sam.

Obok niego widzę dziecko – nie znam tego malucha, ma jakieś dwa, trzy latka, nachyla się do Calluma, jego małe nóżki niebezpiecznie się ześlizgują z kolan kobiety, która też siedzi przy barze. Ma sprane dzinsy, nogawki są wetknięte w buty do konnej jazdy, i sweter dokładnie koloru jej oczu. Callum jest z Rachel.

Ktoś mnie mija na chodniku. Wydaje mi się, że Ralph Padlina, ale nie mogę oderwać oczu od szyby restauracji.

Tak blisko Rachel nie byłam od trzech lat. W małym miasteczku trudno kogoś stale unikać, jednak w tych rzadkich przypadkach, gdy ją spotykałam, zawsze szybko się ulatniałam. Jeśli się teraz odwróci, zobaczy mnie. Oboje mnie zobaczą.

Nie mogę się ruszyć. Coś mnie trzyma w miejscu.

Wygląda wspaniale. Włosy ma dłuższe, niż zapamiętałam. Może trochę przytyła, ale to zmiana na jej korzyść. I się śmieje. Spogląda na Calluma, oboje się śmieją, a dziecko zwisa między nimi. Zachowują się jak rodzina.

Dostaję mdłości. Do ust napływa mi ślina. Odwracam się, pociągam za sobą Queenie, odchodzę.

Później tego samego wieczoru ledwie jestem w stanie zebrać energię, żeby coś zjeść i potem po sobie posprzątać. Nigdy dobrze nie śpię i nie trzeba mi wysiłku ponad normę, żebym się czuła wyczerpana. Poszukiwania Archiego zostały wznowione po południu, jednak w mniej skoncentrowanej formie. Policja i wojsko wybrały się na przegląd różnych łodzi stojących przy wyspach, mieszkańców i przyjezdnych zostawiły samym sobie. Poszłam do pracy, gdzie radiostacja i ciągły strumień gości informowały nas na bieżąco o braku jakichkolwiek postępów.

Jeszcze tylko niecałe dwa dni. Około czterdziestu godzin. Jutro napiszę list, który zapewni Queenie opiekę.

„Ja ruszyłem z miejsca”. Całe popołudnie słyszę w głowie głos Bena. „Znalazłem sposób, żeby się z tym uporać”. Ben poradził sobie ze stratą naszych synów, a byli dla niego tak samo ważni jak dla mnie. Znalazł kobietę, którą pokochał, nową rodziną zastąpił tę, którą stracił. Czy ja też mogłam tak zrobić? Powinnam spróbować?

Teraz już za późno.

Kiedy nadchodzi zmierzch, wiatr zaczyna się wzmagać, szkielety w ogródku skrzypią i jęczą. Przez krótką chwilę Queenie biega od frontowych do tylnych drzwi i ujada na widma w ciemności. Moje nastroje szybko wprawiają ją w nerwowość. Nie jest aż tak chłodno, żeby rozpalać w kominku, ale czuję potrzebę jego ciepła – ono podnosi mnie na duchu, zresztą Queenie niczego bardziej nie kocha, jak zwinąć się w kłębek na rozgrzanym dywaniku. Nalewam sobie kieliszek czerwonego wina i



wlokę się z nim do dużego fotela. Wieczorami, jeśli nie pracuję, zwykle albo czytam, albo oglądam filmy. Na wyspach nie mamy telewizji na żywo. Programy zawdzięczamy uprzejmości Służb Nadawczych Armii Brytyjskiej, są wybierane pod kątem popularności u odbywających służbę żołnierzy. Ale jest za to dobrze zaopatrzona biblioteka z filmami do wypożyczenia i większość z nas chętnie z niej korzysta.

Nie tego wieczoru. Gdybym wybrała komedię romantyczną, twarze głównych aktorów przemieniłyby mi się w twarze Calluma i Rachel. Dreszczowiec? Zgadnijcie, kogo bym sobie wyobraziła w roli martwej ofiary? Tykanie zegara wydaje się nienaturalnie głośne. Minęło już prawie trzydzieści godzin, odkąd zaginął Archie. Na wyspach panuje taka atmosfera, jakby wszyscy na coś czekali.

Queenie zrywa się na równe nogi, gdy przez cały dom roznosi się echem głośne walenie. To nie jest uprzejme pukanie kogoś z sąsiedztwa. Ktoś stanowczo żąda, żeby go wpuścić. Serce zaczyna łomotać mi w piersi. Wściekłe ujadanie Queenie nie pomaga.

I oto on, Callum Murray, stoi u mnie przed drzwiami i domaga się uwagi, tak jak to robi niemal stale w mojej głowie.

– Wybacz, wiem, że jest późno, ale myślę, że ktoś powinien sprawdzić wraki. Najlepiej zacząć od „Endeavoura”, bo to bardziej prawdopodobne miejsce niż „Sanningham”.

Mam w pamięci dzisiejsze popołudnie, to że widziałam go w kawiarni, i najchętniej bym mu przyłożyła, ale to kosztowałoby mnie zbyt wiele wysiłku w sensie wyjaśnień.

– O czym ty mówisz? – pytam tylko.

– Zastanawiałem się, dokąd mogli go zabrać. – Daje krok w tył, jak gdyby nie chciał mnie przytłaczać. – Wszyscy sprawdzili swoje przybudówki, stodoły, szopy. Dzieciaka nie ma w żadnym oczywistym miejscu. Jest tam, gdzie nikt nie pomyślałby, żeby zajrzeć.

– Jest na dnie bagna. Za kilka dni wypłynie, jak ciało wypełni się gazami. – Wiem, że to brzmi bezdusznie, ale gdy ostatni raz widziałam tego mężczyznę, szczyrzył zęby do kobiety, która zabiła mi dzieci.

– „Endeavour” – powtarza. – Catrin, czy ty mnie słuchasz?

„Endeavour” – statek dostawczy pływający do Antarktyki, teraz stoi na mieliźnie przy wybrzeżu blisko Fitzroy. Zanim wrócimy, będzie poranek.

– Dzieciak nie może być na wraku.

– Zastanów się, gdzie ukryłabyś trzyletnie dziecko. Gdzieś, gdzie bezpiecznie by na ciebie czekało, skąd nie mogłoby uciec i gdzie nikt by nie zaglądał, bo nikomu nie przyszłoby to do głowy.

W naszej rozmowie jest opóźnienie czasowe. Callum mówi, ale przetworzenie treści zajmuje mi sekundę lub dwie.

Nie czeka na odpowiedź.

– „Endeavour” jest trochę więcej niż godzinę drogi od miejsca, w którym dzieciak zniknął. Prawie cały wystaje ponad wodę, ale leży zbyt daleko, żeby dotrzeć do niego w bród albo żeby z niego przepłynąć na brzeg.

– Czyli że ktoś porwał chłopca, zawiózł na wybrzeże, wsadził do łódki, przewiózł do „Endeavoura” i zamelinował w sterówce?

– Albo do „Sanninghama”, ale bardziej prawdopodobne, że do „Endeavoura”, bo żeby się do niego dostać, nie trzeba przepływać w pobliżu Stanley. Twoim zdaniem to niemożliwe?

Chciałabym tak powiedzieć. Tyle że...

– Rozmawiałeś o tym ze Stopfordem?

– Nadal jest zajęty na wycieczkowcu.

Wiem o działaniach policji w porcie. Moją łódź przeszukali wcześniej. Posterunkowy, który wpadł do biura po kluczyki, oznajmił mi, że żadna jednostka pływająca, miejscowych lub przyjezdnych, nie opuści portu bez pozwolenia, dopóki Archie West będzie uznawany za zaginionego. To leży w moim interesie, żeby chłopca szybko odnaleziono.

Ulegam więc, zabieram kurtkę i kluczyki.

– Ty prowadzisz – rzucam do Calluma; Queenie biegnie za nami do toyoty. – Ja jestem wykończona.

Callum wskakuje do wozu i uruchamia silnik.

– Tak... Archie West pewnie też ledwo żyje. Nie wspominając o jego matce i ojcu.

Nie ma na to dobrej odpowiedzi, więc do portu jedziemy w milczeniu. W mieście panuje większy rozgardiasz niż zwykle o tej porze, ludzie wyszli na ulice, snują się z butelkami piwa w rękach. Hałas, utarczki, akty drobnego wandalizmu. Szczerze, wieczorami młodzież nie ma tu wiele więcej do roboty, zwykle jednak zachowuje się, jeśli już nie stosunkowo spokojnie, to przynajmniej nieszkodliwie. Ale nie dzisiaj. Nie podoba mi się nastawienie, jakie wyczuwam w tych grupach. Nie podoba mi się, jak ludzie przestają rozmawiać i przyglądają się nam, kiedy obok nich przejeżdżamy.

Tłumaczymy się przed konstabłem na służbie – zgadza się powiadomić komisarza Stopforda o naszych planach. Łódź znów zostaje szybko przeszukana, potem wypływamy w kierunku Narrows.

W zwykłych okolicznościach w portach nocą jest coś magicznego. Nawet ja ulegam temu urokowi – na wodzie tańczy barwne światło, fale radośnie biją o kadłub. Jednak dzisiaj napięcie czai się nad masztami, jak mewy unosi się na powietrznych prądach. Atmosfera podejrzliwości, która przybrała na sile, gdy zaginione dziecko się nie odnalazło, roznosi się wszędzie niczym choroba zakaźna.

Przy przylądku Pembroke skręcamy na południe i tam z całą mocą uderza w nas antarktyczny wiatr. Queenie posyła mi pełne wzdarcie spojrzenie i po części wskakuje, po części wpada do kabiny na rufie, ja tymczasem uświadamiam sobie, że to pierwszy raz od lat, gdy jestem z Callumem sama, naprawdę sama. Czekam, aż coś powie, rzuci jakiś komentarz o poszukiwaniach albo o planach policji lub wojska. Jednak milczy, a kiedy się odwracam, widzę, że siedzi na ławce z rękami na kolanach i ze zwieszoną głową.

Morze jest coraz rozleglejsze. Zarówno wiatr, jak i kierunek fal są przeciwko nam, więc podróż do wraku zajmie nam więcej niż godzinę. Fale są wysokie na półtora, dwa metry. Uderzają w dziób; krople wody rozsypują się na pokładzie jak kamyczki, spływają po szybach sterówki. Callum się nie porusza.

– Jeśli się nie czujesz zbyt dobrze, może lepiej wyjdź na pokład.

– Nie ma takiej potrzeby. Nie miewam choroby morskiej.

Choroba morska czy nie, coś go dręczy. Twarz nabrała koloru wody rozbryzgującej się o dziób, coś jak chorobliwa szarawa zieleń. Wyczuwa, że mu się przyglądam, unosi głowę.

– Wiem, że nie chcesz tego usłyszeć, ale na wyspie jest zabójca.

Czuję, jak moje serce przyśpiesza, przechodzą mnie dreszcze, ale nie od chłodnego wiatru.

– To nie Glasgow ani Dundee czy Londyn. – Usiłuję zachować lekki ton, jakbym po części żartowała. – Tu żyje tylko kilka tysięcy mieszkańców. Jakie jest prawdopodobieństwo, że jeden z nich to psychopata?

Jego spojrzenie twardnieje.

– Cóż, nie jestem ekspertem, ale powiedziałbym, że większe niż to, że w ciągu trzech lat znikną trzej chłopcy w wieku pomiędzy siódmym a trzecim rokiem życia.

To chyba dobry moment, żeby się skoncentrować na sterowaniu.

– Byłem w Port Howard, kiedy zniknął Fred. Stopford też tam był. Błagałem go, żeby kazał przeszukać wszystkie przyjezdne łodzie, ale odmówił. Twierdził, że właściciele sami je sprawdzą, że jeśli chłopiec na którejś się ukrył, znajdzie się bez przeszukań, które tylko zakłócają spokój i stresują

ludzi.

Nie odpowiadam. Bo po co. Zresztą widzę, że Callum jeszcze nie skończył.

– Zastanów się nad tym, Cat. Dwa z naszych największych wydarzeń: Dzień Sportu i Święto Morsów. Wszędzie mnóstwo ludzi. Dzieciaki oddalają się od rodziców. Na miejscu pedofila nie wybrałabyś takich imprez?

Kręcę głową. Callum niczego nie rozumie. Zwyczajnie do niego nie dociera, że coś takiego się u nas nie zdarza.

Jego podniesiony głos szokuje jak nagła zimna fala.

– Rany, Catrin, co z tobą?

Spoglądam na niego. Zupełnie zapominam sterować łodzią. Że też on ze wszystkich ludzi...

– Przepraszam. – Wstaje. – To było głupie. – Przeciąga dłonią po twarzy. – Nie spałem od Bóg wie jak dawna.

Odwracam się do steru.

– Archie nie zaginął podczas imprezy. Był po prostu na pikniku z rodziną.

– Więc może ten ktoś wykorzystał okazję. Mógł od wielu dni śledzić chłopca i jego rodzinę.

– Mógł? On?

Callum staje tuż za mną. Widzę jego odbicie w szybkie sterówki, nie jest tak wysoki, jak mi się zawsze wydawało. Stoi na szeroko rozstawionych nogach, żeby zachować równowagę na rozkołysanym pokładzie.

– Pedofile i zabójcy dzieci to zwykle mężczyźni.

Jeśli łódź nagle zanurkuje dziobem, Callum na pewno na mnie wpadnie.

– Kiedy zaginął Fred, jakieś nastolatki mówiły, że widziały małe dziecko, jak idzie w stronę plaży.

Po chwili ruszyli za nim, ale na plaży chłopca nie było. Co, jak dla mnie, oznacza, że nie zdążył tam dotrzeć. Kiedy zniknął Jimmy, więcej niż jedna osoba opowiadała, że widziano go w pobliżu zaparkowanych samochodów.

– Ale nikt nie był o tym przekonany, z tego co pamiętam.

– A według ciebie dlaczego wszyscy zaginęli w pobliżu wody? – Nie zamierzał odpuścić.

– Jeśli tutaj coś ma się stać jakiemuś dziecku, najprawdopodobniej to będzie wiązało się z morzem.

– Myślę, że dysponował łodzią. Myślę, że jakoś zwabił na nią tych chłopców, a potem... – Callum podnosi ręce i szeroko je rozkłada. – Istnieje mnóstwo miejsc, do których mógł ich wywieźć.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Dlatego że kobieta, którą znałem, by się przejęła.

Nie mogę już patrzeć nawet na jego odbicie. Kobieta, którą znał, miała dwóch synów. Oczywiście, że bym się przejęła, gdyby za życia Neda i Kita w okolicy grasował zabójca. Ale teraz tak mało mnie to interesuje, że podejrzeń Calluma nie potrafię nawet potraktować poważnie. Tak. Co się ze mną stało?

Płyniemy dalej. Callum wraca do kabiny na ławkę, ja wpatruję się w morze. Jakiś czas później, gdy wciąż mamy kawałek do „Endeavoura”, podskakuję, bo Callum niespodziewanie klepie mnie po ramieniu. Patrzy przez okno sterówki w stronę lądu. Na plaży i dalej, sporo kilometrów w głębi płoną małe ogniska. Znaczą krajobraz niczym robaczki świętojańskie. Zwalniam prawie do zera.

Stoimy obok siebie przez kilka minut, pozwalamy, żeby łódź płynęła własnym kursem, przyglądamy się pomarańczowemu ognikowi rozsypanym po zboczu niczym gwiazdny pył. Potem Callum rozsuwa zamek swojej kurtki.

– Daj, przejmę ster. – Przysuwa się do niego. – Ty musisz na coś zerknąć.

Kiedy znowu ruszamy, szybciej niż gdybym to ja prowadziła na otwartym morzu, odbieram

złożone kartki, które podaje mi Callum. Siadam w kabinie na ławce. Wciąż jest ciepła od jego ciała. Patrzę na trzy arkusze formatu A4. Excel z listą nazwisk.

– Co to? – Większość znam. Widzę Roba i Jan Duncanów, rodziców Rachel. Simona Savidge’a. Kolegę z pracy, Briana. Gubernatora.

Callum jeszcze bardziej dodaje gazu; łódź zaczyna pruć fale.

– Spis osób, które były na Spartakiadzie na Falklandzie Zachodnim, kiedy zniknął Fred, i na Surf Bay, gdy zaginął Jimmy.

Przebiegam wzrokiem drugą kartkę i trzecią.

– Razem siedemdziesiąt pięć osób.

– Było więcej. Wykluczyłem tych poniżej szesnastu lat i starsze panie.

Znacząco unoszę brwi, gdy fala rozbija się nad dziobem, ale Callum nie zwraca na to uwagi.

– A te pogrubione?

– Mężczyźni między szesnastym a siedemdziesiątym piątym rokiem życia. Sprawni fizycznie.

Czterdziestu jeden głównych podejrzanych.

– Wpisałeś Mela? Uważasz, że skoro jest gejem, to musi mieć skłonności do molestowania dzieci.

– Ja też tam jestem. I pieprzony gubernator. Nazwiska z gwiazdką obok to ci, którzy mają łodzie, chociaż prawdę mówiąc, to większość tutejszych.

– Jak ci się udało stworzyć tę listę?

– Zacząłem od tych, których kojarzyłem, potem przyjrzałem się drużynom sportowym z zawodów. Rozkład rozgrywek zdobyłem bez problemu. Pytałem też innych, kogo zapamiętali. Trochę mi pomogła Skye McNair. Nieoficjalnie.

– Bob Stopford to widział?

Callum robi gest zniecierpliwienia i łódź znowu przyspiesza.

– Oczywiście, do cholery. Tylko że nie chce mnie słuchać. Jestem przyjezdny. Nie rozumiem tutejszych zwyczajów. To, co się tu wydarzyło, oceniam przez pryzmat osiedli komunalnych w Glasgow. Użył dokładnie takich słów.

Płyniemy niebezpiecznie szybko. Duża fala mogłaby teraz zatopić sterówkę.

– Czego teraz oczekujesz od Stopforda?

– Żeby się dowiedział, gdzie były poszczególne osoby z listy, gdy zaginął Archie. Jeśli ktoś by nie miał alibi, policja powinna przeszukać jego posesję. Ale on tego nie robi, bo wtedy musiałby przyznać mi rację.

– Nie rozumiem w czym problem. – Wstaję i daję znać, że mogę już przejąć ster. – Nie mówię, że masz rację, ale jeśli masz, dlaczego Stopford nie chciałby w to wejść?

Znowu zamieniamy się miejscami. Callum chowa kartki, ale nie siada. Staje za mną i żeby utrzymać się prosto, chwyta się belki sufitowej.

– Nie pociąga go wyzwanie, to że rozpracuje dużą sprawę? – Zmniejszam prędkość, ale łagodnie. Callum to jednak zauważa. Nic mu nie umyka.

– Rzecz w tym, że nie chodziłoby tylko o niego, prawda? Gubernator, parlament, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, cholera, prawdopodobnie cały brytyjski rząd, wszystkim zależy, żeby o tym miejscu było cicho. Jeśli zaczniecie się naprzykrzać, jeśli znowu wyjdziecie przed szereg, nie z tych powodów, co trzeba, wtedy fala opinii, że już nie jesteście warci takich wysiłków lub ponoszonych na was wydatków, może się wymknąć spod kontroli.

– Chcesz powiedzieć, że nie stać nas na seryjnego zabójcę?

Kręci głową, jakby litował się nad moją naiwnością.

– Ze wszystkich miejsc na całym świecie, Catrin, Falklandy najmniej mogą sobie na niego pozwolić.

Znowu zwiększam prędkość i płyniemy dalej.

Na południowym wybrzeżu Falklandu Wschodniego znajduje się długi, wąski port o nazwie Port Pleasant, a przy wejściu do niego jest nizinna wyspa Pleasant. Właśnie zaczyna być widoczna w postaci ciemniejszej plamy na horyzoncie. „Endeavour” leży w niezbyt szerokim pasie wody pomiędzy większymi a mniejszymi wyspami. Duże jednostki rzadko tu wpływają, i dobrze, bo „Endeavour” to ciemny kawał metalu, zanurzony w wodzie, i w mroku łodzie łatwo mogłyby w niego uderzyć. Podczas burzowych nocy będziesz myślał, że to fala do chwili, aż praktycznie na niego wpłyniesz.

Nie spuszcza oczu z głębin, gdy się zbliżamy. Moja łódź ma wąski kadłub, ale pływ jest niski, a wokół tego skrawka wybrzeża wszędzie są rozsypane skałki. Teraz już widzę wrak. Siedzi na dnie oceanu; zęza i niższe pokłady są zalane, ale to wysoki statek, więc przynajmniej sterówka wystaje nad powierzchnię.

Jakieś dwadzieścia metrów wcześniej zatrzymuję się i zrzucam kotwicę. Odgłos tarcia łańcucha budzi mojego psa, Callum bierze głęboki wdech i przeciąga dłońmi po twarzy. Przez ostatnie dwadzieścia minut nie odezwał się słowem.

– Ostatni odcinek musimy pokonać szalupą. Mam nadzieję, że jesteś przygotowany, że się zamoczysz. – Sprawdzam, czy kotwica trzyma, potem zakładam olejak i mamrocę kilka słów otuchy do Queenie, Callum w tym czasie ściąga szalupę z dachu kabiny. Podaję mu kamizelkę ratunkową, biorę torbę z narzędziami i schodzimy. Szalupa ma oczywiście napęd motorowy, ale widzę, że Callum kręci głową, więc nie uruchamiam silnika. Sięga po wiosła i cicho płyniemy przez fale.

Z wody wrak wydaje się olbrzymi. Wznosi się przed nami, ponury i martwy. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat temu porzucili go ci, którym dobrze służył. Nie po raz pierwszy zastanawiam się, czy statki czują ból, gdy ich dni na morzu dobiegają końca.

Wrak kołysze się we wzburzonych wodach. Gdy podpływamy jeszcze bliżej, przechyla się na boki i skrzypi – smętne echo tego, jak niegdyś pruł odměty.

Od czasu do czasu nurkuję do wraków, ale nie bardzo to lubię. Wraki do swoich tajemnych miejsc przyciągają charakterystyczny rodzaj oceanicznego życia. Statki powinny być na wodzie, a nie pod nią. Wraki opowiadają o utraconych nadziejach, o zmarnowanym życiu, o marzeniach, które nie przetrwały sztormów.

To doskonałe miejsce, żeby kogoś uwięzić. Nie wyobrażam sobie wiele więcej okrutniejszych rzeczy, jakie można zrobić dziecku. Z drugiej strony: jeśli chłopiec tu jest, uwięziony, to znaczy, że wciąż żyje.

– Jak się dostaniemy na pokład?

Zbliżamy się do dziobu; nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że stary statek nam się przygląda, że na pokładzie czai się coś żywego i że nasza obecność nie jest tu mile widziana. Może Callum ma więcej racji, niż mu się wydaje. Przez chwilę cieszę się, że mi towarzyszy, ta prawie dwumetrowa masa mięśni. Potem uzmysławiam sobie, że nigdy nie znalazłabym się w pobliżu tego miejsca, gdyby to właśnie Callum mnie do tego nie zmusił. Pokład wznosi się około czterech metrów nad nami. Nie widzę żadnego sposobu, żeby się tam dostać.

– Na rufie jest drabinka. Przy sterburcie.

Sterburta znajduje się od strony morza, nie lądu. Callum mocno wiosłuje i wpływamy w mroczniejszą ciemność, między wielkim kadłubem a księżycem.

– Zaczekaj tu. – Chowa wiosła do łodzi i wstaje.

– Pójdziesz sam?

Kiedy wyciąga ręce, widzę, że drżą.

– Nie wiemy, co tam może być. – Pociąga za drabinkę, testuje jej wytrzymałość. – Jeśli coś się stanie, jeśli nie będzie mnie dłużej niż dziesięć minut, wracaj na łódź i wezwij pomoc.

Teraz to do mnie dociera – on naprawdę sądzi, że na coś na tym wraku trafi. To jego milczenie w

trakcie podróży. Ten chorobliwy zielonkawy kolor cery. Roztrzęsione dłonie. On się boi.

Bez słowa, bardzo szybko jak na tak potężnego mężczyznę, wspina się po szczelkach, a ja zostaję sama na oceanie.

## 6

Nasłuchuję kroków, głosu małego dziecka, ale słyszę tylko, jak fale uderzają o kadłub i wiatr wyje na pobliskich wzgórzach. Chcę wstać, wspiąć za Callumem na pokład albo odpłynąć, wrócić na swoją łódź. Nie chcę tu tkwić przywiązana do martwego statku.

Ile już czekam?

Wyteżam słuch, ale podmuchy są ostre, a woda napiera i przysysa się do metalowego kadłuba, jakby próbowała unieść statek z jego grobu na dnie oceanu. Calluma nadal nie ma, rozplynął się w mrokach nocy.

Ile może trwać przeszukanie wraku? Mostek wystaje nad wodę, ale w większej części jest zniszczony przez żywioły. Z przodu pewnie jest kabina i prawdopodobnie posłużyła za więzienie dla zaginionego dziecka. Reszta kabin i ładownie poniżej są zalane. Na statku nie zostało dużo do oglądania, a ja już bym coś do tej pory usłyszała.

Kawałek dalej moja łódź kołysze się, stojąc na kotwicy. Wydaje mi się, że na bocznym pokładzie dostrzegam błysk oczu Queenie.

Calluma nie ma już zbyt długo. Sięgam do torby i znajduję to, czego szukam, potem wtykam pistolet dziadka do kieszeni i wyciągam ręce do drabinki. Zamierzam tylko wspiąć się i zajrzeć. Wchodzę na szczel, potem na kolejne, aż mogę coś zobaczyć.

Na pokładzie stałe poruszenie. Fale rozbryzgują się na nim co kilka sekund, potem wracają do morza. Wypatruję ruchu czegoś innego niż wody, ciemności, która nie jest pusta. Po Callumie ani śladu. Duża fala rzuca „Endeavourem” na jedną stronę, niemal strąca mnie z drabinki. Nagle wydaje się, że lepiej zeskoczyć na pokład niż tak tkwić. To bezpieczniejsza opcja.

I już na nim stoję, ale jestem jak przytwierdzona do podłoża. Żelazną konstrukcję pod moimi stopami pokrywa śliski muł, chropowaty od poprzyklejanych skorupiaków. Glony są wszędzie, niektóre przywiał wiatr, inne po prostu tu wyrosły. Wrak leży pośrodku pola wodorostów; roślinność próbuje go przejąć na własność. Wiatr wdziera mi się we włosy i je rozwiewa. Wyciągam z kieszeni pistolet dziadka, mam nadzieję, że dłoń nie będzie mi się za bardzo trzęsła. Nie jestem szczególnie obeznana z bronią palną. Chlupocząc przy każdym kroku, idę ku sterówce, wilgotny mrok statku owija się wokół mnie.

Czuję okropny smród. Jakby gniły tu szczątki dawno zdechłych zwierząt, jakby spod wody wypełzło coś obrzydliwego, żeby się nimi nakarmić.

Sterówka nie ma drzwi, w środku widzę tylko ciemność. Podchodzę jeszcze bliżej i nagle przede mną wyrasta wysoka postać. Wpadam w panikę, chcę się odwrócić i uciec, ale uzmysławiam sobie, że to może być tylko Callum. Stoi prosto, całkowicie nieruchomo. Widzę, jak jego barki unoszą się i opadają. Głowa zamarła w jednej pozycji, Callum patrzy na coś przed sobą. Na coś, czego ja nie mogę dojrzeć. To nie może być wystraszony, ale nadal żywy mały chłopiec, bo gdyby tak było, Callum już by do tej pory pochylił się, żeby go podnieść, już by go niósł do łódki i uśmiechał się

zwycięsko, jak zawsze gdy...

Kładę dłoń na jego lewym ramieniu. Natychmiast się odwraca i tak silnie strąca moją rękę, że upuszczam pistolet i zataczam się w tył. To mnie ratuje, a może zielsko na pokładzie, które dostaje się pod buty Calluma i ściąga go w dół na kolana. Gdybym się nie zatoczyła, gdyby on się nie potknął, te wyciągnięte do mnie dłonie z pewnością odnalazłby moją szyję. Natychmiast z powrotem jest na nogach, ale ja się nie przewróciłam i mam ułamek sekundy przewagi.

Wybiegam ze sterówki, gonię ku burcie statku, prawie dopadam drabinki, ale on mnie dogania i chwyta. Lecę na płask na pokład. Callum się na mnie rzuca. Nie jestem w stanie się poruszyć, gdy mnie przygniata taki ciężar. Silne palce zamykają się na moim gardle. Wyciągam rękę i czuję coś twardego. Wykręcam łokieć w tył, tłukę w czaszkę. Callum stacza się ze mnie z jękiem, uwalnia mnie. Podrywam się na nogi, odwracam; jego oczy napotykaają moje.

Z rany na skroni kapie mu krew.

– Co ty robisz? – Zamiast uciec, póki mogę, jęczę jak dziecko. – Callum? To ja. Co ty, do cholery, wyprawiasz?

Jedna dłoń podnosi się do krwawiącej głowy. Druga pozostaje przyciśnięta do pokładu dla zachowania równowagi.

– Matko, co ja zrobiłam?

Przez kilka sekund czaimy się w przysiadzie, jakiś metr od siebie, cały czas utrzymujemy kontakt wzrokowy. Potem szybko się prostuję i odsuwam. Dostrzegam pistolet przy mostku i rzucam się po niego.

– Nie, nie wchodzi ta... Rany, czy to coś jest nabite?

Odwracam się.

– Tak. Zabił półtoratonową orkę, która wypłynęła na brzeg, jednym strzałem w głowę. Twój mózg raczej jest mniejszy.

– O to nie będę się sprzeczał.

– A teraz mów do mnie. Wiesz, kim jestem?

Dźwiga się, ale wolno, nie chce mnie wystraszyć. Lub dać mi pretekstu, żebym użyła broni.

– Catrin Quinn, z domu Coffin. Masz trzydzieści cztery lata i mieszkasz na klifie nad Stanley, w domu z najstraszniejszym pieprzonym ogródkiem, jaki w życiu widziałem.

Czeka i widzi po mojej minie, że to prawdopodobnie nie wystarczy.

– Ja się nazywam Callum Murray, były podporucznik Regimentu Spadochronowego, urodzony w Dundee w Szkocji. Sir Bradley Rose jest gubernatorem na Falklandach, a w ojczyźnie, w Anglii, John Major jest premierem. Mówić dalej?

– Nie. Jak się czujesz?

– W miarę okej.

Ruchem głowy wskazuję sterówkę z tyłu.

– Co tam jest? Co zobaczyłeś? Dlaczego nie chcesz, żebym wchodziła?

Jego twarz się kurczy.

– Musimy się skontaktować ze Stopfordem. Wracajmy na łódź i wezwijmy go przez radio.

– Co tam jest?

Kręci głową.

– Stopford.

Żeby pójść do sterówki, muszę się odwrócić do niego plecami, ale już nie myślę, że to Calluma powinnam się obawiać. Więc szybko robię w tył zwrot i wchodzę do środka. Nie licząc wąskiej strużki światła z latarki, którą Callum upuścił, mostek tonie w ciemności. Odór jest tutaj silniejszy, podobnie jak wrażenie, że otaczają mnie takie tajemne, na wpół zgniłe formy życia, jakie zamieszkują koszmary. Łapię się na tym, że myślę o poemacie, który Rachel bardzo lubiła, ten,

którego urywki ciągle mi cytowała. Ten, który jej zdaniem musiał mi się podobać, bo od zawsze kocham morze. Nie podobał mi się, nienawidziłam go, ale zapamiętałam z niego aż zbyt wiele.

*O Chryste! Gniła nawet w głąb!  
Któż kiedy słyszał o tym!  
Po morzu pełzał błotny płaz,  
Co samo było błotem.*

Pochyliam się, żeby podnieść pistolet, wsuwam go do kieszeni i słyszę, że Callum wchodzi za mną do sterówki.

– Szafka. Po prawej. Jeśli jesteś pewna, że tego chcesz.

Daleko mi do pewności. Ale nacelowuję latarkę i widzę stopę dziecka. W słabym świetle jakby drżała, widok niczym obraz w starych filmach. Świat się przechyła, nie bardzo wiem, czy to „Endeavour” uderzony kolejną dużą falą, czy tylko ja się chwieję.

Pochodzę bliżej: trzy, cztery kroki. Świecę latarką po całej długości ciała, od głowy po stopy w trampkach.

– Jimmy – mówię.

To nie są zwłoki Archiego Westa. Kostka nad płóciennym sznurowanym trampkiem jest prawie pozbawiona ciała. To się nie mogło stać Archiemu w jeden dzień. Poza tym te resztki są za duże, żeby mogły być trzylatka, nawet pięciolatka. Ani Archie, ani Fred. Znalezliśmy Jimmy’ego.

– Też tak myślę. – Callum stoi w drzwiach sterówki. – Wygląda na mniej więcej siedem lat.

Chłopiec przede mną, tylko trochę młodszy i mniejszy niż był Ned, wciąż ma na sobie skrawki ubrania, łącznie z obydwoma butami. Na czaszce pozostały kępki włosów. Większość skóry się rozłożyła. Ciała, które tworzyło jędrne, pyzate policzki, krągły podbródek, drobne ramiona i chude jak zapałki nogi, też nie ma. Wszystko, co zostało z Jimmy’ego, to wapienny kościec, który powinien rosnąć, stawać się silniejszy, żeby Jimmy mógł w przyszłości być wysokim zdrowym mężczyzną.

*Spojrzałem: gęsto leżał trup,  
A pokład gnić już począł.*

Coleridge. Teraz sobie przypominam. *Rymy o sędziwym marynarzu* Samuela Taylora Coleridge’a. Makabryczny utwór. Pewnie Ned wygląda podobnie. Mój anioł jest teraz zwłokami w ziemi, które wolno gniją, jak to dziecko tutaj. Ned nie żyje dłużej, jego ciało będzie w stanie większego rozkładu. Nigdy wcześniej o tym nie myślałam. W mojej głowie Ned wciąż jest wprawdzie trochę bladym, ale poza tym zupełnie zwyczajnym chłopcem, który wyłania się i znika w mrokach domu, goniąc za duchem brata z jednej kryjówki do drugiej.

Jest tak, jakbym patrzyła na Neda, jakby ktoś mnie zmusił, żebym rozkopała jego grób i skonfrontowała się z rzeczywistością tego, czym się stał.

Statek się buja, promień latarki osuwa się w dół, czuję ciężar dwóch dużych dłoni na moich ramionach. Pokusa, żeby wtulić twarz w te dłonie, żeby zamknąć oczy, jest prawie nie do odparcia.

– Czaszka wygląda dziwnie. – Zabrał mi latarkę i oświetla nią głowę Jimmy’ego.

Jakimś cudem udaje mi się odpowiedzieć.

– Nie wypadły mu jeszcze zęby mleczne. – Bez skóry i ciała na twarzy dwa rzędy mleczaków są wyraźnie widoczne, jeden nad drugim, czekają, aż zostaną wypchnięte przez stałe zęby. Zupełnie normalne u dziecka w tym wieku, ale tak bardzo, bardzo dziwne, gdy się na to patrzy.

Ned stracił ząb mleczny sporo dni przed śmiercią. Dolny środkowy siekacz po prawej stronie. Wciąż go mam, w pudełeczku w kształcie serca, trzymam je przy łóżku. Gdyby to był Ned, widziałabym szczerbę. Nie mogę tego znieść. Nie mogę.



Callum opuszcza latarkę.

– Widuję czasami jego ojca w Globe – mówi. – Pracuje w szpitalu.

Miał siostrę w klasie Kita. Próbuję powiedzieć to na głos, żeby pokazać, że się trzymam, ale nie daję rady. Emily, chyba tak ma na imię. Ładna dziewczuszka.

Znów kładzie mi ręce na ramionach, ale je strząsam, bo coś mi przychodzi na myśl.

– Reszta też tu może być. Archie, nawet Fred. Musimy ich poszukać. Archie! – wołam. – Archie, słyszysz nas?

Czuję przy uchu oddech Calluma.

– Cat, tu nie ma innej kryjówki. Nad wodą wystają tylko sterówka i kajuta. Kajutę obejrzałem wcześniej, zanim go znalazłem.

To nie tak, że mu nie wierzę, po prostu muszę sama sprawdzić. Popycham wąskie łukowate drzwi, wchodzę do trójkątnej kabiny na przodzie łodzi. Ktoś, pewnie Callum, otworzył wbudowane tu trzy schowki. Wszystkie puste, nie licząc kilku centymetrów wody. Na podłodze też niezbyt głęboka kałuża. Poza tym nic więcej.

Schody prowadzące pod pokład znajdują się przy sterówce od strony sterburty. Kiedy się tam kieruję, Callum chwyta mnie za rękę.

– Nie ma mowy. Nie zejdziesz pod pokład w środku nocy.

– Ale jeśli tam jest Archie?

– Jeśli tam jest, to też nie żyje. Ponad wodę wystają tylko dwa stopnie. Nie zejdziesz tam i już, Catrin.

Wykorzystuje chwilę mojego zawahania i wypycha mnie ze sterówki. Ma rację, oczywiście. Tutaj już nigdzie indziej nie dałoby się ukryć zwłok, a pokłady poniżej nie znikną. Adrenalina, która sprowadziła mnie na łódź, która zmusiła mnie do tego, żeby walczyć i pokonać dwa razy większego ode mnie mężczyznę, która dała mi odwagę, abym szukała martwego dziecka, rozplynęła się. Jestem wyczerpana i bardziej nieszczęśliwa niż w którymkolwiek momencie w ciągu ostatnich trzech lat. Daję słowo, nigdy bym nie uwierzyła, że to możliwe.

– Miałaś rację – mówię szeptem, gdy idziemy przez pokład. – No prawie. Gratuluję.

– Tak, to przekleństwo być geniuszem.

W drodze powrotnej nie musimy się już skradać i być cicho. Uruchamiamy silnik i w sekundę docieramy do mojej łodzi. Callum podwiązuje szalupę, a Queenie poszczekuje na nas, jakby mówiła: może byście się łaskawie pośpieszyli?

– Radio nie działa tu najlepiej. – Wspinam się za Callumem, odwraca się i podciąga mnie w górę ostatnie kilka centymetrów. – Powinniśmy opłynąć cypel. Tam będzie też spokojniej.

Dalej jest Port Fitzroy, który znam bardzo dobrze. Gdy ja zabezpieczam łódkę, Callum łączy się przez radio ze Stopfordem. Wie, że może nas słuchać wiele osób, nawet o tej porze, więc ogranicza szczegóły do minimum. Ściągam olejek i podkręcam grzejnik. Callum do mnie dołącza, zajmuje miejsce naprzeciwko w kajucie, która zawsze wydaje się absurdalnie mała, gdy on w niej jest. Też ściąga kurtkę. Queenie układa się blisko mnie i wlepia wzrok w Calluma.

– Domyślam się, że to był napad fali wspomnień – odzywam się po chwili. – Tam na „Endeavourze”. Kiedy ci odbiło.

Uśmiecha się krzywo, to oznacza „tak”. I że jest mu wstyd.

– A podobno się skończyły. Twierdziłeś, że już ich nie masz. – Nie umyka mi, że mówię jak urażona żonka.

Lampka w kajucie za mną świeci prosto na niego, jego dziwne niedopasowane kolorem oczy widać wyraźnie. Łapię się na tym, że przeskakuję wzrokiem od zielonego do niebieskiego. Nigdy nie

potrafiłam zdecydować, które wolę.

Krótko po tym, jak się poznaliśmy, Callum opowiedział mi o stresie pourazowym, na który cierpiał, jak zresztą wielu innych żołnierzy walczących w wojnie falklandzkiej. U niego ta choroba umysłowa – bo tym to jest i niech nikomu nie wydaje się inaczej – zwykle przybiera postać napadu wspomnień z okresu działań wojennych. Gdy tak się dzieje, na wiele godzin odpływa do zupełnie innego miejsca. Mroczniejszego, brutalniejszego. Kiedyś sprawdziłam, co to jest ten zespół stresu pourazowego. Natrętne wspomnienia to częsty symptom.

– Bo wtedy to była prawda. Wspomnienia praktycznie ustały po roku, od kiedy tu wróciłem. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego pomaga mi, że tu jestem, ale pomaga. A raczej pomagało. – Opuszcza głowę w dłonie, wsuwa palce we włosy. – Ale kilka lat temu znowu się zaczęło. Zwykle, kiedy czuję, że zbliża się atak, staram się być sam. – Przemawia teraz do podłogi kajuty. – Wyzwalaczem jest stres. Lęk. Głupio zrobiłem, że tu przypląnąłem. Na wodzie nie czuję się dobrze. Przynajmniej od czasu... wybacz, pewnie nie chcesz tego słuchać.

– Jak to nie czujesz się dobrze na wodzie? Widziałam, jak pływasz. Co ma z tym wspólnego woda? Podnosi głowę, patrzy na mnie długie, długie sekundy.

– Cat, ty naprawdę nie wiesz? – pyta w końcu.

– Nie wiem czego? – Nagle serce mi łomocze. Mam wrażenie, że naprawdę nie wiem. I że chyba byłoby lepiej, gdybym nadal nie wiedziała.

– Tamtego dnia, gdy zginęli Ned i Kit, ja tam byłem.

Jakby mnie znowu uderzył. Praktycznie nie znam szczegółów wypadku. Samochód, w którym Ned i Kit zostali sami, zaczął się toczyć, jeden z nich prawdopodobnie bawił się hamulcem ręcznym, wóz zsunął się z urwiska za moim domem. Spadł sześć metrów w głębokie morze. Tyle.

– Widziałem, jak auto spada. To ja ich wyciągnąłem.

Callum tam był. Patrzył na to. I ich nie uratował?

Już nie siedzi na ławce, tylko przede mną klęczy.

– Musiałem do nich zejść. Nie jest tam stromo ani specjalnie wysoko, ale trochę to trwało. Samochód zatonął, zanim zdążyłem wskoczyć do wody. Najpierw wyciągnąłem Kita, potem Neda. Przeniosłem ich na skałki i modliłem się, żeby byli tylko potłuczeni, ale musiałem wrócić, sprawdzić, czy w kabinie nie został ktoś jeszcze. Zauważyłem, że to wóz Rachel, i myślałem, że ona też mogła w nim być. Albo jej dzieci.

Chyba zdawałam sobie sprawę, że ktoś był na miejscu wypadku. Nie wiedziałam tylko, że to Callum. Nikt mi nie opowiadał całej historii, a ja nie pytałam. Nie poszłam na przesłuchanie.

– Ned i Kit zginęli od uderzenia, Catrin. Nie utonęli. Już byli martwi, kiedy ich stamtąd wydostałem.

Wiedziałam to, tak myślę, tak, wiedziałam. Tyle zdołało się przebić przez wzmocnione lekami otępienie, w którym trwałam w tygodniach następujących po wypadku. Ned i Kit nie utonęli. Zginęli natychmiast. Zawsze się tym jakoś pocieszałam. Ale to przerażenie! Te ostatnie kilka sekund, kiedy samochód spadał...

Callum ściska moją dłoń.

– Jest coś jeszcze – dodaje.

Czy wytrzymam coś jeszcze?

Sięga do kieszeni kurtki. Trochę to trwa, zanim rozpoznaję przedmiot, który wyciągnął, a wtedy robi mi się niedobrze. Przełykam coś ohydneho i wyciągam rękę. Callum chwilę się waha.

– To samo pomyślałem, kiedy go zobaczyłem – mówi cicho. – Był na pokładzie, zaplątał się w jakieś żelastwo. Od razu go rozpoznałem, ale nie sądzę, że to ten sam. Bo jak to możliwe?

Trzymam pluszowego królika, z długimi uszami, szklanymi oczami, w niebieskiej kurteczce. Kolory wypłówiały, skurczył się od morskiej wody, ale poznałabym go wszędzie. Królik Benny.

Ulubiona maskotka Kita. Kiedy Kit i Michael byli maleńcy, ja i Rachel kupiłyśmy identyczne pluszowe króliki dla naszych najmłodszych synków. Kit uwielbiał swojego pluszaka. Musiałam mu wyciągać zabawkę z zaciśniętych rączek, kiedy spał, żeby ją wyprać. Miał Benny'ego ze sobą w samochodzie w dniu, gdy zginął. Od tamtej pory królika nie widziałam.

– Sporo takich sprzedawali w sklepach na wyspach przed kilku laty, prawda? – pyta Callum, a ja nie mogę oderwać oczu od zabawki. – Prawdopodobnie to nie Kita. Na tę plażę często przychodzą poszukiwacze rzeczy, które wyrzuciła woda. Wraz z przypływem na brzegu lądują najróżniejsze przedmioty. Nie sądzę, żeby ten królik należał do twojego syna.

Znów kiwam głową.

– Zobaczyłem zwłoki Jimmy'ego. Wracalem do ciebie i wtedy zauważyłem tego pluszaka. – Myślę, że Callum nie przestaje gadać, bo się boi, że coś mogę zrobić. – Wydaje mi się, że to raczej maskotka wywołała atak wspomnień, nie ciało. Potem pamiętam już tylko, że zderzyłaś mnie w głowę.

– Bardzo bolało? – Odrywam wzrok od królika, żeby spojrzeć na ranę na skroni Calluma. Nie wygląda źle, ale spokojnie się założę, że czaszka mu pęka.

– No, jeszcze jak.

– I dobrze.

– A ja ci nic nie zrobiłem?

Szyję nadal mam obolałą, ale nic poważnego mi się nie stało. Co mógł mi zrobić, gdybym go nie powstrzymała, to już inna sprawa.

– Nie, nic. Ale chyba powinieneś z kimś porozmawiać.

– Już to robię.

Dłonie mu się trzęsą. Choć w kajucie, wypełnionej oparami kerozyny, jest ciepło, obojgu nam wciąż zimno.

– Dam ci aspirynę. – Wstaję.

– Ćśśś. Słyszałaś?

Prostuje się, przeciska obok mnie i wychodzi do kokpitu. Zaintrygowana – i niepewna, czy powinnam się niepokoić, czy nie – idę za nim. Stoi na rufie.

Szum wiatru i oceanu. Odgłos samotności. Odgłos odseparowania od wszystkiego. Później coś jeszcze. Coś melodyjnego, pięknego, tak smutnego, że aż serce pęka. Wielorybi śpiew.

– Muszą być blisko. – Fala dźwięków cichnie, a ja idę do sterówki po lornetkę.

Callum wolno się obraca, próbuje namierzyć źródło nocnej melodii.

– Nigdy wcześniej z czymś takim się nie spotkałem. Sądziłem, że walenie można usłyszeć tylko pod wodą.

Na chwilę śpiew ustaje, dociera do nas jedynie huk fal i wiatr dmący od wzgórz.

– To niezwykle, ale się zdarza. Istnieją opowieści o wielorybach, które porozumiewają się z ludźmi. Nawet z psami.

– Co to za gatunek?

Przystawiam palce za ucho na znak, że się wsłuchuję, i czekam, aż śpiew znowu zabrzmie. Przez moment nic – tylko odgłosy wody. Potem przeciągłe niskie warknięcie, po którym rozlega się jakby mruczenie olbrzymiego kota. Chwilę później ton zupełnie się zmienia na melodyjny, wysoki, prawie zawodzący.

– To chyba żaden z delfinowatych. – Podnoszę lornetkę i patrzę, jak sądzę, we właściwym kierunku. – Te wydają dźwięki bardziej świergotliwe, klikające. – Niczego nie widzę. Zbyt ciemno, a zwierzęta są za daleko. – To mogą być humbaki, wydają najbardziej skomplikowane odgłosy, ale nie są tu często widywane.

– Brzmiały tak, jakby były smutne.

Śpiew powtarza się rytmicznie, jest trochę podobny do ludzkiego. Świst wydechu. Oddaję lornetkę Callumowi, ale jemu też nic nie udaje się wypatrzeć. Walenie nie są w zatoce, choć gdzieś blisko. Słuchamy pięć, dziesięć minut, do chwili gdy pieśń cichnie, ustępuje miejsca szumowi wiatru i fal. Wtedy wracamy do środka. Ale nie siadamy. Coś się zmieniło. Nagle to nie martwe dziecko ani to zaginione zajmują najważniejsze miejsce w moich myślach.

– Za ile Stopford do nas dotrze?

Callum wzrusza ramionami.

– Chciałbym powiedzieć, że mniej więcej za godzinę, ale on nie zbierze się tak szybko jak my. Powinnaś trochę odpocząć.

Oboje spoglądamy na zamknięte drzwi kajuty. Doskonale wiem, o czym Callum myśli. Ja też o tym myślę.

– Słuchaj, jeśli chodzi o... przepraszam... ja po prostu... – Nie mam zielonego pojęcia, co chcę powiedzieć.

Posyła mi pierwszy uśmiech, jaki widzę na jego twarzy od bardzo dawna. Chociaż nie sądzę, żebym kiedykolwiek widziała uśmiech aż tak smutny.

– Wiem – mówi.

To dobrze, że wie, bo ja nie wiem.

Queenie dołącza do mnie na koi, ma mokrą sierść od bryzgających fal; nie skarży się, kiedy się w nią wtulam. Leżymy razem, nie śpimy, obie trzęsiemy się z zimna. Wsłuchujemy się w kroki – Callum chodzi po głównej kajucie; odgłos pompy toalety, potem cisza, Callum kładzie się, żeby odpocząć.

Wiatr się wzmaga. W tej części świata sztormy pojawiają się znikąd. Łódź zaczyna się kołysać i szamotać na kotwicy, od cypla niesie się upiorny świst. Akurat gdy odpływam w sen, znowu słyszę wieloryby. Dwa różne gatunki tym razem, jednostajna żałosna pieśń dużych zębówców i lżejsze świergotliwe nuty delfinowatych. Callum nie ma racji, myślę, próbując się całkiem nie rozbudzić. One nie brzmią smutno. Brzmią, jakby się bały.

Kiedy miałam piętnaście lat, tata i ja uratowaliśmy młodego grindwala przed utonięciem. Byliśmy na dużej łodzi o płaskim dnie, łowiliśmy ryby. Łowienie z moim ojcem oznaczało, że spuszcza się potężne sieci we wcześniej wybranych punktach. Co jakiś czas je wciągaliśmy, liczyliśmy ryby, robiliśmy im zdjęcia, pisaliśmy notatki, po czym wypuszczaliśmy wszystkie okazy. Zajmowaliśmy się tym od około godziny, gdy spostrzegliśmy duży kształt w wodzie. Szaroczarny, gładki, nieruchomy.

– Co to?

– Chyba młody grindwal. – Tata podpłynął bliżej. – Widzisz okrągłą głowę? A ta płetwa piersiowa wygląda na całkiem sporą.

– Nie żyje? – Waleń z pełną mocą udowodnił, że jednak żyje, głośno wypuszczając powietrze.

Ale coś było nie tak, nawet ja to widziałam. Grindwal ledwie się poruszał i wyglądało, że jego tył z płetwą ogonową opada.

– Muszę mu się przyjrzeć. – Tata już sięgał po rurkę do nurkowania i maskę.

Zbliżył się do grindwala wolno, nie był głupi, i przepłynął wzdłuż jego ciała w stronę ogona. Po kilku minutach wynurzył się i podpłynął do łódki.

– To samica. Zaplątała się w sieci rybackie.

Pomogłam mu wejść do łodzi.

– Są okrecone na ogonie, obu płetwach piersiowych i sięgają aż do płetwy grzbietowej. Nie może pływać, a jej tył ciąży w dół.

Spojrzałam na błyszczący ciemny kształt w wodzie. Zdawało się, że grindwal się do nas przybliża, odwrócił głowę tak, żeby nas widzieć.

– Co się z nią stanie?

Tata był zdyszany.

– W końcu zupełnie straci siły, próbując utrzymać się przy powierzchni. Opadnie i utonie.

– Tato, musimy jej jakoś pomóc. – W wieku piętnastu lat wciąż uważasz, że twój ojciec, jeśli tylko tak postanowi, potrafi zrobić wszystko.

Patrzyłam, jak się zastanawia. Zbliżanie się do wystraszonego, rannego wieloryba jest niezwykle niebezpieczne. Jeden nieprzewidziany ruch i znaleźlibyśmy się w wodzie. Ale jeśli byśmy po prostu odpłynęli, samicę grindwala czekała pewna śmierć.

Pomogliśmy jej, oczywiście. Tak naprawdę od początku było wiadomo, że spróbujemy. Gdybyśmy ją tam zostawili, wracałabym do domu, zalewając się łzami, a tata też by pewnie płakał. Przywiosłowaliśmy ku niej, a potem zabraliśmy się do żmudnego zdzierania sieci – ja na łodzi, tata w wodzie.

Sieci rybackie są grube i bardzo mocne. Mieliśmy dwa noże, ale głównie musieliśmy sieci rwać. Po półgodzinie udało nam się uwolnić płetwę grzbietową i jedną z piersiowych. Samica, gdy tylko się przekonała, że znowu może pływać, runęła do przodu z zaskakującą prędkością, a nas ciągnęła ze sobą jakieś sto metrów lub więcej, zanim znów się zmęczyła. Wtedy mogliśmy wrócić do pracy.

Po kolejnej godzinie druga płetwa była wolna; sytuacja zaczynała wyglądać o wiele lepiej. Znów przejażdżka po zatoce i grindwal uspokoił się na tyle, że mogliśmy zerwać resztę sieci z ogona. Potem leżeliśmy na dnies łódki, aż tata nabrał sił na tyle, żeby wstać i uruchomić silnik.

Grindwal nie odpłynął. Krążył jakieś pięćdziesiąt metrów od bakburty. Kiedy ruszyliśmy, podążył za nami, potem wynurzał się to z prawej, to z lewej strony. Wyskakiwał wysoko w powietrze, po czym głęboko nurkował, żeby wypłynąć gdzieś, gdzie go najmniej oczekiwaliśmy. Oglądaliśmy wyskok za wyskokiem, ogon walił w wodę, płetwy klaskały w spektakularnym pokazie wodnych akrobacji. Samica została z nami, aż dotarliśmy do portu w Stanley, gdzie tata znów wyłączył motor. Śruba przestała wirować, na wodzie zaległa cisza; po chwili zwierzę wyłoniło się tuż przy boku łodzi, tak że mogliśmy zobaczyć jego błyszczące ciemne oczy, którymi na nas zerkało. Wychyliliśmy się i pogłaskaliśmy gładką, obłą głowę. Grindwal odpłynął, jeszcze trzepnął ogonem w wodę w ostatnim radosnym salucie.

– Jak ją nazwałaś? – pytała mnie potem Rachel.

Odpowiedziałam wzruszeniem ramion. Ja i tata okropnie się męczyliśmy, żeby uratować grindwala, nie mieliśmy czasu ani siły nadawać mu imion.

– Pewnego dnia, gdy się zgubisz na oceanie i już prawie będziesz tonąć, ona się zjawi i cię uratuje – oświadczyła Rachel tym swoim kategoriycznym tonem, który ci mówił, że nie ma sensu z nią dyskutować. – Kiedy to zrobi, nazwij ją jakoś.

Ten sen obudził mnie, wraz z tym – tak jak zawsze – pojawia się miazdząca, nie do opanowania furia, jaką niezmiennie wywołuje we mnie obecność Rachel w mojej głowie. Wstaję, starając się nie obudzić Queenie. W głównej kabinie jest cicho.

Północ nadeszła i minęła. Jest środa. Tylko jeden dzień do rocznicy śmierci chłopców. Jeden dzień do chwili, gdy wszystko się zmieni.

Drzwi uchylają się niemal bezgłośnie. Trudno sobie wyobrazić, żeby Callum zasnął, bo ławka, na której się położył, jest za krótka dla niego. Nogi oparł na ścianie, ramię ma niewygodnie

przyciśnięte do boku lodówki. I jednak śpi. Głęboki oddech, twarz całkowicie zrelaksowana.

Robię nosem długi wdech, żeby się uspokoić, żeby przestać drżeć.

Callum śpi bardzo mocno, to spuścizna wojenna, musiał łapać sen, gdy tylko mógł. Kiedyś żartowaliśmy, że w dziesięć minut po tym jak padnie, nie obudziłyby go nawet podstawione pod tyłek płonące fajerwerki.

Nigdy nie będę miała okazji tego sprawdzić.

Podchodzę do niego, moje stopy nie wydają żadnego odgłosu. Już jestem spokojniejsza. Już się nie trzęsę, a jeśli nawet, to z innego powodu. Klękam przy Callumie i nachylam się tak nisko, że czuję jego oddech na twarzy. Jeszcze niżej. Wyczuwam zapach kawy, olejków na skórze, tego, czym ostatnio mył włosy. Dotykam policzkiem jego policzka, czuję kłucie zarostu, potem pozwalam, żeby moje usta musnęły jego usta.

Trwam tak przez długie sekundy, oddychając do wtóru z Callumem. Pragnę, żeby się obudził, i modłę się, żeby jednak tak się nie stało. Potem znowu to widzę, jak się uśmiecha do Rachel, i nie mogę znieść jego bliskości.

Coś kolejny raz przebudza mnie nad ranem. Podpłynęła jakaś łódź. Stukot rzucanych na pokład lin, łagodne uderzenie odbijaczy drugiej jednostki. Wydaje mi się, że słyszę swoje imię, i czekam, że ktoś przyjdzie mnie obudzić. Nikt się nie zjawia, więc znów zapadam w sen.

# DZIEŃ TRZECI

## środa, 2 listopada 1994

### 7

Po raz drugi budzę się, gdy jest jeszcze ciemno, ale kiedy wychodzę na pokład, zaczyna świtać. Zostałyśmy z Queenie same. Odgłosy, które słyszałam wcześniej, to łódź policyjna zabierająca Calluma.

Nocą nad wodą uniosła się mgła i teraz wejście do portu wypełnia gęste mleko. Mgła jest niesamowicie zwarta, wydaje się, że dałoby się po niej przejść, po tym murze bieli. Rozciągnięte między dwoma urwiskami opary wyglądają jak gigantyczna fala i przez chwilę mam wrażenie, że ona się w moją stronę przysuwa. Jest jak bariera, jak coś, co nie pozwoli mi opuścić portu, i może powinnam posłuchać, co mówi mi natura. Może ta ściana skondensowanej pary pojawiła się tu dla mojego bezpieczeństwa.

Ale robi się coraz jaśniej, chmury stają się miękkie, kremowe i ciepłe od pierwszych promieni słońca; biała ściana zaczyna się kruszyć. Po jakiejś chwili po drugiej stronie widzę punkt, gdzie ocean spotyka się z niebem. Cokolwiek tam na mnie czeka, mgła postanowiła otworzyć przede mną drogę.

Na kanale radiowym żegluga panuje duży ruch. Dowiaduję się, że przeszukania prowadzone na łodziach poprzedniego wieczoru okazały się bezowocne. Archiego Westa, małego zaginionego kibica Arsenalu, nie ma już teraz od dwóch dni. Z rozmów prowadzonych przez radio orientuję się również, co mniej więcej dzieje się na samym cyplu.

Kiedy skręcam do Port Pleasant, natychmiast widzę, że nie dostanę się nigdzie w pobliże „Endeavoura”. Są tam dwie policyjne jednostki, łódź wojskowa i zakotwiczona trochę dalej łódź nurkowa. Callum stoi na dziobie. Wszelkie odgłosy niosą się tutaj daleko i on oczywiście usłyszał, że nadpływam. Odwraca się, żeby porozmawiać z kimś na łodzi, po krótkiej chwili pojawia się Stopford. Patrzę, jak obaj schodzą do jednej z policyjnych szalup, płyną w moją stronę.

– Catrin, co wiesz o prądach na tym obszarze? – Komisarz nie marnuje czasu, gdy on i Callum są już na pokładzie. – Ludzie mi opowiadali, że woda wyrzuca tu mnóstwo rzeczy.

– To prawda. – Mówię do Stopforda, ale patrzę na Calluma. Jego zarost, osobliwa mieszanka blondu, czerwieni i brązu, wyraźnie się odznacza na podbródku i policzkach. Teraz są tam też już kępki siwizny. Twarz ma szczuplejszą niż wtedy, gdy go poznałam. A może po prostu jest zmęczony,

bo przez ostatnie dwie noce spał mało lub wcale. Jakby na potwierdzenie moich przypuszczeń, osuwa się na drewnianą ławkę z listewek, która biegnie wzdłuż bocznego pokładu. Queenie wskakuje mu na kolana. Zaczyna ją głaskać po pysku, widać, że jego ręka drży.

– Chcemy ustalić, czy chłopca ktoś tam zostawił, czy zniósł go prąd wodny i utknął na mostku. – Stopford podnosi głos, żeby przyciągnąć moją uwagę.

Sekundę zastanawiam się nad tym, co powiedział. Port Pleasant, jak wiele zatok na Falklandach, jest długi, wąski i pofałdowany. I ma wyspę na samym środku kanału. Ten skrawek lądu zbiera wszelkie pływające w morzu resztki. Nawet, jak sobie wyobrażam, te pochodzenia ludzkiego.

– Duża fala mogła go znieść na statek – odzywam się w końcu. – A potem już nietrudno sobie wyobrazić, jak na nim utknął. To Jimmy?

Twarz Stopforda się kurczy.

– Za wcześnie, żeby to stwierdzić. Zabierzemy go ze sobą. Miejmy nadzieję, że dentysta zdoła nam pomóc.

Wracam pamięcią do małej czaszki widzianej w blasku latarki, do podwójnego rzędu zębów, do widoku, który tak przeraził Calluma.

– Znaleźliście na pokładzie coś jeszcze? – Oczywiście nie mam na myśli czegoś, tylko kogoś. Ale zwyczajnie nie chcę tego powiedzieć na głos.

– Na razie nie. Ale nurkowie zostaną tu na większą część dnia. W razie potrzeby zholujemy wrak do Stanley. Będę wdzięczny, jeśli ty i Callum zatrzymacie dla siebie informację o tym, co tu znaleźliście. Do czasu, aż potwierdzimy tożsamość i porozmawiamy z rodziną chłopca.

O zwłokach na statku wie już pewnie połowa mieszkańców wysp, ale kiwam głową, Callum też. Stopford prosi, żebyśmy pozostali w kontakcie, wsiada do swojej szalupy i wraca na „Endeavoura”.

– Coś przegapiłam? – pytam.

Callum wzrusza ramionami.

– Trwa debata, czy znaleźliśmy ofiarę morderstwa, czy uwięzione szczątki tragicznego wypadku. Nie daję nagrody za odgadnięcie, w którym obozie jest Stopford.

Chwilę się zastanawiam.

– Więc co z Archiem? To znaczy chodzi mi o poszukiwania.

– Padły propozycje, żeby przeszperać pozostałe wraki. Lub przynajmniej te, których osłonięte części wystają nad wodę. To już coś. Ale trochę potrwa.

– Musimy wracać. Zmarzłeś tam na kość. Wejdz i spróbuj się ogrzać.

Z pewnym zaskoczeniem stwierdzam, że Callum się nie sprzeciwia. Kiedy kroczy do kabiny, Queenie biegnie za nim, jakby była jego psem, nie moim.

Uruchamiam silnik, podnoszę kotwicę i ruszam. Po wypłynięciu z zatoki, gdy mam pewność, że mogę włączyć autopilota, zakradam się cicho do ławki w sterówce, gdzie Callum zostawił swoją kurtkę.

Pluszowy królik jest w jednej z wewnętrznych kieszeni. Brzeg ucha, w miejscu, gdzie spruł się oryginalny szew, został przez kogoś – przeze mnie, jak sądzę – znów zaszyty. Jestem prawie pewna, że to królik Kita. Nawet nie próbuję ocenić prawdopodobieństwa tego, że trafił na „Endeavoura”, ani tego, że na statku znalazło się ciało biednego Jimmy’ego Browna, jednak królik to ostatnia dodająca otuchy rzecz, jaką widziało moje dziecko przed śmiercią. Wpycham go pod koszulę. Jest brudny, zimny i mokry, ale nie ukryłabym go nigdzie indziej, tylko na piersi.

Kiedy docieram do Stanley, floty rybackie szykują się, żeby rozpocząć dzień. Tyłem podpływam na swoje stałe miejsce i cumuję lódź. Całą drogę nie słyszałam ani jednego dźwięku z kabiny, więc nie jestem szczególnie zaskoczona, gdy widzę oboje, Queenie i Calluma, jak leżą zwinięci na głównej koi, zakopani pod kocem i głusi na cały świat. Pies otwiera oczy. Czekam, że do mnie przybiegnie, ale pozostaje wtulony w ramię Calluma.



Tuż przed zejściem z łodzi wtykam Bunny'ego do szuflady w sterówce. Chcę go mieć blisko, gdy następnym razem wypłynę z portu. Na końcu chcę go mieć przy sobie.

Jestem wyczerpana. Duchem i ciałem. Zmęczona tym, że zmusza się mnie, żebym myślała o dzieciach, które nic dla mnie nie znaczą, żebym traciła tę resztkę energii, jaka mi pozostała, na szukanie obcych chłopców, nie swoich. Nigdy nie byłam taka oziębła. Nie jestem potworem. Kiedyś, tak jak inni, przejęłabym się tym, że zniknął Archie, że znaleźliśmy zwłoki Jimmy'ego. Czasem myślę, że dawna ja odeszła na dobre.

Teraz, na ten krótki czas, jaki mi pozostał, chcę, aby pozwolono mi być samej z jedynymi dwiema istotami, na których mi jeszcze zależy. Nawet jeśli to duchy. Ale na tym etapie nie wolno mi robić nic, co ściągałoby na mnie uwagę. Muszę zachowywać się zgodnie z oczekiwaniami, jeszcze tylko przez jeden dzień.

Więc idę do biura sprawdzić, czy już wróciliśmy do normalnej działalności, czy też raczej kolejny dzień poświęcimy na poszukiwanie chłopca. Susan wygląda na przybitą.

– Dzwoniła twoja ciotka Janey. Masz do niej szybko oddzwonić. Jakies problemy na Speedwell. – Wyciąga do mnie słuchawkę, więc nie pozostaje mi nic innego, jak ją przejąć i wykręcić numer ciotki.

Speedwell to wyspa u południowych wybrzeży Falklandu Wschodniego, niedaleko George i Barren. Jej właścicielami są ciotka Janey i jej mąż, którzy od czasu do czasu tam pomieszkują. Ciotka odbiera natychmiast, czekała przy telefonie.

– Catrin? Mamy tu spory kłopot. Wieloryby na plaży. Setki.

Susan mnie obserwuje. Krzywię się na znak, że jest źle.

– Żyją? – pytam, choć szczerze mówiąc, liczę na to, że nie.

– Większość żyje. Ale ptaki już zaczynają się do nich dobierać. Catrin, to wygląda naprawdę okropnie.

Dużo trzeba, żeby ciotkę Janey coś aż tak poruszyło. Zapewniam ją, że przypłynę najszybciej, jak będę mogła, i w tym momencie pojawia się John.

– Walenie wyrzucone na południowym wybrzeżu Speedwell – informuję go. – Zdaniem Janey ponad setka. Najprawdopodobniej grindwale, sądząc po opisie.

Żaden z moich kolegów nie odpowiada od razu. To takich katastrof zawsze się obawiamy i tak naprawdę nigdy nie jesteśmy na nie przygotowani.

– Pewnie nikt nam nie pomoże. – Susan ze zmartwienia aż pobladła. – Wszyscy szukają chłopca.

Zwykle, w przypadkach większych morskich katastrof, możemy liczyć na pomoc policji i wojska. Ale ponieważ Archie wciąż się nie odnalazł, szanse, że użyczą nam ludzi, są nikłe.

– Z rana muszę iść na zebranie zarządu rybołówstwa – oznajmia John.

Zebranie było planowane od miesiący. Trzeba na nim przedyskutować kwestię sprzedaży praw do połowów na określonych akwenach. To ważne. Wyspy potrzebują przychodów. John nie może opuścić tego spotkania. Co oznacza, że ja będę dowodziła akcją. A Susan zostanie w biurze jako punkt kontaktowy.

– Ale to chyba twoja dziedzina, prawda? – Susan szuka u Johna potwierdzenia.

– Walenie to specjalność Catrin.

Kiwam głową.

– Wiem, co robić.

– Usiądę do telefonu. – John pierwszy się otrząsa. – Opiszę sytuację Stopfordowi i Wootonowi. Zobaczmy, czy nam kogoś przydzielą.

– Nadaj też informację przez radio – podpowiadam. – Ludzie powinni sami zdecydować. – Chcę

mu powiedzieć, że Archie prawie na pewno leży na dnie bagien albo zmyło go do morza, ale wciąż istnieje szansa na uratowanie wielorybów. Nie odzywam się jednak. Może przez pamięć o małym szkielecie, który tyle czasu leżał samotnie na „Endeavourze”. Tak czy inaczej tego nie mówię.

– Czego będziesz potrzebowała? – pyta mnie John.

– Przydałoby się kilka helikopterów do przewożenia dużych ładunków. Jeśli to niemożliwe, przynajmniej tylu ludzi, ilu się da. Małe łódki z dużymi silnikami, wystarczą skutery wodne, liny, nosze, wiadra i dużo szerokich płacht. Jakiesz szpadle. Mnóstwo szpadli. Wymieniłam wiadra?

Susan spisuje listę, a John idzie poszukać swojego notesu z telefonami.

– Będę mógł tam dotrzeć gdzieś wczesnym popołudniem – informuje mnie.

Następne pół godziny zbieram wszystko, co może się okazać potrzebne. Przyjeżdża Pete i pomaga. Kiedy John kończy dzwonić, omawiamy różne scenariusze. Żaden nie napawa nas niczym poza grozą. Wszyscy mamy nadzieję, że Janey przesadziła z oceną skali problemu. Nie komentuję głośno, że ciotka zwykle nie koloryzuje faktów.

Już prawie wychodzę, gdy przyjeżdża posterunkowa Skye.

– Komisarz prosił, żebym do was zajrzała – wyjaśnia. – Zrobimy, co w naszej mocy, żeby podesłać wam ludzi na Speedwell, ale przede wszystkim musimy się skupić na szukaniu małego Archiego.

– Usuńcie z terenu inwentarz i powtórzcie sondę podczerwieni – radzę jej. – Wtedy go znajdziecie.

Do jej oczu napływają łzy. Zapominam, jaka jest młoda. Zapominam, że to możliwe być tak młodym i wrażliwym, że śmierć kogoś obcego niezwykle silnie na ciebie działa.

– Pan Stopford wolałby, żebyś została tutaj – kontynuuje. – Ty i Callum. W razie gdyby musiał znowu z wami porozmawiać.

– Cały dzień będę osiągalna przez radio.

Nie podałam jej odpowiedzi, na jaką liczyła, mimo to postanawia nie ciągnąć tematu.

– Przykro mi, ale nie mogę jechać na Speedwell – przeprasza. – Szef kazał mi się zająć rodziną Archiego.

Mam ochotę powiedzieć, że nie wyobrażam sobie nikogo lepszego do tego zadania, jednak odzwyczaiłam się być życzliwa, więc tylko kiwam głową. Skye jeszcze chwilę stoi w biurze, waha się, potem kieruje do wyjścia i pocierając biodro, znika.

Pete pomaga mi spakować sprzęt i odjeżdżamy. W porcie okazuje się, że na mojej łodzi nie ma żywej duszy. Ogarnia mnie chwilowy niepokój, zostawiłam Queenie z człowiekiem, który bez cienia wątpliwości jest emocjonalnie rozchwiany. Mogłam okazywać wyrozumiałość, gdy chodziło o moje bezpieczeństwo, ale jeśli Callum skrzywdzi mi psa, to go zabiję.

Jednak już nic nie zdziałam. Nie mam teraz czasu ich szukać, a zresztą Queenie przez ostatnie trzy lata jakoś sobie radziła z emocjonalną niestabilnością swojej właścicielki. Wątpię, że zauważy różnicę.

Nie bierzemy mojej łodzi. Nie jest wystarczająco szybka. Motorówką dotrzemy na miejsce w godzinę, więc nawet jeśli ktoś już tam popłynął, to go wyprzedzimy.

– Grindwale?! – Pete musi wykrzyknąć pytanie, żebym go usłyszała ponad rykiem silnika. Właśnie opuszczamy port w Stanley.

– Prawdopodobnie. – Ustawiam motorówkę na największą prędkość. Janey, nieodrodna córka dziadka Coffina, zna się na wielorybach. Poza tym to najczęściej grindwale masowo osiadają na brzegach. – Widok nie będzie przyjemny! – odkrzykuję.

Jest to co najmniej niedopowiedzenie. Ze wszystkich morskich katastrof – wycieki ropy, wypadki zanieczyszczenia wód – uziemione stado dużych ssaków to jedna z trudniejszych i najbardziej stresujących sytuacji.

Kiedy się zbliżamy do Speedwell, mijamy łodzie płynące w tym samym kierunku. Jedna z nich wygląda na szalupę z wycieczkowca, co wcale nie jest takie fajne. Ludzie z wyspy zachowują się pragmatycznie – przyłączą się, jeśli zdołają pomóc, jeśli nie dadzą rady, zachowują stoicki spokój. Goście z zagranicy, którzy tak naprawdę nie rozumieją świata natury, to zupełnie inna historia.

– Dlaczego? – Pete porusza tylko ustami. – Dlaczego tak się dzieje?

Nie potrafię odpowiedzieć na to w kilku słowach i na migi. Zresztą nikt do końca nie zna przyczyny tego zjawiska. Mój ojciec, dla którego badanie dotyczące pojawiania się wielorybów na brzegu stały się czymś w rodzaju celu życia, twierdził, że to coś podobnego do wypadków drogowych. Powodów może być dużo, ale rezultaty są zawsze takie same. Zwierzęta mogą zderzyć się ze statkiem, zostać zaatakowane przez drapieżniki; w północnych Stanach częstą przyczyną wypływania na brzeg jest zapalenie płuc. Niewykluczone że zwierzęta cierpią na choroby wirusowe, uszkodzenia mózgu, mają pasożyty. Nierzadko są wymywane na brzeg już martwe.

Jednak w przypadku masowego wyrzucania się waleniowatych dzieje się coś innego. Silne więzi społeczne w stadzie waleni sprawiają, że jeśli jeden zachoruje lub jest ranny i wpłynie na płytsze wody, bardzo prawdopodobne, że reszta pójdzie w jego ślady. Wtedy całe stado wpada w tarapaty.

Niektórzy naukowcy uważają, że system echolokacyjny, który służy waleniowatym do nawigacji, nie potrafi sprawnie wykrywać lekko spadzistej linii brzegowej wybrzeża Falklandów. Wieloryby po prostu nie widzą brzegu, aż jest za późno.

Lobby walczące o ochronę środowiska naturalnego obarcza winą ludzi i ich nawyk pustoszenia planety; uważa się, że przez sonary wojskowe wieloryby tracą orientację, wpływają na płytsze wody i ostatecznie kończą na plażach. Istnieją jednocześnie relacje o zaduszonych na brzegach waleniach. Te opowieści pochodzą aż z czasów Arystotelesa. Według mnie rację miał ojciec. Mnóstwo różnych przyczyn, te same tragiczne rezultaty.

Pierwszego wieloryba spostrzegamy, gdy wciąż mamy jeszcze około pół kilometra do plaży. Martwy leży brzuchem do góry. Janey się nie pomyliła. To grindwal długopłetwy, błyszczący i czarny, o bulwiastym nosie. Dorosły osobnik, chyba samica, długa na jakieś cztery metry.

Już całkiem niedaleko od lądu widzimy więcej wielorybów. Niektóre dryfują na płyciźnie, łagodnie obijają się o brzeg z każdą nową falą. Większość leży na plaży w ponurym nieskładnym skupisku.

– O rany – mamrocze Pete.

W zatoce jest kilka innych łodzi, wszystkie płyną do plaży. Na brzegu doliczam się około dwudziestu osób, większość z pobliskich osad, choć widzę też kilka czerwonych kurtek pasażerów wycieczkowca. Dostrzegam jaskrawą niebieską czapkę bejsbolową – Janey zakłada ją zawsze, gdy jest poza domen, żeby ujarzmić burzę ciemnych loków.

Ciotka nie przesadziła. Zwierząt jest dobrze ponad setkę. Prawdopodobnie bliżej dwóch setek. Kipiel przy nabrzeżu czerwieni się od krwi. Niektórymi waleniami fale rzucają o skałki. A petrele nie czekają, aż wieloryby pozdychają.

Kiedy zerkam na Pete'a, wygląda, jakby miał się rozplakać. Prowadzę motorówkę do zatoki, wpływam w głąb.

– Opanuj się. – Wiem, to brzmi bezdusznie, ale będzie nam ciężko i bez ckliwości.

Pete pociąga nosem.

– Jestem opanowany.

Jakiś mężczyzna biegnie do nas brzegiem. Mitchell, mąż Janey. Pete rzuca cumę i Mitchell nas wciąga.

– Sto siedemdziesiąt sześć, liczyłem dwa razy – mówi.

Dziękuję mu skinieniem głowy. To ja musiałabym liczyć zwierzęta, więc zaoszczędził mi pracy. Cały czas na plaży zbiera się coraz więcej obserwatorów. Krążą między wielorybami. Dla niektórych

skończy się to urazami.

Biorę swoją torbę, pokazuję Pete'owi, żeby zabrał nosze, i ruszam ku plaży. Kiedy jestem blisko najliczniejszej grupy ludzi, dwa razy krótko gwizdzę gwizdkiem.

– Proszę o uwagę, panie i panowie. Podejdźcie tu i posłuchajcie.

Nie wszyscy wykonują moje polecenie. Jeszcze raz dmucham w gwizdek, krzyczę do mężczyzny, który mnie ignoruje.

– Kolego, pana też zapraszam. Pośpieszmy się, bo czas ucieka. – Mówię szybko, póki mam ich uwagę. – Nazywam się Catrin Quinn. Pracuję dla Falklandzkiego Rezerwatu Przyrody. Jestem ekspertem od waleni i kieruję tą akcją. – Nie nazywam tego akcją ratunkową. Nie chcę im dawać złudnych nadziei. – Dziękuję państwu za przybycie. A teraz: jak będziecie podchodzili do wielorybów, róbcie to powoli i spokojnie. Są bardzo zestresowane, nie chcemy jeszcze bardziej ich wystraszyć. Bądźcie ostrożni. Trzymajcie się z dala od ich ogonów i paszcz. Uważajcie, żeby się na was nie przetoczyły. Mogą wam wyrządzić dużo większą krzywdę niż wy im. Dzieciom i zwierzętom w ogóle nie wolno się do nich zbliżać. – Teraz już wszyscy mnie słuchają. – Najpierw musimy dopilnować, żeby się nie przegrzewały i żeby były mokre. Trzeba je ochronić przed słońcem. Zarzućcie prześcieradła i brezent na tyle, na ile dacie radę, i polewajcie je wodą z morza. Ci, którzy mają łopaty, niech zaczną kopać kanały, żeby woda przedostała się do waleni. Ja przejdę po plaży i zaznaczę poszczególne sztuki flagami. Czerwona oznacza te na tyle małe, że da się je przenieść do wody na noszach. Tym pokieruje mój kolega Pete. Powie wam, kiedy będziemy gotowi do podnoszenia noszy. Niebieskie flagi są dla większych okazów, te spróbujemy przewiązać linami i ściągnąć do morza łodziami. Czarne flagi umieszczę przy tych, które na razie trzeba tylko nakryć i pilnować, żeby się nie przegrzewały.

– Jak wyprowadzimy te czarne?

Patrzę na niego. Duży, w średnim wieku, przekonany o swojej ważności. W czerwonej kurtce, żeby steward ze statku łatwiej go wypatrzył, gdy nadejdzie pora na zgarnianie pasażerów na pokład. Wydaje mu się, że jest sprytny, bo mnie przyłapał.

– Mamy nadzieję, że RAF użyczy nam śmigłowca – odpowiadam.

Nie wyjaśniam, że przeniesienie wieloryba w powietrzu to czasochłonna i trudna operacja. Nawet jeśli dostaniemy helikopter i ludzi do pomocy na lądzie, szanse, że uratujemy więcej niż jednego lub dwa, są nikłe.

– Najlepsze, co teraz możecie państwo dla nich zrobić, to zadbać, żeby było im bardziej komfortowo. I starajcie się odpędzać od nich te ptaki. Dobrze, chodźmy.

– No już, słyszeliście, co kobieta powiedziała. – Głos Janey niesie się za mną po plaży. – I ustawcie się w szeregi.

Rozpoczynając od jednego końca plaży, zabieram się do oględzin wielorybów. Grindwale to drugie po orkach największe oceaniczne walenie z rodziny delfinowatych. Samce mogą urosnąć do sześciu i pół metra. Jak na ten gatunek nie są najmasywniejsze, ale i tak dość potężne. To wesołe stworzenia, lubią ścigać łodzie, ujeżdżać fale i mają zwyczaj podglądać – unoszą się pionowo w wodzie i wystawiają głowy, żeby ci się dobrze przyjrzeć. To jedno z moich najbardziej ulubionych gatunków waleni.

Po czterdziestu minutach jesteśmy gotowi, żeby zacząć podnosić mniejsze sztuki. W morzu czeka flotylla łódek, wciągnie zwierzęta na głębszą wodę.

– Musimy je przetoczyć na nosze. – Krzyczę, żeby mieć pewność, że wszyscy mnie słyszą. – Tylko ostrożnie, są duże, ale dość delikatne. Ciężar ich ciał będzie nagniał organy wewnętrzne, a to boli. Piasek w nozdrzach bardzo je podrażnia. Ale kiedy już wystartujemy, musimy działać najszybciej, jak się da.

Nikt nie wie, od czego zacząć, więc klękam przy najbliższym wielorybie i gestem przywołuję

innych, żeby do mnie dołączyli. Wsuwam ręce pod masywne ciało i w tym momencie u mojego boku pojawia się znana mi para dużych dłoni. Inni nas naśladują.

– I w górę! – wołam.

Możemy unieść walenia tylko kilka centymetrów i tylko na sekundę, ale Janey jest przy głowie grindwala, a jej przyjaciółka Katie przy ogonie, i już to wcześniej robiły, więc znają się na rzeczy. Mężczyzna obok mnie używa nam siły swoich mięśni, której tak bardzo nam potrzeba.

– I wsuwamy – nakazuje Janey; obie wciskają płachtę brezentu pod walenia.

– Dobra robota. – Odwracam się do Calluma. – Gdzie Queenie?

– W moim samochodzie na głównym lądzie. Prawdopodobnie śpi. Stopford nie jest zachwycony, że opuściłaś miejsce pobytu.

Unoszę brwi.

– Ale że ty tu przypląnąłaś, to mu nie przeszkadza?

– Jestem od niego większy.

Sześcioro z nas ustawia się po obu stronach wieloryba, schylamy się i chwytamy brezent. Callum, jako najwyższy, przechodzi na przód.

– I podnosimy – komenderuje ciotka. Wieloryb przeciągle wzdycha. Nie możemy tak stać zbyt długo. – A teraz idziemy.

Ten osobnik leżał tylko kawałek od morza. Callum rusza, a my staramy się za nim nadążyć. Małe fale ochlapują mi nogi, ale nie patrzę w dół. Nie chcę widzieć, że brodzę w rozwodnionej krwi. Wieloryb dyszy, wydaje krótkie nerwowe sapnięcia, jednak Callum jest teraz na tyle głęboko, że może go opuścić, pozwalając, aby woda przejęła część ciężaru.

– Jak tylko wyciągniemy płachtę, musimy się odsunąć – ostrzegam. – Gotowi? Wypuszczamy go.

Obniżamy zaimprovizowane nosze. Wieloryb krąży w wodzie przez sekundę. Widzę, że się szykuje, żeby się obrócić.

– Callum, zejdź mu z drogi.

Odsuwa się, grindwal robi przewrót na grzbiet, mnie uderza przy tym końcem ogona w udo. Zataczam się, ale udaje mi się ustać na nogach.

– Wracajcie na brzeg, wszyscy.

Inne grupy nas naśladują, podkładają płachty i podnoszą mniejsze sztuki. Powoli, lecz sukcesywnie wieloryby wokół nas wracają do morza.

– Jakież wieści? – pytam. – O... no wiesz.

Callum rozgląda się, sprawdza, czy nie ma nikogo w zasięgu głosu.

– Bezpośrednio nikt mi nic nie mówił. Ale plotka niesie, że wojsko zacznie dzisiaj przeszukiwać wraki. Gorzej, że rodziny Freda Harpera i Jimmy'ego Browna podobno skontaktowały się z rodziną Archiego Westa. Podobno zamierzają się zwrócić do brytyjskich gazet.

– A ja jestem przekonana, że to bardzo pomoże.

– Stopford usiłuje utrzymać całą sprawę w ciszy. Więc jemu to na pewno nie pomoże. Jest też pod naciskiem gubernatora. Władza nie chce, żeby to miejsce zyskało reputację, że niebezpiecznie tu przywozić dzieci.

Rozglądam się po otaczającym nas chaosie. W tej chwili to nie wygląda na miejsce, gdzie ktokolwiek powinien przyjeżdżać na odpoczynek.

– Ile sztuk możemy uratować? – pyta Callum.

Też się nad tym zastanawiam. Mniej niż jedna trzecia zwierząt na brzegu jest na tyle mała, że da się je podnieść. Jeśli wszyscy na plaży zostaną do końca dnia, nie będą robić przerw na jedzenie i odpoczynek, jeśli dostaniemy dodatkową pomoc od wojska, mamy szansę sprowadzić z powrotem do morza około siedemdziesięciu sztuk.

– Wsparcie. – Spoglądam w kierunku wydm i wzdycham z ulgą. Tylko jeden oddział, dwunastu

żołnierzy, ale to o niebo lepiej niż nic.

Zwracam się do rudowłosego, piegowatego sierżanta. Dziękuję mu i proszę go, żeby posłał swoich ludzi do pomocy grupom, które podnoszą wieloryby, ja zabieram się do obwiązywania jednego z większych. Jeśli uda nam się go odwrócić, skontaktuję się z RAF-em i będę błagała o użyczenie śmigłowca.

Za pomocą wojska możemy uratować nawet najcięższe sztuki, i nagle wydaje mi się to bardzo właściwe. A nawet więcej, pierwszy raz od lat mam cel. Na czymś mi zależy.

A niech to diabli, jak do tego doszło?

W niespodziewanym przyptywie energii biegnę z powrotem do brzegu. Czeka tam Callum, ale na mnie nie patrzy.

– Cat, one wracają.

## 8

Tego się właśnie obawiałam. Mimo to udaję, że nie słyszę.

– Wieloryby. – Callum patrzy na punkt w morzu, jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu. – Te uratowane. Znów płyną na mieliznę.

Podchodzę do wody. Muszę się upewnić, czy jest tak, jak mówi, chociaż nie wątpię, że nie zmyśla. Widzę trzy, nie, cztery mniejsze grindwale, które wnieśliśmy do wody, nadciągają z powrotem na plażę. Żeby znowu się na nią wyrzucić. Zauważają to też ludzie wokół mnie. Wieść się roznosi, wysiłki ratownicze ustają.

– Dlaczego to robią? Co się dzieje?

Przekonuję się w duchu, że to nie koniec świata. W tych wodach żyje spora populacja waleni. Możemy sobie pozwolić na utratę kilku setek. Takie rzeczy się zdarzają. Wszyscy patrzą na mnie.

– To te same?

– Chyba nie wyrzucą się z powrotem, co?

Właśnie tak robią. I nikt nie wie dlaczego, ale to aż nazbyt powszechne zjawisko. Albo wieloryby od początku umyślnie wpłynęły na plażę i nie zamierzają pozwolić, żeby sentymentalizm ludzi stanął na drodze ich planom, albo po prostu nie są w stanie zostawić grupy.

– Dawaj dalej – mówię do Calluma. – Wciągamy do morza następne. – Wchodzę do wody. – Hej tam, nie poddamy się.

Idą za mną ciotka Janey i jej przyjaciółka Katie, i jedna lub dwie osoby z wysp. Wychodzimy naprzeciwko wracającym zwierzętom. Janey uderza dłońmi w taflę wody. Ktoś inny krzyczy. Ciotka ucieka się do użycia słownictwa, które mnie by odstraszyło. To działa, przez chwilę. Wieloryby trzymają się na odległość, niektóre nawet zawracają, ale nie wkładają w to serca. Czają się w pobliżu lub rozglądają za inną drogą, gapią się na nas wielkimi oczyma, przepełnionymi niechęcią. W ten czy inny sposób wrócą na plażę. Pozwalam wynieść do morza jeszcze sześć sztuk, aż wreszcie ogłaszam przegraną. Nie możemy stać w wodzie bez końca, jest zbyt zimna. Teraz pozostaje nam już tylko patrzeć, co się wydarzy.

Wszystkie wracają. Płyną ku brzegowi, przepychają się między tymi już martwymi, przeciskają się

między zdychającymi. Obracają się, biją płetwami w wodę i wpychają się z powrotem na piasek.

Konsternacja wokół budzi litość. Niektóre kobiety i młodszy zaczynają płakać. Mężczyźni gwałtownie mrugają, trą pobladłe twarze. To nie fair. Ci ludzie tak bardzo się starali, zasługują na coś w zamian. Niestety natura rządzi się swoimi prawami.

– Co teraz? – pyta Callum ściszone głosem.

Podejrzewam, że wie, co będzie dalej. Kręcę głową i ruszam ku sierżantowi. Callum idzie za mną. Całą trójką oddalamy się od tłumu.

– Muszę je uśpić – informuję sierżanta. – Nieważne ile razy je wyniesiemy, będą wracały.

Rudzielec, który sam jest jeszcze prawie chłopcem, wygląda na szokowanego. Odwraca się w stronę brzegu, patrzy na szaleństwo zwierząt.

– A gdybyśmy je wyciągnęli głębiej w morze? – sugeruje Callum. – Odholowali motorówkami?

Wiedziałałam, że do tego dojdzie. Sprzeciw i propozycje rozwiązań, które nic nie dadzą, oprócz tego, że opóźnią nieuniknione i zwiększą cierpienie wielorybów.

Kręcę głową.

– Jak wieloryby po raz drugi się wyrzucają, nic już się nie da zrobić.

Pauza, podczas której próbują znaleźć inne wyjście, ale go nie znajdują.

– Jak pani chce to zrobić? – pyta sierżant. Z każdą minutą wygląda na coraz młodszego i coraz mniej pewnego siebie.

– Strzałem w głowę. Jeśli pan i pana ludzie mogliby mi asystować, to byłaby duża pomoc. Jeśli nie, prosiłabym, żebyście opróżnili plażę. Po co ludziom taki widok?

Callum przeciąga ręką po włosach.

– Catrin, naprawdę nie ma innej opcji?

Czuję, że wzbiera we mnie gniew. To i tak będzie wystarczająco trudne, tych dwóch potrzebuję po swojej stronie.

– Nie. Jeśli nic nie zrobimy, będą umierać powoli i w cierpieniu. Niektóre przez kilka dni. Ciągłe ściąganie ich w morze tylko powiększy ich ból i wyczerpie ludzi.

– Porozmawiam z komendantem. – Sierżant odchodzi w górę plaży. Przy brzegu ludzie wciąż wnoszą mniejsze wieloryby do wody, próbują wypłoszyć te wracające z pływny.

– Nie musisz... No nie wiem, mieć od kogoś jakiegoś pozwolenia? – pyta Callum.

– Kogo twoim zdaniem powinnam zapytać? Pana Boga?

– A gdzie John?

Przypuszczenie, że moja ocena sytuacji może nie być słuszna, że powinnam się skonsultować z szefem, doprowadza mnie do furii. Czy on naprawdę sądzi, że John i ja, zanim się tu zjawiłam, dokładnie nie przedyskutowaliśmy tej opcji? Że nie przeliczyliśmy i nie wypisaliśmy, ile naboju będę potrzebowała?

Sierżant wraca, wciąż z krótkofalówką w dłoni.

– Komendant nie może się zgodzić na odstrzał bez odpowiedniego pozwolenia. Dzwoni do biura gubernatora.

– Pana komendant nie ma władzy nad tą plażą ani nade mną – odwarkuję mu. – Zaczynam robić swoje.

Po tych słowach odchodzi. Wydaje mi się, że sierżant daje znak swojemu człowiekowi, żeby mnie zatrzymał, ale Callum podbiega do mnie pierwszy.

– Zaczekajcie chwilę. – Mówi bardzo cicho, niemal do mojego ucha. – Ludzie gubernatora zadzwonią do Johna, a ten cię poprze. Możesz nie potrzebować pozwolenia tego faceta, ale potrzebujesz jego pomocy.

– Najbardziej potrzebuję tego, żeby nie wchodził mi w drogę.

Chwyta mnie za ramiona, zatrzymuje siłą.

– Catrin, na tej plaży jest z pięćdziesiąt osób. Miejscowi to mniej niż połowa. Przyjezdni nie rozumieją, co robisz i dlaczego to konieczne.

Sierżant rozmawia przez krótkofalówkę. To potrwa, zajmie cenny czas, zanim jego szef dodzwoni się do gubernatora, gubernator zadzwoni do Johna, zanim padną przekonujące, uspokajające słowa. Czas, kiedy wieloryby cierpią, a ja sterczę na plaży, rozmyślając o najgorszej robocie, jaką mogę sobie wyobrazić.

– Oni nie muszą rozumieć – odpowiadam.

– Co zrobisz, jeśli postanowią bronić wieloryby? Ustawią się między nimi a tobą. Część z nich ma kamery. Nie możesz tego zrobić bez wsparcia wojskowych.

Ma rację. Nienawidzę go za to, ale ma rację.

Ciotka Janey domyśla się, że coś się święci. Razem z przyjaciółką idą do mnie plażą. Pete i Mitchell sprowadzili motorówkę i też nadchodzą. Nie jestem zupełnie pozostawiona sama sobie. To tylko takie wrażenie.

– Zaproszę wszystkich do siebie do domu – oznajmia Janey. – Możemy ich oprowadzić po farmie i po drugiej stronie wyspy. W zamrażarce mam ciasto. A Ashley zna nowe sztuczki. Teraz już naprawdę potrafi siadać i prosić.

Udaje mi się przywołać słaby uśmiech. Jej plan, jeśli się powiedzie, ściągnie gości z plaży. Nie będą patrzyli, jak zabijam sto siedemdziesiąt sześć sztuk wielorybów. Skrzywienie piasku mówi nam, że wraca sierżant. Mruży oczy przed słońcem, jego piegi wyraźnie się odznaczają na tle bladej twarzy.

– Komendant nie może wyrazić zgody, żebyśmy ja i moi ludzie wzięli udział w odstrzale – oświadcza.

Jestem zawiedziona, ale nie zaskoczona. Żaden starszy rangą oficer nie chciałby oglądać zdjęć, na których jego podwładni zabijają bezbronne zwierzęta.

– Oczyszczymy teren, żebyście mogli pracować – ciągnie rudzielec. – Pomożemy na tyle, na ile nam wolno – kończy.

Dziękuję skinieniem głowy. To lepsze niż nic.

– Jesteśmy pewni, że wystarczająco się nad tym zastanowiliśmy? – Callum przeciąga wzrokiem po plaży, po rzędach dyszących, nieszczęśliwych zwierząt.

– Z wody mieliśmy lepszy ogląd sytuacji – odzywa się Pete. – Każdy wieloryb, którego ściągnęliśmy do morza, wraca na brzeg. Niektóre zrobiły to nawet dwa razy.

Mitchell na potwierdzenie kiwa głową.

– Nic nam nie da, że przeciągniemy to o godzinę.

Wystarczy. Odwracam się do sierżanta.

– Może pan poprosić ludzi, żeby opuścili plażę? Wszyscy bardzo ciężko pracowali, ale teraz muszą to już zostawić nam.

– Pójdę z panem. – Janey bierze młodego żołnierza pod ramię i delikatnie popycha w stronę czekającego tłumu.

– Miejmy nadzieję, że to będzie takie proste – rzuca Callum, potem odchodzi za Janey i sierżantem.

Pete informuje, że idzie po broń, i wraca do motorówki. Zostaję sama.

Petrel przelatuje tak nisko, że czuję powiew powietrza we włosach. Niespodziewany łup sprawił, że ptaki są agresywniejsze niż zwykle. Wiem, że nie mogę tego odkładać, więc ruszam w stronę gromady, ludzie już usłyszeli najgorsze z ust sierżanta.

Gdy podchodzę, zaczynają na mnie krzyczeć. Niektórzy naprawdę próbują być pomocni, mają sugestie, jak uratować wieloryby, i szczerze wierzą, że nie wpadłam na takie czy inne rozwiązanie. Inni po prostu chcą się wyrzесzczеć. Ból głowy, na który wcześniej nie zwracałam uwagi, zaczyna mi rozdzierać skronie.



Podnoszę rękę.

– Przykro mi, że do tego doszło, ale to od początku była bardzo prawdopodobna wersja wydarzeń. W połowie przypadków wieloryby wyrzucają się powtórnie. Nikt nie wie, dlaczego to robią, niemniej przedłużanie akcji ratunkowej w tym momencie tylko przysporzy im więcej cierpień. Eutanazja to najbardziej humanitarne rozwiązanie. – Czekam. Moje spojrzenie wędruje od jednej zszokowanej twarzy do następnej. – Powinniście teraz państwo opuścić plażę. Jeszcze raz wszystkim dziękuję.

Gdy się odwracam, ściga mnie grad pytań i protestów. Mija mnie jakaś młoda kobieta, biegnie ku jednemu z większych wielorybów. Żołnierz rzuca się za nią sprintem i chwyta ją za ramię. Idę dalej. Kontrola nad tłumem to teraz zadanie wojska.

Wracam do Pete'a okrężną drogą, krocę między martwymi i zdychającymi zwierzętami. Tak niewiele wiemy o tych stworzeniach. Mamy bardzo mało okazji je badać – w zasadzie w grę wchodzi tylko te, głównie z gatunku delfinowatych, które trzymamy w zamknięciu. Dużo się mówi o inteligencji wielorybów i delfinów. Rozmiar ich mózgów, w wartościach bezwzględnych, jak też w odniesieniu do masy ciała, sugeruje, że powinniśmy umiejscawiać je pośród najinteligentniejszych gatunków na planecie. Te stworzenia mają zdolność rozwiązywania problemów i kreatywnego myślenia. Ich zachowanie świadczy o wspólnotowej solidarności, poczynając od długotrwałych i bardzo silnych związków partnerskich. Ale potrafią też współpracować z innymi gatunkami. Wierzy się nawet, że są samoświadome, umieją rozpoznać się w lustrze lub na nagraniu wideo. Jednak prawda jest taka, że jeszcze sporo musimy się na ich temat dowiedzieć.

Zastanawiam się, czy przeczuwają, co zamierzamy zrobić. Idę między nimi, odstraszasz petrele, od czasu do czasu zatrzymuję się, żeby nabrać wody i połączyć błyszczące nosy. Mnie się wydaje, że przeczuwają, mam wrażenie, że gdy tak krocę z powrotem po broń, przez stado przebiega dreszcz strachu.

– Zabiłaś już kiedyś jakieś zwierzę? – To Callum, który do mnie dołączył.

Chwila namysłu, potem kręcę głową. Nigdy nie polowałam, nie zabijałam dla zabawy. Byłam obecna przy usypianiu zwierząt, ale to nie ja pociągałam za spust.

– Chcesz, żebym to zrobił? – proponuje.

Znów kręcę głową. Sama muszę wykonać zadanie.

– Co mam robić?

– Bądź moją rezerwową linią obrony. Jeśli sierżant i jego ludzie nie zdołają powstrzymać tłumy, ty się tym zajmij.

Dotarliśmy do Pete'a. Ma skrzynię z zapasową amunicją. Podaje mi broń.

Uśpienie dużego ssaka strzałem nie jest ani czyste, ani szybkie, ani bezbolesne. Kula rozrywa ciało, którego kawałki rozbryzgują się na wszystkie strony. Krew tryska jak na każdym miejscu zbrodni, więc dość szybko cała jestem nią zbryzgana. Mogłabym się odsunąć, żeby do mnie nie dolatywała, ale wtedy wzrosłoby ryzyko, że spudłuję. Nawet przy celnym, czystym strzale – a tego dnia się dowiaduję, że jestem dobrym strzelcem – trochę to trwa, zanim mózg przestanie funkcjonować. Zwierzę wydaje tęskny, żałosny jęk, gdy czuje, że umiera; jęk powtarzają pozostałe osobniki. Wkrótce plażę wypełniają głosy wielorybów, które śpiewają swoją ostatnią pieśń. Pete zaczyna płakać na długo przed końcem. Ja też czuję coś mokrego pod oczami i się zastanawiam, czy to łzy, ale kiedy dotykam policzka, żeby go obetrzeć, okazuje się, że na dłoni zostaje mi smuga czerwieni. Po mojej twarzy spływa krew, to nie łzy. Rzeź nie wywołuje we mnie smutku, uzmysławiam sobie, gdy jesteśmy mniej więcej w połowie. Pomnaża tylko moją wściekłość.

Callum pozostaje niewzruszony, przechodzi od jednego umierającego stworzenia do następnego. I

cały czas mnie zasłania, choć to nie działa na słowa oskarżeń, które nieustająco brzmią mi w uszach.

Następna jest duża samica. Podchodzę do niej; nic na to nie poradzę, ale przypomina mi się grindwal, którego ja i ojciec przed tylu laty uratowaliśmy. Teraz byłby w pełni dorosłym osobnikiem w wieku rozrodczym. Ten, któremu miałabym nadać imię, gdybym się znowu na niego natknęła.

– Witaj, Rachel – szepczę na sekundę przed wykonaniem strzału w głowę samicy.

## 9

Rachel została oskarżona o zaniedbania w opiece nad dziećmi. Najwyraźniej pozostawienie dwojga rozbrykanych maluchów samych w samochodzie stojącym na szczycie urwiska na prawie piętnaście minut nie kwalifikuje się jako zabójstwo. Kiedy sprawa stanęła przed sądem – z Anglii specjalnie ściągano sędziego – Rachel spodziewała się kolejnego dziecka. Przyznała się do winy i dostała wyrok: rok więzienia w zawieszeniu z powodu zaawansowanej ciąży i dwóch małoletnich synów. Na dwa lata odebrano jej prawo jazdy. Jeśli należelibyście do grona życzliwców, prawdopodobnie stwierdzilibyście, że wyrzuty sumienia, z jakimi musi żyć, to już i tak wystarczająca kara.

Tydzień po wyroku Ben dobrze mi się przyjrzał, zrozumiał, że to, co się dzieje w mojej głowie i z moim ciałem, to coś więcej niż żałoba, i przyjął mnie do szpitala. Złapałam jakąś infekcję, prawdopodobnie wynik czteromiesięcznego całkowitego niedbania o siebie i stresu, i chociaż wyzdrowiałam, mój syn nie miał tego szczęścia. Urodził się martwy, trzy tygodnie przed czasem. Kiedy go trzymałam po raz pierwszy i ostatni, wciąż ciepłego, przysięgam, że usłyszałam wysoki ostry brzdęk, jak dźwięk pękającej struny w gitarze, i wiedziałam, że jedyna nić wiążąca mnie z życiem przestała istnieć. Widziałam siebie jako puste naczynie, wrak, który się zerwał z cumy i dryfuje w groźny przestwór otwartego morza.

To, co nastąpiło później, zdawało się całkowicie do przewidzenia. Po półtora roku Ben w przeważającej mierze pogodził się ze stratą. Był wciąż młody, miał tylko trzydzieści siedem lat i o wiele ode mnie silniejszy, ale nie potrafił sobie poradzić z żoną, która przestała funkcjonować jak człowiek. Och, oczywiście zwlekałam się codziennie do pracy, wykonywałam ją w miarę kompetentnie. Udawało mi się utrzymywać dom w akceptowalnym stanie. Robiłam zakupy i dzieliłam się z Benem obowiązkiem gotowania. Wyprowadzałam i karmiłam Queenie, i tuliłam się do niej, kiedy musiałam sobie przypomnieć, że ciała powinny być ciepłe, a serca powinny bić. Nawet kochałam się z Benem, gdy czułam, że potrzebuje fizycznej bliskości, i starałam się nie wzdragać, kiedy jego dłonie wędrowały po mnie. Ale kobiety, z którą się ożenił, już tam nie było, i ani Ben, ani ja nie wiedzieliśmy, gdzie jej szukać. Gdy mi oświadczył, że się wyprowadza, że zamieszka z młodą panią radiolog ze szpitala, nie byłam nawet w najmniejszym stopniu zaskoczona. Szczerze mówiąc, odczułam ulgę, bo już nie musiałam próbować zachowywać się przy nim normalnie. Ledwie zauważałam, że go nie ma w domu. Rzadziej sprzątałam, mniej jadłam, nie rozmawiałam z nikim poza kolegami z pracy. W dniu, w którym się dowiedziałam, że Benowi urodził się syn, płakałam tak długo i tak głośno, że Queenie uciekła z domu. Potem przybrałam maskę, że jestem ze wszystkim pogodzona, że u mnie wszystko gra.

Nikt nie schodzi z plaży. Nawet kuszeni ciastem, widokiem nowo narodzonych owieczek i

spotkaniem z pingwinem, który pokazuje cyrkowe sztuczki, ludzie nie chcą pójść za Janey na drugą stronę wyspy, a z kolei ciotka nie porzuciłaby mnie samej w obliczu takiej wrogości. Więc turyści zostają i przyglądają się, krzyczą „hańba” i robią zdjęcia, gdy przechodzę od grindwala do grindwala. „Morderczyni!”, wołają, gdy celuję i posyłam kulkę w głowę stworzenia, które jest o wiele szlachetniejsze, piękniejsze i o wiele bardziej zasługuje na miejsce na tej ziemi niż jego zabójca. Nie patrzę za siebie ani przed siebie, po prostu idę dalej, podchodzę do następnego, celuję, strzelam. Raz za razem zabijam i na długo przed zachodem słońca coraz mniej jest we mnie wątpliwości, że stałam się tym, kim mnie nazywają. Morderczynią.

Zatrzymuję się tylko raz. W połowie popołudnia, gdy wokół mnie żyje jeszcze i cierpi około trzydziestu wielorybów. Przystaję, bo jakaś grupa nowo przybyłych osób przedziera się przez kordon wojska i biegnie wprost do mnie. Jestem tak pochłonięta wypełnianiem ponurego zadania, że nie zdaję sobie sprawy z ich obecności do chwili, aż ktoś woła mnie po imieniu.

Odwracam się, po czym kilka sekund mija, zanim usuwam czarną mgłę, która rozrastała się w moim umyśle od chwili, gdy zaczęłam zabijać. Calluma przy mnie nie ma. Od czasu do czasu mnie zostawia, żeby sprawdzić, czy zwierzęta, do których strzelałam, są faktycznie martwe. Dlatego teraz jest kilka metrów dalej, kuca przy młodej samicy.

Siedem osób. Wszyscy miejscowi, chociaż nie od razu przypominam sobie ich imiona. Potem rozpoznaję Gemmę Brown. To prawdopodobnie zwłoki jej syna widziałam na „Endeavourze” kilka godzin temu.

– Co zobaczyłaś wczoraj na wraku? – pyta jakiś facet, przypuszczam, że mąż Gemmy, ojciec Jimmy’ego.

– Musicie się z tym zwrócić do Boba Stopforda. – Callum szybko do nas podchodzi. Wszyscy go ignorują.

– My tylko chcemy wiedzieć, co widzieliście. Który to był. Chyba nie prosimy o zbyt wiele. – Inny mężczyzna, podobny do pierwszego, może brat, wujek chłopca.

Nie, nie proszą o zbyt wiele, tylko jak powiedzieć tym rodzinom, że zwłoki były nierozpoznawalne? Że chłopczyk, którego kiedyś kochali, już nie istnieje.

– W co był ubrany? – Gemma, matka, jest najbardziej praktyczna.

Przypominam sobie płócienne trampki, brunatne, ze sznurówkami, kiedyś pewnie białe. Kilka moich słów potwierdziłoby jej najgorsze obawy. Albo przedłużyło agonię. Nic jej nie powiem, to by było szokująco nieodpowiedzialne.

– Przykro mi. Nie mogę wam pomóc. Musicie rozmawiać z policją. Jestem pewna, że udzielę wam odpowiedzi tak szybko, jak będą mogli.

Już się odwracam, ale ktoś chwyta mnie za ramię.

– A w ogóle, co ty tam, do diabła, robiłaś? Kto płynie do wraku w środku nocy?! – Mężczyzna, wysoki i przerażający, wydziera mi się prosto w twarz.

– Catrin, broń. – Callum odzywa się spokojnym głosem, staje obok mnie.

Rozluźniam uścisk palców i pozwalam mu odebrać sobie pistolet. Zauważają to ludzie, którzy przyszli się ze mną skonfrontować, i na ich twarze wypełzają zupełnie inne emocje. Kilka osób daje krok do tyłu.

– Wyprawa na wrak to mój pomysł. – Callum wsuwa broń za pasek spodni. – Szukaliśmy zaginionego dziecka turystów. Catrin mnie podwiozła. A teraz przepraszamy, ale jesteśmy zajęci, musicie się zwrócić do policji.

Dołączyło do nas dwóch żołnierzy.

– Sierżancie, proszę usunąć te osoby z plaży. – Callum się nie ceregieli, ale to mnie się dostaje na odchodnym od ojca Jimmy’ego.

Mężczyzna rozgląda się, patrzy na martwe zwierzęta, pokryty szkarłatem piasek, na plamy krwi na

moim ubraniu i na skórze.

– Jezus, co jest z tobą nie tak, kobieto?

Odwraca się i schodzi z plaży, reszta idzie za nim.

Pod wieczór wszystkie wieloryby są martwe. Przyjeżdżają John, Brian i funkcjonariusz policji. Zaczynamy zbierać dane. Nikt nie odważy się powiedzieć, że nawet najgorsze sytuacje mają dobre strony, niemniej informacje, jakie dzisiaj zgromadzimy, trafią do badaczy waleni na całym świecie.

Plaża w końcu powoli pustoszeje i zostają na niej tylko ludzie z rezerwatu, wojskowi i tych kilka osób, które są tu dla mnie. Ciotka Janey przynosi kanapki – nikt nie może ich przełknąć, i gorącą kawę – tę wypijamy w mgnieniu oka. Podrzuca też ubranie na zmianę, za co jestem jej bardzo wdzięczna. Namawia mnie, żebym nie odpływała, zapewnia, że mój stary pokój zawsze na mnie czeka, ale teraz zostały mi już tylko dwadzieścia cztery godziny. Muszę być wieczorem w Stanley.

Kiedy pozostaje niewiele do zrobienia i mogą się tym zająć John, Brian i Pete, idę na sąsiednią plażę. Jest zupełnie pusta, nie ma tu żadnych żywych istot. Każdy ptak w promieniu ośmiu kilometrów urządza sobie teraz ucztę z martwych wielorybów. Rozbieram się do bielizny i wchodzę do wody. Jest tak zimna, że grozi mi zawał. Wchodzę głębiej, zanurzam się cała, zmywam krew z ciała, twarzy, włosów, jednak przez cały czas wiem, że nieważne jak długo będę żyła, nigdy nie zmyję tej krwi ze swojego umysłu.

Przez chwilę kusi mnie, żeby popłynąć w dal, aż nie będę mogła dłużej znieść zimna. Może ukołabym gniew ludzi, którzy widzieli dzisiaj, jak zabijam, jeśli w zapłacie za wieloryby poświęciłabym siebie.

## 10

Jakiś rok temu, kiedy uznałam, że nie mam po co dłużej żyć, zaczęłam się poważnie zastanawiać nad tym, żeby zakończyć życie. Rodziców i moich dzieci już nie było, mąż ode mnie odszedł, najlepsza przyjaciółka stała się kimś, o kim nie mogłam myśleć, a co dopiero się z nią widywać. Oczywiście miałam Queenie i źle się z tym czułam, że chciałam ją opuścić, ale zakładałam, że Ben ją przygarnie i że będzie jej z nim dobrze. Zaczęłam zostawiać dla niej dodatkowe jedzenie, w razie gdybym w nagłym odruchu wykorzystała odpowiedni moment i już nie wróciła do domu. Ale Queenie to mała żarłoczna bestyjka, więc musiałam przestać zostawiać zapasy, bo strasznie się utuczyła.

Pewnego niedzielnego poranka ucałowałam na pożegnanie swoją małą psinę, wysprzątałam dom i popłynęłam łodzią dokoła wybrzeża aż do Nowej Wyspy położonej na najbardziej wysuniętym na zachód krańcu Falklandów.

W ciągu wielu lat moja rodzina zakupiła sporo ziemi na Falklandach, ale Nowa Wyspa zawsze była dla nas jak dom, bo to właśnie na nią najpierw przyплыnęli moi przodkowie i to tu rozpoczęli swoją działalność związaną z połowem wielorybów. Niedaleko od nabrzeża stoi wrak statku „Isabella”, który wpakował się w tarapaty, przewożąc ładunek z macicą perłową. Dziesięciolecia później na brzegu wciąż są znajdowane fragmenty macicy, niektóre pocięte w małą kostkę, wykorzystywaną w mozaikach, niektóre przyklejone do muszli. Rachel była zauroczona tym miejscem, nadała temu zakątkowi nową nazwę: Wyspa Skarbów. W dniu swojego ślubu podarowałam

jej naszyjnik i kolczyki zrobione z macicy perłowej z „Isabelli”, a ona ze szczęścia płakała tak długo, że musiałam poprawiać jej makijaż.

Kiedy nasi starsi synowie mieli po sześć lat, dwóch młodszych tylko cztery, zabrałyśmy ich na Wyspę Skarbów. Rozпалиłyśmy ognisko, śpiewaliśmy piosenki, obserwowaliśmy, jak na plaży harczą pingwiny, a ciemnobrewa albatrosy siedzą w swoich gniazdach okrągłych jak ciastka z dziurką. Wystarczyło zaledwie półtorej godziny pobytu na plaży, a znaleźliśmy aż dwadzieścia kawałków macicy perłowej. Myślę, że to był jeden z najszcześniejszych okresów w moim życiu.

Jeśli jakiegokolwiek miejsce mogło mi wrócić to, co utraciłam, ułatwić rozstanie z pustym życiem, to byłaby właśnie Nowa Wyspa.

Więc tamtego niedzielnego poranka postanowiłam wszystko zakończyć, nie trudziłam się i nie włożyłam skafandra. Uznałam, że zimna woda przyspieszy moje odejście. Założyłam butlę z zapasem powietrza tylko na dziesięć minut i zesłam pod wodę. Zanurkowałam ukośnie, żeby się znaleźć jak najdalej od łodzi. Gdy dotarłam do dna oceanu, w butli zostało mi tlenu co najwyżej na pięć minut. Znajdowałam się na głębokości prawie trzydziestu metrów, widoczność była słaba. Pomyślałam o swoich synach i pozwoliłam, żeby obmyła mnie fala bólu. Pomyślałam, że być może się z nimi spotkam, choć nigdy tak naprawdę nie wierzyłam w życie po śmierci. Usłyszałam chrapliwe syczenie – oznaka, że kończy się tlen.

Usiadłam, przykleiłam się do piasku. Kiedy moje płuca zaczęły protestować, zdarłam z siebie butlę i wyrwałam ustnik z ust. Brzuch mi falował, jeszcze trochę, a żebra eksplodowałyby do wewnątrz. Wiedziałam, że to tylko kwestia sekund, zanim nie zdołam się oprzeć przymusowi, żeby nabrać powietrza, a gdy to się stanie, woda wleje się do środka i wtedy już utracę wszelką kontrolę nad tym, co się dzieje. I w chwili, gdy odnoszę wrażenie, że zaczyna mi ciemnieć przed oczyma, widzę, jak w dół, do oceanicznego podłoża przedziera się promień słońca. Bezpośrednio przede mną w wodzie unosi się mały opalizujący fragment czegoś, co nie jest skałką ani muszlą, choć kiedyś w niej powstało. Fragment macicy perłowej.

Rachel. Była tam ze mną, na dnie morza. Ujrzałam ją jako dwunastolatkę: rozpromienioną, zachwyconą znalezionymi połyskującymi skarbami, które woda wyrzuciła na brzeg. Ujrzałam ją zapłakaną i piękną w dniu mojego ślubu. Ujrzałam ją w komplecie sztucców: nóż, widelec, łyżka, który podarowała Nedowi na chrzciny.

Sekundy później byłam na powierzchni, w dłoni zaciskałam fragment muszli.

Oczywiście ponawiałam próby, niełatwo rezygnuję z raz obranego celu. Połknęłam całą fiolkę paracetamolu, lecz osiągnęłam tylko to, że się strasznie pochorowałam. Wzięłam ze sobą do łazienki ostry nóż i po kilku próbach podcięcia sobie żył, w co jednak nie wkładałam całego serca, rzuciłam nożem w lustro. Czytałam wszystko, co tylko wpadło mi w ręce, o psychologii samobójstwa. Próbowałam zrozumieć, czego mi brakuje. W końcu to do mnie dotarło. Nie mogłam sobie odebrać życia, bo byłam zbyt wściekła. Co innego, gdybym najpierw zabiła Rachel.

Stoję tu, w morzu, pozwalam się obmywać zimnym falom – jakby cokolwiek kiedykolwiek mogło sprawić, żebym znów poczuła się czysta – i uświadamiam sobie, że wszelkie wątpliwości mnie opuściły.

Zastanawiałam się, czy mam w sobie to coś, co pozwala zabić. Czy potrafiłabym patrzeć żywej istocie w oczy i zrobić tę jedyną nieodwracalną rzecz, która kończy życie. Spytałam i chyba dostałam odpowiedź. Nie mam problemu z zabijaniem. A nawet jestem w tym całkiem dobra.

Jest ciemno, kiedy ciotka Janey podrzuca mnie i Calluma swoją łodzią z powrotem na stały ląd. Na pożegnanie ściskam ją długo i mocno i wiem, że przez to na pewno zacznę coś podejrzewać. Ale szczęście mi dopisuje. Ciotka kładzie moją czułość na karb stresującego dnia.

Queenie wita się z Callumem i ze mną bardzo żywo, podskakuje wysoko w podekscytowaniu, lecz możliwe że reaguje tak tylko dlatego, że od wielu godzin nic nie jadła.

– Wciąż czuję zapach krwi – skarżę się, gdy ruszamy samochodem.

Callum skrępowany kuli się w sobie.

– Janey nie miała nic, co by na mnie pasowało. – Uśmiecha się. – A za duży ze mnie mięczak, żeby się umyć w morzu.

Podszedł mnie zniechęca, więc też się uśmiecham. Mamy taką głupią tradycję na wyspach, która się nazywa Zimowa Kąpiel. W dniu przesilenia zimowego, czyli tutaj w czerwcu, kilkuset szaleńców zbiera się na Surf Bay i – no cóż, nie to że wchodzi, raczej wbiega do wody, zanurza się po czubek głowy i wyskakuje na brzeg z piskiem. Dawniej Callum brał udział w kąpeli co roku. Gdy go pierwszy raz zobaczyłam w slipkach, pomyślałam, że z morza wyszedł wojownik z mitologii nordyckiej, jeden z baśniowych bohaterów, o których opowiadała Rachel. Miał wtedy dość długie włosy, mieniły się w promieniach zimowego słońca truskawkową barwą. Skóra jasna, piegowata, pokryta miękkimi złotymi włoskami. Potężny, wspaniały, taki niesamowicie męski. To było cztery lata temu, kilka tygodni przed tym, jak się oficjalnie poznaliśmy. Wtedy jeszcze byłam zupełnie inną kobietą.

Gdy samochód Rachel stoczył się z urwiska, straciłam więcej niż tylko synów.

## 11

**B**udzę się niespodziewanie, nie wiem, która godzina ani gdzie jestem. Potem sobie uświadamiam, że leżę na odchyłonym przednim siedzeniu land cruisera Calluma. Pod głową mam jego kurtkę, okrywa mnie kraciasty koc. W samochodzie śmierdzi rzezią, jakiej dokonaliśmy na plaży na Speedwell: krwią, nabrzeżem, mięsem, które zaczyna już gnić.

Queenie jest ze mną, ale nie leży zwinęta na moich udach, tuż przy brzuchu, jak ma w zwyczaju, gdy obie śpimy, tylko siedzi i nastawia uszy. Coś ją zaalarmowało, czegoś nasłuchuje, patrzy w okno. Może potrafi coś tam dojrzeć. Ja nic nie widzę. Nasze oddechy zasnuły szyby mgłą.

– Callum? – Nie spodziewam się odpowiedzi. I jej nie dostaję.

Gdy spałam, coś mi się śniło. To był zły sen, o strzelaniu i rozrywanych ciałach. O krwi i kościach eksplodujących w powietrzu. Byłam w jakimś bardzo mrocznym miejscu. Wszędzie wokół mnie ludzie krzyczeli, a ja się bardzo, bardzo bałam.

Siadam prosto, przecieram przednią szybę, potem tę od strony pasażera. Queenie przeskakuje na siedzenie kierowcy, żeby mi nie przeszkadzać, ale obserwuje mój każdy ruch.

– Gdzie on polazł?

Pies przytyka nos do szyby, potem znowu patrzy na mnie. Kładzie uszy po sobie. Też nie wie.

W stacyjce nie ma kluczyków.

Gdy wysiadam, do auta wpływa nocne powietrze wypełnione zapachem janowca, torfu i oceanu. Gwiazdy wyglądają jak krople wody w morzu, gdy odbija się w nich słońce, ale księżycy brak. Jest zbyt ciemno, żebym mogła zobaczyć coś dalej niż teren tuż za krzewami bażyny, gęstej zdrewniałej krzewinki, która porasta pobocza dróg i wygląda jak wstążka o postrzępionych brzegach.

Wyciągam małą latarkę – zawsze ją ze sobą noszę – i obchodzę samochód. Po obu stronach drogi

za krzakami ciągną się głębokie rowy, co znaczy, że jestem gdzieś między Darwin a Stanley. Świecę w dal. Nigdzie ani śladu Calluma.

Nagła eksplozja dźwięku i światła w oddali gwałtownie szarpie moje już i tak zszargane nerwy. Sztuczne ognie. Gdy barwne rozbłyski znikają z nieba, lepiej mi się przypomina mój sen. Błoto i rzeź. Ciemność i ogłuszający huk. Bitwa o Goose Green.

Na początku naszej znajomości Callum opowiedział mi dużo wojennych historii, ale tylko te mniej krwawe. Mówił o kradzieży owcy, z której żołnierze ugotowali gulasz, o piwniczce na wino w Stanley, która dostała granatem, a wtedy na ulicę polało się wino i piwo. Ani słowa o śmierci, okaleczeniach. Nie podzielił się niczym z rzeczywistego horroru wojny na Falklandach.

Więc sama to sobie sprawdziłam. Czytałam każdą relację, jaką udało mi się znaleźć. To nie od Calluma dowiedziałam się o pięciu tragicznych dniach, jakie jego regiment po wylądowaniu spędził na górze Sussex w otoczeniu ponurych wzgórz i wyjąłowionych z życia zboczy, gdy wbrew nieustającym zimowym wichurom próbowali nie zamarznąć na kość. Nic mi o tym nie opowiadał, ale ja i tak miałam informacje o nieudanych próbach okopania się na litej skale lub podmokłej ziemi, o szukaniu wszelakiego schronienia, nawet w krzewach janowca.

Wiem, co przeszedł na wzgórzach.

Podczas gdy ja nadal nie potrafię zdecydować, co zrobić, Queenie rzuca się przed siebie szosą.

– Prosiaczk, stój! – Odruchowo używam dawnego imienia, które kiedyś nadał jej Callum.

Psina wystawia nos z krzewu bażyny i spogląda w moją stronę. Potem pędzi dalej.

– Myślisz, że poszedł tędy? – Queenie to nie pies myśliwski, ale zwykle potrafiła wyczuć węchem chłopców, gdy się schowali.

Słyszę, że szczeka. Stoi nad parowem. Wspinam się na palce, ale niczego nie widzę, oprócz ciemnego torfowiska i nieskończonej czarnej pustki. Potem suczka odbiega szosą jeszcze kilka metrów przed siebie. Ruszam za nią i w tej samej chwili wybucha kolejna seria fajerwerków.

Przez cały okres, odkąd go znam, Callum ani razu mi nie opowiadał o nocnym przemarszu jego regimentu do wzgórza Goose Green, o tym, że w zimowych mrokach pokonali osiemnaście kilometrów, przedzierając się przez nieznany teren. Ze spisanych relacji dowiedziałam się, że brytyjscy spadochroniarze maszerowali w ciszy przez płaskie pustkowia, wiedząc, że wróg przewyższa ich liczebnie, że miał czas zaplanować sposób obrony i starannie się obwarować na pozycjach.

Nie zauważam wykrotu na szosie i się potykam.

Torfowisko, które spadochroniarze przeszli tamtej nocy w 1982 roku, stało się ich pułapką. Żołnierze grzęźli w błocie, skręcali kostki na kamieniach i coraz bardziej nienawidzili lądu, którego przypłynęli bronić. A musieli przemierzyć naprawdę szmat świata. Byli coraz bliżej punktu, gdzie zgodnie z ich przewidywaniami czekały oddziały wroga, i zastanawiali się, czy pierwsze strzały będą zarazem ostatnimi odgłosami, jakie usłyszą. Na zawsze.

Callum opowiadał, że po dotarciu do celu jego oddział musiał jeszcze dwukrotnie zawracać, więc gdy wreszcie przystąpili do walki, byli przemoknięci do suchej nitki i wykończeni. Mówił, że w wyniku jakiejś gigantycznej pomyłki BBC ogłosiło na cały świat, że brytyjska armia szykuje się do oswobodzenia Goose Green – tym samym zdradziła ich plany wrogowi.

Callum, już i tak nadwerężony wydarzeniami zeszłej nocy na „Endeavourze”, cały dzień spędził otoczony śmiercią. Widział, jak zabijam jedno zwierzę za drugim, usłyszał blisko dwieście wystrzałów. Przez wiele godzin musiał znosić łamiące serce agonalne zawodzenia. Słyszał ludzki płacz i oskarżycielskie okrzyki oburzenia. Teraz jest gdzieś w ciemności, na tym samym wzgórzu, na którym brał udział w straszliwej bitwie.

Kiedy go poznałam, posiadał broń. Trzymał ją w zamkniętej skrzyni na tyle land cruisera. Powinnam do niej zajrzeć.

Po drugiej stronie parowu pojawia się biały pyszczek Queenie. Ogarnięta coraz większym niepokojem zeskakuje w dół.

Callum nic nie wspominał o okopach, o rowach, które obie strony zrobiły, żeby się osłonić przed ogniem wroga. To od innych się dowiedziałam, że gdy spadochroniarze wpadli do zasieków przeciwnika, okazało się, że te są ozdobione infantylnymi przedmiotami, które przypominały o domu: dziecięcymi samochodzikami, komiksami, listami, zdjęciami. Nie napomknął ani słowem o karabinach z przyklejonymi do kolb obrazkami świętych, o dłoniach oderwanych pociskiem, zakleszczonych na spuście. Nie mówił o bezgłowych zwłokach, o twarzach z ogromnymi ziejącymi dziurami, o wciąż żywych żołnierzach, których wybuch pozbawił kończyn. O topiącym się ciele pod straszliwymi oparzeniami fosforem. Nie powiedział mi, że spuszczone bomby z napalmem.

Wszystko wyczytałam sama.

Widzę światło latarki. Dokładnie na północ od miejsca, w którym stoję. W odległości jakichś stu metrów. Idę dalej, tak jak spadochroniarze dwanaście lat temu. Queenie biegnie tuż przede mną.

Nie powinnam pozwolić Callumowi zostać dzisiaj na plaży. Nocna jazda przez pustkowie, fajerwerki, których wystrzały bardzo przypominają wystrzały z broni, tyle wystarczyłoby, żeby znalazł się na skraju wytrzymałości. To mogło wywołać kolejny atak wspomnień.

Więc teraz jestem wiele kilometrów od jakichkolwiek zabudowań, w środku nocy i gdzieś blisko krąży niestabilny emocjonalnie, wyszkolony zabójca, któremu może się wydawać, że wrócił do roku 1982, i zaraz przystąpi do walki. I który może być uzbrojony.

Mimo wszystko jakoś udaje mi się iść dalej.

Gdy spadochroniarze zbliżali się do miejsca, gdzie toczyła się bitwa, wojska wroga zaczęły ich ostrzeliwać ze wszystkich stron. Spadały na nich ładunki z moździerzy, kule karabinowe, granaty i pociski z dział przeciwpancernych, a oni uskakując i co chwila się kryjąc, parli przed siebie.

To samo robię teraz ja. Skokowo, niepostrzeżenie podchodzę bliżej i bliżej.

Już prawie przy pozycjach wroga brytyjscy żołnierze dostają załamującą wiadomość, że ich dowódca, pułkownik H. Jones, pseudonim Sunray, zginął w samobójczym ataku na okopy Argentyńczyków.

„Sunray trafiony. Powtarzam, Sunray trafiony”.

Naprawdę muszę odnaleźć Calluma.

Docieram na szczyt wzniesienia, skąd mam lepszy widok na okolicę. Widzę samochód i światła bazy powietrznej Mount Pleasant, odległej ode mnie pięć, góra sześć kilometrów. Queenie zniknęła.

Przyspieszam na tyle, na ile starcza mi odwagi. Kolejne wzniesienie i przede mną wyrasta nieduży budynek. Teraz wiem, gdzie jestem. To szopa na paszę dla zwierząt. To moja ziemia, ale ją wydzierżawiłam. Minęły lata, odkąd tu ostatnio byłam.

Zupełnie straciłam z oczu światło latarki i nie mogę się oprzeć przeczuciu, że człowiek, którą ją niósł, zniknął w szopie.

Pod koniec pierwszej potyczki, gdy Argentyńczycy wiedzieli, że zostali pobici, na potężnie ufortyfikowanym gmachu szkoły pojawiła się biała flaga. Trzech ludzi z oddziału Calluma poszło przejąć obiekt. Musiał widzieć, jak jego koledzy podchodzą do wejścia, a potem jak zapanowała konsternacja, bo ktoś otworzył ogień. Ludzie Calluma zginęli, podobnie jak wszyscy Argentyńczycy ukryci w szkole.

Zbliżyłam się do szopy, nikt do mnie nie strzela. Nie dostrzegam żadnych oznak, że ktoś siedzi w środku, ale wyraźnie czuję, że jestem obserwowana. Podchodzę na tyle blisko, żeby uchylić drzwi.

Szopa nie wygląda tak, jak ją zapamiętałam. Co prawda posadzka jest po dawnemu drewniana, żeby pasza nie wilgotniała, ale ktoś podjął elementarny wysiłek, aby przemienić to miejsce w bardziej komfortowe. Pod ścianą leży pojedynczy materac, na nim poduszka i poplamiona patchworkowa narzuta. W powietrzu unosi się smród ludzkich odchodów i rzeczywiście w jednym z rogów



dostrzegam stosik brązowych fekaliiów.

– Callum.

– Tutaj.

Odwracam się i widzę zarys jego sylwetki, ciemnej i masywnej, blokującej wejście.

– Co się dzieje? – Boję się. Nie podoba mi się, że tu jestem, uwięziona w tej cuchnącej odchodami chacie. I nie podoba mi się, że ledwie dostrzegam Calluma, a w zasadzie tylko jego olbrzymią, ciemną postać.

– Widziałem Archiego. Albo tak mi się tylko zdawało. Stał na poboczu i patrzył, jak go mijamy. Wybacz, nie sądziłem, że się obudzisz.

– Widziałeś go? – Znów się odwracam i jeszcze raz przyglądam wnętrzu szopy. – To tutaj był?

– Tak myślę. Wygląda, jakby ktoś go dokarmił. – Patrzy na torebkę po chipsach na podłodze.

Za naszych pleców do środka przeciska się Queenie i biegnie prosto do opakowania po czekoladzie.

– I poił piwem. – Callum wskazuje głową puszkę przy poduszce. – Prawie pełna. Chłopcu chyba nie podpasował smak. I dzięki Bogu, puszka lagera mogłaby poważnie zaszkodzić tak małemu dziecku. Zostaw to, Prosiaczku.

Callum wydaje się normalny. Głos ma spokojny, oddycha miarowo. A więc to nie atak wspomnień. Całe szczęście.

– Więc gdzie on się podziewa?

– Nie mam pojęcia. Nie mógł odejść daleko, ale musimy wezwać posiłki. Nie przeszukamy tego terenu sami w ciemności.

Jeszcze raz omiatam spojrzeniem pomieszczenie, po czym wychodzę za Callumem. Queenie idzie za nami niechętnie.

– Wołałem, ale myślę, że chłopiec może się bać mężczyzny. Może ty spróbujesz.

Próbuję. Wykrzykuję imię Archiego, zapewniam go, że nic mu nie grozi, że zabierzemy go do mamy i taty, ale chłopiec albo nas nie słyszy, albo nam nie ufa. Świecimy dokoła latarkami, lecz jeśli mały jest gdzieś za skałkami lub krzakami, to najwyraźniej postanowił nie opuszczać swojej kryjówki.

– Jakim cudem straciłeś go z oczu? – pytam, robię sobie przerwę od krzyczenia.

– Nie mogłem ostro zahamować, bo razem z Prosiaczkiem wyleciałybyście przez przednią szybę. Kiedy się już zatrzymałem i wysiadłem, chłopiec wbiegł między zarośla i zniknął. Wołałem, poszedłem w kierunku, w którym mi się wydawało, że uciekł, ale nie mogłem go znaleźć. Już miałem zrezygnować, gdy zobaczyłem tę szopę.

Jesteśmy teraz z powrotem na szosie, samochód stoi jakieś trzydzieści metrów przed nami.

– Przynajmniej żyje.

– Tak. Ale musimy go dzisiaj znaleźć. Co prawda widziałem go tylko przez sekundę, ale nie wyglądał najlepiej. Jak duch. Zaczekaj, Cat, to ty zostawiłaś drzwi kierowcy otwarte?

Biegnie do samochodu. Ja za nim, ale ledwie poruszam nogami. Dobiega do auta, zagląda do środka i nieruchomieje. Nie mogę dojrzeć wyrazu jego twarzy.

Przyspieszam, a tymczasem on znów się pochyla do wnętrza wozu. Serce zaczyna mi walić. Wciąż biegnę, gdy znów się prostuje. I tym razem w moją stronę spoglądają nie jedna, ale dwie pary oczu. Callum trzyma na rękach Archiego Westa.

Nie jest duchem. Nie jest martwy i nie leży na dnie bagna. Ani pod brudnym kocem w mieszkaniu jakiegoś pedofila, z szyją poznaczoną siniakami po zaciśniętych palcach. Jego zwłoki nie rozkładają się powoli na jakimś dawno porzuconym zatopionym wraku. Gdy z Callumem przeszukiwaliśmy wrzosowisko, ten sprytny chłopczyk wsiadł do naszego samochodu.

– Wgramolił się na moje siedzenie, mały cwaniak. – Callum uwalnia jedną rękę i sięga po koc. –

Jest bardzo wyziębiony. – Przekazuje mi chłopca i po raz pierwszy od trzech lat trzymam w ramionach żywe, oddychające dziecko.

## 12

Niemożliwe, żeby sam zawędrował tak daleko. – Callum wyłącza radio i zmienia bieg. – To nie było też przypadkowe porwanie. Ktoś je zaplanował. Przygotował szopę.

– No ale nie wydaje się, żeby Archiemu stała się jakaś krzywda. – Spoglądam w dół. Chłopiec siedzi mi na kolanach, milczy, drży z zimna. Przytula główkę do mojego ramienia. Oczy ma zamknięte, jednak nie sędzę, żeby spał.

Callum nie odpowiada.

– Po molestowaniu zostają ślady. A on wygląda dobrze, nie licząc kilku zadrapań i siniaków. I jest ubrany.

Callum zniża głos, tak że praktycznie z ruchu jego warg muszę się domyślać, co mówi.

– W tej szopie śmierdziało seksem.

Szok. W szopie wyczułam zapach sików i kupy chłopca, ziemistą woń torfu i chyba piwa z otwartej puszki. Nie wyczułam...

– Czy Stopford i jego ludzie mogą badać miejsca przestępstwa? – pytam. – Mają odpowiedni sprzęt?

Skręca kierownicę, żeby ominąć dziurę w asfalcie.

– Do takiej sprawy będą potrzebowali pomocy. Na pewno nie mogą sobie pozwolić na fuszerkę. To tylko kwestia czasu, zanim o tej historii zaczną się rozpisywać cała brytyjska prasa.

– A wojsko? Mają przecież swoją policję?

Kręci głową.

– Działają według zupełnie innych zasad. Raczej ściągną kogoś z Anglii.

– Ten ktoś będzie miał spory kłopot z przytrzymaniem wycieczkowca. – Wydaje mi się, że w pewnej odległości przed nami widzę światła czyjegoś samochodu. – Nie wspominając o turystach, którzy przyjechali niezależnie. Wszyscy mają jakieś własne plany.

Nie odpowiada.

– Co o tym sądzisz?

Wciąż nic. Doprowadza mnie do szału, kiedy tak robi.

– Twoim zdaniem to myślenie życzeniowe, że porywaczem mógł być ktoś z przyjezdnych?

– To nie jest zupełnie niemożliwe.

Oboje milkniemy. Światła przed nami zamieniają się w sznureczek. Pojazdy cały czas się zbliżają.

– Zastanawiam się nad powrotem do domu. – Callum wpatruje się w konwój naprzeciwko.

Przez chwilę czuję się skołowana. O jakim powrocie mówi? Po tym jak oddamy Archiego?

– To znaczy do Szkocji – dodaje. – Na zawsze.

Jedziemy dalej. Nie odrywa rąk od kierownicy ani oczu od drogi.

– Szkocja nie różni się specjalnie od Falklandów. Przynajmniej nie na wybrzeżu. Taka sama paskudna pogoda. Mnóstwo jazgotliwego ptactwa. Wszyscy wścibiają nos w cudze sprawy.

Terenówka zatrzymuje się nagle. Rozglądam się, szukam wyrwy w szosie, martwej owcy, psa. Nic,

czysto. Callum się do mnie odwraca. Ja patrzę przed siebie, na swoje odbicie w przedniej szybie, serce mi wali jak młotem, niemal kołyszże samochodem.

– Jedź ze mną.

Mam wrażenie, jakby minęły godziny, zanim z Queenie docieramy do domu. Ledwie się trzymam na nogach, rozbieram się, potem obie zwijamy się pod kołdrą. Chociaż jestem strasznie zmęczona, sen długo nie nadchodzi.

Gdy stawałam się coraz starsza, rozmyślałam nad tym, że gdy coraz szerzej zarzucamy sieć naszej miłości, to czyni nas silniejszymi i słabszymi zarazem. Kiedy byłam bardzo mała, trzy osoby składały się na mój świat: mama, tata i ja. Gdy miałam osiem lat, dołączyła Rachel i moje małe trio zyskało dodatkowy głos, hałaśliwy i podekscytowany. Gdy straciłam oboje rodziców, o wiele za wcześnie, ale to się zdarza, Rachel i Ben podtrzymywali mnie i nie dali upaść. Przez kilka lat znów tworzyliśmy trio, a potem zarzuciliśmy srebrną żyłkę i wyłowiliśmy chłopców. Najpierw Neda, potem Christophera, Kita i Michaela, czworo rozczochranych, silnych, głośnych, śmierzących, pyskanych dzieci, wspaniałych, radosnych małych ludzi, którzy byli sobie bliscy jak wilczki w stadzie. Wylizywali sobie nawzajem rany, gdy zaszła potrzeba. Później ja zaszłam w ciążę po raz trzeci i Rachel powiedziała mi, że ona też się znowu stara. Czwórka miała się stać szóstką, i wiedziałyśmy, po prostu wiedziałyśmy, że po raz kolejny to będzie dwóch chłopców. Niektóre kobiety rodzą się po to, żeby sprowadzać wojowników na ten świat, i to była nasza rola. Przez kilka krótkich lat wydawało się, że kosmos nie jest wystarczająco wielki, żeby pomieścić całą miłość, jaką mam w sercu.

I jeszcze był Callum.

Śpię godzinę i śni mi się mord z plaży. Potem siadam w ogródku owinięta kołdrą, z Queenie na kolanach, pośród mojej prywatnej kolekcji martwych wielorybów. Gdy wstaje słońce i unosi się coraz wyżej, czuję się tak, jakby powoli pochłaniała mnie śmierć, i to mi się wydaje całkowicie słuszne.

„Jedź ze mną”, zaproponował Callum zeszłej nocy, kilka minut przed tym, jak oddaliśmy małego Archiego jego zapłakanim rodzicom. „Szkocja nie różni się specjalnie od Falklandów. Przynajmniej nie na wybrzeżu. Taka sama paskudna pogoda. Mnóstwo jazgotliwego ptactwa. Wszyscy wścibiają nos w cudze sprawy”.

Jakby na zawołanie tuż przede mną przelatuje ptak. To albatros, duży i silny, nawet tutaj rzadko się widuje, jak szybują nad lądem. Z jego powodu nagle znowu myślę o ulubionym poemacie Rachel.

*Rymy o sędziwym marynarzu* opowiadają o człowieku, który odbywa długą podróż na południe. W akcie bezmyślnej przemocy strzela do albatrosa i go zabija. Przez całą resztę utworu martwy ptak zawieszony u szyi marynarza symbolizuje jego wyrzuty sumienia i smutek.

Czasami sobie myślę, że wszyscy nosimy na szyi martwego albatrosa.

Ten w górze, jak najbardziej żywy, znajduje prąd powietrzny i unosi się wyżej, potem zawraca i odlatuje nad ocean. Patrzę za nim do chwili, aż staje się punkcikiem, i nie mogę go odróżnić pośród chmur.

Przykro mi, mój ukochany, już za późno. Dzisiaj odejdę i nigdy nie wrócę. Ale to nie ciebie ze sobą zabiorę. To będzie Rachel.

# DZIEŃ CZWARTY

## czwartek, 3 listopada, 15.45

### 13

Już czas. Artykuł z pierwszej strony „Daily Mirror” – sensacyjny, przepojony ignorancją nonsens z dołączonym nedorzecznym zdjęciem ze mną na plaży na Speedwell – daje pretekst, którego mi trzeba. Nikt nie próbuje mnie zatrzymać, gdy mówię, że jadę do domu. Zakładają, że jestem przygnębiona, że potrzebuję побыć sama.

Chyba nigdy nie czułam takiego spokoju.

Jednak przez zamęt w biurze pojawił się duży problem. Nie miałam czasu zadzwonić. Muszę improwizować. Wychodzę na zewnątrz, a tam wita mnie dziwaczny półmrok, jakby Ziemię ogarnął cień czegoś złowieszczonego. Przez chwilę odczuwam strach. Potem przypominam sobie o zaćmieniu. Gdybym teraz spojrzęła w górę, tak jak to robią ludzie dokoła mnie, zobaczyłabym, że Księżyc sukcesywnie pochłania światło Słońca.

Nie jestem przesądna, ale to zjawisko wydaje mi się całkowicie adekwatne do sytuacji.

Odjeżdżając, włączam światła. Domy, sklepy, biura w Stanley przesuwają się za szybą. Droga zakręca, prowadzi pod górę. Opuszczam miasto.

Ktoś mnie próbuje zatrzymać. Widzę sylwetkę, oczy, które znam, ale już za późno. Za późno, żeby się zatrzymać, porozmawiać, zachować normalnie. Nie jestem normalna. Jestem zabójczynią. Potworem. Za sprawą zdjęcia na tytułowej stronie ogólnokrajowej brytyjskiej gazety cały świat wie, czym jestem.

Nawet w połowie mnie nie znają. Nie mają pieprzonego pojęcia o niczym.

Jadę szybciej, niż powinnam, biorąc pod uwagę złą widoczność, ale na tej drodze nigdy nie ma ruchu. Biorę zakręt i widzę pobielany dom z niebieskim dachem. Dom Rachel.

Ktoś stoi na drodze. Dziecko. Przez sekundę myślę, że to Archie West, że znowu wychynął z zarośli, a fakt, że się pojawił, oznacza ostatnią fazę mojego obłądzenia. Potem jednak trochę rozjaśnia mi się w głowie i rozpoznaję, że to nie Archie. Ani żaden z moich chłopców. To dziecko jest chudsze od Westa, chyba trochę niższe, ma jaśniejsze włosy i intensywniejszy kolor niebieskich oczu, ogólnie wydaje się bardziej materialne niż eteryczne wytwory zaburzonego umysłu, które mnie nawiedzają przez ostatnie trzy lata.

Dziecko jest podobne do Rachel. To Peter Grimwood, jej najmłodszy syn. O taką szansę nie przyszłoby mi do głowy prosić nawet w najmroczniejszych modlitwach.

Uciekaj, Peter. Odwróć się i uciekaj.

Stoi na środku drogi i wpatruje się we mnie, gdy pędzę w jego stronę. Zamarł w miejscu. Nie boi się. Patrzy.

O ile łatwiej byłoby zabrać dziecko zamiast dorosłego. O ile bardziej niszczące byłoby to dla Rachel, gdyby straciła syna, a nie życie. Zemsta doskonała.

Mocno wciskam stopę w hamulec, samochód staje. Pół metra przed Peterem. Niemożliwe, żeby był tu sam.

Ale jest sam. Na podjeździe widzę auto Rachel, jednak po niej samej ani śladu, ani po dwóch starszych chłopcach, którzy o tej porze powinni już wrócić ze szkoły. Opuszczam szybę i nasłuchuję.

Nic oprócz skrzeku wydrzyków i głębokiego pomruku oceanu. I chaotycznego łomotania dwóch serc.

Uciekaj, Peter. Zapomnij, co ci mówiono. Potwory istnieją i jeden z nich właśnie po ciebie idzie.

Nie wyłączając silnika, wysiadam. Oczekuję, jestem przekonana, że chłopiec zrobi w tył zwrot i zwieje, zniknie z powrotem w bezpiecznych granicach przydomowego ogrodu. Nic z tego, nadal tam stoi i patrzy. Przez sekundę zastanawiam się, czy tak się wystraszył widoku znikającego słońca, nagłej ciemności w środku dnia, ale nie. To na mnie patrzy. Nigdy w życiu mnie nie widział, jednak w tych fiołkowych oczach mieni się błysk rozpoznania. A może nabyłam zdolność hipnotyzowania. Tak jak to potrafią węże.

Masz ostatnią szansę, Peter. Otrząśnij się z zaklęcia. Jestem krok od niego. Na wyciągnięcie ręki. W odległości jednego strzału.

Zaklęcie nie pryska. Peter się nie rusza. Więc to robię.

# CZĘŚĆ II

## Callum

– Zastrzel go! Kurwa, zastrzel.

– Ty go zastrzel!

*Nadzieja niknie w oczach chłopaka. Nikt nie potrafi się zdobyć na to, żeby zabić wystraszone dziecko. Pojedyncza kula. Ostre szarpnięcie bagnetu. Dzieciak przewraca się w błoto. Moja kula. Mój bagnet. Czasami człowiek musi wziąć na siebie odpowiedzialność.*

# DZIEŃ CZWARTY

## czwartek, 3 listopada, 10.30

### 14

Przyjeżdżam do Stanley późnym rankiem i wpadam na śniadanie do małej knajpy Bob-Cat. To długi, wąski, jednopiętrowy budynek; jaskrawopomarańczowy blaszany dach i stoły z blatami tego samego koloru. Obrazki na ścianach to wyblakłe, oprawione w tanie ramki zdjęcia portu. W zasadzie wiszą tu bez sensu, bo z knajpki rozciąga się jeden z najlepszych widoków na port w Stanley.

W moich rodzinnych stronach służby sanitarne kazałyby taki przybytek zamknąć. Ściany są upstrzone plamami tłuszczu, a klosze zdechłymi muchami. I byłbyś odważniejszy ode mnie, gdybyś się zdecydował skorzystać z toalety na tyłach. Ale jak regularnie podkreśla Bob-Cat, nikt jeszcze nigdy nie umarł od serwowanego tu jedzenia.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka. W powietrzu unosi się znajomy swąd spalonego tłuszczu. Przy stoliku pod oknem siedzi kilku turystów, a przy jednym końcu baru kolesie z łodzi rybackich. Grupa miejscowych robotników przeciąga przerwę na papierosa, jak może. Tradycyjna poranna przerwa „na papieroska” oznacza herbatę, papieros i ciastko. To zmora większości pracodawców.

– Coś taki uchachany? – Roberta Catton, znana również jako Bob-Cat, zdrapuje bekon z grilla i wrzuca go na bułkę. Dodaje jajko sadzone i polewa brązowym sosem, formując literę „C” jak Callum. Zwykła mawiać, że to drobne rzeczy czynią różnicę. Bob-Cat od dawna podaje mi śniadania. Nie musi już dopytywać, co zamawiam. Wie również, że nie zawsze odpowiem na jej durne pytania.

– Kawa trochę już stoi. – Nachyla się nad barem. – Zaparzę ci świeżej.

Od kiedy tu przychodzę, czyli od ponad dziesięciu lat, nigdy nie słyszałem, żeby Bob-Cat proponowała komuś, że zaparzy mu świeżej kawy. Goście muszą pić, co jest w dzbanku, aż do fusów, a jeśli ktoś ma odwagę się poskarżyć, to usłyszy, że zapewne ma w domu czajnik i puszkę rozpuszczalnej.

Ja się nie skarżę. Wolę nie kusić losu. Zresztą kawa Bob-Cat nie jest zła, oczywiście ta świeża.

– Będiesz miał dzisiaj sporo do opowiadania – mamrocze kobieta.

Talerz, który mi podała, nie jest obtłuczony, i otarła go z tłuszczu. I jeszcze dorzuciła serwetkę, mały skrawek oddarty z rolki papieru kuchennego, ale to i tak więcej starań z jej strony niż zwykle. Czegoś ode mnie chce. Nietrudno zgadnąć czego.

– A co z dyskrecją między lekarzem a pacjentem? – Mówię to tylko dla zasady, bo wiem, że tu nie ma najmniejszych szans, żeby utrzymać cokolwiek w tajemnicy.

Raz na dwa tygodnie przez ostatnie trzy lata chodzę na godzinne sesje z terapeutką. Tydzień po pierwszej wizycie całe wyspy wiedziały, że widuję się z miejscowym psychologiem (oprócz Catrin, jak się dowiedziałem we wtorkową noc). Wszyscy podeszli do tego bardzo pozytywnie. Podczas gdy imigrantów nazywa się tu na trzy sposoby: najemnicy, misjonarze albo niedojdy – byli żołnierze mają u miejscowych taryfę ulgową.

Nigdy nie pytałem, którym typem imigranta jestem. Nigdy nie musiałem.

– Nie ma żadnej niedyskrecji w przekazaniu informacji, że ci chłopcy się znaleźli. Jeden żywy, drugi martwy, niech Pan ma nas w swojej opiece. – Bob-Cat sprawia wrażenie urażonej.

Jak na takie pyskate babsko jest strasznie drażliwa, łatwiej wzburzyć ją samą niż jej włosy, które teraz sterczą. Dziesięć centymetrów kruczonych drucianych pasm, zmieszanych z siwymi patykami – wszystkie sterczą w górę na czubku głowy i wyczyniają jakieś dziwaczne rzeczy po bokach. Bob-Cat to jedna z tych miejscowych kobiet, które nie mają ani czasu, ani cierpliwości na cackanie się ze sobą, żeby wyglądać bardziej kobieco. Prowadzenie knajpki to jej drugie zajęcie. Raz nazwałem to hobby, a ona o mało mnie nie pogryzła.

Patrzę, jak się odwraca, żeby coś zrobić przy ekspresie. Maszyna zaczyna syczeć, a mnie przemyka przez myśl, że Bob-Cat zaraz zdzieli ekspres pięścią.

Jej pierwsze zajęcie to prowadzenie farmy. Ona i jej mąż mają nieduże obejście za Stanley, z kilkoma owcami, świniami i małą armią drobiu. Dłonie Bob-Cat są w jasnobrązowych plamach od kopania torfu na opał, pod paznokciami niezmiennie widać czarne podkówki ziemi. Jest ogorzała i pomarszczona, ale poza tym trzyma się bardzo dobrze. Może być w każdym wieku między czterdziestką a sześćdziesiątką. Nie jest chucherkiem, ma trochę ciała, ale nikt – przynajmniej żaden facet – nie nazwałbym jej grubą. Widziałem ją, jak się siłowała na rękę z niezłymi osiłkami i dawała radę. Prawie każdego wieczoru bywa w Globe.

– W nocy mnóstwo ludzi gadało o tym przez radio. – Wciąż mówi o chłopcach, o Archiem i Jimmym, krzyczy przez ramię, nadal się siłując z ekspresem.

Wokół nas rozmowy cichną. Oczywiście wszyscy już wszystko wiedzą, ale chcą usłyszeć jeszcze raz, z pierwszej ręki.

Przyzwyczałem się do tego już lata temu, do tego bezwstydnego wścibstwa.

Kiedy żyjesz setki kilometrów od reszty świata, kiedy wieści z zewnątrz dociera zawsze zbyt mało i są opóźnione, wtedy świat, który zamieszkujesz, jakkolwiek mały i rzadko zaludniony, nabiera ogromnego znaczenia. Na Falklandach wszyscy wiedzą o cudzych sprawach.

Bob-Cat nalewa kawę i stawia ją przede mną.

– Uważaj z kubkiem – ostrzega. – W tym tygodniu dużo się potłukło.

Dwa dni temu upuściłem jeden z jej kubków i zwróciłem za niego z nadwyżką. Nie mam zamiaru znowu przeproszać. Z drugiej strony kawa, którą mi podała, pachnie jak rozwiązanie wszelkich moich problemów w tej chwili, a mam jeszcze pięć minut do trzydziestosekundowego spaceru. Mogę sobie pozwolić na szczodrość.

– To cholerne CB-radio to czasem wrzód na tyłku. – Głęboko wgryzam się w bułkę, znów myślę, że Bóg istnieje i że lubi zjeść smaczne śniadanie.

Ludzie poszliby na wojnę za bekon Bob-Cat. Jest napęczniały jak krótko smażony stek, soczysty jak młody kurczak i w smaku doskonale wyważony pod względem słodkości i słoności. Kobieta sprowadza miód z Ameryki Południowej i sama pekluje mięso. Sól pochodzi z morza. Wynik: ile razy jem jej bekon, mam uczucie, że to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek wkładałem do ust. Może dwanaście lat temu Argentyńczycy wyczuli jego zapach.

Bob-Cat czeka, że powiem coś więcej. Każdy czeka.

– Przychody Globe musiały mocno ucierpieć – rzucam, gdy już przełknąłem szybciej, niżbym chciał. – Na spotkanie z nami wyjechali chyba wszyscy. Korek zrobił się na co najmniej dwa



kilometry.

Będę rozmawiał tylko o Archie, postanawiam. Ta historia dobrze się kończy. Rodzina Jimmy'ego nie zasługuje, żeby o niej plotkowano.

– Mówiłam im. – Bob-Cat kręci głową w stylu „mówiłam, ale nikt nie chciał słuchać”. – Powiedziałam, że powinni zostać tam, gdzie są, żeby szosa była przejezdna dla policji i karetki, ale czy oni mnie posłuchali?

Jestem prawie pewien, że wczoraj w nocy mijałem land rovera Bob-Cat, który stał w korku, jednak nie zamierzam się sprzeczać. Do wyjścia pozostało mi mniej niż trzy minuty, a nie ma mowy, żebym zostawił chociaż okruszek ze śniadania.

Gdy wczoraj byliśmy już w samochodzie – Archie otulony kocem na kolanach Catrin, czym Prosiaczek wkurzył się – zastanawialiśmy się, czy nadać informację przez radio. No, ja się zastanawiałem – na głos – dyskutowałem sam ze sobą. Catrin słuchała, oczy szeroko otwarte, usta zaciśnięte. Kiedy uznałem, że jak najszybsze uwolnienie rodziców od ich rozpaczki jest ważniejsze niż obawa, że na spotkanie wyjedzie nam połowa mieszkańców Stanley, kiwnęła głową na zgodę. Więc połączyłem się z Bobem Stopfordem na częstotliwości, która niby jest zastrzeżona. Usłyszeliśmy, że wiadomość została nadana w mniej niż piętnaście minut później.

– Coś mi się zdaje, że podjąłem złą decyzję – oznajmiłem, gdy na horyzoncie pojawiły się światła komitetu powitalnego.

Gdy napotkasz jeden pojazd na Darwin Road, to wymijasz go bez większego problemu. Jak masz przejechać obok kilkudziesięciu, to już zupełnie inna para kaloszy, biorąc pod uwagę głębokość rowów na poboczach. A jednak trzeba było jakoś przekazać tego milczącego, drżącego chłopca rodzicom, wsadzić go do karetki, która potem musiała wymanewrować i ominąć korowód innych pojazdów, żeby dotrzeć do szpitala.

– Nieprawda. – Wreszcie coś powiedziała. – Jego rodzice wiedzą, że jest bezpieczny. Wiedzą to już od godziny. Nie masz pojęcia, co to dla nich znaczy.

– Nawet jeśli zacnie świtać, zanim go będą mogli zobaczyć?

Wpatrywała się w sznur świateł. Zbliżały się do nas zygzakiem, jak gigantyczny wąż z powieści science fiction.

– Nie pozwolą, żeby przeszkodził im korek na drodze. – Jej dłonie były białe, tak mocno zaciskała palce.

Kiedy na nie patrzyłam, zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie trzymała dziecko w ramionach po raz pierwszy od śmierci własnych synów.

– Cóż, przynajmniej już po wszystkim – mówi Bob-Cat. – I dzieciakowi nic się nie stało.

Ta informacja sprowadza mnie z powrotem do teraźniejszości. Zamierzałem wpaść później do szpitala i dowiedzieć się o stan małego Archiego.

– Wiadomo, jak dzieciak się czuje?

Bob-Cat kiwa głową w stronę jednego z robotników.

– Szwagierka Rona pracuje w szpitalu. Stan chłopaka jest stabilny. – Czeka, żeby Ron potwierdził. Mężczyzna wolno przytakuje i wyjmuje papierosa z ust, trzyma go między kciukiem a palcem wskazującym.

– Był bardzo odwodniony – ciągnie Bob-Cat, zanim Ron zdąży otworzyć usta. – Prawdopodobnie nabawił się zapalenia płuc, ale podali mu antybiotyki i mają nadzieję, że wydobrzeje. Żadnych poważnych obrażeń. Tylko kilka zadrapań i siniaków. – Nachyla się nad barem. W jej oddechu czuć woń papierosów, kawy i zwiertzałego alkoholu. – Nie ma śladów, że był molestowany, ale to nie zawsze da się stwierdzić, no nie?

– No chyba raczej się da. Zwłaszcza jeśli doszło do penetracji.

Jej oczy się zwężają. Bob-Cat potrafi od przyjacielskości do nienawistnej wrogości przejść w

mgnieniu oka.

– Kto się nim zajmuje?

Sprośny uśmieszek.

– Ben Quinn. Mąż Catrin.

Wiem, że chce, żebym ją poprawił, powiedział „były mąż”, więc tego nie robię. Mimo to postanawiam się nie trudzić i nie zaglądać do szpitala. Jeśli Bob-Cat ma rację co do stanu malca, to nie można było sobie wyobrazić lepszego zakończenia całej historii.

Dziękuję za śniadanie, dopijam kawę, pamiętam, żeby zapłacić – jakby Bob-Cat inaczej mnie wypuściła – i wychodzę na wietrzną ulicę.

Mam do przejścia tylko kilka uliczek, a ja zawsze lubiłem spacerować po Stanley. Większość domów jest zbudowana z czegoś, co miejscowi nazywają blachą falistą. Wygląda to jak pionowe drewniane panele, a kiedy mocno wieje, skrzypi, gwizdże i wydaje odgłosy jak gromada rżących starszych pań w sali do gry w bingo. Prawie wszystkie są pomalowane na jaskrawe kolory, co moim zdaniem ma bardziej związek z krnąbrnością niż z dobrym smakiem, jakby porządny sztorm nie mógł połowy tych domów zmieść do oceanu.

Gdy się zbliżam do budynku podstawówki, z bramy wychodzi posterunkowa Skye. Na mój widok lekko się wzdraga z zaskoczenia, a jej wzrok pikuje ku chodnikowi.

– Dzień dobry. – Zatrzymuję się przed nią. Z rana zgodziłem się również na to, że zajrzę na posterunek.

– Callum. Cześć. – Ściąga czapkę i zaczyna nią uderzać o udo jak tamburynem. – Jak się czujesz? To znaczy, doszedłeś do siebie po przygodach zeszłej nocy?

– Tak. Podobno Archie też ma się w miarę dobrze. Nie znaleźli żadnych obrażeń, tak gadają ludzie. Jej zakłopotana twarz mówi mi wszystko, co potrzebuję wiedzieć.

– Opowiadają, że nic mu się nie stało, nikt go nie skrzywdził, Skye. Jeśli to nieprawda, nie robisz nikomu żadnej przysługi, że to ukrywasz.

Ogląda się przez ramię. Potem patrzy ponad moim w dół wzniesienia.

– Nikt niczego nie ukrywa. Z tego, co nam wiadomo, Archie nie doznał żadnych obrażeń. Poza tym, że był wyziębiony i głodny, czuje się dobrze.

– Więc w czym problem?

Znowu się rozgląda.

– Mówi, że porwał go jakiś mężczyzna. Ale tak naprawdę to bez sensu. Po co ktoś miałby go porywać i nic mu nie zrobić? – Wzrusza ramionami. – Zdaniem komisarza Stopforda chłopiec jest po prostu zdezorientowany.

Przełykam brzydkie słowo.

– Może jest, ale sam nie przeszedł pięćdziesięciu kilometrów.

Skye odsuwa się na bok chodnika.

– Muszę już iść. Możesz sam zapytać o to pana Stopforda później.

Nawet ja nie jestem na tyle głupi, żeby siłą zatrzymać funkcjonariusza policji. Pozwalam dziewczynie odejść i ruszam w swoją drogę.

Kilka kroków za szkołą po drugiej stronie ulicy widzę dziecko w wózku. Czerwone na twarzy, szarpie się w szelkach, próbuje się z nich uwolnić i głośno płacze. Chcę już przejść przez ulicę, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale nagle rozpoznaję zarówno dziecko, jak i wózek. To najmłodsze Rachel Grimwood, maluch, przez którego dwa dni wcześniej podpadłem Bob-Cat, bo stłukłem jej kubek.

Potem dostrzegam kobietą pupę, sterczy z tylnego siedzenia land rovera, który stoi kilka metrów dalej, i wiem, że to Rachel, kojarzę po bryczesach i butach jeździeckich. Zresztą mam talent do

rozpoznawania kobiet po tyłkach. Jednak samochód nie należy do niej. To wóz Bob-Cat. Każdy by zapamiętał taką szkaradną kupę złomu.

Z jakiejś przyczyny Rachel przekopuje tylne siedzenie w aucie Bob-Cat.

Wzruszam ramionami. Nie mój interes. A dziecku, oprócz tego, że ma atak wściekłości, też nic nie jest. Idę dalej w górę wzgórza.

Doktor Sapphire Pirrus nie ma żadnej lekarskiej specjalizacji, z pewnością nie jest psychiatrą, ale odbyła wszelkie wymagane szkolenia, zdobyła odpowiednie certyfikaty – wiszą na ścianach – i ponad wszystko potrafi słuchać.

Jej dom stoi wystarczająco wysoko, żebym mógł dobrze się stąd przyjrzeć portowi.

„Papierkowa robota”, odpowiedziała Catrin, gdy ją zapytałem, co na dzisiaj planuje. „Wyrzucone wieloryby na plaży... takie zdarzenie zapewnia nam zajęcie na wiele dni”. Papierkowa robota zatrzyma ją w biurze przez cały dzień. Jednak to jej łodzi szukam pomiędzy kutrami rybackimi, jachtami i promami przecinającymi port. Wydaje mi się, że stoi przycumowana przy nabrzeżu, ale trudno to stwierdzić na pewno z takiej odległości. Trochę dalej, zakotwiczony w zewnętrznym porcie, wycieczkowiec „Princess Royal”. Powinien już płynąć do Georgii Południowej, a stamtąd na Antarktykę. Pasażerowie musieli wybulić majątek za tę przygodę. Na pewno nie w smak im wszelkie opóźnienia.

A jednak wszyscy na wyspach mają nadzieję, że porywacz Archiego Westa jest na pokładzie tego statku. Stopford nie może go wypuścić.

Sapphire otwiera drzwi i zaprasza mnie do gabinetu od frontu. Jak zawsze roznosi się w nim delikatna woń olejku z paczuli. Kobieta miała rodziców hipisów, którzy zostali nimi na długo, zanim to się zrobiło modne. Rodzina sprowadziła się na wyspy przed czterdziestu laty, kiedy Sapphire, jej brat i siostra byli bardzo mali. Ściągnęli tu wiedzeni marzeniami o prostym życiu, o samowystarczalności.

– Dobrze się już czujesz? – Siadam w tym samym fotelu co zawsze, z drewnianymi poręczami. Stoi naprzeciwko okna. Dzięki temu wciąż mogę patrzeć na port, obserwować łodzie. – Grypa minęła?

Jej usta lekko drżą, gdy zajmuje miejsce vis-à-vis mnie. Irytuje się, kiedy pytam o nią. Lubi szufladkować życie. Ta godzina, za którą płacę, to czas dla mnie, ma być wykorzystana na rozmowę o mnie i o moich problemach. Nie zawsze ulegam temu schematowi, bo nie chcę stać się żalonym, zaabsorbowanym sobą dupkiem, w jakiego – w moim wyobrażeniu – przemieniłaby mnie nazbyt duża dawka psychoterapii.

– Masz za sobą niezłe dwa dni. – Sięga po notatnik i upewnia się, że ołówek jest pod ręką. Nigdy go nie trzyma, tylko od czasu do czasu bierze, żeby coś zanotować. Przypuszczam, że robi tak celowo, bo gdy któregoś razu się zapomniała, cały czas bawiła się ołówkiem, obracała nim w palcach, stukała i przetaczała go. Kiedy Sapphire trzyma ołówek, zdradza się, jak bardzo ten cały interes ją stresuje. A może chodzi tylko o mnie.

– Wolno ci wysłuchiwać plotek?

– To mała wyspa.

Nie poprawiam jej, że w rzeczywistości wyspy zajmują całkiem spory obszar, prawie taki jak Walia, i że to populacja jest mała. Zdaję sobie sprawę, że jeśli za bardzo ją wkurzę, może nie chcieć mnie dłużej przyjmować.

– Ładnie wyglądasz – mówię zamiast tego, prawdopodobnie to jeszcze gorszy pomysł.

Sapphire jest wysoka i wysportowana, raczej chuda niż szczupła, ale dobrze się ubiera i preferuje jaskrawe kolory. Dzisiaj jest na szafirowo, w zgodzie ze swoim imieniem, w swetrze do kolan. Nogi długie, zgrabne. Biorąc pod uwagę imię, spodziewałbyś się niebieskich oczu, ale jej są jasnoszare,

tak jak włosy, kędzierzawe, sięgające ramion. Jasna, blada cera.

Kiedyś ją zapytałem, jak to się stało, że mała dziewczynka, która nie ma niebieskich oczu, dostała na imię Sapphire. Na kilka sekund zasznurowała usta, wyraźnie się zastanawiała, jak uniknąć odpowiedzi.

– Mój starszy brat ma na imię Mistral – odparła w końcu. – Młodsza siostra Blaze. Powiedziałabym, że mnie się poszczęściło.

Jak wspomniałem, rodzice hipisi.

– O czym najpierw chciałbyś porozmawiać? – Ton jej głosu sugeruje, że na dzisiaj koniec z pogaduszkami.

Zawsze chcę rozmawiać tylko o jednej rzeczy, ale czuję się jak baba, kiedy zaczynam ten temat.

– Miałem kolejny atak. – Ostatecznie postanawiam opisać zdarzenie na „Endeavourze” lub raczej to, co z niego zapamiętałem.

Słucha, nie przerywa, pomiędzy jasnymi brwiami pojawia się nieznaczną zmarszczka. Reakcja Sapphire, gdy relacjonuję znalezienie Jimmy’ego Browna, jest stonowana. Rozumiem przez to, że kobieta już o tym słyszała. Ale gdy docieram do naprawdę interesującej części – interesującej dla niej, w każdym razie – zaczyna stukać ołówkiem w fotel.

– Zrobiłeś coś Catrin? – pyta, gdy kończę. – Skrzywdziłeś ją fizycznie?

– Nie aż tak, jak ona mnie. – Przypominam sobie, jak zderzyła mnie w głowę łomem. Z pewnością nie tak, jak mogłaby mnie skrzywdzić. Przywołuję w pamięci obraz pistoletu, którym we mnie celowała.

Na wraku widok tego półautomatu kazał mi się zatrzymać i zastanowić. Później, na łodzi, po tym jak Catrin poszła do kabiny, odszukałem go, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Broń sprzed kilkadziesiąt lat, ballester-molina, argentyńska kopia sławnego amerykańskiego kolta M1911. Kolt podrabiano na całym świecie i zdarzało się, że niektóre podróbki okazywały się lepsze od oryginału. Brytyjska armia podczas II wojny światowej wykorzystywała molinę w kilku tajnych operacjach. Jak ten konkretny egzemplarz trafił w ręce Catrin, nie miałem pojęcia, ale wiedziałem, że część jej przodków to niekoniecznie miłośnicy pokoju.

Podsumowując, molina to całkiem szacowna broń. Nie potraktowałem poważnie tego, że Catrin może jej użyć. Kobieta, którą – jak mi się wydawało – znam, nie potrafiłaby wymierzyć w żywą istotę i pociągnąć za spust. To tylko udowadnia, jak mało wiem.

– Nie próbuję tego bagatelizować – mówię. – Bóg mi świadkiem, że Catrin jest ostatnią osobą, którą chciałbym świadomie skrzywdzić.

– Opowiedz mi wszystko, co zapamiętałeś. Od momentu wejścia na łódź do chwili, gdy się ocknąłeś ze wspomnień.

Próbuję, ale z tymi wspomnieniami jest jak ze snami. Jeśli ich nie uchwycę tuż po tym, jak się z nich otrząsnę, szybko ulatują z pamięci.

– To chyba miało związek z bombardowaniem „Galahada”.

– Twój regiment to widział, prawda? Stacjonowaliście wtedy w Fitzroy? – Sapphire jak każdy na wyspie w odpowiednim wieku dobrze zna historię konfliktu.

Drugiego czerwca chinook dowiózł nas na miejsce i zostawił na gołym ośnieżonym zboczu nad Port Pleasant. Mieliśmy odpocząć jako siły szykujące się do ostatecznego ataku na Stanley. Wyczerpani po bitwie o Goose Green okopaliśmy się i obserwowaliśmy, jak dwa statki desantowe, „Sir Galahad” i „Sir Tristram”, przekradają się do portu poniżej nas, sprowadzają wojsko i amunicję. Ku naszemu zdumieniu oddziały wojska zostały na pokładzie, a co za tym idzie, stawały się łatwym celem w razie argentyńskiego ataku bombowego.

Kilka dni i tak się stało. Usłyszeliśmy nadciągające skyhawki, ryk karabinów maszynowych w odpowiedzi, a potem patrzyliśmy, jak ludzie skaczą z płonącego statku do płonącego morza.

Kanonada, wycie silników samolotów szturmowych, wybuchająca amunicja powinny być ogłuszające. Może były. Może wrzaski ludzi, którzy umierali w cierpieniach, rozbrzmiewały wyłącznie w naszych głowach. Wiem tylko, że wtedy to wszystko brzmiało bardzo prawdziwie, i wciąż brzmi, gdy ogarnia mnie atak wspomnień.

Zbiegliśmy na plażę i przekonaliśmy się, że nie możemy dotykać ocalałych, bo ich poczerwiała skóra odchodzi płatami. Powietrze przesiąkał odór prochu i fosforu, groziło nam, że poparzymy sobie płuca, ale lepsze nawet to od smrodu palącego się ciała. Do dziś, gdy czuję nawet słabą woń grilla, robi mi się niedobrze.

Synowie Catrin, Ned i Kit. Oni też są w tych wspomnieniach. Bo w nich, gdy mnie nachodzą, nie ma nic logicznego. Wyobraźcie sobie koszmarne sen pijaka albo ćpuna. Przez głowę jeden za drugim przelatują najstraszniejsze obrazy.

– To ma sporo sensu. – Sapphire się do mnie nachyla. Czuję zapach ciężkich piżmowych perfum. – Byłeś zestresowany, w dodatku towarzyszyła ci Catrin i udałeś się do miejsca, w którym kiedyś doświadczyłeś najgorszej rzeczy w swoim życiu. A na dodatek nie tylko zobaczyłeś zwłoki dziecka, choć nie tego poszukiwanego, to jeszcze znalazłeś zabawkę należącą do innego martwego dziecka. Tego, które dużo dla ciebie znaczyło.

– Królik mógł nawet nie być Kita.

Sapphire wykonuje krótki przeczący ruch głową.

– Nieistotne. W tamtej chwili myślałeś, że tak jest. Więc wcale się nie dziwię, że to wywołało atak. Za to zdumiewa mnie, po co w ogóle postawiłeś się w takiej sytuacji.

Wzruszam ramionami.

– Wszyscy chcieliśmy odnaleźć malca.

– Na tej wyspie stacjonuje dwa tysiące żołnierzy, mogliby popłynąć tam zamiast ciebie. Jesteś pewien, że nie szukałeś wymówki, żeby znaleźć się z Catrin sam na sam? – Sapphire nie bierze jeńców. Pięć minut sesji, a ona już uderza w samo sedno. – Zastanawiałeś się nad tym, o czym rozmawialiśmy poprzednim razem?

Wstaję i podchodzę do okna. Do portu wpływa kuter rybacki, zostawia za sobą na wodzie biały szlak, w górze unosi się stado padlinożernych ptaków.

– Callum, w ciągu roku od twojego przyjazdu tutaj ataki prawie zupełnie ustały. Byłeś na dobrej drodze do wyzdrowienia.

Wiem, co się zbliża. Już to wcześniej słyszałem.

– Później, prawie natychmiast po wypadku z samochodem, ataki wróciły. – Głos Sapphire dociera teraz do mnie lepiej, domyślam się, że odwróciła głowę w moją stronę, żeby na mnie spojrzeć. – Nie trzeba być geniuszem, żeby wywnioskować, że nawrót ma bezpośredni związek z tym, co się wydarzyło tamtego dnia, z nowym traumatycznym wydarzeniem, w które byłeś osobiście zaangażowany.

– Jak tam ojciec? – pytam. – Gotowy na wielką noc? – Ojciec Sapphire ma kierować pokazem sztucznych ogni piątego listopada.

Kobieta nie odpowiada na pytanie. W sumie nic dziwnego. Kiepski unik.

– Minęły trzy lata i nie ma śladu poprawy. W gruncie rzeczy, sądząc po tym, co mi właśnie opowiedziałeś, ataki stają się gorsze. Jeśli niczego przede mną nie zataiłeś, to dotąd jeszcze nigdy się nie posuwałeś do przemocy.

– Niczego przed tobą nie ukrywam – zapewniam. Oczywiście kłamię.

– Moim zdaniem Catrin i jej żaloba mają szkodliwy wpływ na twoje zdrowie psychiczne. Ona nie chce pogodzić się ze stratą i póki będzie w twoim życiu, ty też się nie uporasz z tym, co się stało.

Szybko się odwracam.

– Straciła dwoje dzieci. Troje. – Słyszę, że głos mi się załamuje, i wiem, że popełniłem błąd, który

Sapphire wyłapie. – Po jakim czasie powinna się pozierać? Po pół roku? Roku?

– Musisz z nią porozmawiać. Wiesz, że musisz.

– Nie jest wystarczająco silna.

Jedna jasna, doskonale wyregulowana brew wygina się w łuk.

– Wczoraj odstrzeliła blisko dwieście wielorybów. Powiedziałabym, że jest twardsza, niż na to wygląda.

Impas. Jestem rozdrażniony. Sądząc po wyrazie oczu, Sapphire też się nieźle wkurzyła. Ale to profesjonalistka. Opanowuje się pierwsza.

– Uważasz, że nie możesz porozmawiać z Catrin o czymś tak bolesnym, bo się boisz, że ją zranisz?

– Może boję się o siebie, nie o nią?

W odpowiedzi dostaję bardzo stanowczy przeczący ruch głową.

– Nie kupuję tego. Tobie zawsze chodzi o nią. A ja zawsze się upieram przy tym, że tak nie powinno być. Ta sytuacja dotyczy was obojga.

– Ale to Catrin straciła wszystko.

– Cóż, moim zdaniem, ty również.

Biorę głęboki wdech.

– Na świecie jest mnóstwo innych kobiet – przekonuje mnie nie po raz pierwszy, ale jej głos brzmi łagodniej niż zwykle. – Na tej wyspie też.

Uśmiecham się, choć to trudne. Mimo że daje mi w kość, lubię ją.

– Na przykład ty – rzucam. – Chociaż mogłabyś to uznać za nieetyczne. – W chwili ciszy uzmysławiam sobie, że żartuję tylko po części.

Sapphire zdecydowanie mnie pociąga, chociaż jest z dziesięć lat ode mnie starsza. I zamężna. Nagle pomyśl, że mógłbym ją przelecieć, wydaje mi się najlepszy, na jaki wpadłem od wieków. Tu i teraz. Na cienkim beżowym dywanie albo na blacie biurka – wtedy mógłbym się przyglądać wypływającym w morze łodziom. Spuściła wzrok na notatnik. Czekam, aż na mnie spojrzy. Odpowiedź zobaczę w jej oczach i pójdę za ciosem, jeśli będzie pozytywna.

– To byłoby całkowicie nieetyczne – mówi bezbarwnym głosem, nie podnosi oczu.

Czuję się jak skończony palant. Atmosfera w gabinecie robi się niezręczna. Zastanawiam się, czy powinienem wyjść, chociaż do końca sesji zostało jeszcze dwadzieścia minut.

– Jak się wczoraj czuła Catrin? Kiedy odwoziliście tego chłopca. To musiało być dla niej trudne.

Sapphire zwykle niechętnie pozwala, żebyśmy zbyt dużo czasu podczas naszych spotkań poświęcali Catrin. Fakt, że teraz o niej wspomina, prawdopodobnie oznacza, że mi wybaczyła. Albo że wybrała najlepszy sposób, jaki zna, żeby odciągnąć moją uwagę od niej. Znowu przecinam pokój i siadam. Postanawiam do końca sesji być grzeczny.

– Spokojna. Jakby nie do końca potrafiła to ogarnąć. Ale z drugiej strony ja też byłem lekko otepiały, po Speedwell. Myślę, że oboje jechaliśmy na autopilocie.

Kiwa głową, jej znak, żebym mówił dalej.

– Była bardzo milcząca. Nawet jak na nią. Żadnych „Jak on się tu dostał?”, „Przecież to przypadek, że przejeżdżaliśmy akurat w tym momencie”. Żadnej reakcji, której można by się spodziewać. Prawie tak jakby, no nie wiem, jakby to jej zupełnie nie poruszyło. Automatyczne zachowanie, na autopilocie.

– Uważasz, że to pomoże jej zjednać opinię publiczną? To, że razem z tobą odnalazła chłopca?

– A dlaczego miałyby ją zjednywać?

– Zabiła dwieście wielorybów.

– Uśpiła dwieście umierających stworzeń, żeby nie cierpiały.

– Nie wszyscy tak na to patrzą. – W głosie mojej terapeutki zdecydowanie słychać teraz ostrzejszy ton. Wie, co robi, prowokując mnie w sprawie Catrin.

– Miejscowi rozumieją.

– Część z nich. Większość. Ale zawsze znajdą się tacy, którzy podważą jej decyzję. Może się za bardzo pośpieszyła? Na pewno wykorzystała wszelkie inne sposoby? I jak rozumiem, turyści byli bardzo oburzeni.

– Za kilka dni wyjadą. Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby ten wycieczkowiec odpłynął już dzisiaj.

Znowu kiwa głową, chociaż wiem, że się ze mną nie zgadza. I poruszyła kwestię, która, przyznając, mnie martwi. Catrin powinna móc liczyć na wsparcie ludzi wokół niej. Po wczorajszym nie jestem pewien, że je otrzyma.

– Nadal ją kochasz?

Pytanie mnie zaskakuje. Sapphire jeszcze nigdy nie zadała go tak bezpośrednio.

– Jesteś bardzo opiekuńczy – ciągnie. – Nie tylko wobec mnie. Wczoraj pognałeś do Speedwell tylko dlatego, żeby ją w razie czego obronić, prawda?

Przytakuję. Po co ściemniać? Tylko marnowałbym czas, jej i swój.

– Nie jest tą kobietą, którą znałem. Ciągle mam nadzieję, że dawna ona wróci, choćby jej cząstka, ale Catrin zamknęła się w sobie. Jest jak... jak ty to nazywasz: ludzik wycięty z kartonu.

– Zgadzam się z tobą, ale nie o to pytałam.

Odchylam się na oparcie i zamykam oczy. Czy nadal kocham Catrin? Kilka godzin wcześniej praktycznie się jej oświadczyłem – wprawiłem tym w zdumienie siebie i ją. „Jedź ze mną”, zaproponowałem. Miałem na myśli mój dom po drugiej stronie planety. „Zostaw to miejsce i niszczące wspomnienia z nim związane, rozpocznijmy nowe życie. Zdobądź się na odwagę, żeby uwierzyć, że mogłabyś znowu być szczęśliwa”. Nie odpowiedziała. Do końca jazdy nie odezwała się ani słowem. Chętnie powiedziałbym sobie, że się zastanawiała nad moją propozycją, ale nawet ja nie jestem aż takim idiotą.

– Wiem tylko, że stała się częścią tego, kim jestem. Niespecjalnie mi się to podoba, nie bardziej niż to, że cierpię na te zaburzenia pourazowe, albo jak niektórzy moi koledzy z regimentu, oni też nie są zachwyceni tym, że stracili kończyny, że mają pokiereszowane twarze. Po prostu nauczyłem się radzić sobie z tym, że ona istnieje.

– Ciekawe, że porównujesz swoje uczucia do Catrin z ranami wojennymi.

– Które, twoim zdaniem, trywializuję?

– Myślę, że twoje uczucia do Catrin są jak rana po pocisku, która wciąż się jątrzy. Minęły trzy lata, odkąd wasz romans się zakończył, a ona wciąż cię rani.

Ma rację. Zawsze wiedziałem, że ją ma, jednak w tej chwili brakuje mi energii, żeby zaprzeczać.

– Więc co z tym zrobić?

– Cóż, moim zdaniem najpierw porozmawiaj z nią.

– Rozmawiamy. Wczoraj spędziliśmy razem prawie cały dzień.

– Nie mówię o zwykłej rozmowie. Mówię o rozmowie o tym, co się między wami wydarzyło. Dlaczego się wydarzyło. Dlaczego się skończyło.

Spoglądam na zegarek i postanawiam, że to koniec sesji, nieważne czy już rzeczywiście minął mój czas, czy nie.

– Wydarzyło się, bo nie mogło się nie wydarzyć. Skończyło, bo Catrin po śmierci synów nie mogła znieść nikogo i niczego. Naprawdę nic więcej nie ma tu do powiedzenia. – Wstaję i kładę pieniądze na biurku. Zwykle rzucam jakiś żart o tym, że jestem usatysfakcjonowany. Ale nie dzisiaj.

– Och, myślę, że jest dużo do powiedzenia. – Idzie za mną przez gabinet i korytarzem. Dotychczas nigdy nie przeciągała rozmowy po zakończeniu sesji. – Na przykład o dziecku, które w sobie nosiła, gdy zginęli chłopcy. To, które poroniła.

Wiem, co się zbliża. Otwieram drzwi i nie oglądam się za siebie. Nie muszę. Jej pożegnalne słowa są doskonale wyraźne.

– Callum, musisz się dowiedzieć, czy to dziecko było twoje.

## 15

Nie wracam do domu. Bóg jeden wie, ile roboty na mnie czeka, ale to nie będzie produktywny dzień. Jadę na plażę kilka kilometrów za Stanley. Wsiadam z samochodu i ruszam na spacer po wydmach.

Czuć, że zbiera się na sztorm. Zerwał się wiatr, uderza dużymi falami o brzeg. Ptaki – Catrin od razu potrafiłaby je nazwać, dla mnie to tylko wielkie hałaśliwe ptaszyska – urządzają sobie bal nad moją głową, pikują w dół, wykonują beczki i skrzeczą na całe gardło.

To jedna z mniej popularnych plaży, nawet wśród tubylców. Skałki są w większości zbyt niskie, żeby dało się za nimi schronić przed wiatrem, za to uniemożliwiają grę w piłkę. I obserwowanie mniejszych dzieci. Jednocześnie zapewniają idealne warunki wszelkiego rodzaju gniazdownikom, więc od dawna to jedno z ulubionych miejsc Catrin.

Świetnie się też nadaje do biegania, jeśli uważasz, że ciągłe uskakiwanie i kluczenie między kamieniami dobrze wpływa na rozwój refleksu i na zwinność. Właśnie przy takich ćwiczeniach się spotkaliśmy.

Biegłem, szybko i ciężko. Czułem się całkiem dobrze. Życie było dobre. Od przeprowadzki na Falklandy na stałe złe sny i napady wspomnień na jawie niemal ustały. Czy chodziło o otaczających mnie ludzi i o sposób życia, dla którego tyle wszyscy przeszliśmy, czy o to, że byłem blisko demonów, tak blisko, by widzieć białka ich oczu, czy po prostu o to, że miałem wystarczająco dużo spokoju, żeby pomyśleć – tak czy inaczej moja psychika funkcjonowała o wiele lepiej niż przez lata. Cieszyłem się też zdrowiem. Byłem wysportowany, silny, regularnie biegałem, podnosiłem ciężary, grałem w piłkę nożną. W pracy działało się dobrze. Zarabiałem na utrzymanie, coś tam odkładałem, miałem szansę na duży awans w przyszłości. I spotykałem się z kobietą z biura gubernatora. Oboje wiedzieliśmy, że z naszej znajomości nic poważnego nie wyniknie. A przynajmniej ja wiedziałem i naprawdę liczyłem na to, że ona też wie. Nieistotne, najważniejsze, że poukładało mi się pod sufitem i miałem, jak to mówili kumple z regimentu, kogo przelecieć.

Ogólnie moje życie było tak pełne, jak tylko może być, nie myślałem, że czegoś mi brakuje. A potem ominąłem większą hałdę kamieni i stało się tak, jakby ktoś wbił się młotem pneumatycznym w to życie i odkrył wielką próżnię, którą tylko jedna osoba może zapełnić.

Znajdowali się jakieś sto metrów ode mnie, kiedy ich spostrzegłem. Kobieta z dwojgiem dzieci, szli w moją stronę plażą, omijając skałki i zagłębienia z wodą, dość liczne przy brzegu. Wszyscy byli w krótkich spodenkach i jasnych cienkich swetrach. Trzymali się za ręce. Młodsze dziecko maszerowało najdalej od wody, mimo to spodenki i tak miało ochlapane. Długie ciemne włosy kobiety wyglądały jak wodorosty na brzegu.

Zacząłem biec szerokimi zakolami. Nikt nie lubi, gdy w jego stronę jak burza pędzi taki wielkolud jak ja. Przyglądali się czemuś w falach, ale spojrzeli w moim kierunku, kiedy się zbliżałem. Wtedy do głowy przysła mi nagła myśl i się zatrzymałem.

– Tam dalej jest kolonia fok. – Podniosłem głos, żeby mnie lepiej słyszeli. Zwracałem się do kobiety, głową pokazałem za siebie, skąd przybiegłem. – Są dość agresywne. Może lepiej nie zbliżać



się do nich z dziećmi.

– To młode uchatki patagońskie! – odkrzyknął starszy chłopiec. – Mają niecałe sześć tygodni. Ich mamusie ich nie porzuciły. Żrują, muszą przynieść jedzenie z wody.

– Żerują – poprawiła go matka.

Podszedłem do nich na tyle blisko, że wyraźnie widziałem twarz kobiety, delikatne zmarszczki w kącikach oczu sugerowały, że ma dwadzieścia kilka lat, prawdopodobnie bliżej trzydziestu. Mniej więcej w moim wieku.

– Pan jest tym żołnierzem – powiedział do mnie chłopiec.

Zaryzykowałem i zbliżyłem się jeszcze bardziej. Młodsze dziecko cofnęło się i wtuliło w nogi matki.

– Callum. – Spojrzałem na kobietę i wyciągnąłem rękę. – Callum Murray – dodałem.

Kiwnęła głową, jakby już wiedziała.

– Ma pan broń? – Straszy dzieciak stał teraz przede mną i patrzył w górę.

– Już nie. – To niezupełnie była prawda, ale odniosłem wrażenie, że taką odpowiedź wolałaby matka. Teraz, tak blisko niej, ledwie mogłem oderwać od niej oczy. Twarz drobna, perfekcyjna, każda jej część była dokładnie takiej wielkości i takiego kształtu, jak powinna być. Nieumalowana. Makijaż nie pasował do tej twarzy. Wszelkie mazidła nadałyby jej wygląd tych upiornych lalek z porcelany.

Oczy, zażawione od wiatru, miały barwę skałek wokół nas. Włosy długie i proste, nieustannie falowały poruszane bryzą. Z bliska jeszcze bardziej przypominały wodorosty. Cera w ciepłym odcieniu kremowego piasku. Kobieta wyglądała jak plaża przywołana do życia w ludzkiej postaci.

Dzieci też miały ciemną karnację. Starszy chłopiec – wierna kopia matki, młodszy – włosy ciemniejsze, oczy brązowe. Choć tak mały, zuchwę miał już dość mocno zarysowaną, co kazało mi pomyśleć, że tę cechę odziedziczył po ojcu.

– Quinnowie – powiedziała, a jej dłoń zacisnęła się na rączce tulącego się do niej chłopca. Zastanawiałem się, czy umyślnie przedstawiła siebie i synów jako rodzinę. „Jesteśmy pełną rodziną. Nawet nie próbuj nas rozłączyć”. – To Kit. A Ned to ten zainteresowany bronią.

Czekałem z wysoko uniesionymi brwiami. Nie zamierzałem pozwolić jej na tym poprzestać.

– Catrin – rzuciła po chwili. – Mój mąż ma na imię Ben. Pracuje w szpitalu.

Tak, zdecydowanie był w tym zawarty przekaz. „Jestem nieosiągalna. Nawet o tym nie myśl. I idź już sobie”.

– Nie jestem pewien, ale myślę, że przy brzegu może się czaić też stado orek. Jeśli przyplłynęły, żeby zapolować na foki, naprawdę nie powinniście... – Popatrzyłem na chłopców i odniosłem wrażenie, że mnie zrozumiała. Na pewno nie chciałyby ryzykować, że nakarmi dziećmi wygłodniałe groźne wieloryby?

Ona też zerknęła na dzieciaki, nagle rozpromieniona i ożywiona.

– A to akurat chyba powinniśmy zobaczyć. – Ostatnie niedbałe spojrzenie w moją stronę. – Dziękujemy.

Odbiegła lekkim truchtem, dzieci podreptały za nią. W ciągu kilku minut dotarli do skałek oddzielających bezpieczną część plaży od kolonii fok. Uchatek. Nieważne.

Pobiegłem za nimi. Zwierzęta, które widziałem, były wielkie, agresywne. Groźnie na mnie naszczeakały, kiedy je mijałem. Nie podobała mi się myśl, że ta grupka ludzików zostanie pożarta. Nawet jeśli matki nie wrócą ze swojej wyprawy łowieckiej. Nawet jeśli w pobliżu nie ma żadnego stada krwiożerczych orek.

Kobieta z dziećmi zniknęła za grupą skałek, więc przyspieszyłem. Kiedy znowu ich zobaczyłem, z ulgą stwierdziłem, że przysiedli na szerokim, płaskim głazie w bezpiecznej odległości od zwierząt. Catrin mnie dostrzegła i najpierw się uśmiechnęła, potem wskazała palcem czarny trójkąt płetwy,

który poruszał się leniwie w wodzie w pewnej odległości od brzegu.

Z biegu przeszedłem do kroku spacerowego. Dołączyłem do nich, usiadłem na kamieniu trochę dalej. Na tyle blisko, że mogliśmy rozmawiać, ale nie aż tak, żeby to kogokolwiek krępowało. Mniejszy chłopiec siedział u matki na kolanach, starszy przytulał się do jej boku.

– Są trzy, cztery – powiedziała, oczy wciąż skupione na czarnym żaglu w wodzie. – Małe stado, może podrostków, które same wybrały się na harce. Czekają, aż młode uchatki spróbują wejść do wody. Płycizna na tym kawałku to bardzo popularne miejsce do nauki pływania.

– Mamo, ja nie chcę, żeby wieloryby pożarły małe.

Otoczyła starszego syna ramieniem.

– Nie sędzę, żeby do tego doszło, kochanie. Patrz, pingwiny zorientowały się, co te wielkie orki knują.

Morze jakby nagle ożyło, gdy gromadka lśniących tłustych pingwinów pojawiła się przy brzegu. Przepychały się i trącały, histerycznie klapały swoimi małymi skrzydłami w wyścigu, który pierwszy wydostanie się na ląd. Za nimi sunęły cztery czarne żagle. Uchatki, zaplątując się w wodorosty, wypełniły plażę hałasem, krzyczały na przybyszów, którzy najechali ich teren. W tym samym czasie znikąd pojawiły się ptaki, całymi stadami kierowały się nad otwarte morze, gdzie, czego byłem prawie pewien, woda zaczynała zabarwiać się na czerwono. Wieloryby coś dopadły.

Bliżej brzegu plaża zamieniła się w szalony bankiet dzikiej przyrody, gdy pingwiny dotarły do skałek i zaczęły skakać wokół jak piłeczki w bębnie totalizatora sportowego. Cały czas kicały, przeskakiwały ze skałki na skałkę, byle dalej od brzegu. Młodszy chłopiec wybuchnął śmiechem.

– To są pingwiny skalne. Widzicie ich duże żółte brwi? Przyglądajcie się uważnie, będą tak skakały aż na górę klifu, żeby dotrzeć do gniazd. – Kobieta odwróciła się do synów. – Może wspniemy się tam łatwiejszą drogą i zobaczymy, jak się miewają małe?

Widziała rzeź, jaką wieloryby urządziły w morzu, i starała się odciągnąć od tego uwagę dzieci. Kiedy wstali, ja też się podniosłem.

– Cóż, wygląda, że się na tym znacie i wiecie, co robicie, więc was zostawię.

– Miło było pana poznać. – Wyciągnęła rękę.

Przez jedną niezręczną chwilę myślałem, że wyciąga ją do mnie. Chyba nawet drgnąłem, spojrzałem w dół, jakbym chciał ją uścisnąć, ale wtedy się zorientowałem, że sięgała po starszego syna. Ten chwycił dłoń matki i niemal ciągnięty przez nią, szedł tyłem i gapił się na mnie. Gdy nie mogłem już dłużej śledzić ich wzrokiem, bo to wyglądałoby podejrzanie, odbiegłem. Sto metrów dalej coś mi kazało się zatrzymać. Odwróciłem się i zobaczyłem, że Catrin Quinn ogląda się za mną.

Wiedziałem już wtedy. Ona też wiedziała, chociaż minęły cztery miesiące, zanim ją zmusiłem, żeby to przyznała.

Rybitwa leci nisko i skrzeczy wniebogłosy. Prawdopodobnie jestem zbyt blisko jej gniazda. Czy rybitwy niosą się w listopadzie? Nie mam pojęcia. Kiedyś Catrin godzinami mi opowiadała o przyrodzie wysp. Nic z tego nie zapamiętywałem. Po prostu uwielbiałem dźwięk jej głosu.

Wracam do samochodu. Nie znajduję tu żadnych odpowiedzi.

Moja terapeutka o niedorzecznym imieniu ma rację. Dwa i pół roku temu, gdy ziemię pokrywała gruba warstwa śniegu, kobieta z pokiereszowaną duszą i rozdartym sercem urodziła maleńkie martwe dziecko. Muszę się dowiedzieć, czy moje, i tylko Catrin może mi to powiedzieć.

Po tamtym dniu na plaży zacząłem widywać Catrin w różnych miejscach w mieście. Dowiedziałem się, gdzie mieszka, gdzie chodzi do pracy na pół etatu, na jakim oddziale pracuje jej mąż.

Sprawdziłem, do jakiego przedszkola odprowadza synów w te dni, gdy musi być w biurze. Zacząłem bywać w Stanley wtedy, gdy wiedziałem, że mogę ją spotkać. Czekałem, wypatrywałem jej łodzi, kiedy odpływała i przyplływała, wczytywałem się w numery rejestracyjne podobnych srebrnych land roverów, w razie gdyby miało się okazać, że to jej land rover. Czy z tego opisu wynika, że ją prześladowałem? Tak. Zwyczajnie nie potrafiłem się opanować.

Zacząłem biegać po tej samej plaży, bo to tam mogła się mnie spodziewać, i gdy minęły dwa tygodnie, rzeczywiście przyszła, tym razem sama.

Nie ułatwiała mi zadania. Miała dwoje małych dzieci, była zajęta. Nie potrzebowała kogoś, kto wyróciłby jej życie do góry nogami, sprawił, że rozpadłoby się jak domek z kart. Kiedy zacząłem sugerować, że pragnę czegoś więcej niż przelotna znajomość, wycofała się.

Zacząłem się udzielać towarzysko w Stanley, chodziłem na tańce, wieczory filmowe i turnieje wista. Wist, do jasnej cholery, właśnie tak bardzo mi odbiło. Za każdym razem byłem nagradzany widokiem Catrin z mężem. Koleś wydawał się całkiem w porządku, więc, owszem, miałem wyrzuty sumienia, ale zarazem byłem prawie pewien, że jej nie kocha. W każdym razie nie tak, jak być może kochał kiedyś. Traktował ją trochę oziębło. Nigdy jej nie dotykał, nie obejmował, nigdy nie gładził po włosach ani nie zamykał w uścisku dłoni jej nadgarstka. Nigdy nie widziałem, żeby ją pocałował. I może lepiej. A nuż puściłbym mu wtedy fangę i miałbym problem, żeby się z tego wytłumaczyć.

Nigdy nie wyszedłem z żadnej imprezy przed nimi. Patrzyłem, jak odjeżdżają – zwykle prowadziła ona, bo najczęściej prawie w ogóle nie piła – potem wracałem do domu, dręczony wspomnieniem jej wysoko upiętych ciemnych włosów i odsłoniętej szyi, zgrabnego łuku stopy, gdy wkładała szpilki. Rozmyślałem o tym, jak by to było móc ją pieścić, waliłem konia i mówiłem sobie, że jeśli wkrótce to się nie stanie, oszaleję.

I potem któregoś dnia, kiedy już ją znałem od kilku miesięcy, przyłapałem ją, jak wynosi jakieś kartony z łodzi. Padało, jej włosy przypominały wodorosty bardziej niż kiedykolwiek, kleiły się do pleców. Odebrałem od niej paczki, pomogłem zanieść do samochodu i zaproponowałem, żebyśmy wpadli gdzieś na kawę.

– Wolałabym coś mocniejszego – odparła ku mojemu zaskoczeniu.

Dziesięć minut później siedzieliśmy w barze Victoria przy dużych szklaneczkach burbona, a ona opowiadała mi o wraku, do którego nurkowała. Dziękując Bogu i wszystkim świętym za kurs nurkowania, jaki odbyłem w wojsku, udałem wielki entuzjazm dla tego sportu. Może to przez alkohol, a może już ją zupełnie wyczerpałem, ale gdy wypiliśmy drinki, spuściła oczy na stolik i złożyła mi propozycję nie do odrzucenia.

– W piątek znowu się tam wybieram. – Przeciągnęła palcem przez mokrą plamę na blacie, niedbale, niby mimowolnie, tak jakby chciała zaznaczyć, że moja reakcja jest jej obojętna, jak gdyby tylko rzucała luźną uwagę.

Nie dałem się zwieść. Jej druga dłoń drżała niczym marakasy w kapeli salsowej.

– Muszę zebrać próbki. Popłyn z mną, jeśli masz ochotę.

Udałem, że się zastanawiam.

– W piątek rano mam umówione spotkanie – odparłem. – Ale chyba uda mi się je przełożyć. Dzięki za zaproszenie, chętnie się wybiorę.

Przez kolejne trzy dni przed wyprawą prawie nie spałem. Żyłem tylko na zapach, bo przez zaciśnięte gardło nie przechodziło nic treściwszego. W piątek czekałam na rzadko używanej przystani w Whalebone Bay, niedaleko domu Catrin. Kiedy zaproponowała, że zabierze mnie stamtąd, zamiast z portu w Stanley, gdzie wszyscy by nas widzieli, wiedziałem. Cholera, wiedziałem już w momencie, gdy ją pierwszy raz zobaczyłem. To nigdy nie ulegało wątpliwości. Pytanie brzmiało tylko: kiedy.

Spóźniła się dziesięć minut. Po pięciu uznałem, że nie przyplynie. Że stchórzyła. Że zwyczajnie

wystawiła mnie do wiatru. Ze siedzi z koleżankami przy kawie i wspólnie naśmiewają się z naiwności facetów. Na dodatek głupich byłych trepów. Szczerze, bałem się, jak przeżyję następną godzinę. Potem znajoma łódź wyłoniła się zza cypla. Nie mogłem dojrzeć Catrin. Słońce odbijało się jaskrawymi refleksami od szyb sterówki, ale udało mi się wypatrzeć jej tłustego psiaka na dziobie.

Rzuciła mi linę, złapałem, wskoczyłem na pokład i odepchnąłem nas od przystani.

– Nie tak powinno się cumować zdaniem ludzi z bezpieczeństwa i higieny pracy. – Ustawiła motor na wsteczny, żeby odpłynąć, potem wykręciła i popruliśmy w stronę otwartego morza.

– Wiatr się wzmacnia. – Owinąłem sobie linę na przedramieniu i sprytnie dodałem: – Jak morze będzie za bardzo wzburzone, możesz nie chcieć schodzić na dół z takim amatorem jak ja, ale bardzo bym żałował, gdyby mi przeszła koło nosa okazja zwiedzenia „Mary Jane”.

Łgałem jak pies. Miałem gdzieś, czy będziemy nurkowali. W gruncie rzeczy nawet wolałem, żebyśmy tego nie robili. Zależało mi tylko na tym, żeby się dostać na jej łódź, żebyśmy wypłynęli daleko w morze, gdzie nikt by nam nie przeszkadzał. Byliśmy już w połowie drogi do tego miejsca.

I ostatecznie nurkowaliśmy. Catrin, jak długo się dało, usiłowała trzymać mnie na dystans; skoro wolała udawać, że przypłynęliśmy tam, żeby zbadać wrak, okej – mogłem na to pójść. Włożyliśmy kombinezony, butle, maski, rurki, płetwy i wskoczyliśmy do morza.

Zimna woda ostudziła moje zapały. No, prawie. Słońce do tego czasu trochę ukryło się za chmurami, więc widoczność była słaba. Płynąłem za energicznie uderzającymi płetwami Catrin i strużką światła sączącą się z latarki na jej głowie i zastanawiałem się, czy ktoś już kiedyś uprawiał seks na dnie oceanu. Wpłynąłem za nią do kadłuba starego statku wielorybniczego, musiałem usuwać z drogi łaskoczące odnóża wodorostów, przeciskać się między żelastwem, momentami płynąć po omacku, kiedy traciłem z oczu światło latarki. Catrin od czasu do czasu zatrzymywała się, czekała, aż do niej dołączę, i kierowała wiązkę światła na jakąś mosiężną tabliczkę lub stos harpunów. Udawałem zainteresowanie, choć w rzeczywistości pragnąłem jedynie pochwycić ją za włosy – unosiły się w wodzie, jakby miały własne życie – i przyciągnąć ją do siebie. Za maską widziałem jej roziskrzane oczy. Tam na dole była szybka, o wiele szybsza ode mnie, dobra pływaczka. Tam na dole nie obawiała się mnie.

Kiedy już zwiedziliśmy wszystkie dostępne miejsca na wraku, wypłynęliśmy przez dziurę w sterburcie. Gdy Catrin odwróciła się, żeby sprawdzić, czy za nią płynę, sięgnąłem i złapałem ją za rękę.

Unosiliśmy się bezwładnie w wirujących cieniach przy dnie oceanu, zawieszeni w głębinach ciężarem naszych ciał, jej twarz na wysokości mojej. Przyciągnąłem Catrin bliżej, wyplułem ustnik i pocałowałem ją w dłoń.

Spanikowała, chwyciła ustnik i mi go podsunęła. Uśmiechnąłem się, odebrałem ustnik i powoli, żeby jej pokazać, że się nie boję, włożyłem go sobie z powrotem. Uniosłem kciuki, sygnał, żebyśmy wypłynęli na powierzchnię, kiwnęła głową.

Na łodzi szybko zmarzliśmy. Trzęsąc się, ściągaliśmy sprzęt. Pozwoliła mi pomóc sobie zdjęć kombinezon i owinąć ją ręcznik – pod spodem miała czarny kostium. Mokre włosy, z których woda kapiała na pokład, sięgały aż do pasa. Ja też zrzuciłem z siebie wszystko, z wyjątkiem slipek, i przez sterówkę pociągnąłem Catrin do kabiny na dziobie.

Jako żołnierz Regimentu Spadochroniarzy wykonałem dziesiątki skoków z samolotu, ale nigdy nie zapomnę tego pierwszego. Czułem niemal paraliżujący strach, gdy maszyna wznosiła się wysoko, a wiedziałem, że jest tylko jeden sposób powrotu na ziemię, czyli skok w przepaść. Świadomość, że ten moment się zbliża, że już teraz, zaraz muszę wyskoczyć. Pewność, że za chwilę zginę. A potem rozsadzająca radość, że się jest w przestworzach, pędzi jak strzała, wrażenie absolutnej nieskończonej władzy, uczucie, że wszystko jest możliwe. Tak właśnie wyglądał mój pierwszy raz z Catrin.

Do dziś muszę tylko zamknąć oczy, żeby sobie przypomnieć dotyk jej zimnej jak lód skóry, kiedy się we mnie wtulała – z początku, bo chciała się ogrzać, a później, bo nie mogła się ode mnie oderwać. Albo jej włosy, klejące się do moich ramion jak mokre sznureczki. Uderzający do głowy zachwyty, że kobieta z marzeń stała się kobietą, która w euforii podniecenia gryzie mnie po szyi, wodzi dłońmi po moich pośladkach i udach i ujmuje mnie w dłonie, i pieści palcami, aż prawie tracę świadomość.

Była tak słodko naiwna. W swoim życiu miała tylko Bena, a on najwyraźniej nie lubił przygód. Catrin była oburzona, opierała się, ale potem wiała się pode mną jak węgorz, wyginała i wierzgała jak nowo narodzone źrebię, i przywierała do mnie z zaskakującą siłą.

Kiedy skończyliśmy, kiedy leżałem na plecach w tym malutkim łóżku i patrzyłem na wyłożony boazerią sufit, a Catrin leżała obok, z głową opartą na moim ramieniu, z ręką zaborczo przerzuconą przez pierś, powiedziałem, że ją kocham.

Na takie samo wyznanie z jej strony musiałem trochę poczekać. Ale to było bez znaczenia. Wydawało mi się, że mojego uczucia wystarczy dla nas obojga. Pod koniec pierwszego miesiąca, odkąd zostaliśmy kochankami, błagałem ją, żeby zostawiła Bena. Ponawiałem tę prośbę nieustannie, aż do dnia, gdy to on od niej odszedł. Popatrzyła na mnie wtedy tymi swoimi pustymi oczyma. Myślę, że właśnie w tym momencie się poddałem.

Wracam do domu i zabieram się do pracy. Na Zachodnim Wybrzeżu w Stanach Zjednoczonych, gdzie prowadzę większość interesów, jest pięć godzin wcześniej niż tutaj. Zbliża się pora, gdy ludzie, z którymi muszę pogadać, będą przy biurkach.

Wieczorem pójdę do miasta i się skuję, postanawiam. W Stanley na pewno panuje dobra atmosfera, ludzie już się nie zamartwiają o zaginione dziecko, Archiego Westa. Globe będzie napakowane miejscowymi i turystami. Przy dźwiękach orkiestry panie raczej nie pogardzą odrobiną flirtu. Sapphire ma rację. Catrin nie jest jedyna na wyspach, a możliwe, że ciepła, chętna kobieta to dokładnie to, czego mi w tej chwili potrzeba.

Bębniąc w klawisze, piszę mejla do kolegi Sama z Palo Alto. Mam w domu łącze ISDN, które mi założyli pracodawcy, kiedy się tu przeprowadziłem, więc utrzymywanie kontaktu ze światem to dla mnie żaden problem. Nie licząc wojska, posiadam prawdopodobnie najlepsze połączenie internetowe na wyspach. I dlatego pierwszy dowiaduję się o burzy, jaka się zaczyna rozpętywać w rzeczywistym świecie, podczas gdy ta falklandzka już się na dobre po naszych wyspach przetacza.

„Trochę się o was mówi w wiadomościach”, pisze Sam.

„Ale że co?”, odpisuję. Mam zbyt duże palce, żeby mi się łatwo pisało na klawiaturze, więc staram się nie marnować słów.

„Piszą o was we wszystkich gazetach. Tutaj i w Anglii. Ameryka Południowa ma używanie”.

Znów: „Ale że co?” Nadal mało mnie to interesuje. John Major musiał walnąć jakąś ironiczną uwagę o Argentyńczykach, a oni się nabzdycyli. To się od czasu do czasu zdarza. Albo gubernator wydał całkowicie przedwczesne oświadczenie o rezerwach ropy na wyspach.

„Zobaczę, czy uda mi się dołączyć zdjęcie. Zaczekaj”.

Czekam. A raczej wstaję od biurka, robię sobie kawę, idę się odlać, gapię się na lejący deszcz za szybą i wracam po dziesięciu minutach. Mejl z dołączonym zdjęciem wylądował w mojej skrzynce. Otwieram go kliknięciem, widzę zeskanowaną pierwszą stronę „Daily Mirror” i dociera do mnie, że wkład Catrin w bezpieczny powrót małego Archiego Westa nie robi żadnej różnicy w tym, jak będzie postrzegana na wyspach. Jej rola w odkryciu zwłok Jimmy’ego Browna i fakt, że przyczyniła się do zakończenia niemal półtorarocznej udręki rodziców, wynikającej z niewiedzy, co się stało z ich dzieckiem, w żaden sposób nie poprawią jej wizerunku na świecie. Nawet ja, zwykły były

spadochroniarz, potrafię rozpoznać hit prasowy, gdy na niego patrzę.

Zdjęcie jest zrobione przez któregoś z turystów z całkiem dobrego aparatu. Ostrość doskonała. Fotograf musiał użyć zooma, bo nie przypominam sobie nikogo tak blisko. Też tam jestem, chociaż trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby mnie rozpoznać, bo stoję częściowo odwrócony tyłem. Pete, kolejna postać w tle, patrzy w dół i lekko się pochyla, jakby mu było niedobrze. Zdjęcie jest kolorowe, więc w pełni dociera do mnie wstrząsający widok krwi na plaży, w wodzie, na twarzy kobiety, która zajmuje centralne miejsce.

To Catrin – rozwiane włosy nadają jej wygląd żądnej zemsty Furii – stoi przy sześcimetrowym grindwalu. Trzyma pistolet. I patrzy na swoją ofiarę. Z lufy unosi się mgiełka dymu. Szczęki zwierzęcia się otwierają – jakby zwierzę wydawało jęk protestu, chociaż wcale tak nie było. Nagłówek brzmi: „Zabójcza Quinn”.

## 16

Deszcz nieco zelżał do czasu, gdy dotarłem do Stanley. Ale to tylko chwilowa przerwa. W oddali nad morzem zbierają się nowe chmury. Czuję ulgę, kiedy przed biurem „Penguin News” widzę auto Roberta Duncana. Gdybym musiał faceta szukać, straciłbym jeszcze więcej czasu. Lada, z której raz w tygodniu sprzedaje się gazetę, jest pusta, więc ją podnoszę i przechodzę na drugą stronę. W pokoju na zapleczu zastaję całą trójkę stałej obsady „Wiadomości”. Wszyscy rozmawiają przez telefon. Robert zauważa mnie, podnosi palec i dalej rozmawia.

Nie chcę, żeby Catrin zobaczyła zdjęcie. Nie chcę, żeby ktokolwiek na wyspach je zobaczył. Jestem prawie pewien, że jeśli będę musiał, mogę na wyspach zablokować skrzynki mejlowe na kilka dni. Oczywiście nie dam rady dostać się do łączy wojskowych, ich zabezpieczenia są zbyt dobre, ale powstrzymanie całej cywilnej wymiany poczty jest w zasięgu moich możliwości. Ludzie po prostu uznają, że coś się popsło. Zwrócą się do swoich dostawców internetu, którzy nie potraktują Falklandów priorytetowo, a ja po jednym dniu lub więcej znowu podłączę użytkowników. Kilka dni, może trzy, tyle powinno wystarczyć, żeby burza przycichła. Ludzie szybko zapomną i niedługo świat będzie się ekscytował czymś innym.

Ale najpierw trzeba się dowiedzieć, czy wiadomość już tu dotarła. Czy Bob i jego zespół widzieli zdjęcie, które w tej chwili tkwi w mojej kieszeni.

– Cóż, jestem przekonana, że odezwą się do was najszybciej, jak będą mogli. – Cathy, reporterka gazety (jedyna), wygląda na wykończoną. – Rezerwat ma pracowników, wyobrażam sobie, że ich telefony się teraz urywają.

Najwyraźniej się spóźniłem.

– Callum, w czym ci mogę pomóc? – Rob skończył rozmawiać. Obchodzi biurko.

Ściskam swoją prawą dłońią jego wyciągniętą dłoń, lewą wyciągam zdjęcie z tylnej kieszeni.

– Widziałeś to?

Wystarcza mu zerknięcie.

– Telefony szaleją od godziny. Pieprzeni turyści.

– Catrin już wie?

Znowu kiwa głową, minę ma nieszczęśliwą.

– Na pewno. Chciałem dać cynk Johnowi, kiedy dostaliśmy pierwszy telefon. Nie mogłem się jednak dodzwonić, więc przypuszczam, że u nich jest jeszcze większe piekło niż u nas.

– I to o czymś świadczy. – Mabel, matka Roba i zarazem jego podwładna, też zakończyła rozmowę. – „News International” czarterują samolot, Rob. Możemy się ich spodziewać jutro wczesnym popołudniem.

– Z powodu pierdolonych martwych wielorybów? – Nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. – Wybaczcie Mabel, Cathy.

Znów brzęczy dzwonek. Rob krzywi się przepraszająco i odbiera telefon. Słyszę, jak mówi „spodziewana katastrofa środowiskowa”, i wiem, że ta gadka trochę mu zajmie.

– Nie chodzi tylko o wieloryby, Callum. – Telefon Cathy dzwoni, ale ona nie zwraca na to uwagi. – Ludzie łączą ze sobą odstrzał wielorybów i zniknięcie Archiego Westa.

Przez chwilę stoję zupełnie osłupiały.

– Jak, do cholery, mogą to łączyć? Tu nie ma żadnego związku.

Między brwiami Cathy pojawiają się głębokie zmarszczki.

– Oczywiście. Ale musisz zrozumieć ich punkt widzenia. Jest porwane brytyjskie dziecko i jest miejscowa kobieta, która dokonała masowej rzezi. – Podnosi rękę, żeby mnie uciszyć. – Tak, jasne, musiała to zrobić, kierowała się słusznymi pobudkami, ale spróbuj to wytłumaczyć tym, których cała wiedza o wielorybach ogranicza się do tego, co widzieli w filmie *Uwolnić orkę*. I w dodatku wspomniana kobieta – z załamaniem nerwowym na koncie, niestabilna emocjonalnie – zeszłej nocy wjechała do miasta z dzieckiem, które prawdopodobnie zostało porwane.

– Catrin nie jest niestabilna emocjonalnie, i to ona znalazła tego cholernego dzieciaka, a nie go porwała.

Mabel wstaje i wychodzi do kuchni.

Teraz nawet wyrozumiała Cathy zaczyna już chyba tracić cierpliwość.

– Możliwe, ale nie tak to przedstawiają gazety. Według tego, co w nich piszą, Catrin zniknęła z plaży umazana krwią i kilka godzin później pojawiła się w Stanley z małym chłopcem na rękach.

– To jakieś pieprzone bzdury! Zastrane pismaki. Byłem z nią. W samochodzie. Większość drogi przespała. Zupełnie przypadkiem natknęliśmy się na tego dzieciaka.

Mabel wraca i staje przede mną. W ręku trzyma butelkę z płynem do mycia naczyń. Patrzę w dół. Na butelkę, na nią.

– Uważaj, jakich słów używasz, młody człowieku, alby wyszoruję ci tym usta – mówi. – To redakcja gazety, ale nie przy Fleet Street, i to nie my wypisujemy te gówniane brednie. – Macha mi przed twarzą butlą fairylíquida. – Mnie wolno mówić „gówniane”, bo mam dziewięćdziesiąt dwa lata i sram na to wszystko. Tobie wolno powiedzieć „tak, proszę pani”, „nie, proszę pani”, „przepraszam, że panią uraziłem”, ale ogólnie na twoim miejscu wyszłabym stąd i poleciała szukać Catrin.

– Znalazła też zwłoki Jimmy’ego Browna w zatoce, którą często odwiedza, i wszyscy o tym wiedzą. – Cathy staje się trochę odważniejsza przy wsparciu Mabel.

– Co wy wygadujecie? To ja wymyśliłem, żeby przeszukać wrak.

Cathy stanowczo kręci głową.

– W mieście mówi się co innego.

Rob wreszcie odłożył słuchawkę, więc odwracam się do Cathy plecami.

– Czy już wiemy na pewno, że dziecko na „Endeavourze” to Jimmy?

Patrzy na mnie ponad głową Mabel.

– Dokonali wstępnych oględzin wczoraj po południu. Kiedy ty i Catrin byliście na Speedwell. To Jimmy. Uzyskali jego kartę dentystyczną.

Oczekuję, że powie coś więcej.

– Rodzina oczywiście została powiadomiona. Teraz musimy poczekać na przyjazd patologa.

Nie mamy na wyspach specjalisty do wykonania sekcji zwłok. Gdy czyjś zgon wymaga dochodzenia, ktoś musi przylecieć z Anglii. Minie kilka dni, nawet tydzień, zanim poznamy raport patologa.

Rob się krzywi.

– Nie żebyśmy się spodziewali jakichś nowych rewelacji. Z wczorajszych oględzin wynika, że nie da się określić przyczyny zgonu, a wygląd resztek ubrań sugeruje, że chłopiec nie był molestowany. Bob twierdzi, że prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy, co się dzieciakowi stało, jednak wiele przemawia za tym, że wpadł do morza na Surf Bay i spokojnie wypłynął w Port Pleasant.

Kolejny telefon. Rob nie potrafi się powstrzymać, odruchowo podnosi słuchawkę.

Odwracam się do Mabel.

– Więc Stopford znowu jest szczęśliwy. Archie się odnalazł cały i zdrowy, a śmierć biednego Jimmy’ego to wypadek. Na Falklandach nie ma potworów.

– Och, tak daleko bym się nie posunęła – rzuca Cathy.

Mabel gromi ją wzrokiem, każe zamilknąć.

– Najlepsze, co możesz teraz zrobić, to na jakiś czas wywieźć Catrin ze Stanley – zwraca się do mnie. – Wsiądźcie wieczorem na łódź, popłyńcie na Nową Wyspę albo gdziekolwiek i zczekajcie, aż sprawa się uspokoi. Jutro w mieście będzie się roiło od dziennikarzy i naprawdę nie sądzę, żeby Catrin była w stanie to znieść.

W drodze do wyjścia zerkam na Roba – stoi przy oknie, wciąż rozmawia przez telefon, ale co i raz spogląda w niebo, potem na zegarek na ręce i znowu w niebo. Mówi do kogoś po drugiej stronie linii, żeby się pospieszył, inaczej się spóźni.

Do siedziby Falklandzkiego Rezerwatu Przyrody jest pięć minut, może mniej, jeśli się pobiegnie, więc zaczynam biec, ale po dwóch minutach wiem, że podjąłem złą decyzję. Land rover Catrin pędzi ulicą w moją stronę. Mam za mało czasu, żeby wyjść na drogę, żeby ją zatarasować, i może dobrze, bo nie jestem przekonany, czy Catrin by się zatrzymała. Mija mnie, nie zwalniając, więc nie pozostaje mi nic innego, jak zawrócić i pognać do swojego auta.

Kiedy do niego docieram, jestem zdyszany, oddech mam krótki, a to niedobry znak. Nadciągający napad wspomnień objawami przypomina atak paniki. Serce zaczyna mi bić szybciej i nieregularnie. Krótko mówiąc: dostaję palpacji. Oddech przyspiesza. Zaczyna mi się kręcić w głowie, mam wrażenie odrealnienia, jakbym się odłączył od rzeczywistości. I właśnie to wszystko dzieje się ze mną w tej chwili. Świat dokoła ciemnieje. Kręcę głową, żeby rozjaśnić umysł. Nie pomaga. Odpływam.

Zwykle w takich sytuacjach usuwam się do jakiegoś spokojnego miejsca, kładę się i próbuję uregulować oddech. Jeśli w porę zareaguję, czasami potrafię zatrzymać atak. Ale to nieodpowiedni moment, żeby się kłaść. Muszę odszukać Catrin.

Biorę kilka głębokich wdechów i wskakuję do samochodu. Catrin jest jakieś osiem, dziesięć minut przede mną. Jadę na wschód, Ross Road gwałtownie się pogrąża w ciemności. Gdy jestem prawie na końcu miasta, skręcam w głąb łądy, żeby wjechać na Airport Road. Jeszcze trochę i skieruję się bezpośrednio na północ w stronę domu Catrin. Powtarzam sobie, żeby oddychać, zachować spokój.

Już niemal dojeżdżam do ostatniego zakrętu, gdy widzę, że Catrin znowu pędzi w moją stronę. Zatrzymuje się z piskiem opon, cofa kilka metrów, potem zjeżdża na pobocze, żeby mnie wyminąć. Przyglądam się temu zdezorientowany i bezradny. Ona nie nawiązuje ze mną kontaktu wzrokowego, nawet nie zerknęła w moją stronę. Równie dobrze mogłoby mnie tu nie być. Rozchlapując błoto, odjeżdża na pełnym gazie w przeciwnym kierunku. Świat znowu zasnuwa się ciemną mgłą i wiem, że dalej nie pojedę.



Budzi mnie deszcz. Zwlekam się na nogi. Nie mam pojęcia, dlaczego i jak znalazłem się na zewnątrz, ale na pewno nie jestem ubrany na przebywanie w terenie. Lekka dżinsowa kurtka, dżinsy, buty, które zwykle wkładam do pubu albo do chodzenia po domu. Nie miałem na sobie tego wcześniej. W którymś momencie pomiędzy pościgiem za Catrin po nabrzeżnej szosie a wylądowaniem w tym miejscu byłem w domu.

Wokół dziwnie ciemno. Zero gwiazd, księżyc, poświaty zapowiadającej wschód słońca. Wciskam podświetlenie w swoim zegarku i ten nagły błysk zamienia się w wybuch ognia wojennego.

Wydiera mi się okrzyk przerażenia, rozglądam się w panice. Potem biorę głęboki wdech i mówię sobie, że już po wszystkim. Że atak wspomnień i wydarzenia, które je wywołują, minęły. Jednak to nie takie proste.

Trzynasty czerwca 1982 roku. Szturm na wzgórze Wireless Ridge. Mój oddział zdążył już ponieść znaczne straty w bitwie o Goose Green, nie byliśmy gotowi na kolejne długie starcie. Czekaliśmy, w błocie. Strzały ucichły. Rozkaz, który musiałem wydać: „Szykujcie bagnety, chłopcy. Jeńców nie bierzemy”.

Na sygnał dowództwa ruszamy. Szarża w mroczny koszmar. Nie mamy pojęcia, gdzie jest nieprzyjaciel, nie znamy terenu. Docieramy do śmierdzącego błocka zasieków wroga i okazuje się, że są opuszczone. Idziemy dalej, mój głos popędza chłopaków. „Naprzód. Nie zatrzymujcie się. Zróbmy to. Po to tu jesteśmy”. Kluczem do zwycięstwa w bitwie jest szybkie parcie do przodu, bez zważania na straty w ludziach.

Wzywamy wsparcie artylerii, co ma tragiczne konsekwencje. Spadają na nas szrapnele, więcej ludzi tracimy od własnego ostrzału. „Idziemy dalej, chłopcy. Do tego nas wyszkolono”. Jakby dałoby się kogokolwiek przygotować na takie piekło. Przerażony młody Argentyńczyk wyskakuje tuż przed nami, ręce w górze.

Żadnych jeńców.

Nie da się tego wytłumaczyć tym, którzy nigdy nie byli na wojnie, którzy znają na pamięć konwencje genewskie, ale nie mają najmniejszego pojęcia, co to znaczy znaleźć się we wrogim otoczeniu, że w ogniu walki nie bierze się jeńców. Do pojmania i zabezpieczenia jednego żołnierza wroga trzeba trzech ludzi, a wszyscy są potrzebni w walce.

Przed nami stoi dzieciak. Nastolatek, błaga, żeby go nie zabijać.

– Zastrzel go! Kurwa, zastrzel.

– Ty go zastrzel!

Nadzieja niknie w oczach chłopaka. Nikt nie potrafi się zdobyć na to, żeby zabić wystraszone dziecko. Pojedyncza kula. Ostre szarpnięcie bagnetu. Dzieciak przewraca się w błoto. Moja kula. Mój bagnet. Czasami człowiek musi wziąć na siebie odpowiedzialność.

Pocę się, chociaż jest zimno. Trzęsę się po ataku wspomnienia, które mnie zawsze przeraża. Dla mnie najgorszym momentem wojny była ta noc, gdy zabiłem przerażone nieuzbrojone dziecko.

Kiedy spotykałem się z Catrin, często wspominała ulubiony poemat swojej przyjaciółki Rachel, a że fascynowało mnie wszystko, co dotyczyło Catrin, to zajrzałem do tego utworu. Długi, tyle pamiętam, i jeszcze, że prawie nic nie rozumiałem, ale trzy wersy mocno wbiły mi się w pamięć.

*Jak brzemię – oko znużone me niosło*

*Nieboskłon, morze, morze i nieboskłon;*

*U mych nóg byli trupi.*

Chciałbym zapomnieć te trzy linijki. Nie potrafię. Wiem, jak to jest być otoczonym martwymi ludźmi. Potykać się o nich, przechodzić po nich. Są chwile, gdy mi się wydaje, że trupy nadal leżą u

moich nóg.

Znowu zerkam na zegarek. Po drugiej w nocy. Sięgam do kieszeni kurtki i dziękuję Bogu, że wciąż tam jest – mój szwajcarski nóż z wojska – bo ma dołączoną małą latarkę.

Jestem przy ścieżce wyłożonej kamieniami, tej, która przecina szosę do Estancii. Mogę nią pójść. Idzie się po niej strasznie, ale przynajmniej nie zabłądzą. Wyruszam, trzymam się skraju dróżki, co kilka sekund świecę latarką na kamienie, żeby mieć pewność, że nigdzie nie zboczę. Koszmarne obrazy w mojej głowie zaczynają już blaknąć. Ucisk w piersi odpuszcza.

Próbuję sobie przypomnieć ostatnią rzeczywistą rzecz, jaką zapamiętałem sprzed ataku. Catrin. Na wzgórzu, w pobliżu domu Grimwoodów. Jadę za nią z powrotem do miasta. Widzę, że jej łódź odbija z portu. Świadomość, że nie mam jak za nią popłynąć. Sądząc po tym, jak jestem ubrany, wiem, że na krótko wróciłem do domu, wykąpałem się i przebrałem, i teraz przypominam sobie Globe. Dotarłem tam nie później niż o czwartej po południu. Było tam kilku ludzi z floty rybackiej. Kilka osób z terenu. Jacyś żołnierze po służbie z bazy. Dowiedziałem się, że Stopfordowi udało się przekonać kapitana wycieczkowca, żeby został w porcie jeszcze jedną noc, jednak później komisarz będzie potrzebował nakazu sądowego, żeby przytrzymać statek.

Zacząłem od piwa, szybko przerzuciłem się na szkocką. Pamiętam występ kapeli, a żadna nigdy nie zaczyna grać przed ósmą. Nie mam zielonego pojęcia, o której wyszedłem z tawerny.

Przede mną wyłania się jakiś kształt, konkretniejszy niż noc, jaśniejszy niż zbocze wzgórza, na którym stoi. Mój land cruiser.

Na wyspach uchodzę za postać niekonwencjonalną z kilku powodów, a jednym z nich, wcale nie najmniej istotnym, jest mój gust w kwestii samochodów. Patriotyczni tubylcy najczęściej wybierają brytyjskie land rovery, sporadycznie range rovery lub land rovery discovery. Moja toyota land cruiser, FJ40 z 1974 roku, którą odkupiłem od sprzedawcy aut w Teksasie, jest tutaj jedyna tego typu.

Wsiadam na siedzenie kierowcy, ściągam kurtkę, odnajduję koc – ten sam, którym wczoraj w nocy okryłem Catrin i Archiego – i zarzucam go na siebie. Gdzieś w najbliższej przyszłości czeka mnie nielichy kac, w odpowiednim momencie da o sobie znać.

Migawki z przeszłości prawie się już nie pojawiają, najgorsze obrazy wygasły. A jednak zostało coś jeszcze, coś, co się utrzymuje. Inne wspomnienie, o wiele świeższe. Stoję na wzgórzu nad Port Fitzroy. Wciąż jest jasno, patrzę na łódź Catrin, daleko w dole w zatoce.

Prawda czy zwidy? Po co, u diabła, miałyby wracać do miejsca, gdzie kilka dni wcześniej znaleźliśmy zwłoki? A jeśli wspomnienie jest prawdziwe, to kiedy to było? Przed tawerną czy już po wyjściu? Że jest jasno, nic nie znaczy. O tej porze roku zmierzch zapada o dziesiątej. I jeśli faktycznie widziałem łódź Catrin zakotwiczoną w tej zatoce, czy wciąż tam jest?

W końcu docieram do szosy i jadę do Stanley. Przede mną jeszcze jakiś kilometr drogi, gdy orientuję się, że coś się stało, a tak jestem w tym momencie zaabsorbowany sobą, że mam pewność, że to coś związanego ze mną. Musiałem wcześniej spowodować wypadek. Zamroczony alkoholem i ponurymi wspomnieniami walnąłem kogoś i zupełnie tego nieświadomy odjechałem. Widzę niebieskie migoczące światła. Tak, to mnie szukają.

Zjeżdżam w dół do portu, oczekuję, że usłyszę okrzyki rozpoznania, że drogę zajedzie mi patrol policji. O prawie trzeciej nad ranem knajpka Bob-Cat jest otwarta.

W stronę posterunku policji maszeruje pluton żołnierzy.

Parkuję i z powrotem wkładam przemokniętą kurtkę. Jeśli szczęście mi dopisze, może uda mi się wciągnąć gorącą kawę, zanim mnie zatrzymają.

– Patrzcie, kogo tu diabli przynieśli. – Bob-Cat odstawia kubek na bar i podnosi dzbanek z kawą, co jak sądzę, bije na głowę sprint do drzwi i okrzyk: „Jest tu, on tu jest!”

– Co się dzieje? – Sięgam po kawę, niemal zanim zdąży ją nalać.

– Dla twojej informacji, kiedy mężczyzna proponuje, że postawi mi drinka, zwykle zostaje na tyle

długo, żeby za niego zapłacić. – Dolewa mleka do kawy i wrzuca dwie kostki cukru. Nie piję kawy z cukrem. Bob-Cat o tym wie. – Gdybym przypuszczała, że ja będę regulować rachunek, zamówiłabym małego lagera.

To napawa nadzieją, myślę, że Bob-Cat ciska się głównie o to, że oszabiłem ją na drinku.

– Pamiętasz może, o której wyszedłem?

– Zniknąłeś między zamówieniem dla mnie drinka a zapłaceniem za niego. Wisisz mi, kochany, pięć sześćdziesiąt.

Nie licząc półtora funta za kawę, domyślam się, że jestem winny Bob-Cat za duże bacardi z colą. Zwracam jej pieniądze, myśląc sobie, że tanio się wymigałem. A jednak nadal nie mogę się otrząsnąć z tego uczucia, że bez względu na wszystko, co do tej pory przeszedłem, nadciąga coś jeszcze gorszego.

– Co się dzieje? – ponawiam pytanie, kiedy już uznaję, że znowu jesteśmy w dobrych stosunkach.

Posyła mi spojrzenie: „A ty co, z choinki się urwałeś?”

– Nie, no poważnie. – Pokazuję na zewnątrz. – W tym wszystkim nie może przecież chodzić o niezapłacony rachunek.

Jej oczy zamieniają się w szparki.

– Myśleliśmy, że dostałeś od kogoś ostrzegawczy cynk. I że dlatego dałeś dyla.

– Ostrzegawczy cynk? Czyżby Argentyńczycy zamierzali wracać?

Stojący na zewnątrz żołnierze wyraźnie są zdecydowani, aby do nas dołączyć. Przeszępują z nogi na nogę, strząsają deszcz z kołnierzy kurtek. Drzwi się otwierają i uderza w nas powiew wilgotnego chłodnego powietrza.

– Dasz nam jakąś kawkę, kochanieńka?

– Już robię. – Bob-Cat odwraca się do mnie plecami.

Wstaję, przełykam resztkę kawy i wychodzę. Na wzgórzu, przed biurem gazety Rob Duncan trzyma w górze parasol. Osłania nim jakąś kobietę. Pomaga jej zająć miejsce pasażera w samochodzie. Kobieta wygląda tak, jakby miała zemdleć, trzyma się na nogach tylko dzięki wsparciu mężczyzny u jej boku. Potem drzwi się zamykają, Rob uderza w dach i auto odjeżdża.

Zatrważająco znajomy widok. Widzę to w zaszokowanych twarzach ludzi śpieszących od jednego niewystarczającego schronienia do następnego. Widzę to w przyspieszonych ruchach policjantów, którzy trzaskają drzwiami wozów patrolowych i biegną na posterunek, podnoszą ręce, żeby się odciąć od pytań.

Ludzie zbierają się w magistracie, więc też tam idę. W środku widzę, że utworzyły się dwie oddzielne grupy. W czerwonym narożniku przyjezdni. Tu jest ojciec Archiego Westa, ma rozpalony wzrok i tym razem energię w ruchach, z której ostatnio był zupełnie pozbawiony. W niebieskim narożniku, przy ladzie dla interesantów, stoją miejscowi. Niektórych nie znam zbyt dobrze. Zastanawiam się, czy przybyli z Port Howard, może to rodzina Freda Harpera. Wszyscy są zmoknięci. Nikt nie pomyślał o włączeniu ogrzewania, więc zimno tu prawie tak jak na zewnątrz. Mam chwilę, żeby podziękować losowi – choć wciąż jestem przemoczony, to ludzie uznają, że też biorę udział w poszukiwaniach.

Skąd wiem, że toczą się nowe? Że zniknęło kolejne dziecko? Po prostu wiem.

Ruszam w kierunku grupy, którą znam. Terry z mojej drużyny piłkarskiej. John, który pracuje z Catrin w funduszu, Chad ze sklepu z narzędziami. I ktoś jeszcze, jedna, dwie osoby. Sami faceci.

– Jakieś wieści? – To pytanie wydaje się najbezpieczniejsze.

Kilku wytrzeszcza na mnie oczy. Jeden spuszcza wzrok na podłogę. Potem słychać głos z tyłu.

– Cóż, mamy nadzieję, że ty i moja była żona dokonacie kolejnego z waszych cudów.

Przeklinam siebie, że nie rozejrzałem się dokładniej. Nie dostrzegłem Bena Quinna. Stał za Chadem, ale teraz wychodzi naprzód i patrzy na mnie. Unikam byłego męża Catrin, jeśli mogę.

Nabrałem tego nawyku, jeszcze zanim zacząłem się z nią spotykać. Staram się nie patrzeć na niego, nie rozmawiać z nim, nawet nie przebywać w tym samym pomieszczeniu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio my dwaj nawiązaliśmy kontakt wzrokowy, tak jak to się dzieje w tym momencie. Nie zmienił się bardzo. Hiszpańskie oczy, śniada cera. Ciemne włosy, tam gdzie jeszcze nie dotknęła ich siwizna. Mały Kit był do niego podobny tak bardzo, że się zastanawiam, jak Catrin mogła potem wytrzymać z Benem. Quinn jest szczupły. Pewnie też w całkiem niezłej formie, mimo to kilka kilogramów ode mnie lżejszy. Nawet na lekkiej bańce spokojnie bym go rozłożył. Fakt, że mam na to ochotę, wynika właśnie z tego, że jestem na lekkiej bańce. Przynajmniej taką mam nadzieję, bo jak to o mnie świadczy, jeśli jest inaczej? Przecież nie mogę mieć pretensji do faceta o to, że traktuje mnie jak dupek. W końcu przeleciałem jego żonę.

O ile wiem, to, co się wydarzyło między mną a Catrin, nigdy się nie przedostało do publicznej wiadomości, ale jeśli ludzie rozpuścili plotki, istnieje prawdopodobieństwo, że Ben je słyszał. Nieistotne. Ostatecznie to on odszedł od Catrin.

– Zakładam, że szopa, w której był przetrzymywany Archie West, została sprawdzona. – Nie adresuję tego bezpośrednio do Bena, ale nie spuszczam z niego oczu, bo to by wyglądało, jakbym mu ustępował pola, a nagle mi bardzo zależy, żeby tak nie było.

– Zajrzeliśmy do niej w pierwszej kolejności. – Odpowiedzi udziela Chad. Ben i ja mierzymy się spojrzeniami jak para napakowanych testosteronem małolatów.

Nadal nie wiem, czyje dziecko zaginęło. Nie żeby to miało szczególne znaczenie. Nie znam większości dzieciaków w Stanley.

– Jeśli wiesz, gdzie jest Catrin, to powiedz, bo trochę się martwimy – rzuca John. – Nikt nie mógł się z nią skontaktować od południa.

– Nie widziałem jej od czasu, gdy podrzuciłem ją rano do domu – odpowiadam. To trochę naciągana prawda.

Odwiozłem Catrin jeszcze w nocy, ale cieszę się, że mam okazję podkurzyć jej byłego. Widząc, że jego oczy mrużą się jeszcze bardziej, uznaję, że zachowuję się jak palant. Kiwam głową na pożegnanie i wychodzę. Po kilku krokach w mrok czuję na ramieniu dotyk dłoni. Nie ma nic przyjaznego w sposobie, w jaki ta dłoń mnie zatrzymuje. Odwracam się. I wcale nie jestem zaskoczony, gdy stwierdzam, że wyszedł za mną Quinn. Cóż, wiedziałem, że ten dzień kiedyś nastąpi.

– Ona ma pretensję do ciebie, wiesz? Za to, co spotkało naszych synów.

Szykowałem się na cios, przez sekundę zastanawiałem się, jak bardzo byłbym usprawiedliwiony, gdybym koleśowi oddał. Ale tego się nie spodziewałem.

Kręcę głową.

– Mylisz się. Ona dopiero kilka dni temu się dowiedziała, że to ja wyciągałem chłopców. – Czy powinienem mu powiedzieć, że mi przykro z powodu jego straty, że dzieciaki były wspaniałe? Dochodzę do wniosku, że jeśli to zrobię, już na pewno mnie zdzieli.

– Nie mówię o twojej wielkiej próbie ratowania ich. Byłeś bohaterem tamtego dnia. Wszyscy wiemy. Mówię o tym, że tak jak to widzi Catrin, ona się pieprzyła na boku i chłopcy zginęli za karę.

– To jakaś brednia.

Ben dziwnie mruga, powoli, przymyka powieki o ułamek sekundy za długo.

– Oczywiście, że brednia. Ale dla pomieszanego umysłu mojej byłej żony to ma sens. To, co robiła z tobą, kosztowało ją życie własnych dzieci. Więc jeśli oddajesz się jakimś sentymentalnym mrzonkom o szczęśliwym zakończeniu, to na twoim miejscu bym o tym zapomniał.

Nie mogę go uderzyć. Gdybym zaczął, nigdy bym nie przestał. Wtedy Catrin miałaby do mnie pretensję również o to, że zabiłem jej byłego męża.

– Czyje dziecko? – pytam, bo muszę popchnąć tę wymianę zdań dalej, a to się wydaje równie dobrym sposobem jak każdy inny.

– Słucham?

– Czyje dziecko zaginęło? Nie było mnie w Stanley cały wieczór. Czyje dziecko zostało porwane?

Odsuwa się, kręci głową, jakbym nie był już więcej godzien jego uwagi. Ale odpowiada na pytanie. Wracając do budynku, woła przez ramię.

– Peter Grimwood. Najmłodsze jej przyjaciółki Rachel.

# DZIEŃ PIĄTY

## piątek, 4 listopada

17

Biegnę w górę wzgórza. Ludzie się gapią. Myślą, że coś wiem. Jestem głupi, ściągam na siebie uwagę, ale muszę biec, inaczej dopadną mnie wątpliwości. Posterunek nie wchodzi w grę. Jeśli udałoby mi się dorwać Skye samą, prawdopodobnie zdołałbym wyciągnąć od niej podstawowe fakty, ale nie w obecności jej kolegów.

Peter Grimwood. Widziałem go parę razy w tym tygodniu. Jego i jego matkę. Kilka dni temu wystraszył mnie prawie na śmierć pistoletem zabawką. Śmieszny dzieciak. Trochę nieśmiały i nie odstępował matki na krok, pomyślałem wtedy.

Zaginęło dziecko Rachel? To nie wróży nic dobrego. Pod żadnym względem.

Łomoczę w drzwi biura gazety i sekundę potem je otwieram. Wiem, że oni wszyscy wciąż tu są, widziałem ich przez okno, kiedy przebiegałem. Cathy nachyla się nad biurkiem. Mabel, w różowym welurowym dresie, stoi w drzwiach kuchni, a Rob na środku pokoju. Cała trójka gapi się na mnie. Dzwoni telefon. Nikt nie zwraca na to uwagi.

– Rob, chłopie. Co mogę zrobić?

Podnosi rękę, żeby usunąć z oczu wymaginowane kosmyki włosów.

– Wracaj do domu. Sprawdź szopę, składzik na torf, garaż, przeszukaj krzaki. Wszystkie miejsca, gdzie mógł się ukryć taki brzdąc. Potem wróć tu z samego rana, żeby dołączyć do poszukiwań. My tylko tyle możemy zdziałać.

W tym momencie wygląda na swoje siedemdziesiąt kilka lat.

– Możesz po drodze zabrać Roba do domu – odzywa się Cathy. – Albo jeszcze lepiej do Rachel. Nie powinna być teraz sama.

– A gdzie Sander? – To mąż Rachel, urzędnik ONZ-owskiego Sekretariatu.

– Wyjechał – odpowiada Rob. – Przylatuje jutro. A Rachel nie została sama. Jest z nią Jan.

Spojrzenie, jakie wymieniają Mabel i Cathy, mówi mi, że nie oceniają wysoko umiejętności Jan, gdy chodzi o pomoc córce w sytuacjach kryzysowych. Prawie nie znam matki Rachel, ale słyszałem, że ma skłonności do dramatyzowania.

– Jan nie da sobie sama rady i z Rachel, i z chłopcami – rzuca Mabel. – A my tu przecież praktycznie nie odbieramy telefonów.

Jak na zawołanie telefon znowu się odzywa. Rob wyciąga rękę po słuchawkę, ale jego matka

powstrzymuje go ostrym „nie”. Przechodzi do rzędu wieszaków na ścianie i zdejmuję kurtkę.

– Nie jesteś w tej chwili dziennikarzem, Robercie, tylko obiektem zainteresowania dziennikarzy. Ty wiesz najlepiej, w jakie bagno się wpakujesz, jeśli zaczniesz gadać z ludźmi, którzy mogą cię cytować. Masz. – Podaje mu kurtkę. – Callum zawiezie cię do domu. Ja wrócę z Cathy. Ostatnie dziecko się odnalazło całe i zdrowe, Peter też się odnajdzie.

– Przejeżdżałem dzisiaj obok domu Rachel – mówię, gdy już opuszczamy miasto. – O której zaginął Peter?

– Gdzieś po czwartej. Kiedy wszyscy oglądali zaćmienie Słońca. – Rob nagle przestaje patrzeć w moją stronę. – Cathy akurat podrzuciła starszych chłopców ze szkoły do domu. Rachel zadzwoniła na policję o wpół do piątej, po tym jak ona i starsi synowie przeszukali dom i ogród.

Mejl ze zdjęciem Catrin przyszedł krótko przed trzecią po południu. Do Stanley przyjechałem jakąś godzinę później. Musiało być koło czwartej, kiedy ścigałem samochód Catrin w górę wzgórza.

– O której tamtędy przejeżdżałeś – pyta Rob. – Widziałeś Petera?

– Byłem wcześniej – kłamię. – I nie, nie widziałem go – dodaję szczęśliwy, że to akurat jest zgodne z prawdą.

Sunę na wzgórze tą samą szosą, po której zaledwie kilka godzin wcześniej jechałem za Catrin. O ile mnie wyprzedzała? O kilka minut? Dziesięć? Wystarczy, żeby dotrzeć na podjazd domu Grimwoodów, tak jak teraz ja, zawrócić na otaczającym dom rozmokłym błocie i potem pędem zjechać z powrotem. Staram się sobie przypomnieć, czy dojechałem aż tak daleko, ale nie potrafię. Tak dużo z tego popołudnia zabrał mi napad wspomnień. Ale w tym miejscu najłatwiej zawrócić, więc pewnie tu byłem.

Zanim się zatrzymuję, manewruję na podjeździe, w przód i w tył, jakbym próbował zatrzeć wcześniejsze ślady swoich opon. Cholera, w co się bawię? Rob wyskakuje, gdy tylko zaciągam hamulec. Znika w domu, nie zdążam się nawet pożegnać, więc nie pozostaje mi nic innego, tylko za nim pójść.

Wchodzę do środka, jestem wdzięczny przynajmniej za jedno. Rob właśnie mi przypomniał o wczorajszym zaćmieniu. Wiedziałem, że miało być – każdy wiedział – tylko z tego wszystkiego po prostu o nim zapomniałem. Miło jednak zdać sobie sprawę, że ta dziwaczna niezapowiedziana ciemność to było zjawisko naturalne, a nie znak zbliżającego się u mnie obłędu.

W świetle dnia dom Grimwoodów wygląda naprawdę ładnie, może nawet jest najładniejszy w Stanley. Stoi wysoko nad Surf Bay w otoczeniu dużego, rozciągniętego na spadzistym terenie ogrodu. W kuchni roznosi się woń rozpuszczalnej kawy, zupy ogonowej i przypalonych grzanek. Czuję się niezręcznie, że znalazłem się tu bez zaproszenia, ale jeszcze bardziej krępuję się zniknąć bez pożegnania, więc szukam Roba. Odnajduję go w salonie, gdzie jego żona Jan kuli się pod kocem z Christopherem, najstarszym wnukiem.

– Jakieś nowe wieści? – Jan mnie spostrzega i jej oczy się rozszerzają.

– Callum przejeżdżał tędy wcześniej za dnia. – Rob odwraca się do mnie. – Mówiłeś o tym Bobowi Stopfordowi?

– O której? Byłeś sam?

– Trochę przed czwartą – odpowiadam Jan. – Tak, byłem sam. I nie widziałem Petera. Ze Stopfordem też jeszcze nie rozmawiałem. Cześć, Chris. Jak się czuje twoja mama?

Kilka miesięcy wcześniej miałem w szkole chłopca pogadankę na temat przyszłości technologii informatycznych, mówiłem o tym, jak pewnego dnia domowe komputery odmienią nasze życie i świat. Chris był jednym z najbłyskotliwszych słuchaczy i rozmówców, jednym z najbardziej zainteresowanych.

Twarz mu pobladła.

– Myślę, że poczuje się lepiej, jak wróci tata.

– Nie powinieneś być już w łóżku? – pyta go dziadek.

– Nie mogę zasnąć. Michael przyszedł do mnie i strasznie się rozpycha.

Spoglądam na zegarek. Tuż po czwartej nad ranem. To oznacza, że od zaginięcia Petera minęło prawie dwanaście godzin. Jan ściślej okrywa się kocem, zarzuca go sobie na ramiona.

– Może rozpalę? – Spoglądam na piecyk na torf. Zamieciony i oczyszczony, z boku w koszu leżą drewnianka na rozpałkę. Wszystko przygotowane, a ja będę miał czym zająć ręce. – Wiesz, gdzie są zapałki, Chris?

Idę za chłopcem do kuchni. Zapowiada się, że będzie wysoki. Jego ojciec Sander jest wysoki. Podobnie Rachel, stosunkowo, jak na kobietę. Chris był zawsze kilka centymetrów wyższy od Neda.

– Kiedy ostatni raz widziałeś Petera? – pytam, gdy jesteśmy poza zasięgiem słuchu dorosłych.

– Był w łóżeczku, jak wróciłem ze szkoły. Miał mokro. To go przebrałem.

– A potem co?

– Michael mnie zawołał. Chcieliśmy iść na plażę oglądać zaćmienie.

Jego wzrok ucieka przed moim. Myśli, że narozrabiał. Zbyt szybko wybiegł z domu i jego malutki brat nie mógł za nim nadążyć. Teraz chłopak się obwinia. Wysuwam krzesło i siadam. Twarz mam na wysokości twarzy dzieciaka.

– Gdzie była mama?

– Leżała. W swojej sypialni. Prawie zawsze tam jest, kiedy wracamy do domu. To ty znalazłeś tamtego innego chłopca, prawda? Będziesz też szukał Petera?

– Oczywiście, wszyscy będziemy szukali. Sprowadziłeś go na dół?

– Zniosłem – poprawia mnie. – Potem postawiłem. Jest dość ciężki.

– To mały pulpet – wtrąca się Rob. – Sam ledwie go podnoszę.

– I co potem, kolego?

– Pobiegłem do Michaela. Na plaży mamy kryjówkę. Bawimy się w niej. Byliśmy tam, aż usłyszeliśmy, że mama nas woła. To wtedy się dowiedzieliśmy, że Peter zniknął.

– Rachel zawiadomiła policję o czwartej trzydziści – dodaje Rob.

Chris patrzy na mnie.

– Dla Petera też rozpalą ogniska? Tak jak dla tego drugiego chłopca?

Wstaję z krzesła.

– Dzisiaj jest trochę za mokro na ogniska. Ale ten drugi chłopczyk jest zdrowy i już bezpieczny. Pamiętaj o tym.

Chris stoi dalej tam, gdzie stał.

– Ale z Jimmym tak nie było, co?

Wymieniamy z Robem spojrzenie. Żaden z nas nie przygotował na to odpowiedzi.

– Wczoraj policja przeszukała wrak w zatoce. – Chris ma teraz zadziorną minę. Wie, że to temat, którego nie chcemy poruszać. – Szukali tego innego dziecka. Tego z Zachodniego Falklandu. Razem to już czterech.

– Do łóżka – rzuca Rob z braku pomysłów na inne rozwiązanie.

– Zaprowadzisz mnie? – zwraca się do mnie Chris.

– Ja cię zaprowadzę. – Jego babcia stoi w drzwiach i nam się przygląda.

Po tym jak Rob skinął głową na zgodę, a Jan ze zniecierpliwieniem wzruszyła ramionami, ściągam buty i idę za dzieciakiem na górę, nie bez pewnej obawy. Nie mam żadnego doświadczenia w obcowaniu z dziećmi.

Na piętrze widzę czworo otwartych drzwi i jedno zamknięte. Domyślam się, że za tymi zamkniętymi jest Rachel. Chris zatrzymuje się w progu pierwszych, potem przechodzi dalej. Idę za



nim, w pokoju widzę skuloną postać w pojedynczym łóżku. Następna z kolei sypialnia należy do Petera. Zaglądam do środka i włączam światło.

Wejście powinno być chyba oklejone taśmą? Tak jak miejsce przestępstwa? Postanawiam niczego nie dotykać, nachyliam się nad łóżeczkiem. Czuję zapach moczu. Trudno powiedzieć w tym świetle, ale wydaje mi się, że dostrzegam plamę na pościeli, w miejscu gdzie przeciekła pielucha Petera. Na podłodze leży materacyk do przewijania, na nim u góry otwarta paczka pieluch. Zostały tylko trzy sztuki. Jedna zużyta leży w kącie pokoju.

Doganiam Chrisa w trzecim pomieszczeniu.

– To sypialnia Michaela – wyjaśnia, co tłumaczy plakaty i zabawki, które wydają się zbyt dziecinne jak na niemal nastolatka. – Będziesz szukał Petera, prawda?

– Tak. Wszyscy będą – znów zapewniam.

– A gdzie?

– Myślę, że zaczniemy w pobliżu domu. Jeśli oddalił się sam, nie odszedł daleko.

– Przeszukaliśmy ogród. Michael i ja zagląдалиśmy wszędzie. Zeszliśmy też na plażę. Patrzyliśmy nawet w starej szopie na łodzie. Jego tu nigdzie nie ma.

– Chris, jeśli sobie coś przypomnisz, cokolwiek, musisz o tym powiedzieć policji. Albo mnie, jeśli wolisz. Obiecujesz, że tak zrobisz?

Kiwa głową i kładzie się do łóżka.

– Mamie nic nie będzie? – pyta, kiedy wychodzę z pokoju.

Nie pamiętam, co odpowiedziałem, wiem tylko, że obejrzałem się na drzwi sypialni Rachel i pomyślałem, że może śpi, że zrobiła sobie kilka godzin przerwy od tego wszystkiego i jedynie dlatego się nie pokazała. Taką miałem nadzieję.

Zbliżając się do salonu, słyszę urywki rozmowy i od razu się orientuję, że nie jest przeznaczona dla moich uszu.

– ...kto jak kto, ale zwłaszcza on nie powinien tu przychodzić!

Otwieram drzwi. Nadal jestem bez butów i choć wielki ze mnie facet, poruszam się cicho. Oboje, Rob i Jan, odwracają się, na ich twarzach maluje się zaskoczenie i coś jeszcze. Coś, co jak sędzę, nie jest wyrazem niepokoju o wnuczka. Rob bez zapału usiłuje wzniecić ogień. Nie zważając na atmosferę, usuwam go z drogi i w kilka sekund rozpalam w piecyku.

Bywałem już kiedyś w tym domu, ale przed laty. Z wizyt zapamiętałem dobrej jakości meble i niezłe obrazy na ścianach. Wieczorami zapalano świece, pokoje czymś aromatyzowano. Zawsze stały tu jakieś kwiaty. Rzeczy dzieci było widać, ale nigdy więcej niż jedną, dwie porzucone zabawki. Dzisiaj salon wygląda tak, jakby nikt od tygodni nie zawracał sobie głowy tym, żeby w nim sprzątnąć, zresztą w całym domu roznosi się nieprzyjemny zatechły zapach. To coś więcej niż tylko kilkugodzinne zaniedbanie przerażonej matki.

– Co z Rachel? Jak ona to znosi?

Jan i Rob wymieniają się spojrzeniami.

– Chyba jest w szoku – odpowiada Robert. – Roztrzęsiona. Ledwie się trzyma, chociaż się stara, ze względu na starszych chłopców. Ale...

– Rozumiem, że Sander wie?

– Rozmawiałem z nim – potwierdza Bob. – Niełatwo mówić takie rzeczy przez telefon, ale musiał się dowiedzieć.

– O której dokładnie przejeżdżałeś tędy po południu? – Jan nie czeka, aż odpowiem. – Wiemy, że wyszedłeś z biura gazety zaraz po czwartej, nie mogłeś tu być wcześniej. Jechałeś z Catrin Quinn?

Nie mam nic wspólnego ze zniknięciem Petera, a jednak nagle czuję się winny jak cholera. Jan cofa się w stronę drzwi kuchni, a do mnie dociera, że robi to, bo chce mieć bliżej do telefonu.

– Z Catrin? – Podnoszę się z kucek.

– Rachel zauważyła ją tu dzisiaj po południu. – Rob nie ma już śmiałości na mnie patrzeć. – Na sekundy przed zniknięciem Petera. Tuż zanim się zrobiło ciemno. Widziała, jak Catrin bierze go na rękę. Ale kiedy wybiegła przed dom, obojga już nie było.

– Szuka jej policja. Znajdą ją. I jeśli skrzywdziła mojego wnuka...

Rob kładzie dłoń na ramieniu żony.

– Przepraszam, jesteśmy zdenerwowani. Może lepiej, jeśli...

Nie potrzebuję, żeby kończył. Odnajduję buty, wkładam je i opuszczam dom.

– Oczywiście mamy nadzieję, że to nieporozumienie. – Rob wyszedł za mną na zewnątrz.

– Jakie nieporozumienie, Rob? Rachel ją widziała. – Jan podchodzi do mnie i chwyta moją rękę. –

Minęła doba od czasu, gdy rzekomo znalazła tamto drugie dziecko. Było na jej ziemi, należącej do niej. I te wieloryby, które zabiła. Nie wspominając martwego dziecka na wraku. Nikt nie wierzy, że to przypadek. Z nią nie jest dobrze, Callum. Musisz nam pomóc znaleźć Catrin, zanim zrobi coś straszego.

Tylko z jedną myślą w głowie pędzę do portu. Samochód Catrin tu stoi, ale łodzi nie ma. Więc kieruję się na wzgórze rozciągające się nad Port Fitzroy. Mrok na niebie zaczyna powoli łagodnieć. Jadę dalej i zjeżdżam z szosy, w stronę klifu. Za dnia mógłbym podjechać do samej krawędzi. W tym półmroku to wydaje się ryzykowne, ale muszę wiedzieć, czy jej łódź jest w dole w zatoce.

Podjeżdżam na tyle blisko, na ile starcza mi odwagi, potem wysiadam.

Przemarznięty do szpiku kości ledwo chodzę, chociaż koc z samochodu trochę pomaga. Idę dalej. Dokoła mnie robi się coraz jaśniej.

Tak blisko skraju urwiska wiatr wieje jak szalony. Szarpie kocem, jakby chciał mi go wyrwać. W dole otoczona skałkami ostrymi jak kły, między wirującymi obłokami pary, we wzburzonym morzu stoi łódź Catrin.

Na pokładzie nie widać znaku życia, żadnego ruchu, a ja nie mam jak się z nią skontaktować. Gdybym wezwał przez CB-radio, usłyszałyby to cały świat. Gdybym zszedł do portu, zwędził jakąś łódkę, żeby się do Catrin przedostać, zatrzymaliby mnie albo ktoś by za mną popłynął.

Moją uwagę przykuwa coś białego, co połyskuje na tle stalowej szarości. Duży biały ptak leci nisko, prawie dotyka skrzydłami powierzchni wody. Kiedy się zbliża do łodzi, wznosi się wyżej. Udaje mi się rozróżnić potężne, zakończone czernią skrzydła i zakrzywiony dziób. Ptak szybuje nad pokładem, a mnie przez głowę przemyka myśl, że wiele bym oddał, aby móc w tym momencie widzieć to, co on widzi.

– Co się dzieje tam na dole, Catrin? Co ty, do diabła, robisz na tej łodzi?

Rozważam, żeby zejść po zboczu i dopłynąć do łodzi wpław, ale wiem, że nie dam rady.

Powtarzam sobie, że Catrin nie skrzywdziłaby dziecka. Że przejechała wczoraj obok domu Grimwoodów i zobaczyła Petera, może bawił się w ogrodzie, może wyglądał zza płotu. I ten widok mocno ją poruszył, bo jej syn – mój syn – byłby niemal dokładnie w tym samym wieku. Tak nią to wstrząsnęło, że potrzebowała być sama. Uciekła tam, gdzie zawsze, kiedy chce się wyciszyć, w morze.

Ale jeśli widziała Petera, dlaczego ja go nie widziałem?

Wiatr spycha mnie w głąb lądu, jakby się bał, co mogłoby się wydarzyć, gdybym się znalazł na krańcu urwiska. Dostrzegam inną łódź, okrąża przylądek i zbliża się do łodzi Catrin. Policja. Znaleźli ją.

Oboje przejeżdżaliśmy obok domu Grimwoodów o mniej więcej czwartej po południu. Dziesięć minut później Rachel już szukała syna. Na tamtej drodze dziennie pojawia się nie więcej niż kilkanaście pojazdów. W ciągu dziesięciu minut miałyby przejechać aż trzy?

Poza tym Rachel twierdzi, że widziała, jak Catrin podnosi dziecko.

Catrin wycierpiała więcej niż ktokolwiek, kogo znam. Naoglądałem się cierpienia, wiem, jak wygląda, i nadal tak uważam. Ból zmienił ją nie do poznania, zniszczył, prawdopodobnie nieodwracalnie, mimo to i tak nie wyrządziłaby krzywdy dziecku.

Muszę w to wierzyć. Inaczej równie dobrze mógłbym rzucić się z tego klifu.

Policyjna Łódź zwalnia, podpływa do łodzi Catrin. Na powitanie wybiega pies. Potem pojawia się ona. Idzie wolno, wygląda tak, jakby się dopiero obudziła. Na wodzie zwykle energiczna, zwinna, zachowuje się, jakby była na środkach uspokajających. Chwyta rzuconą linę i ją przywiązuje. Przyglądam się, jak funkcjonariusz wspina się na jej łajbę, potem następny. I jeszcze jeden. Z Queenie na rękach, przy pomocy mundurowych przechodzi na łódź policyjną. Sprowadzają Catrin pod pokład, z ręką na jej głowie, żeby nie uderzyła w sufit. Nie widzę, żeby ją skuto, ale to dość oczywiste, co się dzieje. Catrin została aresztowana.

## 18

**W** drodze do Stanley, trzy godziny później, modłę się, żeby znowu zaczęło padać. Żeby była ulewa jak jasna cholera, burza z piorunami, huragan. Cokolwiek, co usunęłoby tych baranów z ulic. Ludzie są wszędzie. Knajpka Bob-Cat pęka w szwach. Została otwarta wcześniej. Tłum kłębi się nawet przed pocztą. Strumień ludzi wlewa się do ratusza i wylewa z niego. Dwa dni temu, kiedy szukaliśmy Archiego Westa, w mieście panowała atmosfera zaangażowania, była niemal namacalna. Wszyscy chcieli szukać dzieciaka. Teraz jest zupełnie inaczej, i nie chodzi o wyczerpanie współczuciem. Wielu z tych twarzy nie rozpoznaję, jestem przekonany, że to ludzie z wycieczkowca, na ląd ściągnęła ich chęć popatrzenia na coś dramatycznego.

Już wiadomo o zatrzymaniu Catrin. Jeśli ludzie myślą, że jest winna, będą czekali, aż policja wymusi na niej przyznanie się do winy, każe jej wyjawic, gdzie jest Peter. Nikt nie będzie go szukał.

Dochodzi ósma rano. Zaraz po tym, jak zobaczyłem zatrzymanie Catrin, oparłem się pokusie, żeby pognać prosto do miasta. Zamiast tego pojechałem do domu, wziąłem prysznic, przebrałem się w suche ciuchy, coś zjadłem. Próbowałem zachować spokój, wiedziałem, że Catrin, jak każdy inny aresztant, musi przejść przez całą procedurę: wpis do akt, pobranie odcisków palców, zdjęcie. Niewątpliwie zaproponowali jej też adwokata, i jeśli go zażądała – a mam nadzieję, na Boga, że to zrobiła – zajęło im co najmniej kilka godzin, zanim kogoś znaleźli i obudzili. Pierwsze przesłuchanie mogło potrwać godzinę, więc raczej już się czegoś dowiedzieli.

Do tej pory powinno być po tym całym gównie, początkowa ekscytacja, przynajmniej na posterunku, może przygasa. Będą mieli czas ze mną porozmawiać.

Głowy się odwracają w moją stronę, gdy parkuję. Już teraz ludzie żywią do mnie niechęć, bo jestem powiązany z kobietą, którą zgarnęła policja – o czym zdążyli się dowiedzieć. Boże dopomóż, jest nawet telewizja, przyjechali zrobić materiał o wyrzuconych na brzeg wielorybach, a natknęli się na całkowicie niespodziewaną rewelację. Jeden z gości z ekipy trzyma na ramieniu kamerę, inny dzierży duży włochaty mikrofon. Jakaś kobieta w brzoskwiniowym płaszczu ma takie włosy, jakby były wystrugane z drewna. Są w ciepłym odcieniu blondu, opływają jej twarz falami. Wiatr prawie zrywa jej chustkę z głowy. Fryzura się nie porusza. Ktoś daje im cynk; gdy wysiadam, rzucają się do

mnie.

– Panie Murray, pańska bliska znajoma Catrin Quinn została dziś rano zatrzymana. Jakiś komentarz w tej sprawie?

Przechodzę na bok, reporterka podskakuje przede mną. Jest bardzo mocno umalowana. Może to dobrze wygląda na ekranie, ale w realu groteskowo.

– Nadal pan twierdzi, że przypadkowo pan i ona znaleźliście Archiego Westa na wzgórzach dwa dni temu?

Znów ją wymijam, przy okazji niechcący następuję kamerzyście na stopę.

– Ty, koleś, uważaj – cedzi przez zęby.

– Co się stało? Uderzył cię? – Brzoskwiniowa panienska na chwilę o mnie zapomina, więc szybko odchodzę.

Ale paniusia znowu przede mną wyrasta.

– Co pan powie o zwłokach, na które natrafiliście we wtorek?

Na szczęście już jestem przy wejściu. Stoi tu posterunkowy na służbie. Brzoskwinka próbuje za mną się wcisnąć. Posterunkowy ją zatrzymuje.

– Cześć, Neil. – Kiwam do sierżanta przy biurku. – Jest u was Catrin?

Milczące skinienie. Za nami gang brzoskwiniowej laski wyklóca się, że mają takie samo prawo wejść na posterunek jak każdy. Policjant przy drzwiach nie ustępuje.

– Mogę się z nią zobaczyć?

Neil mruga, potem patrzy mi prosto w oczy.

– Siedzi na przesłuchaniu.

– Ma adwokata?

Spuszcza wzrok na kontuar. Nie jest pewien.

– Postawili jej zarzuty?

Puste spojrzenie.

– Kiedy mnie do niej wpuścisz?

Zerka w stronę wejścia.

– Wróc później.

Ktoś z gangu Brzoskwiniowej chce się dostać do środka. Posterunkowy Wykidajło czuje pewną rozterkę. Za moment zawahania płaci utratą placówki, do poczekalni wlewa się strumień nowo przybyłych. Sierżant Neil jest dezorientowany. Wykidajło zawstydzony. Za to były podporucznik Murray to sprytny sukinsyn. Cofam się i ukradkiem wślizguję do wewnętrznego korytarza.

Nie idę daleko, tylko do biura po prawej, gdzie stoi biurko Skye. Dziewczyna podnosi na mnie oczy.

– Neil mnie wpuścił – oświadczam. – W poczekalni straszny zamęt.

Kiwa głową, robi krzywą minę.

– Domyślam się.

Podchodzę do jej biurka, odsuwam krzesło i siadam.

– Skye, powiedz mi, co się dzieje z Catrin.

Czerwienieje i zaczyna się bawić guzikiem koszuli, jak zwykle ma problem, żeby nawiązać ze mną kontakt wzrokowy. Ludzie mi podszeptwali, że młoda funkcjonariuszka się we mnie podkochuje, i sam też to podejrzewałem. Nigdy nie wykorzystałem tej informacji, chociaż Skye jest jedyną kobietą na wyspie, z którą przy pocałunku nie nabawiłbym się kurczu szyi. Jednak dla mnie to przerośnięte dziecko. Ale skoro znam jej słaby punkt, to go wykorzystam.

Nachylam się do dziewczyny.

– Moja historia z Catrin to już stare dzieje, Skye. Bardzo stare, mimo to myślę, że znam ją lepiej niż ktokolwiek. Mogę pomóc.

Jest jeszcze na tyle niedoświadczona i gorliwa, że trudno jej zlekceważyć jakikolwiek trop.

– Chcesz złożyć zeznania?

– Jasne. – W razie czego coś wymyślę. – Najchętniej przed tobą. Ale najpierw muszę wiedzieć, co się dzieje. Czy Catrin została aresztowana?

Kiwa głową, z żalem.

– Jak dla mnie, trochę się z tym pospieszyli. Dopiero co ją sprowadziłam na przesłuchanie. Ale rozumiesz: niedawne porwanie Archiego Westa, to całe zainteresowanie mediów. Sądzę, że komisarz nie chciał ryzykować.

– Postawili jej jakieś zarzuty?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A fakty, Skye. Co macie?

Po raz kolejny kręci głową.

– Naprawdę nie mogę. – Potem wstaje, przechodzi do drzwi i je zamyka. – A co tam, u licha – rzuca. – Założę się, że i tak wie już całe Stanley. Bo czy tu kiedykolwiek utrzymało się coś w tajemnicy?

Czekam. Prawdopodobnie sprawiam wrażenie, że jestem opanowany, ale czuję presję czasu.

– Widziano, jak Catrin jedzie na wzgórze w kierunku domu Grimwoodów wczoraj krótko po szesnastej – mówi.

– Kto widział?

– Ktoś w stoczni. Dziesięć minut później zauważyli ją znowu, tylko tym razem jechała w przeciwną stronę, do portu.

Czekam, staram się nie naciskać.

– Zatrzymała się przed domem. Rachel Grimwood stała przy oknie w swojej sypialni. Widziała, jak Catrin wysiada, i widziała, że bierze Petera na ręce.

– Dzieciak mógł wyjść na drogę. To oczywiste, że Catrin by się w takiej sytuacji zatrzymała.

– Widziano ją... jak wsiada na swoją łódź z bardzo dużą torbą lub tobołkiem. – Skye naprawdę nie jest szczęśliwa, że musi przekazywać te złe wieści. – Coś, co z trudem dźwigała.

– A ona co mówiła, że co to było?

Kręci głową. Ta informacja nie wchodzi w skład tego, co wie.

– To wszystko? Przejechała obok domu, podniosła dzieciaka, bo stało na drodze, i wzięła ze sobą bagaż na łódź? – Nachylam się, wyciągam dłoń, jakbym zamierzał dotknąć dłoni dziewczyny, potem udaję, że się zastanowiłem i uznałem, że lepiej tego nie robić. – Słuchaj, to niebezpieczne. Twoi koledzy skupiają się na Catrin, a nikt nie szuka Petera. Widziałas ten cyrk na zewnątrz? Stoją tam, zamiast coś robić. – Wstaję z krzesła, przechodzę do okna i odwracam się plecami. – Pogoda się popsuła. Peterowi będzie dużo trudniej niż Archiemu. Małe dziecko nie wytrzyma długo na dworze w takich warunkach.

Jej twarz się kurczy, robi mi się żal Skye, ale stawką jest coś ważniejszego niż uczucia tej młodej funkcjonariuszki. Wykonuje nagły ruch, nie wygląda jednak na to, że zdecydowała się gdzieś stąd ruszyć. Strąca z biurka pojemnik na ołówki – spadają i rozsypują się na podłodze.

– Na wieczór zapowiadają sztorm – dodaję, chociaż to nieprawda.

– Wojsko jest gotowe do rozpoczęcia poszukiwań. – Przykuca, żeby pozbierać ołówki. Jestem prawie pewien, że uderzyła głową o brzeg biurka, ale przygryza wargę i się nie skarży. – Komisarz kazał im tylko poczekać, aż przesłuchamy głównego pode... porozmawiać z Catrin.

– Idiota.

– I jeszcze zespół nurków przeszukuje zatokę w miejscu, gdzie wczoraj stała jej łódź.

Wracam do biurka i podnoszę ołówek, który tam jeszcze został. Podaję go Skye i ujmuję jej dłoń. Jest duża i ciepła, zupełnie inna niż drobne, zawsze zimne dłonie Catrin.

– Kochana, zależy mi na dwóch rzeczach. Muszę porozmawiać z Catrin i chcę, żebyś jak najszybciej uruchomiła poszukiwania. Gdzieś tam jest inna kryjówka. Jakaś stara chata, sklepik, przybudówka. – Puszczam ją i się prostuję. – Posłuchaj, to oczywiste, że ten, kto porwał Petera, porwał też Archiego, a już wiemy, że sprawcą jest mężczyzna. – W mojej kieszeni wciąż leży lista, którą pokazałem Catrin we wtorek w nocy, ale nie muszę jej wyciągać. Przesłałem ją Skye mejlem wiele miesięcy temu. – Czterdziestu jeden mężczyzn między szesnastym a siedemdziesiątym piątym rokiem życia było obecnych zarówno na obchodach Dnia Sportu na Zachodnim Falklandzie, jak i podczas Święta Morsów. Część z nich nie będzie miała alibi na czas zaginięcia Archiego i Petera. Wystarczy rzetelne, staroświeckie dochodzenie i znajdziecie człowieka, który uprowadza dzieci, Skye. Sama go znajdziesz, nawet zaraz, teraz rano, jeśli się tylko do tego przyłożysz.

Podnosi się, drapie w głowę.

– Wiesz, prawdę mówiąc, Archie jest bardzo dezorientowany w kwestii tego, co się wydarzyło. Mówi, że była też jakaś kobieta.

– Co?

Skye daje krok w stronę drzwi. Na korytarzu, wzdłuż obu ścian, jest rozmieszczony system alarmowy. Wystarczy, że dziewczyna dotknie czujki, a mój czas dobiegnie końca.

– Ostatnia nowina brzmi, że Archiego porwali mężczyzna i kobieta. Byli współnikami.

– To jakaś bzdura – obruszam się. Nie mam na myśli informacji, że Archiego uprowadziły dwie osoby, tylko zupełnie nową myśl, jaka, widzę po Skye, zakwitła w jej głowie. Jeśli Catrin w roli porywaczki dzieci miała współnika...?

– Nie ma alibi na czas, gdy zniknął Archie – mówi. – Pracowała w domu, całe popołudnie była sama.

– No i co z tego, ja też byłem sam – rzucam, choć to nie najmądrzejsze, biorąc pod uwagę, jaki obrót przybiera nasza rozmowa. – Tak jak połowa mieszkańców Falklandów.

– Na łodzi znaleziono maskotkę. Rachel ją rozpoznała, twierdzi, że zabawka należała do Petera. Przykro mi, Callum, ale to nie wygląda dobrze.

Czuję ogromną ulgę, że przedstawia mi dowody, które mogę podważyć.

– Co to była za maskotka? Może królik? Mocno zniszczony? Nie był Petera. Znaleźliśmy go z Catrin na „Endeavourze”. Jej syn miał dokładnie takiego samego.

– Tak, Rachel nam o tym mówiła. Myślmy, że widok Petera i tej przytulanki, którą Catrin rozpoznała, mógł być dla niej ostatecznym ciosem.

– Catrin nie skrzywdziłaby muchy.

Unosi brwi. No tak.

– I na jej swetrze znaleźliśmy włosy. Cienkie, krótkie, jasne. Zdecydowanie nie jej. Twoje też nie. Trzeba je wysłać do analizy, oczywiście, jednak...

– To pewnie sierść Queenie. Ona tego psa nosi ze sobą wszędzie jak dziecko. Stopford zapłaci majątek za zbadanie psich kłaków. Przy okazji, gdzie Queenie?

– W schronisku. Zdaje się, że kogoś ugryzła.

– I bardzo dobrze. – Idę do drzwi, otwieram je. – Mogę przynajmniej zobaczyć psa?

W czasie, jaki Queenie zajmuje zjedzenie tego, co jej przygotowałem na obiad, obsranie mi ogródka i utyłanie całego łóżka sierścią, mnie udaje się włamać do policyjnego komputera. Tak dla uczciwości, miałem z tym większe problemy niż w kilku innych przypadkach. Oczywiście cały mój wysiłek poszedłby na marne, gdyby się okazało, że do systemu nie wprowadzono jeszcze raportu z zatrzymania Catrin ani transkrypcji z jej przesłuchania.

Zacząłem od prywatnej poczty Stopforda, tam znalazłem wystosowaną z samego rana prośbę do wojska z Mount Pleasant o przeczesanie zatoki, w której Catrin spędziła noc na łodzi. Z odpowiedzi dowiedziałem się, że nurkowie rozpoczną przeszukanie z rana i że najprawdopodobniej skończą do południa. Wojsko zaproponowało również, że w przypadku gdyby nurkowie niczego nie znaleźli, sprowadzą ekspertów od pływów wodnych, którzy potrafią przewidzieć, w jakim miejscu najprawdopodobniej może wypłynąć przedmiot zrzucony do morza w Port Fitzroy.

Znajduję kolejny mejl – do laboratorium analiz, z którego korzysta londyńska policja. Zawiera informację, że ubranie podejrzanej w sprawie o porwanie dziecka będzie do nich przesłane w ciągu dwóch dni. Trzeci mejl to powtórna prośba do metropolitalnej o podeślanie wsparcia dochodzeniowego. W jeszcze następnym Stopford pyta, czy istnieje możliwość przysłania na wyspy eksperta medycyny sądowej, aby powtórnie zbadał zwłoki Jimmy’ego Browna. Stopford się asekuruje. Wewnętrzny mejl instruuje cały personel, że przeszukiwania terenu wokół posesji Grimwoodów mają być na razie zawieszane. Dowody wskazują, że Peter został wywieziony, i Stopford nie widzi sensu, żeby inwestować cenny czas swoich ludzi w działania, które najprawdopodobniej okażą się bezowocne.

Debil.

Kopię trochę głębiej i znajduję zapis z porannego przesłuchania Catrin. Prowadził je detektyw sierżant Josh Savidge, syn dyrektora miejscowej szkoły. Savidge junior to najstarszy rangą śledczy na wyspach. Towarzyszy mu posterunkowa Liz Wilkins. Catrin zdecydowała, że nie chce obecności adwokata.

Szybko przebiegam wzrokiem zapis wstępnych formalności, przypomnienie, że Catrin ma prawo zażądać reprezentanta prawnego, co ona ponownie odrzuca.

Savidge: O której wyszła pani wczoraj z pracy, pani Quinn?

Catrin: Niestety nie wiem, która była godzina. Późnym popołudniem.

Savidge: Pani koledzy twierdzą, że zbliżała się szesnasta, niedługo potem, jak faksem dotarło pani zdjęcie z pierwszej strony „Daily Mirror”. I akurat, gdy zaczynało się zaćmienie.

Catrin: To się chyba zgadza.

Savidge: Więc wyszła pani tuż przed szesnastą?(Krótka pauza).

Savidge: Ze względu na nagranie mogłaby pani odpowiedzieć na głos, pani Quinn?

Catrin: Tak, myślę, że wyszłam około szesnastej.

Savidge: Sama?

Catrin: Z psem. A przy okazji, gdzie ona jest?

Savidge: Dlaczego postanowiła pani wyjść?

Catrin: A widział pan zdjęcie ze mną, na które teraz patrzą miliony ludzi na całym świecie?

Savidge: Proszę odpowiedzieć na pytanie, pani Quinn.

Catrin: Zdenerwowałam się. Chciałam być sama.

Savidge: Dokąd zamierzała pani pojechać?

Catrin: Do domu.

Savidge: Jaką drogą pani pojechała?

Catrin: W górę Airport Road, wschodnią odnogą.

Savidge: To nie jest najkrótsza trasa, prawda?(Krótka pauza).

Wilkins: Pani Quinn?

Catrin: Nie, nie jest. Ale czasami tamtędy jeżdżę.

Wilkins: Dlaczego?

Catrin: Na Falklandach nie ma zbyt dużo dróg. Niekiedy po prostu potrzebuję odmiany.

Przerywam czytanie i odchylam się na oparcie. Z góry nic nie słyhać, nawet cichego psiego pochrapywania. Wracam do transkrypcji, w której – co nie zaskakuje – Savidge nie daje wiary w chęć urozmaicenia sobie życia podaną jako powód, dlaczego Catrin pojechała wczoraj akurat tamtą drogą. Naciska na nią. Catrin nie chce odpowiedzieć. On nalega. Catrin się poddaje.

Catrin: Tamtą drogą przejeżdża się koło domu Rachel Grimwood. Często w nim bywałam, gdy byłam młodsza, kiedy żyli moi synowie. Przypuszczam, że widok tego domu przypomina mi czasy, kiedy czułam się szczęśliwa.

(Niezrozumiałe mamrotanie).

Savidge: Pani Quinn, rozmawialiśmy wczoraj z Christopherem, najstarszym dzieckiem Grimwoodów. Miły chłopak. Dopiero co skończył dwanaście lat.

Catrin: Jestem jego matką chrzestną. Znam Christophera.

Savidge: No właśnie. Kiedy ostatnio spędzała z nim pani czas?

Catrin: Proszę wybaczyć, chce pan wiedzieć, kiedy go ostatnio widziałam?

Savidge: Tak. Kiedy ostatnio, no nie wiem, jadła z nim pani? Była na spacerze? Oglądała razem z nim jakiś program w telewizji?

Catrin: Nie kontaktuję się i nie spotykam z nikim z tej rodziny od trzech lat.

Savidge: Od trzech lat? I mówi pani, że jest pani matką chrzestną chłopca?

Catrin: Josh, doskonale wiesz, co się stało trzy lata temu. Wiesz, dlaczego nie chcę widywać Rachel i jej rodziny.

Savidge: Tak, wiem. I w tamtym czasie, kiedy się dowiedzieliśmy o pani stracie, wszystkim nam było ogromnie przykro.(Krótka pauza).

Catrin: Czekasz, aż ci podziękuję?

Savidge: Czekam, aż nam pani wyjaśni, dlaczego, biorąc pod uwagę fakt, że nie chce pani się zadawać z rodziną Grimwoodów... ze zrozumiałych przyczyn, swoją drogą... niemniej zważywszy na to, dlaczego bez powodu przejeżdża pani koło ich domu. Dlaczego siedzi pani tam długo w samochodzie nocą.

Catrin: A kto mówi, że tak robię?

Savidge: Christopher. Widział panią. Okno jego sypialni wychodzi na tę drogę. Chłopiec twierdzi, że nieraz to zauważył: siedziała pani w samochodzie przed domem w późnych godzinach nocnych. Zapisał numery rejestracyjne, więc nie mamy żadnych wątpliwości, że o pani mowa.

Catrin: Przykro mi to słyszeć. Nigdy nie chciałam przestraszyć Christophera.

Savidge: Więc przyznaje pani, że regularnie przyjeżdża pani nocą pod dom Grimwoodów?

Catrin: Tak, przyznaję.

Savidge: Jak często się to zdarza?

Catrin: Nie wiem, czy potrafię na to odpowiedzieć. Nie notuję tego.

Savidge: Codziennie? Raz w tygodniu?

Catrin: Rzadziej. Kilka razy w miesiącu.

Savidge: Zawsze w nocy?



Catrin: Za dnia tylko tamtędy przejeżdżam. Stoję nocą, kiedy przypuszczam, że nikt mnie nie widzi.

Savidge: Po co tam pani jeździ?

Catrin: Już powiedziałam. Mam wspomnienia związane z tym domem.

Savidge: Stanie przed czyimś domem nocami to dość dziwne zachowanie. Niezdrowe.(Krótka pauza).

Wilkins: Proszę pani?

Catrin: Przepraszam, jak brzmiało pytanie?

Wstaję, żeby rozprostować nogi. Dla kogoś, kto ją dobrze zna, Catrin zachowuje się jak Catrin. Nie przepada za tępakami, a Savidge nie grzeszy bystrością. Niestety, nawet jeśli nie jestem z nią w pokoju przesłuchań, wiem, że nie pozyskała sobie tam przyjaciół. Ponadto policja może nie mieć dowodów na to, że to ona uprowadziła Petera, jednak w czasie, gdy skupiają się na niej, nie prowadzą poszukiwań chłopca.

Ironia sytuacji mi nie umyka. Od miesięcy próbowałem przekonać wszystkich, że na wyspach jest zabójca, ale nikt nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Teraz w końcu policja zaczyna myśleć podobnie, ale dochodzi do wniosku, że tym zabójcą jest Catrin.

Wracam do biurka.

Savidge: Proszę nam opowiedzieć, co się wczoraj wydarzyło. Gdy przejeżdżała pani koło domu Grimwoodów. Kolejny raz, tyle że za dnia.

Catrin: Wjechałam na górę. Wzięłam ostatni zakręt przed domem i zobaczyłam Petera na drodze.

Wyobrażam sobie nagły wzrost zainteresowania w pokoju. Savidge i Wilkins wymieniają spojrzenia. Oboje trochę się prostują na swoich krzesłach.

Wilkins: Peter stał na drodze?

Catrin: Tak, na środku.

Wilkins: I co pani zrobiła?

Catrin: Zjechałam na pobocze. Wyłączyłam silnik. Wysiadłam, podeszłam do chłopca, podniosłam go, postawiłam po drugiej stronie furtki ogrodu, upewniłam się, że jest zamknięta i że Peter nie da rady znowu wyjść na drogę. Potem zawróciłam i zjechałam ze wzgórza.

Wilkins: Dlaczego nie zapukała pani do drzwi? Nie przekazała pani chłopca jego matce, żeby mieć pewność, że nic mu się nie stanie?

Catrin: Wiedziałam, że nic mu się nie stanie. Małe dziecko nie wydostanie się z tego ogrodu, jeśli furka jest zamknięta.

Wilkins: Większość ludzi wolałaby porozmawiać z matką, nie sądzi pani? Powiadomiłaby ją, co się stało. Zwłaszcza że zrobiło się tak ciemno.

Catrin: Nie jestem jak większość ludzi. Straciłam dzieci przez lekkomyślność tej kobiety. Nie rozmawiam z Rachel. Nigdy.

Savidge: Pani jej naprawdę nienawidzi, co?

Nie odpowiadaj na to, Catrin. Błagam, nie odpowiadaj.

Catrin: Nienawidzę jej bardziej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam, że można kogoś nienawidzić.

Przez moment nie mogę dalej czytać. Wstaję, idę na górę i tulę do siebie Queenie. Robię sobie kawę i gapię się na wzgórze.

Catrin nie zależy. To jasno wynika nawet z zapisu. Nie zostało jej nic do stracenia. Nie obchodzi jej, czy ludzie uznają, że zabiła dziecko. Już teraz jest kobietą zdolną uśmiercić prawie dwie setki wielorybów, a zdaniem wielu, z czego Catrin doskonale zdaje sobie sprawę, to o wiele gorsze niż zabicie jednego dziecka.

Zdecydowany zapoznać się z raportem do końca, wracam i przeglądam resztę. Czytam o tym, jak Savidge pyta o jasne włosy na jej swetrze, a Catrin tłumaczy, z ledwie skrywanym zniecierpliwieniem, że jeśli należą do Petera, to musiały się tam znaleźć, gdy go niosła z powrotem do ogrodu. Savidge pyta następnie, co za pakunek taszczyła na swoją łódź, a ona wyjaśnia, że to pościel z głównej kajuty, bo zamokła poprzedniego dnia.

Ja ją zamoczyłem wilgotnym ubraniem, tak sędzę, kiedy z Queenie padliśmy rano na łodzi do łóżka, zmordowani na śmierć. Mogę potwierdzić słowa Catrin. Podobnie jak sprawę z maskotką królikiem, którą znalazłem na „Endeavourze”. Muszę się do nich wkrótce z tym zgłosić. Znowu sprawdzam, która godzina. Nie wiem, jak długo policja ma prawo kogoś przetrzymywać bez przedstawienia zarzutów.

Savidge przechodzi do sprawy wyprawy na „Endeavoura” we wtorkową noc. Pyta, po co tam pojechaliśmy, co znaleźliśmy. Catrin odpowiada na wszystkie pytania z brutalną szczerością, chociaż nie wspomina, że się na nią rzuciłem. Za to przyznaje się do czegoś, o czym nie miałem pojęcia. Że często zawija nocą do Port Pleasant i sąsiedniego Port Fitzroy, że zna zatokę oraz wrak „Endeavoura” równie dobrze, jak wszyscy inni.

Muszę z nimi porozmawiać. Przeszukanie „Endeavoura” to był mój pomysł, nie jej. Jeśli już w ogóle, to nie miała ochoty mnie tam zawozić.

Savidge – w transkrypcji – pyta, co takiego Catrin wyrzuciła z łodzi do wody w Port Fitzroy. Catrin zaprzecza, jakoby cokolwiek wyrzucała. Savidge naciska, twierdzi, że ktoś ją widział. Catrin każe mu powiedzieć kto. Savidge nie chce powiedzieć. Catrin tłumaczy, że gdyby nawet chciała pozbyć się zwłok, nie wybrałaby tej zatoki, bo nie jest odpowiednio głęboka. Mówi, że wokół wysp jest mnóstwo miejsc, gdzie są nikłe szanse, aby obciążone ciało wypłynęło. Mimo że wiem, że rozmowa już się odbyła, krzyczę w myślach, żeby się zamknęła, bo to, co mówi, kieruje Savidge’a na zupełnie nowe tory. Gdzie w takim razie wyrzuciłaby ciało? Czy długo się nad tym zastanawiała?

Niczego nie osiąga, więc przechodzi do kolejnych pytań. Czy widziała kogoś na Airport Road? Nie, nie widziała. Czy uprowadziła wczoraj Petera Grimwooda z jego domu? Nie, nie zrobiła tego. Czy zabrała go na swoją łódź? Nie, zostawiła go bezpiecznego w ogrodzie. Gdzie była trzy dni temu, gdy zaginął Archie West? W domu, pracowała. Nie, nikt nie może tego potwierdzić, mieszka sama.

Przerywa Savidge’owi ciąg, pytając, co się stanie z jej psem. Savidge nie wie. Chce kontynuować przesłuchanie. Czy nie wydaje jej się dziwne, że Archie West był przetrzymywany w chacie należącej do niej, o której istnieniu wie stosunkowo niewiele osób? Catrin odpowiada, że nie ma zdania na ten temat. Czy uprowadziła Archiego Westa? Nigdy nie widziała Archiego Westa, zanim nie znalazła go na Darwin Road poprzedniej nocy.

I w tym stylu dalej, aż już nawet ja mam dosyć. Przesłuchanie trwa niewiele ponad godzinę. Szukam czegoś więcej, ale nie mogę znaleźć. Jeśli Catrin znowu przesłuchiowano, w systemie nie zostało to jeszcze zarejestrowane.

Sięgam po telefon i po kilku próbach udaje mi się w końcu połączyć z Neilem z posterunku.

Umawiam się na spotkanie na późniejszą godzinę. Przy odrobinie szczęścia dzięki moim zeznaniom maskotka królik nie będzie zaliczona jako dowód przeciwko Catrin.

Archiego uprowadzili mężczyzna i kobieta? Skye uważa, że to nielogiczne. Jeśli dzieciak jest zdezorientowany, tym mężczyzną i tą kobietą, o których mówi Archie, mogą być ja i Catrin. Jakiś mężczyzna i jakaś kobieta go uprowadzili? A może znaleźli? Chryste, wystarczy, że zarządzą durną próbę identyfikacji, żeby Archie rozpoznał Catrin, a najpewniej ją rozpozna, i dopiero się zacznie.

Dzwonię do kancelarii prawniczej w Stanley, gdzie potwierdzają to, czego już i tak jestem pewien. W poważnych sprawach takich, jak porwanie dziecka, Catrin może być przetrzymywana w areszcie do czterech dni bez przedstawienia zarzutów. Jeśli poszukiwania Petera Grimwooda nie rozpoczną się przez te cztery dni, dzieciak umrze.

Kontaktuję się ze znajomymi z Mount Pleasant i dowiaduję, ku swojej wielkiej uldze, że poszukiwania już się rozpoczęły. Że pluton żołnierzy przeszukuje teren w okolicy chaty, w której był przetrzymywany Archie. To już coś, choć nie pokładam w tym większych nadziei. Jeśli ta sama osoba porwała Petera – a to przecież najbardziej prawdopodobne – wtedy on, ona, oni musieli gdzie indziej ukryć chłopca.

Nie mam pojęcia, co powinienem zrobić, więc jadę do Grimwoodów. Na miejscu widzę dwa radiowozy zaparkowane na drodze i taśmę policyjną wokół tego kawałka terenu, gdzie można zawrócić. Ludzie w białych kombinezonach zbierają ślady. Lepiej późno niż wcale, jak sądzę. Podjeżdżam bliżej i odchrząkuję, żeby oczyścić gardło.

– Coś znaleźliście? – Wiem, że nie powinni mi mówić. Wiem też, że prawdopodobnie powiedzą. Nie spotyka mnie zawód.

– Odcisk buta. – Technik wlewa jakiś jasny płyn do zagłębienia w ziemi. – Tylko jeden. Resztę musiał zmyć deszcz, ale to wystarczy. Ktoś tu niedawno stał. Jakiś spory facet, sądząc po rozmiarze odcisku.

Catrin ma małe stopy.

Zostawiam ich i otwieram furtkę. Christopher i Michael siedzą na ogrodowej huśtawce niedaleko domu. Podrywają się na mój widok i biegną do mnie.

– Cześć, chłopaki, jakieś nowiny?

– Samolot taty jest opóźniony – informuje Chris. – Przyleci dopiero jutro.

– O, to niedobrze. Pewnie wszyscy już bardzo chcecie, żeby tu był.

Kiedy oczy Michaela zaczynają w kącikach czerwienieć, żałuję, że nie powiedziałem czegoś bardziej podnoszącego na duchu: że ich matka to szczęściara, że ma takich wrażliwych, dojrzałych synów do pomocy albo coś w tym stylu, równie bzdurnego.

– A gdzie mama? – pytam.

– Położyła się. Musi się przespać. Tak mówi babcia.

Moim zdaniem to Christopher powinien się przespać. Chyba jeszcze nie widziałem u kogoś równie podkrążonych oczu. Chłopiec ma takie sińce, jakby ktoś mu je namalował fioletową farbą.

– Wróciłeś, żeby szukać Petera? – pyta.

– Możemy go razem poszukać, jeśli chcesz. – Proponuję to, bo wiem, że rodziny w podobnych sytuacjach często czują potrzebę, żeby coś zrobić, cokolwiek konkretnego. – Możemy zejść na plażę.

– Już tam byliśmy. – Chris sięga po rękę brata. – Z samego rana. Jeszcze jak wszyscy spali.

– Wczoraj też go szukaliśmy. – Michael jest wciąż w piżamie. Naciągnął na nią bluzę z polaru, żeby mu było ciepło, na nogi wsunął tenisówki, poza tym nie zawracał sobie głowy ubieraniem się. – Szukamy od chwili, gdy mama nie mogła go znaleźć.

– Ona sprawdzała w domu, my w ogrodzie – dodaje Chris. – Ktoś porwał Petera. Tutaj naszego brata nigdzie nie ma.

– Ludzie mówią, że zabrała go ciocia Catrin.

Przykucam, żebym mógł patrzeć Michaelowi w oczy.

– Kto tak mówi, kolego?

– Podśluchaliśmy, jak rano babcia rozmawia z dziadkiem – odpowiada Chris za brata.

– Ona jest w więzieniu – wtrąca Michael. – Choruje na głowę, bo jej synowe zginęły, i teraz ona chce skrzywdzić Petera.

Łagodnie biorę chłopców za ramiona i prowadzę do grupy beczek ustawionych do góry dnem w okręgu.

– Chłopcy, czy któryś z was widział wczoraj Catrin przy waszym domu? Około czwartej po południu? Tuż zanim zniknął Peter?

Spuszczają oczy; pierwszy Christopher, potem jego brat kręcą głową.

– A kogoś innego widzieliście? Jakież samochody?

Znowu przeczący ruch. A przecież obaj bawili się w ogrodzie, kiedy Catrin i ja tędy przejeżdżaliśmy. Jasne, dzieci, kiedy są pochłonięte swoimi sprawami we własnym małym świecie, niczego nie widzą i nie słyszą poza nim.

– A wcześniej? Niekoniecznie wczoraj, w ostatnich kilku dniach? Albo nawet tygodniach? Może był tu ktoś, kogo dobrze nie znacie? Może ktoś was obserwował?

– Ten policjant już nas o to pytał – mamrocze z rezygnacją Chris. – Powiedziałem mu, że nikogo nie widzieliśmy. Nikogo oprócz cioci Catrin.

– Babcia mówi, że ona nas nienawidzi.

– Catrin wcale was nie nienawidzi – zapewniam. – Po prostu jest bardzo smutna.

– Mama też jest smutna – rzuca Michael. – Dużo płacze. Nie tylko z powodu Petera. Płacze tak w ogóle.

– Czasami wydaje się, że wszyscy są smutni – dodaje Chris. – Zawsze.

Cóż, chłopak ma sporo racji, czyż nie?

## 20

Zabieram Queenie ze sobą do samochodu; jej ogon bębni w drzwi pasażera, a ja sobie uświadamiam, że jeśli pies ma u mnie zostać przez kolejne cztery dni, muszę kupić karmę. Do umówionego spotkania na posterunku zostało mi jeszcze półtorej godziny. Dochodzę do wniosku, że robienie zakupów to równie dobry sposób na zabicie czasu jak każdy inny.

– Callum! – woła mnie ktoś, gdy zatrzymuję drzwi auta. Widzę śpieszącego ku mnie Johna, szefa Catrin. Czekam, aż podejdzie bliżej; mam świadomość, że na ulicach Stanley wciąż jest zbyt wielu ludzi, a sporo z nich wydaje się odrobinę zbyt mocno mną zainteresowanych.

– Jak się masz, John?

Posyła mi ten swój chytry, niemal potajemny uśmieszek. Nie mam nic przeciwko Johnowi, ale nigdy nie czuję się przy nim do końca swobodnie. Dużym facetom często się to zdarza w obecności małych. Mali chcą się wykazywać, coś udowodnić. I mogą cię podejść. Zdziwilibyście się, jak wielu mikrych facetów nosi ze sobą długie ostre noże.

– Widziałeś się już dzisiaj z Catrin? – pyta.

Opieram się pokusie, żeby powiedzieć: nie, bo przecież została aresztowana w związku ze sprawą

uprowadzenia dziecka. Kręcę głową.

– Musi wziąć adwokata. – John przestępuje z nogi na nogi, wzrok ma wbity w ziemię. – Z tego, co udało mi się wyciągnąć od Neila na posterunku, nikogo nie chce. Próbowałem się do niej dostać, żeby porozmawiać, ale nie zgodziła się ze mną widzieć.

– Policja nic na nią nie ma – mówię z większym przekonaniem, niż faktycznie czuję. – To kwestia kilku dni i ją wypuszczą.

– W tym właśnie rzecz, że ich zdaniem dysponują bardzo twardymi dowodami. – Nachyla się bliżej. – Słyszałem od Neila, że prawdopodobnie już dzisiaj przedstawią jej zarzuty.

Pewnie chodzi o królika. Pluszak i czysto poszlakowy dowód, była przed domem Grimwoodów wczoraj po południu, tyle. Co innego mogą mieć?

– Odciski palców, najwyraźniej – odpowiada John na moje niezadane pytanie.

– Czyje?

– Tego chłopca. Catrin miała wczoraj przy sobie skórzaną torbę na ramię. Są na niej odciski dzieciaka.

W duchu przekonuję sam siebie, że to nic nie oznacza. Odciski Petera mogą być na torbie Catrin z tego samego powodu, dla którego znaleziono włosy dzieciaka na jej swetrze. Zobaczyła Petera na drodze, podniosła go i odstawiła do ogrodu.

Ale mimo wszystko to mi się nie podoba. Jeśli włosy chłopca były na swetrze, mogą być też w samochodzie Catrin i na jej łodzi. W ten sposób tworzy się łańcuszek dowodów i choć są wysrane z palca, z każdym następnym elementem układanka wygląda coraz bardziej przekonująco.

– I odciski na pistolecie, który trzyma na łodzi. Podobno są świeże, chociaż ciekawe, jak to mogą stwierdzić. Tak czy owak niedawno miała ten pistolet w rękach.

Miała go na „Endeavourze”. Bogu dzięki, że z niego nie wystrzeliła, nie tylko ze względu na mnie.

– Ona naprawdę potrzebuje jakiejś sensownej porady – przekonuje mnie John.

Żegnaj się i odchodzę w górę ulicy. To, czego Catrin potrzebuje, myślę, to żeby odnalazł się Peter i został namierzony prawdziwy porywacz.

– Callum!

John biegnie za mną.

– Posłuchaj, jeszcze jedno. Nie chciałem o tym mówić, ale mam wrażenie, że Catrin nikt się nie interesuje, a ona może mieć problemy emocjonalne i ktoś powinien jej pomóc.

– Posłuchaj, teraz dla Catrin najważniejsze, żeby dzieciak wrócił do domu i żeby ta cała główniana sprawa się zakończyła.

– Callum, znałeś tych dwóch innych chłopców, którzy zaginęli? Jimmy Brown pochodził stąd, możliwe że gdzieś go widziałeś. Ta druga rodzina, Harperowie, przyjeżdżali tu od czasu do czasu. Poznałeś ich kiedyś?

– Nie, przykro mi, kolego. Ale dlaczego pytasz?

– W bibliotece na pewno archizują stare wydania „Penguin News”. Gazeta zamieściła zdjęcia obu chłopców, gdy zaginęli. Przyjrzyj się im. Nie radzę, żebyś szedł z tym bezpośrednio do Duncana. Na posterunku też pewnie znają je. Ludzie zaczynają łączyć obie sprawy, przyjacielu. Ty też powinieneś.

John kręci głową, jakby żałował, że nic więcej nie może zrobić, potem się odwraca i odchodzi.

Wciąż mam jeszcze godzinę do umówionej wizyty na posterunku. Biblioteka w Stanley mieści się w domu kultury, więc idę tam i dokopuję się do dawnych wydań „Penguin News”.

Jimmy zniknął w czerwcu 1993 roku. Relację o zaginięciu znajduję na pierwszej stronie wydania z tamtego tygodnia. Robię ksero artykułu.

Moją uwagę na chwilę przykuwa opisana historia obu chłopców lub, mówiąc precyzyjniej: opis tego, jak ich zniknięcie wpłynie na życie wysp. Zdaniem Roba Duncana, autora, za kilkadziesiąt lat postaci chłopców pojawią się w falklandzkim folklorze jako opowieści o dzieciach porwanych

przez wróżki. A w ciągu roku zacznę się opowiadać o duchach, które nawiedzają plaże wysp.

Pamiętam, że już wcześniej czytałem ten artykuł i uważałem, że jest chyba trochę za mocny, chociaż został napisany w określonym kontekście, że my wszyscy wciąż modliliśmy się o szybkie odnalezienie Jimmy'ego. Jednak Rob nie mylił się co do jednego. Rzeczywiście dla małej społeczności zaginięcie dziecka to koszmar. Nie jestem pewien, czy Stanley poradzi sobie z kolejnym podobnym zdarzeniem.

Nie mam czasu na poboczne tematy, więc przerzucam strony do sierpnia 1992 roku i kopiuję relację o zaginionym Fredzie Harperze. Odkładam gazety i zabieram obie kserokopie do stolika przy oknie.

O nie.

Siadam i przysuwam odbitki bliżej, liczę na to, że pierwsze wrażenie ulotni się przy dokładniejszych oględzinach.

Jimmy miał siedem lat i mieszkał z rodziną w Stanley. Fred miał pięć, pochodził z Zachodniego Falklandu. Nic nie sugerowało, żeby obie rodziny znały się szczególnie dobrze. W zasadzie nic ich nie łączyło. Poza tym, że obaj chłopcy byli tak do siebie podobni, że mogliby uchodzić za braci.

Ciemne włosy, ciemne oczy, ciemna cera, cechy charakterystyczne dla wpływów hiszpańskich, nadających koloryt większości tutejszej populacji. Obaj cholernie podobni do synów Catrin.

Nikt nie upierał się głośniejsz ode mnie i z większą pasją, że na wyspach grasuje zabójca. Nikt częściej niż ja nie powtarzał, że troje zaginionych dzieci, co tu mówić o czworgu, to o wiele za dużo, żeby uznać zdarzenia za przypadek. I w końcu inni mieszkańcy postanowili podzielić mój tok myślenia.

Rany boskie, co ja narobiłem?

Kilka godzin później zastanawiam się, czy udało mi się cokolwiek osiągnąć. Powiedzieć, że policja nie była przekonana moją opowieścią o znalezieniu maskotki królika na „Endeavourze”, to niedomówienie. Pytali, dlaczego nie poinformowaliśmy o tym wcześniej. I choć dla mnie tłumaczenie, że wstrząśnięci znalezieniem zwłok dziecka na jakiś czas zupełnie zapomnieliśmy o maskotce, było całkowicie logiczne, dla nich okazało się jednak nie dość przekonujące. Tak jak i moje zapewnienia, że na pomysł przeszukania wraku wpadłem ja i tylko ja.

Pokazali mi nawet kopię mojej pieprzonej listy, do której dodali nazwisko Catrin. Kiedy próbowałem oponować, powiedzieli, że podczas Świąta Morsów na Surf Bay kilka osób widziało Catrin. Stała na szycie klifu i podobno przez lornetkę obserwowała pływaków. I choć nikt nie zeznał, że uczestniczyła w obchodach Dnia Sportu, to zgodnie z zapiskami w kapitanacie portu jej łódź cumowała wtedy w Port Howard.

Do chwili, gdy pozwalają mi wyjść, jest jasne, że przyczepili nam z Catrin łątkę bardzo dziwnej pary i za chwilę mnie też zaliczą do grona podejrzanych. Dopiero kiedy docieram do domu, przypominam sobie, że miałem kupić karmę dla Queenie. Suczka kręci nosem na puszkę zupy pomidorowej, którą otworzyłem dla siebie, nie za bardzo podchodzą jej też płatki śniadaniowe. Jest za późno, żeby wracać do Stanley, więc wygląda na to, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przynieść coś z domu Catrin.

Ale to dobra okazja, żeby na jednym ogniu upiec dwie pieczenie: wezmę stamtąd też jakieś ubrania i zaniosę je rano na posterunek. Będę miał wymówkę, żeby znowu poprosić o widzenie się z Catrin.

Nie biorę samochodu. Na przełaj mam tylko siedem kilometrów, a jestem niedorzecznie spięty. Nic mnie tak nie relaksuje jak spacer, co dość dziwne, jeśli się nad tym zastanowić. W końcu pierwsze doświadczenie związane z chodzeniem pieszo po Falklandach stanowiło jeden z najgorszych epizodów w moim życiu.

Ale istnieje ogromna różnica, o czym się przekonałem później, między tym, gdy maszerujesz przez obcy teren w ciemności, w nasiąkniętym wodą rynsztunku, a tym, zmierzasz ku bliskiej i gwałtownej śmierci, gdy wędrujesz po wrzosowiskach, które z czasem dobrze poznałem, pod srebrnym księżycem, zaciągając się wonią morza zmieszaną z zapachami okolicznej roślinności.

Kiedy słońce znika, kierunek podaje mi jedynie przeblysł srebro na horyzoncie, ale to wystarcza. Za jakieś piętnaście minut dotrę do wąskiej rzeczki, i to będzie oznaczało, że jestem w połowie drogi. W tym punkcie odwracam się plecami do blaknącej słonecznej poświaty i idę na wschód drogą, która bezpośrednio prowadzi do domu Catrin.

Kroczyć dość szybko, Queenie drepcze obok, choć co jakiś czas zwabiona zapachami i odgłosami gdzieś odbiega, ale szybko mnie dogania, gdy zagwiżdżę. Jest przede mną, kiedy wkraczamy na wąską udeptaną ścieżkę, która nas doprowadza do obrzeża ogrodu. W gęstej ciemności nocy ledwie widzę te cholerne rybie szkielety, nawet z bliska. Cholera, media będą miały używanie, kiedy reporterzy zobaczą dom Catrin. Dla każdego, kto zechce się przyjrzeć, przesłanie jest wyraźne: „nie” dla połowów wielorybów, ale kilka starannie wybranych ujęć kamery i odrobina sprytnego montażu opowiedzą zupełnie inną historię. Bez problemu można pokazać, że Catrin mieszka na cmentarzu, i zrobić z niej potwora.

Tu ludzie rzadko zamykają domy. Ja swój zamykam, ale starych nawyków trudno się pozbyć. Catrin nigdy tego nie robiła, jednak kiedy naciskam klamkę tylnych drzwi, te ani drgną, więc idę do kamiennej donicy pod oknem jadalni i oczywiście znajduję klucz na zwykłym miejscu.

W środku Queenie gania po całym domu, jakby podczas jej nieobecności działy się tu najprzeróżniejsze rzeczy. Obwąchuje podłogi, ściany, drzwiczki szafek, biegnie na górę i po minucie wraca jak burza. W tym czasie stoję w kuchni i się zastanawiam. Nigdy tu nie byłem bez Catrin. Bez niej ten dom wydaje się zupełnie inny.

Karmę dla psa znajduję w składziku, pakuję ją do plecaka i wchodzę na górę. Na końcu korytarza jest pokój z białymi drzwiami. Zamknięte.

Nigdy nie byłem w sypialni Catrin. W tych nielicznych przypadkach, kiedy się spotykaliśmy u niej – zwykle odbywało się to u mnie lub na jej łodzi – zabierała mnie do pokoju gościnnego. Jako gest wyrażający lojalność wobec męża zawsze wydawał mi się to nieco spóźnionym zachowaniem. Na litość boską, spałem z jego żoną, więc co za różnica, jeśli przespałbym się również w jego łóżku. Ale skoro dla Catrin było ważne, żeby utrzymać ten rozdział, godziłem się na to bez większych oporów.

Jednak jestem dziwnie podenerwowany, kiedy otwieram drzwi i wchodzę.

Podwójne łoże jest starannie zasłane, leży na nim złożona na pół patchworkowa narzuta – wygląda na naprawdę starą. Jest poskładana ze wszystkich kolorów, wszystkich rodzajów tkanin. Gdy tak na nią patrzę, widzę kilka pokoleń falklandzkich kobiet, jak siedzą przy lampie i doszywają kawałki do tego gigantycznego dzieła sztuki. Widzę babcię Catrin, która zabiera drobne ciemnowłose dziecko w podróż po wspomnieniach. „A tę sukienkę miałam na sobie, kiedy poznałam twojego dziadka. Och, spójrz, to było prześcieradełko do twojego wózka, kiedy byłaś mała, pamiętasz?”

Moglibyśmy spędzić lata, Catrin i ja, tuląc się do siebie pod tym nakryciem, a ona opowiadałaby mi historię każdego skrawka materiału.

Pokój ma kształt litery L, we wgłębieniu jest urządzone biuro. Stoją tam biurko, szafka na akta, krzesło. Dolna szuflada szafki jest wysunięta. Komputer stacjonarny ktoś zabrał, domyślałam się, że niedawno – na biurku i podłodze nieskładnie walają się kable. Laserowa drukarka została, stary model Hewlett-Packard; kable, którymi była podłączona do komputera, zwisają smętnie. Podchodzę bliżej i widzę warstwę kurzu.

Na trzech ze wszystkich ścian wiszą zdjęcia Neda i Kita, każdego z osobna, wspólne, z rodzicami. Są tam też rysunki wykonane w szkole, nawet strony z dokumentacji medycznej. Czwarta ściana jest

pusta, chociaż zostały ślady po pinezkach i po przylepcu.

Queenie gwałtownie się zrywa i wybiega. Słyszę ją na schodach, potem jak pędzi przez hol na parterze. Zaczynam otwierać szuflady, staram się nie dać rozproszyć zapachowi Catrin, który się z nich wydobywa. Wyszukuję spodnie, sweter, skarpetki. W szufladzie z bielizną znajduję rzeczy ode mnie, kupiłem je pod wpływem dziwnego naglącego męskiego przymusu, żeby zobaczyć ją w ubraniach, za które zapłaciłem. Głównie chodzi o terytorium w naszym obcowaniu z kobietami, czyż nie?

Następne drzwi prowadzą do łazienki. Catrin na pewno przyda się szczoteczka do zębów, pasta. Na drzwiach z tyłu wisi piżama; nie mogę się opanować. Podnoszę ją do twarzy i zaciągam się wonią Catrin. W ciągu trzech lat to chyba mój najbliższy z nią kontakt. Przymykam oczy i prawie udaje mi się uwierzyć, że tu jest, teraz, w łazience razem ze mną.

– Cześć – mówi.

Podskakuję, wypuszczam z rąk jedwabną koszulkę. Czuję się bezsensownie winny. Niczego sobie nie wyobraziłem. Ona tam jest, w drzwiach. Queenie, u jej stóp, zaraz się przewróci, tak mocno wymachuje ogonem.

Skurczyła się, to moja pierwsza myśl. Jej ubranie jest olbrzymie, zwisa z ramion, rękawy i nogawki ma podwinięte. Włosy, cienkie i matowe, zaczesła na tył głowy. Oczy wydają się olbrzymie i prawie srebrne w tym półświecie.

– Powiedzieli mi, że wzięłaś Queenie. Dziękuję. – Pochyla się, żeby poklepać psa, ale nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Pomyślałem, że może będziesz potrzebowała ubrań. – Muszę się wytłumaczyć, dlaczego tu jestem, w jej sypialni, niezaproszony.

– Potrzebowałam. – Uśmiecha się słabo, patrzy po sobie, unosi ramiona. – To od Skye. Chyba raczej nie nosimy tego samego rozmiaru.

– Wypuścili cię?

Nieznacznie przechyla głowę.

– Nie, czekałam, aż będą patrzyli w inną stronę, i uciekłam.

– Jak się tu dostałaś? – Nie słyszałem samochodu, ale na dworze od jakiegoś czasu szaleje okropna wichura.

– Na miotle.

Ona tak często. Uwielbia, kiedy wychodzę na durnowatego trepa, a ona na wszechwiedzącą. Potem dostrzega coś na mojej twarzy i lituje się nade mną.

– Skye mnie podwiozła.

– Co się stało? Dlaczego tak?

Wzrusza ramionami, ale nie wchodzi w głąb pokoju.

– Nurkowie zakończyli poszukiwania w Port Fitzroy i niczego nie znaleźli. A to znaczy, że dysponują wyłącznie poszlakami. Bob Stopford uznał, że tak naprawdę na posterunku nie mają odpowiedniego miejsca do przetrzymania aresztantów przez dłuższy czas, poza tym, bądźmy szczerzy, ja się raczej nigdzie nie wybieram.

Zmiana biegu wydarzeń jest tak nagła, że trudno mi to sobie przyswoić.

– Czyli już po wszystkim?

Marszczy brwi.

– Oczywiście, że nie. Nurkowie będą jutro znowu szukali. A ja muszę się zgłosić na posterunek. Przy okazji, mógłbyś mnie podrzucić do portu. Mój samochód tam został.

– Rano z przyjemnością. Teraz niestety nie, bo przyszedłem piechotą.

Kiwa głową, a słoń w pokoju odrzuca łeb w tył i trąbi tak głośno, że boję się, że zdmuchnie dach. Catrin też to słyszy.



– Chcesz mnie o coś zapytać?

– Nie. – Słoń, nie słoń, nie zamierzam tego roztrząsać.

– Głuptas – rzuca, ale rysy twarzy jej złagodniały. Widzę, że lekko drgnęła, jakby chciała do mnie podejść. Wiem, że to ona musi pierwsza wykonać ten ruch. – Widziałeś się z Rachel?

Ostatnim razem słyszałem, jak Catrin wspomina Rachel, przed trzema laty. Kręcę głową. Zakładam, że ma na myśli czas po zniknięciu Petera.

– Widziałem jej rodziców. Dwóch starszych synów. Ale jej samej nie.

– Mówili, jak się czuje?

– Jest w szoku. Nie może uwierzyć w to, co się stało. Czyli czuje się tak, jak się tego można spodziewać w podobnych sytuacjach.

– A ludzie szukają Petera? Tak samo jak szukali Archiego? Nie potrafiłam wydobyć nic sensownego ze Stopforda i jego błaznów. Zorganizowano jakieś poszukiwania?

Cholera, cała Catrin. Prawdziwa, nie duch, którego od tak dawna ścigam, że już prawie zapomniałem, że może być inaczej. Ona też musi coś widzieć w mojej twarzy. Zmarszczki w kącikach jej oczu się wygładzają. Policzki jakby się lekko wydymały. Czyżby naprawdę zamierzała się do mnie uśmiechnąć?

– Odchodziłem od zmysłów, zamartwiałem się o ciebie – odzywam się po chwili.

Nie uśmiech, przynajmniej jeszcze nie, może tylko wspomnienie, że coś takiego było kiedyś możliwe.

– Siedziałam w areszcie mniej niż dobę.

– Mówię o ostatnich trzech latach.

Zrób to, Catrin. Wykonaj te kilka kroków w moją stronę, tylko tyle potrzeba. I naprawdę myślę, że do mnie podejdziesz, ale nagle przez huk burzy przedziera się odgłos tłuczonego szkła. Na dole ktoś wybił szybę.

Potem słyszymy łoskot.

## 21

**O**czy Catrin robią się wielkie z przerażenia.

– To wystrzał. Na dole jest ktoś z bronią.

– Nie, to fajerwerk – odpowiadam i szybko wyłączam światło. Sypialnia Catrin jest na tyłach domu, odgłos wybuchu dobiegał od frontu. – Pewnie jakieś dzieciaki się wydurniają – dodaję, chociaż co do „wydurniania się” jestem mniej przekonany. – Zaczekaj tutaj.

Zbiegam na dół, dziękując losowi, że wcześniej nie włączałem światła i że Catrin też tego nie zrobiła, bo teraz jest szansa, że ktokolwiek stoi na zewnątrz, nie zorientuje się, że jesteśmy w domu. Na podłodze w kuchni leży kamień i petarda wrzucona przez okno za kamieniem. Domowej roboty, taka, które nazywaliśmy parówkami. Jako dzieciaki rzucaliśmy nimi w tłum podczas Nocy Ognisk<sup>[6]</sup>. No dobra, ja rzucałem, do czasu aż ojciec porządnie złoił mi za to skórę. Podchodzę do tylnych drzwi i przekręcam klucz.

Na zewnątrz słyszę wycie silników. Nie samochodowych. To quady. Są coraz popularniejsze na wyspach, zwłaszcza wśród młodzieży. Tutaj, żeby prowadzić samochód, trzeba mieć prawo jazdy, ale

quadami po terenie można jeździć bez specjalnych uprawnień. Na dodatek tymi maszynami da się wjechać w miejsca, do których samochód nie dotrze. Widywałem już nawet dwunastolatki, które rozbijają się po okolicy na tych czterokołowcach.

Na zewnątrz pusto, więc wracam na górę, w połowie schodów spotykam Catrin. Ciągnę ją ze sobą. W małym frontowym pokoju, który kiedyś należał do Neda – i który, co trochę upiorne, nadal wygląda jak używany pokój ośmioletniego chłopca – podkradam się do okna. Catrin robi to samo i lekko opiera brodę na moim ramieniu. Wiatr rozszalał się już na dobre, uderza w mury tego starego domu, gwizdże w kominie. Nic dziwnego, że nie usłyszeliśmy nadjeżdżających quadów.

– Tam jest cała masa ludzi – szepcze mi Catrin do ucha.

W oddali błyszczą światła reflektorów i wydaje mi się, bo nie dostrzegam wyraźnie, że na szosie stoi sznur samochodów. Blokują drogę. Nie wszyscy przyjechali quadami.

– Odsuń się od okna. Trzymaj się za mną – proszę.

Lampy z czujnikami ruchu poniżej są włączone, to nam daje tymczasową przewagę. Widzimy więcej, niż mogą zobaczyć ci na zewnątrz. Wiatr rozwiął chmury i białe formy makabrycznych ozdób ogródka Catrin połyskują w blasku sztucznego światła.

– Dlaczego nie możesz mieć krasnali jak normalni ludzie? – mamrocę pod nosem.

Potem zauważam światła latarek. Doliczam się trzech, czterech, sześciu od frontu, rozsypanych między szkieletami a drzewcami harpunów i bosaków. Obserwuję, jak się zbliżają. Poruszające się cienie przybierają postać ludzi. Pod dom podchodzi ich coraz więcej i coś mi mówi, że to nie są przedwcześni kołędnicy. Jeszcze nie widziałem, żeby mieszkańcy Falklandów tak się zachowywali.

Nagły błysk, nagi płomień migoczący blisko ziemi. Potem coś, petarda, pędzi w stronę domu. Przepływa nad dachem, nie wyrządza żadnej szkody.

– Sprawdź tył domu – nakazuję Catrin. – Zobacz, czy tam też są. Tylko się im nie pokazuj.

Następna petarda. Nie trafia w okno, uderza w mur i spada na ziemię. Za nią pewnie polecą kolejna. I może trafić do celu. Jeśli będą strzelali fajerwerkami w dom, postawią go w ogniu. Kręcę głową, żeby oczyścić umysł. „Sir Galahad” w płomieniach. Wrzaski palących się ludzi.

Wraca Catrin, staje w drzwiach.

– Z tyłu też są. Doliczyłam się trzech. Kto to jest?

Dziewięć latarek. Co najmniej dziewięć osób, ale biorąc pod uwagę liczbę samochodów, bardzo możliwe że więcej.

– Przynieś telefon, Cat. I nie włączaj żadnych świateł.

Rozlega się walenie do drzwi, potem ktoś się od nich odsuwa i spogląda w górę. Świeci latarką, ale najpierw w inne okno, więc zdążam się ukryć. Najwyraźniej ci ludzie nie wiedzą, że jesteśmy w środku. Myślą pewnie, że Catrin nadal siedzi w areszcie, a przed domem nie stoi ani mój, ani jej samochód.

Więc jeśli nie chodzi im o nas, to czego chcą?

Odpowiedź otrzymuję sekundę później. Kilka latarek oddala się od domu ku szkieletom wielorybów. W migotliwym snopie światła unosi się jakiś młot, potem opada na szkielet orki. Sklejony i zbity gwoździami, wisi na cokole, żeby wyglądało, jakby olbrzymi ssak z wdziękiem płynął przez wodę. Cokół kruszy się pod siłą uderzenia, szkielet spada na ziemię. Kolejny zamach i ogon pęka na pół. Jeszcze jeden i rozpada się płetwa.

Ktoś inny ma puszkę z farbą w spreju, zaczyna nią pryskać na spiczastą czaszkę płetwala błękitnego. Trzeci wandal bierze harpun i ciska nim w dom. Nie nadawałby się do drużyny oszczepników, wkrótce jednak inni idą za jego przykładem i w naszym kierunku nadlatuje więcej ostrych pocisków. Niektóre trafiają w ściany.

W głębi mniejsze odłamki szkieletów są wyrzucane nad zaroślami na plażę, kilka metrów poniżej.

– Oni wszystko zdemolują. – Catrin, z telefonem w ręce, przerażona przygląda się spustoszeniu.

Cmentarz wielorybów dla wielu, z pewnością dla mnie, to ogromnie nieprzyjemny widok, niemniej jest częścią dziedzictwa Catrin, częścią historii wysp. – Idę tam – oświadczają.

– Chyba zwariowałaś. – Chwytam ją jedną ręką, drugą odbieram jej telefon i kciukiem wybieram 999. Czekam, a w tym czasie cały szkielet orki zlatuje z klifu; tłumek wandali zabiera się do delfinów. Catrin u mojego boku cała się trzęsie, nie wiem, jak długo zdołam ją przytrzymać.

Gdy wyjaśniam dyżurnemu sierżantowi, jak wygląda sytuacja, hołota na zewnątrz znowu sięga po harpuny i zaczyna nimi ciskać w dom. Tłucze się kolejna szyba.

Policja dotrze do nas najwcześniej za piętnaście, dwadzieścia minut. Może nawet zajmie im to dłużej z powodu blokady na drodze.

– Ci wszyscy ludzie myślą, że porwałam Petera.

Zauważam, że nie mówi „zabiłam”.

– Nie chodzi tylko o niego. – Nie chcę tego mówić, ale Catrin musi sobie zdać sprawę, z czym ma do czynienia.

– To o co? O wieloryby? Wiem, że nikomu się to nie podobało, ale tutejsi rozumieją, że to było konieczne.

Przepycham ją bliżej drzwi, bo na dworze petardy nadal wybuchają i słychać coraz głośniejsze okrzyki zachęty, które towarzyszą zrzucaniu kości i wielorybniczemu osprzętu z urwiska.

– Chodzi o tych dwóch chłopców, którzy zaginęli przed Archiem i Peterem. Tych dwóch miejscowych.

Patrzy na mnie wystraszonym wzrokiem, nie rozumie.

– O Jimmy’ego i Freda?

– Ludzie się zorientowali, że z wyglądu byli bardzo podobni do Neda i Kita. A pierwszy zaginął niedługo po śmierci twoich synów. Oni nie myślą rozsądnie, Cat. A kiedy są wystarczająco wystraszeni, zwracają się przeciwko swoim.

Na dole Queenie zaczyna szczeleć. Kończy nam się czas. Tłumek wie, że tu jesteśmy.

– Zadzwoń jeszcze raz. – Idę na schody. – Powiedz policji, żeby się, do cholery, pospieszyli.

Na zewnątrz jest coraz głośniejsze. Coś znowu uderza w okno. Szyba nie pęka, ale to tylko kwestia czasu.

– Nie możesz tam wyjść.

– Policja będzie za dziesięć minut. Zagadam coś do ich przyjazdu.

Próbuje mnie zatrzymać, ale po mojej stronie są grawitacja i różnica trzydziestu kilogramów w masie naszych ciał. Proszę raz jeszcze, żeby zadzwoniła, a potem zaczekała na mnie na tyłach domu. Przechodzę przez kuchnię, serce wali mi jak młotem. Nikt nie lubi na ślepo wkraczać we wrogie otoczenie, poza tym nie mam pojęcia, kto tam jest i co chce zrobić. Wiem tylko, że muszę działać szybko, wziąć ich przez zaskoczenie. Otwieram drzwi, wkraczam w krąg światła czujek, następnie zamykam drzwi i przekręcam klucz, który chowam do kieszeni. Ten, kto się zdecyduje mi go odebrać, będzie musiał się wykazać sporą odwagą.

– Czego wy tu, ludzie, szukacie? – Pytanie brzmi dość uprzejmie. Jednak ton głosu ostrzega, że lepiej ze mną nie zadzierać. W skrytości ducha sram po gaciach, ale jeśli im to pokażę, to pozamiatane.

Ktoś mi świeci latarką w twarz. Potem dołącza ktoś inny. A niech ich szlag!

– Chcemy pogadać z twoją dziewczyną. Przyrowadź ją tu. – Kobięcy głos; jestem prawie pewien, że nie należy do mieszkanki wysp. Akcent to londyński cockney, a nie miękki zachodnioangielski bełkot tubylców. Spoglądam w bok. Lepiej się przygotować na wypadek, gdyby dyplomatyczne negocjacje zawiodły. Jeśli policja wyruszyła od razu, będzie tu najwyżej za dziesięć minut. Do tego czasu trzeba sobie radzić samemu.

– A kto chce z nią rozmawiać? I przestańcie mi świecić w twarz tymi cholernymi latarkami albo

powtykam je wam w tyłki!

Zwarty szereg zbliża się coraz bardziej, padają ostre komentarze, ale jasne, rażące smugi osuwają się w dół. Znowu mogę patrzeć na wprost. Zarysy postaci odcinają się na tle resztek pozostałych po wielorybim cmentarzu. To sylwetki dorosłych, okutanych w grube kurtki z powodu złej aury. Czapki i szaliki częściowo przysłaniają twarze. Anonimowe zbiorowisko. Słyszę, że nadjeżdżają kolejne samochody, ale na policję jeszcze za wcześnie.

– Jest wśród was ktoś, kogo znam, czy wszyscy przyszlście z wycieczkowca? Bo jeśli z wycieczkowca, to lepiej się zastanówcie, czy na pewno chcecie zadzierać z tutejszym prawem. Statek nie będzie czekał, aż was wypuszczą za kaucją. – Cisza. Czuję, że zyskałem przewagę. – Zapłacicie po tysiąku na głowę za powrotny lot do domu. I wątpię, żeby wasz ubezpieczyciel pokrył te koszty.

– Nikt tu nie zamierza łamać prawa. – Jakiś gość wysuwa się naprzód. Wielki, choć nie tak wysoki jak ja, i raczej mięczak. Nie jest z wycieczkowca. Prawie na pewno to ojciec Jimmy’ego Browna. – Chcemy tylko z nią porozmawiać.

– Cały dzień rozmawiała z nią policja. Oni się już tym zajmują. Wracajcie do siebie.

Jakaś kobieta przeciska się obok stojącego na przodzie mężczyzny. Zaraz za nią rusza następna. Nie znam żadnej z nich. Ta pierwsza podchodzi do mnie. Jest po czterdziestce, ma ziemistą cerę i zmarszczki wokół ust – wyraźnie lubi sobie wypić. Czuję nawet od niej woń alkoholu. Trudna sprawa. Facet by się mnie obawiał. Kobieta niekoniecznie. Uzna, że nie odważę się jej tknąć. I miałaby rację. Nie zamierzam być wobec niej agresywny, przynajmniej nie przy tyłu świadkach, zwłaszcza że – mógłbym się założyć – na tyłach tłumu dostrzegam błysk obiektywu kamery. Pieprzona ekipa telewizyjna dotarła aż tutaj za tymi pieniaczami.

Kobieta zatrzymuje się centymetry ode mnie, chce mnie onieśmielić tym, że stoi tak blisko.

– Zaginęło dwuletnie dziecko. – Celuje mi w twarz palcem, dłoń ma w rękawiczce. – Czworo znika w ciągu trzech lat. Czy wy się tym w ogóle nie zajmujecie?

– Wynoście się stąd! – Grupa znowu napiera.

To nie tylko turyści. Miejscowi trzymają się z tyłu, ale też tu są. Na pewno rodzina Brownów, możliwe że jedna, dwie osoby od Harperów. Za obryzganą sprejem czaszką płetwała błękitnego dostrzegam czarno-siwą czuprynę Bob-Cat.

Zanim przyjedzie policja, może być za późno. Ci ludzie są porządnie wystraszeni. Ktoś im porywa dzieci, a oni nic nie mogą na to poradzić. Napędzani alkoholem i odważni swoją liczebnością, znaleźli ujście frustracji. Za nic na świecie nie odbiorą mi kluczy, ale jedną lub dwie szyby już wybili. Jak się uprą, dostaną się do środka.

– Chcecie rozmawiać z Catrin? – Patrzą ponad głowę kobiety na mężczyznę, ojca Archiego Westa. – Z osobą, która odnalazła pańskiego syna, nawiasem mówiąc. Która przekazała go matce nie dłużej niż dobę temu? Czy to z jej powodu to wszystko?

Jest na tyle uczciwy, że robi mu się głupio, ale reszta nadal czerpie odwagę z anonimowości. Jakieś dzieciaki zaczynają nawet śpiewać piosenkę o kobiecie, którą nazywają Zabójczą Królową. Podnoszą ręce.

– Okej, wygraliście. Przeprowadzę ją.

Są zaskoczeni. Cichną, choć wciąż się przybliżają.

– Dajcie mi dwie minuty. Ale wyjdzie tylko, żeby chwilę porozmawiać. Nie zrobiła nic złego. Ma za sobą cholernie ciężki dzień, powinniście to uszanować.

Kobieta z wycieczkowca, ta wyszczekana, pcha się za mną, gdy odwracam się do drzwi.

– Może wejdę z panem? – rzuca.

Nachylam się, mówię z twarzą prawie przy jej twarzy, tak żeby nikt inny nas nie słyszał.

– A może ja złamię pani ten paskudny nochal, co? – Prostuję się. – Dwie minuty! – wołam, przekręcam klucz i otwieram drzwi. – I żeby nikt jej nie skrzywdził, bo inaczej ja wkroczę do akcji.

Wślizguję się do środka, zamykam drzwi na klucz. Catrin czeka w korytarzu. Patrzy na drzwi na tyłach domu.

– Wyjdę do nich. Nie boję się.

– Tak... rozumiem, niestety ja się boję. – Ciągnę ją za sobą przez dom do miejsca, gdzie jak zapamiętałem, znajduje się pralnia. Pralka, druciane suszarki ustawione równo pod ścianą. I duże okno, bezpośrednio nad umywalką, wychodzi na ustronną część ogrodu.

Kochałem się w tym domu z Catrin więcej niż jeden raz. Jej mąż pracował dwadzieścia minut drogi dalej. Już lata temu wiedziałem, jak można stąd stąd uciec niepostrzeżenie.

– Tam też są ludzie – syczy Catrin, widząc, że otwieram okno i wspinam się na umywalkę.

– Przeszli na front, czekają, aż wyjdiesz.

Nie bez niejakich problemów – może jestem większy, niż byłem trzy lata temu – przeciskam się na zewnątrz i zeskakuję na ziemię. Wyciągam w górę ramiona, żeby pomóc Catrin, ale ona podaje mi Queenie.

Świetnie.

Pod jedną ręką ściskam suczkę, drugą podaję Catrin. Wiatr zagłuszy odgłosy naszej ucieczki. Trzeba się tylko modlić, żeby pies nie zaczął szczekać. Kiedy już wszyscy troje jesteśmy na zewnątrz, daję sobie sekundę, żeby się rozeznać w terenie.

Stoimy na małym ogrodzonym skrawku, gdzie Catrin trzyma pojemniki na śmieci. Okno zostawiam otwarte – niech wiedzą, że uciekliśmy, dzięki temu może nie zdemolują domu – potem otwieram wahadłową furtkę i wyglądam przez nią. Nikogo nie widzę, zresztą z zabłąkanym maruderem dam sobie radę. Oddaję Catrin Prosiaczka, po czym obie pociągam za sobą wąską brukowaną ścieżką do podnóża ogrodu. Kiedy przejdziemy przez płot, znajdziemy się na otwartej przestrzeni. Tylko że straciliśmy osłonę chmur, quady z łatwością nas wyśledzą.

Pod domem znowu zaczęły się śpiewy. Głośne pukanie, ludzie tracą cierpliwość, ale my już jesteśmy pod płotem. Przeskakuję przez niego, biorę Queenie i stawiam ją na ziemi, potem nachyliłam się, żeby podnieść Catrin.

W tym momencie nad naszymi głowami z piskiem przelatuje fajerwerk, wyznacza w powietrzu szlak utworzony z drobnych barwnych iskier. Pożyczone od Skye ubranie, które ma na sobie Catrin, niespecjalnie się nadaje do marszu po wrzosowiskach, mimo to musimy się zbierać.

Wyczuwam zmianę w nastrojach za nami, oglądam się przez ramię i widzę chaotyczny taniec światełek latarek. Poprzez wycie wiatru docierają do nas okrzyki złości i zawodu.

– Chyba odkryli, że uciekliśmy. – Obok mnie Catrin już zaczyna tracić oddech. Trzy lata temu była skoczna jak pchełka. Teraz nie jestem pewien, czy znieśie siedmiokilometrowy marsz w ciemności. Z drugiej strony dźwigałem już większe ciężary przez falklandzkie pustkowia nocą.

Snop światła latarki pada na ziemię bezpośrednio przede mną, a z tyłu rozlega się okrzyk tryumfu. Wykryli nas. Przyspieszam, ale to, co Catrin ma na nogach, w niczym nie przypomina butów do biegania. Z trudem dotrzymuje mi tempa, za nami słychać ryk silników quadów. Źle. Przy domu może udałoby nam się opanować tych ludzi, odwołując się do ich przyzwoitości. Teraz jesteśmy zwierzną łowną ściganą przez motłoch, a to zupełnie inna historia.

Nasze opcje? Kryć się? Zawrócić i stawić czoło przeciwnikom? Słuc któregoś na miazgę, żeby reszta się wystraszyła i wycofała? Podejmuję szybką decyzję – zmieniam kierunek, idę w stronę drogi.

– Oni mają samochody. Szosą nie uciekniemy.

– Nie będziemy szli szosą. Tylko ją przetniemy.

Czekam na sprzeciw. Czekam, aż Catrin uświadomi sobie, co jest po drugiej stronie drogi, i powie, że zwariowałem. Przedzieramy się przez krzaki janowca i bażyny. Nad nami wciąż wiszą chmury, od czasu do czasu któraś nasuwa się na księżyc i wtedy otula nas całkowity mrok. Ilekroć tak się dzieje,

mamy szansę umknąć z widoku, więc prę dalej na tyle szybko, na ile starcza mi odwagi. Niełatwo przemieszczać się po falklandzkich odludziach, kiedy człowiek musi się śpieszyć. Tam, gdzie się ich najmniej spodziewasz, natykasz się na kępy wysokich traw, doły, jamy, rozległe trzęsawiska, a nawet strumienie i sadzawki. I kamienie, zakopane głęboko w ziemi, niskie, ale ostre, niebezpieczne pułapki.

Quady się zbliżają. Kiedy spoglądam za siebie, widzę ich światła. Pędzą wprost na nas.

W końcu docieramy do szosy. Teraz możemy poruszać się szybciej, choć jest ciemno. Niestety to samo dotyczy naszych prześladowców. Skręcam w lewo, cały czas mocno trzymam Catrin za rękę. Musimy przejść zaledwie czterdzieści metrów, ale pod górę, a Catrin ledwie dyszy.

– Straciłaś formę.

– A ty rozum.

Docieramy do ogrodzenia. Zwykle nie przełazę na to pole w tym miejscu, więc go nie przygotowałem.

– Ufasz mi? – pytam. Ponad jej ramieniem widzę światła quadów, wjeżdżają za nami pod górę, są tuż-tuż.

– Wygląda, że tylko to mi pozostało.

Szczerzę do niej zęby w uśmiechu, potem kładę się na ziemi i turlając, przeciskam się pod ogrodzeniem na drugą stronę. Zaczepiam kurtkę o drut, ale się uwalniam. Ziemia jest mokra, trudno, nie mam czasu szukać lepszego miejsca. Catrin idzie w moje ślady, potem przeczołguje się Queenie.

Jesteśmy na polu minowym.

## 22

Do chwili aż się zorientuję w terenie, idę tuż przy ogrodzeniu. Patrząc z naszej pozycji, trochę dalej na północ wznosi się nagi grzbiet skalny. Kiedy do niego dotrzemy, będziemy mogli skręcić na zachód. Przez większą część drogi prowadzi nas ścieżka wydeptana przez owce. Catrin ostrożnie stąpa za mną i znowu trzyma psa na rękach.

– Prosiaczek niczego nie wysadzi. Postaw ją.

Jeszcze mocniej przyciska do siebie suczkę. Zatrzymuję się i odwracam.

– Cat, na tym polu pasie się mnóstwo owiec. Są za lekkie, żeby wysadzić minę i Queenie też jest za lekka. Tylko nie pozwól jej ganiać owiec, bo wszyscy zginiemy, tyle że od postrzału.

Wcale do końca nie żartuję. Pole minowe dzierżawi Chase Wentfield, miejscowy farmer, który ma zerową tolerancję dla psów nękających jego stada. W tym samym czasie światła wciąż nas ścigają, quady jadą wzdłuż siatki, ale szosą, więc poruszają się szybciej od nas. Docieramy do grzbietu skalnego. Wyciągam kompas, żeby się upewnić, czy obraliśmy właściwy kierunek. Pewnie bym tego nie robił i raczej nie mamy czasu na takie rzeczy, ale wyczuwam, że Catrin nadal jest lekko wystraszona.

– Tędy – mówię. – Idź za mną. I odstaw tego przekłętego psa.

Zaczynam biec po dróżce ubitej przez owce. Catrin biegnie tak blisko, że praktycznie nadeptuje mi na pięty, ale to dobrze. Musimy zniknąć w mroku, zanim nas dogonią ci idioci, inaczej wpadną jeszcze na pomysł, żeby wejść za nami na pole. Po prawie stu metrach odwracam się i patrzę w dal.

Wciąż widać reflektory, oświetlają pole, ale same quady nie mogą na nie wjechać. Na razie nic nie wskazuje, żeby ktoś gonił nas pieszo. Ściągam Catrin ku ziemi i po kilku minutach widzimy, że quady wykręcają i zjeżdżają ze wzgórza.

– Kocham, kiedy plany wypalają – mówię.

– Cudownie. – Wciąż ściska Prosiaczka. – Bo utrata kończyny to mała cena.

Kiedy się zatrzymuję, a potem znowu ruszam, robi to samo, jak małe słoniątko, które podąża za matką.

– Może powinniśmy się od siebie odsunąć – proponuję. – Wtedy, jeśli wylecę w powietrze, ty będziesz miała szansę uratować się przed najgorszym.

– Och, bardzo śmieszne. A powiesz mi, jaką masz metodę?

– Mam mapę.

Chwilę myśli.

– Masz mapę? Hektary ziemi są wyłączane z użytku od ponad dekady, bo nikt nie chce dać się wysadzić, a ty, do cholery, masz jakąś mapę? Mówiłeś o niej komuś?

– Nikt nie pytał. – Oglądam się. Za nami nic tylko ciemność.

Catrin też przystanęła. Znam to spojrzenie. Gdyby nie trzymała Queenie, dłońmi podpierałaby się pod biodra.

– Oczywiście ludzie wiedzą, że ją mam. To znaczy wojsko wie. Rzecz w tym, że nie są pewni, czy jest wiarygodna. Zabrałem ją argentyńskiemu zakładnikowi pod koniec wojny. Miny kładł jego szwadron, więc dokładnie znał rozmieszczenie. Rząd brytyjski chce dokonać własnego przeglądu pól i rozbrojenia, i dopóki nie znajdą się na to fundusze, pole minowe pozostanie nienaruszone.

Catrin się rozgląda. Po wyboistej nierównej ziemi, porozrzucanych gdzieś tam skałkach, widmowych białych kształtach w oddali, które prawdopodobnie są zarysem owiec.

– Ile tych min tu jest?

– Ze sto czterdzieści?

– Chyba żartujesz. I pamiętasz, gdzie są wszystkie rozmieszczone?

– Rany, skąd. Wiem tylko, że ta ścieżka jest bezpieczna.

Bierze mnie za rękę i się ogląda.

– Odjechali. Zrezygnowali z pościgu. Możemy wrócić na szosę.

Już dawno Catrin nie trzymała mnie za rękę. Czuję, że drży, i coś mi się wydaje, że nie tylko ze strachu przed nastąpieniem na minę. Rozpinam i ściągam kurtkę. Otulam nią Catrin, to daje mi pretekst, żeby przyciągnąć ją bliżej, zrobić coś, co uwielbiałem robić. Wsuwam ręce na jej kark i rozpuszczam długie włosy.

Pamięta to. Widzę to w jej oczach, świadczy o tym lekki dreszcz, jaki ją przebiega, kiedy dotykam szyi.

– Nie mogę uwierzyć, że się do mnie dobierasz na środku pola minowego – mamrocze.

Niczego bardziej nie pragnę, jak ją pocałować. Patrzę w dół, na twarz, która jest niewiele więcej niż cieniem, i wychwytyuję jakąś zmianę. Pierwszy raz od lat czuję coś zbliżonego do nadziei.

– Chodźmy. – Znowu ruszamy. Wciąż trzymamy się za ręce.

– Cały ten czas myślałam, że przychodząc tu, zabawiasz się w jakąś pokręconą rosyjską ruletkę. Myślałam, że jesteś mocno stuknięty. Mogłeś mi powiedzieć, że masz mapę.

Nawet nie podejrzewałem, że Catrin wiedziała, że chodzę po polach minowych.

– Szpiegowałaś mnie?

– Nie pochlebiaj sobie.

Idziemy dalej. Queenie, znów wreszcie na ziemi, wyczuwa zapach owiec i muszę na nią warknąć ostrzegawczo. Podnosi na mnie wzrok upartego dziecka. Szczerzę do niej zęby.

– Przestań ją straszyć. I coś mi jeszcze wyjaśnij. Skąd pewność, że ta mapa jest dokładna?

Wystarczy jedna mina, o której zapomniał powiedzieć twój argentyński kolega, i zamieniasz się w padlinę dla sępów.

– Prawdę mówiąc, zapomniał powiedzieć o więcej niż jednej. Wlazłem na taką w maju. Trochę sobie pogruchootałem żebra przy upadku.

Zatrzymuje się gwałtownie.

– To nie jest zabawne.

– Wcale nie próbuję być zabawny.

Wybawiam ją z udręki.

– Argentyńczycy nie potrafili zbyt dobrze kłaść min. Za głęboko je wkopywali i nie brali pod uwagę ciężaru i gęstości torfowej ziemi.

Znowu ruszamy, a ja opowiadam o nocy, niedługo po tym jak wylądowaliśmy, kiedy maszerowaliśmy ku pozycjom obronnym Argentyńczyków na Goose Green. Nadchodziliśmy od lewej flanki, blisko plaży, przez teren, który, o czym wkrótce się przekonaliśmy, Argentyńczycy naszpikowali minami. Jeden z naszych, osiemnastoletni dureń z Glasgow, wszedł na jedną z nich i wyleciał w powietrze na sześć metrów. Wylądował na bagnisku, podniósł się, otrzepał i poszedł dalej. Tamtej nocy wybuchło jeszcze kilka min. Żaden z naszych chłopców nie ucierpiał. Przynajmniej nie od min.

– Argentyńczycy myśleli, że jesteśmy jakimiś pieprzonymi supermanami.

Uśmiecham się na to wspomnienie. Pośród tego piekła, jakim było wyzwolenie Falklandów, człowiek musiał szukać chwilowej odskoczni i ulgi.

– Brakowało mi tych twoich wojennych opowieści.

Nie zatrzymuję się. Nie mogę na to odpowiedzieć. Jeśli odpowiem, przeciągniemy temat. A ja nie chcę, żeby Catrin przestała się do mnie odzywać.

– Callum, jak sądzisz, co się z nim stało? Mówię o synku Rachel.

Cholernie dobre pytanie. I takie, na które naprawdę musimy znaleźć odpowiedź.

– Wiemy, że nie został porwany z drogi, bo tam byliśmy, więc do głowy przychodzą mi tylko dwie możliwości. Pierwsza to, że ktoś zakradł się pod dom od strony plaży i potem wywiózł Petera łodzią.

– Co oznacza, że może być gdziekolwiek na wyspach.

– Druga ewentualność to, że porywacze nadeszli od strony otwartego terenu.

– I uprowadzili go, idąc pieszo?

– Prawdę mówiąc, myślałem o quadach. Albo koniach.

Od razu akceptuje tę sugestię. Mnóstwo ludzi na wyspach wciąż trzyma konie, żeby się nimi poruszać po terenie. Rachel sama ma kilka.

– Jeśli twoje przypuszczenia są słuszne, to byłyby tam ślady. Na ziemi wokół domu, jeśli to był quad albo koń, na plaży, jeśli łódź.

– Mogły być, ale policja tego nie sprawdziła, bo skupili się na tobie.

– I zmył je deszcz.

– Kiedy tam wczoraj byłem, śledczy znaleźli odcisk stopy. Albo tak im się wydaje. Duży odcisk. Męski. Myślę, że powstał, jeszcze zanim zaczęło padać.

Przez chwilę nic nie mówi, zastanawia się.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że to ktoś z wysp – rzuca w końcu. – Wszyscy żyją tu od wielu lat. Ludzie nie zamieniają się w pedofili w jedną noc.

Wiele osób mnie pytało, dlaczego tu wróciłem po zakończeniu wojny, dlaczego zostałem tak długo. Prawda jest taka, że wróciłem ze względu na Catrin, chociaż wtedy jeszcze jej nie znałem, i dla takich ludzi jak ona.

Jedną z rzeczy, które kocham u tej kobiety u mojego boku, u wszystkich tutaj, jest ich niewinność. Ten maleński archipelag jest jak bańka mydlana, odizolowana od reszty świata, w której ludzie mają



szansę być najlepszą wersją siebie. Tutaj kult jednostki, tak powszechny w zachodnim świecie, jest prawie nieznan. Nie istnieje tu wyuczone poczucie uprzywilejowania. Nikt tu nie mówi o „czasie dla siebie”. Tutaj życie polega na pracy w pocie czoła, na staraniach wyciągnięcia tego, co najlepsze z tego surowego otoczenia, a także, co teraz wygląda zupełnie inaczej, na pomaganiu innym po drodze. To jest społeczność. Zespół.

Margaret Thatcher, która praktycznie została świętą patronką wysp po opanowaniu inwazji, mówi, że społeczność to naddatek. Że najważniejsza jest jednostka. Gdyby naprawdę znała i rozumiała to miejsce, nigdy nie wygadywałaby takich bzdur.

Nie licząc działań wojennych podczas konfliktu – a nawet wtedy – najeżdżna armia Argentyńczyków bardzo dobrze traktowała mieszkańców wysp. Kelperzy nie wiedzą, do jakich najgorszych czynów jest zdolny człowiek. Nie mają pojęcia, że trzeba lat, by wyhodować potwora.

Po półgodzinie docieramy do końca pola minowego i przechodzimy pod płotem. Wyraźnie widać, że Catrin ulżyło. Ja niemal zamarzam. Ale pokonaliśmy już prawie dwa kilometry i szybko docieramy do strumienia, który nas prowadzi prosto do mojego domu.

– Czy to nie przywołuje wspomnień? – Catrin nadal z trudem dotrzymuje mi kroku, ale wiatr przeszywa mnie do kości, nie mogę zwolnić. U moich stóp Queenie też ledwie kuśtyka. Zastanawiam się, czy nie skończy się na tym, że będę musiał nieść obie. – O drałowaniu, tak to nazwałś?

– Kobieto, uważaj, co mówisz. Ci z marynarki drałowali. My maszerowaliśmy.

– Dwa słowa na określenie dokładnie tego samego.

– Gówno prawda – złoszczę się, chociaż technicznie ma rację.

Drałowanie to określenie z żargonu Royal Marines. Zawsze istniała zdrowa rywalizacja między marynarką a spadochroniarzami. Mieliśmy dla nich dużo szacunku, ale na tym się kończyło. Kiedy Stanley zostało odbite, dowództwo chciało, żeby to marines wciągnęli na wyspach flagę Zjednoczonego Królestwa. Z przyczyn symbolicznych, cokolwiek to oznaczało. Jednak w naszym pojęciu, to te kapuściane łby wcześniej ją utraciły, i nie było mowy, żebyśmy im ustąpili pola. To nasz batalion pierwszy dotarł na wyspy, my pierwsi spuściliśmy Argentyńczykom porządny łomot i cholernie chcieliśmy być pierwsi w Port Stanley. I byliśmy.

– Marsz w naszym slangu oznacza, że mieliśmy cięższe plecaki ze sprzętem i szliśmy o kilka kilometrów szybciej na godzinę. Małolaty drałują, mężczyźni maszerują.

Ostatni płot, krótki odcinek w dół wzgórza i widzę dom. U mojego boku Catrin przeciągle wzdycha z ulgą.

– Przesadzę, jeśli powiem, że liczę na gorącą kąpiel?

W moim umyśle pojawia się nagle obraz Catrin w wannie, skóra połyskuje różowo w oparach pary... Nie, stop, muszę wyhamować. Dzisiejszej nocy zanotowałem pewien postęp, ale przede mną jeszcze daleka droga.

– Będę ci mógł chyba nawet zaproponować ciepłą kolację, chociaż pewnie odgrzewaną w mikrofalach.

Kiedy znowu się odzywa, mówi ciszej, poważniejszym tonem.

– Cał, myślisz, że Rachel uważa, że to zrobiłam?

Szczerze? Nie mam pojęcia. Nie znam Rachel zbyt dobrze; kiedy się spotykamy, ograniczamy się do towarzyskich uprzejmości.

– Zna cię dłużej niż ja. Jeśli ja wiem, że tego nie zrobiłaś, ona też to musi wiedzieć.

– Ale ty nie wiesz. Możesz mieć nadzieję albo nawet w to wierzyć, ale nie wiesz. – Zwolniła, prawie stoi w miejscu. Wszystko bardzo fajnie, ale wciąż ma na sobie moją kurtkę, a noc nie robi się cieplejsza.

– Znam cię – odpowiadam.

– Znasz mnie sprzed trzech lat. Z przeszłości. Teraz jestem zupełnie kimś innym.

– Ludzie aż tak się nie zmieniają. – Mówię jej to, w co sam chcę wierzyć, że w głębi serca Catrin pozostała tą samą kobietą. – Nieważne przez co przeszli, głęboko w duszy są tacy sami.

– Chyba oboje wiemy, że to nieprawda.

Jesteśmy prawie w domu. Czuję, na co mam nadzieję, i nie jest to ani gorąca kąpiel, ani gorąca kolacja. Powtarzam sobie, że nie mogę jej popędzać. A potem robię coś zupełnie przeciwnego. Popędzam ją. Zatrzymuję się i odwracam do niej. Stoimy na wąskiej ścieżce.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Benem. On wie. Mówiłaś mu o nas?

Jej twarz na wspomnienie Bena pochmurnieje. Naprawdę chcę, żeby powiedziała, że mu mówiła. Błagałem ją o to aż nazbyt często. Kiedy nie masz nic, małe zwycięstwa wiele znaczą.

Catrin doskonale wie, co chcę usłyszeć, ale ona nigdy nie kłamie.

– Nie ja. Rachel.

– Powiedziałaś jej? – Catrin zawsze zależało, żeby te wieści do przyjaciółki nie dotarły.

Nie patrzy mi w oczy. Czuję, że niechętnie o tym wspomina, nawet teraz.

– Nie, nie powiedziałam. Sama się dowiedziała. Widziała nas któregoś razu. My... cóż, nie sądzę, żeby mogła mieć jakiegokolwiek wątpliwości, co robimy.

Czekam na szczegóły. Nie potrafię sobie uzmysłwić, kiedy Rachel mogła nas przyłapać. Zachowywaliśmy się bardzo ostrożnie.

– To dlatego była u mnie w domu tamtego dnia, kiedy zostawiła chłopców w samochodzie. – Catrin mówi teraz do ziemi pod swoimi stopami. – Przyjechała prawie godzinę wcześniej, niż się umówiliśmy. Chciała się sam na sam spotkać z Benem, powiedzieć mu o nas. Moja najlepsza przyjaciółka właśnie rozwałała mi małżeństwo, próbowała zniszczyć moją rodzinę, kiedy Kit i Ned spadali z urwiska. Wypadek, chwila nieuwagi, tobym wybaczyła. Ale nie coś takiego.

Cholera. Nie przychodzi mi do głowy, o co zapytać najpierw. Czy to Ben jej o tym powiedział? Dlaczego Rachel miałaby chcieć ją tak bardzo skrzywdzić? Dlaczego nic z tego nie wypłynęło w trakcie dochodzenia po śmierci chłopców? To, o co pytam, jest najmniej ważne, za to najbardziej samolubne ze wszystkiego, co mógłbym wymyślić.

– Zamierzałaś mu kiedykolwiek powiedzieć?

Nie dostaję w twarz, na co prawdopodobnie zasługuję. Przez dłuższą chwilę niczego nie dostaję.

– Bałam się – odpowiada cicho. – Ben... mogłam na nim polegać. Bardzo cię kochałam, ale byłeś jedną wielką niewiadomą. Nie miałam pojęcia, czego się po tobie spodziewać, a tu dwoje dzieci, o których musiałam myśleć.

Och, właśnie; dobrze, że o tym wspomniała.

– Troje. Miałaś troje dzieci, o których musiałaś myśleć.

Odsuwa się, próbuje mnie obejść. Wyciągam do niej rękę, ale jest już za daleko.

– Czy ono było moje?! – wołam za nią, gdy odchodzi. Wiem, że mi nie powie. Przynajmniej nie teraz. Tak czy owak, piłka znalazła się w grze. Jest na boisku.

Idziemy dalej, już prawie docieramy na miejsce.

– Cał, muszę cię spytać o coś w sprawie komputerów.

– Powinienem umieć ci pomóc. – Trochę jestem naburmuszony.

– Muszę wywalić pewne pliki. Jeśli usunę je z kosza, znikną na dobre, czy gdzieś zostaną na dysku twardym?

Spytaj mnie o coś trudnego.

– Zostaną. Ale mogę całkiem się ich pozbyć, jeśli to ważne.

– Powiesz mi, jak to się robi?

Kiedy zaczynam się zastanawiać, do czego ta rozmowa prowadzi, docieramy do ostatniego wzniesienia, stąd do domu mamy tylko rzut kamieniem.

– Tak, ale jeśli mówisz o swoim komputerze, to musisz się wstrzymać. Nie było go w twojej

sypialni. Pewnie gliniarze go zabrali w ramach dochodzenia.

Catrin się zatrzymuje. Ja w tym samym momencie dostrzegam dwa wozy policyjne przed domem. Też przystaję. Kiedy się do mnie odwraca, nie podoba mi się to, co widzę na jej twarzy. Ściąga moją kurtkę i mi ją oddaje.

– Dzięki – rzuca. – Nie tylko za okrycie.

Zauważyli nas. Stopford wysiada z jednego z wozów wraz z Joshem Savidge'em. W drugim są Skye z jeszcze dwoma posterunkowymi. Ruszają w naszą stronę.

– Lepiej późno niż wcale. – Odczuwam przymus zachowywania się tak, jakby nigdy nic. Że przecież to jasne, że po tym, co zostawiliśmy za sobą w domu Catrin, policja będzie na nas czekała.

– Myliłam się – odzywa się Catrin. – Co do Bena, że można na nim polegać. To ty zawsze mnie wspierałeś, nigdy mnie nie zawiodłeś. Przepraszam.

A potem wreszcie uśmiech. Pojawia się tylko na sekundę, ale jest. I znika.

– Callum, nie rób niczego głupiego. Nie możesz mnie dłużej chronić. Nie pakuj się w kłopoty.

– Cat, przestań. Przyjechali pewnie tylko po to, żeby się upewnić, że nic ci się nie stało.

– Zaopiekuj się, Queenie, dobrze? Myślę, że Ben ją weźmie do siebie, ale zanim tak się stanie, obiecaj, że się nią zaopiekujesz.

– Oni ci nic nie mogą zrobić. Nie mają żadnych dowodów.

– Och, mają i to wystarczająco. Więcej niż potrzeba.

Rusza przed siebie. Chwytam ją za ramię, ale ona łagodnie strząsa moją dłoń.

– Naprawdę mi przykro, Callum. – Odchodzi.

Jest nadal zimno, a ja stoję tam, gdzie stałem. Patrzę, jak Catrin zbliża się do policjantów, jak wyciąga ręce do kajdanek. Patrzę, jak słucha, gdy recytują jej prawa, a potem, jak ją zabierają i odjeżdżają.

Queenie jest bardzo zdenerwowana. Drapie w drzwi, wyje, biega od jednego końca domu do drugiego. Nie wiem, czy mam ochotę na nią nakrzyczeć, czy do niej dołączyć, sam zaczynam krążyć po pokojach.

Catrin chciała, żebym coś usunął z jej komputera. Nie, chciała, żebym jej powiedział, jak to się robi. Komputer ma policja. Cokolwiek na nim jest, policjanci już to widzieli. Dlatego poszła z nimi bez opierania się.

Catrin miała komputer stacjonarny. Nie widziałem żadnych kabli do modemu. Ani samego modemu. Nie miała jak wysyłać poczty ani korzystać z internetu. Używała komputera do celów administracyjnych, trzymała w nim dane. To oznacza, że nie mogę się do niego dostać bezpośrednio. Żeby przenieść dane, musiałaby zapisać je na dysku i zgrać na inny sprzęt. A zatem mogę się do nich dostać jedynie przez komputer policyjny.

W ciągu kilku minut znowu włamuję się do policyjnego systemu, ale niczego nie znajduję. Wstaję od biurka, rozpalam w kominku, zmuszam się, żeby coś zjeść, karmię Queenie i znowu próbuję. Nic. Nie przestaję próbować. W końcu, na godzinę przed świtem, jest! Wszystkie jej pliki zostały ściągnięte i zapisane, jednak zwłaszcza jeden był otwierany i czytany kilkakrotnie w ostatnich kilku godzinach. Też go otwieram. To pamiętnik. Nie miałem pojęcia, że Catrin pisała coś takiego. Może kiedy byliśmy ze sobą, nie pisała. Pierwszy wpis ma datę sprzed prawie trzech lat.

W innych okolicznościach nawet by mi się nie śniło pogwałcić prywatność Catrin. Ale zawartość dokumentu przede mną znają już wszyscy powiązani z policją na wyspach. Zaczynam czytać. Kończę, gdy słońce wyłania się na wschodnim horyzoncie.

# DZIEŃ SZÓSTY

## sobota, 5 listopada

23

Nasze umysły muszą posiadać jakiś mechanizm, który działa jak filtr, gdy dzieją się rzeczy naprawdę złe. Chroniąc przed pełną siłą ciosu, mechanizm dopuszcza do nas jedynie część złych wiadomości, kropla po kropli, tyle tylko, żebyśmy potrafili sobie z nimi poradzić, potem zamyka nasz umysł i każe mu sobie zrobić przerwę. To pewne, że w tej pierwszej godzinie po przeczytaniu pamiętnika Catrin mój umysł usiłuje sobie wszystko przyswoić, pojąć sens. Przez tę pierwszą godzinę jestem odrętwiały.

Catrin pisała pamiętnik, wiem tyle. Zaczęła to robić, żeby wyrazić rozpacz, zdumienie, że człowiek może dalej żyć mimo takiego bólu. Próbuję to sobie ułożyć w głowie, kiedy wędruję od pokoju do pokoju, kiedy wychodzę na dwór, żeby trochę otrzeźwieć. Catrin pisała o oczywistym rozwoju jej uczuć, od żałoby do palącej nienawiści, a w końcu do zimnego, bezlitosnego pragnienia zemsty.

Czytając wpisy, odkrywałem kobietę, o której istnieniu nie miałem pojęcia. Kobietę, która cierpiała tak ogromnie, że raczej gotowa była zamienić się w potwora niż żyć dalej tak, jak żyła.

Sądziłem że nic, już nigdy, nie może mną wstrząsnąć i mnie zaszokować. Na moich oczach kolegów rozrywały granaty. Czasami z dojmującego zimna kusiło mnie, żeby wetknąć dłonie w wylewające się wnętrzności, byle tylko się rozgrzać. Widziałem chłopców, jak z popaloną skórą biegają po polu bitewnym i szukają swoich oderwanych rąk. Widziałem mężczyzn większych ode mnie, jak płakali za matkami, kiedy konali w samotności w odległym kraju po drugiej stronie planety. Myślałem, że już nic gorszego nie zobaczę. Jakże się myliłem.

Pukanie do drzwi całkowicie mnie zaskakuje.

Wróciła. To wszystko to pomyłka. Pamiętnik to jakiś nonsens, jakaś zmyślona, dziwaczna forma literacka. Pędzę do drzwi i szybko je otwieram. Na progu nie stoi Catrin.

Stoi Rachel.

24

Jedzie od niej jak od najgorszego żuła w Globe. Rozmazany makijaż sugeruje, że się nie myła i nie oglądała w lustrze od wielu dni.

– Muszę z tobą porozmawiać. – Jej oczy nie do końca skupiają się na moich.

Cofam się, żeby ją wpuścić, ale jestem nieufny. Nie potrafię się domyślić, dlaczego tu jest. Prawie się nie znamy. Catrin dużo o niej mówiła, ale nigdy nie chciała, żebyśmy się spotykali.

– Ona się zorientuje – tłumaczyła. – Jeśli zobaczy nas razem, natychmiast będzie wiedziała.

– To by było aż tak złe? – W przeciwieństwie do Catrin mnie nie zależało, żeby utrzymywać nasz romans w tajemnicy. Przeciwnie. Chciałem, żeby wszyscy wiedzieli. Chciałem krzyczeć na cały świat, że Catrin jest moja. Cholera, wytatuowałbym jej na czole „własność Calluma Murraya”, gdybym mógł.

– To nie byłoby w porządku zmuszać ją do kłamstwa. – Catrin nawet nie udawała, że uważa za możliwą moją propozycję. – Ona i Sander przyjaźnią się ze mną i Benem. Znalazłaby się w kłopotliwej sytuacji.

Więc tajemnica pozostała tajemnicą, a Catrin, która dzieliła się ze swoją najlepszą koleżanką wszystkim, teraz miała w swoim życiu coś, czym podzielić się nie mogła. Ciekawe. Zaczyna wyglądać na to, że Catrin ukrywała więcej tajemnic, niż nasza dwójka sobie uświadamiała.

Rachel wchodzi z wiatru i otrząsa się, zupełnie jak pies osuszający zmokniętą sierść. Powszechnie uważa się ją za jedną z najładniejszych kobiet na wyspach, ale ja nigdy tego nie widziałem. Nawet wcześniej, kiedy jeszcze lęk o syna nie odarł jej twarzy z życia, zawsze była trochę za bardzo delikatna, za jasna jak na mój gust. Teraz wśród tych blond włosów przeświecają ciemne odrosty, a te sławetne błękitne oczy są przekrwione.

– Znowu zatrzymali Catrin. – Nie jest ubrana odpowiednio do pogody. Ma na sobie spodnie jeździeckie i cienką koszulkę z długimi rękawami. Obydwie części garderoby są zbyt obcisłe, napinają się na ciele i niekorzystnie podkreślają mankamenty figury. Buty do kolan. Bez kurtki. – Policja znalazła pamiętnik w jej komputerze. Wszyscy mówią, że to równoznaczne z przyznaniem się, Callum. Że zabiła Petera.

O rany, czy dyskrecja nic dla tych ludzi nie znaczy?

Rachel dopatruje się czegoś w mojej twarzy i daje nerwowy krok w tył.

– Już wiesz, prawda? Skąd?

Nie chcę teraz tego. Nie poradzę sobie ze zrozpaczoną, rozhisteryzowaną matką, sam jestem bliski hysterii.

– Catrin tu była, kiedy przyjechała policja. Kilka godzin temu. Rachel, powinnaś być z rodziną. Odwiozę cię do domu.

Odwracam się do drzwi, chcę je otworzyć, wyprowadzić ją, i wtedy dolatuje mnie zapach konia. Musiała przyjechać konno.

Znowu się odsuwa, z podniesioną ręką, jakby się ode mnie odgradzała.

– Muszę go przeczytać – mówi. – Inaczej nie uwierzę. Nie Catrin. Nie ona.

Przez myśl przemyka mi, że oddałbym wszystko, żeby odzyskać tę pewność. Tę wiarę w Catrin. Tyle że czytałem pamiętnik. A teraz ta kobieta też chce to zrobić. Nie mogę na to pozwolić.

– Rachel, przez kilka następnych dni będzie mnóstwo plotek. Nie powinnaś ich słuchać. Jeśli istnieje jakiś pamiętnik, dowiemy się o tym podczas procesu.

– To będzie za wiele miesięcy. Muszę wiedzieć już teraz.

Nie ruszam się spod drzwi. Twarz jej blednie, oczy zachodzą łzami.

– Jestem matką Petera, Callum. Muszę wiedzieć, co mu się stało. Nie zniosę tego, że na posterunku znają szczegóły, a ja nie.

– Rach. – Bez zastanowienia używam formy, jaką posługiwała się Catrin. – Nie wiem, co twoim zdaniem mógłbym zrobić...

– Wyszukaj ten pamiętnik. – Przybliżyła się z wyciągniętą ręką, jakby chciała mnie dotknąć, ale nie miała śmiałości. – Jej komputer zabrali na posterunek. Na pewno skopiowali pliki i ty umiesz się do nich dostać. Nie ma rzeczy, której nie potrafiłbyś zrobić z komputerami.

Zaczynam kręcić głową.

– Znam cię lepiej, niż sądzisz. Wiedziałam o was. Od samego początku. Ona nigdy nie potrafiła nic przede mną ukryć.

– Rachel, nie bardzo wiem, o co ci chodzi, ale...

– To było oczywiste. Zmieniała się, inaczej się zachowywała, kiedy ktoś o tobie mówił. Prostowała się, przerywała coś, cokolwiek robiła, żeby tylko nie uronić słowa. Niemal rosły jej uszy.

– Odwiozę cię do domu. – Rozglądałam się za czymś, za jakąś jej rzeczą, żeby zasygnalizować, że czas dobiegł końca. Ale nie przyniosła ze sobą niczego, ani kurtki, ani torby. Jedyne, co mi pozostawało, to otworzyć drzwi i ją za nie wypchnąć.

– O tobie mówiła częściej niż o własnym mężu. Każda okazja była dobra, żeby wrzucić twoje imię do rozmowy. Widziałam, jak na ciebie patrzyła. Catrin nie potrafiła niczego ukrywać. Z pewnością nie umiała kłamać. Doskonale wyczuwałam, kiedy była z tobą, a kiedy nie dzwoniłeś do niej od kilku dni.

Nie, nie dam sobie z tym rady, nie teraz. Żal mi tej kobiety, ale mój świat też się zachwiał w posadach.

– Jesteś zdenerwowana. Powinnaś być ze swoimi sy... z Chrisem i Michaellem. Na pewno się martwią, gdzie się podziałaś.

– Nic nie mówiłam. – Wygląda, że próbuje mnie teraz obłaskawić. – Nigdy bym nic nie powiedziała. Czekałam, aż ona to zrobi.

Nie powiedziała Catrin, ale powiedziała jej mężowi? Muszę to zakończyć, wyprowadzić ją stąd.

– Rachel, nie było nic do powiedzenia. Coś ci się pomieszało.

– Na pewno nigdy nie kochała Bena w ten sposób, w jaki kochała ciebie. Nie jestem pewna, czy w ogóle go kiedykolwiek kochała, ale kiedy się pojawiłeś, to był ich koniec.

Ta kobieta jest o wiele mądrzejsza od Catrin. A może tylko sprytniejsza. Catrin nigdy by się nie przypochebiała ani nie płaszczyła, żeby coś uzyskać. Otwarcie by o to poprosiła. Wyklócałyby się, gdyby jej odmówiono, ale zawsze używałyby uczciwych argumentów. Catrin kłóciła się jak mężczyzna. Nie poważyłaby się wykorzystywać czyjejś słabości, jak Rachel teraz. I Rachel kłamie. To drobne kłamstwa, ale jednak kłamstwa. Jeśli Catrin mówiła mi prawdę – a nigdy nie widziałem, żeby było inaczej – Rachel przyłapała nas na gorącym uczynku.

– Dzwonię do twoich rodziców. – Obchodzę ją i idę do telefonu, który leży na biurku. Duży błąd. Rachel oczywiście lezie za mną, a pamiętnik Catrin wciąż jest otwarty na moim pececie. Wystarczy poruszyć myszką, a plik pojawi się na ekranie. Szybko się odwracam, ustawiam między biurkiem a gościem.

– Słuchaj, nie wiesz, o co prosisz. Cokolwiek Catrin napisała w tym pamiętniku, jeśli coś napisała, ty na pewno wolałabyś tego nie czytać.

Rachel nie odpuszcza, a do mnie dociera, że nigdy nie odpuści.

– To oczywiste, że wolałabym tego nie czytać. Wolałabym też, żeby Bob Stopford nie przychodził dzisiaj do mojego domu, nie kazał mi usiąść, żeby mógł mnie poinformować, że bardzo mu przykro, ale znaleźli ciało Petera. Ale wiem, że przyjdzie i tak powie, bo z pamiętnika Catrin wywnioskuje, gdzie jest mój synek. Nie chcę za pół roku unikać gazet, bo będą w nich wszystkie szczegóły zbrodni. Nie chcę mówić Chrisowi i Michaelowi, że ich młodszy braciszek nigdy do nas nie wróci. Nie chcę, kiedy będę dzisiaj odbierać męża z lotniska, tłumaczyć mu, że pozwoliłam, by jego synek zginął z ręki szalonej kobiety, kiedyś mojej przyjaciółki. Ale będę musiała to zrobić, i jeśli mogę wiedzieć na pewno, jeśli przeczytam to napisane jej własnymi słowami, wtedy może zacznie to do mnie docierać i

zdołam sobie z tym jakoś poradzić.

O cholera, cholera, po tysiącokroć cholera.

– Chodź, usiądź.

Pozwala mi się zaprowadzić do salonu. Queenie, zwinięta na dywaniku, otwiera oczy i nie odkrywając wzroku od Rachel, wolno wstaje. Lekko popycham Rachel na fotel przy kominku i nalewam nam obojgu drinka. Potem siadam naprzeciwko i spoglądam jej prosto w oczy. Nie istnieje łatwy sposób na powiedzenie czegoś takiego.

– Rachel, naprawdę strasznie mi przykro, ale myślę, że Peter chyba nie żyje.

Wydaje okrzyk, coś pomiędzy jękiem a łkaniem. Jej dłonie podrywają się do ust, wzrok ma utkwiony w przestrzeń. Żałuję, że się w to wdałem, ale muszę doprowadzić rozmowę do końca.

– Jestem pewien, że nie cierpiał, że się nie bał. Ona nie jest okrutna. Na pewno to się odbyło szybko, ale wszystko wskazuje, że Peter jednak nie żyje, przykro mi.

Zamyka oczy, zaczyna się kołysać w przód i w tył. Wmówiła sobie, że wszystko lepsze od niewiedzy, a teraz odkrywa, że niewiedza ma dużo pozytywnych stron. Potem znowu na mnie spogląda i kręci głową.

– Ona by nie mogła. Ja to po prostu wiem. Nie potrafiłaby.

Widzę ją coraz mniej wyraźnie. Biorę głęboki wdech i trę oczy. Potem nagle Rachel jest w moich ramionach i szczerze mówiąc, sam już nie wiem, które z nas płacze. Albo które płacze bardziej. Kiedy chwilę później trochę się uspokajamy, przekonujemy się, że Queenie wcisnęła się między nas.

– Już go czytałeś, prawda? – szepcze Rachel.

– I wiem, że ty nie powinnaś – odpowiadam. – Zaufaj mi, nic dobrego z tego nie wyniknie, że go przeczytasz.

Odsuwa się.

– Mimo to muszę. Masz go w komputerze?

Tym razem jej nie powstrzymuję. Podnoszę Queenie, idę za Rachel i we troje siadamy przy biurku.

Już nawet początkowe akapity trudno czytać. To prywatne myśli kobiety, która ledwie funkcjonuje, tak wielki jest ciężar rozpacz. Każdemu ta lektura wydałaby się przytłaczająca. Dla dwojga osób, które kochały Catrin, a przede wszystkim w pewnym sensie przyczyniły się do jej bólu, czytanie pamiętnika graniczy z niemożliwością, tak ogromny ból rodzi. Rachel, zanim dociera do końca pierwszej strony, chwytą mnie za rękę i mocno ściska. Kiedy kończy drugą stronę, uwalniam się, żeby pójść po rolkę kuchennego papieru. Mnie też będzie potrzebny.

Wracam do Rachel, wygląda, jakby się skurczyła w sobie, jakby jej ubyło. Zewnętrznie wydaje się taka sama, bez mrugania wpatruje się w monitor, ale w środku coś w niej umarło.

Siadam, kładę papier między nami.

Gdy po raz drugi czytam o duchach chłopców, które Catrin widuje w domu, o głosach nawołujących ją na morzu, dochodzę do wniosku, że każdy w miarę przyzwoity adwokat powinien móc ją wybronić ze względu na jej niepoczytalność. Czytam o tym, jak mąż coraz bardziej się rozmywał przed jej oczami, jak się stawał coraz mniej wyraźny, kolory blakły, głos cichł, aż w końcu zupełnie zniknął z jej życia. Czytam ponownie o jej decyzji, że pozostanie na wyspach, że nie spróbuje na nowo ułożyć sobie życia gdzie indziej. Tutaj, na Falklandach, nikt nie zapyta, czy ma dzieci. Nikt nie będzie oczekiwał, że będzie normalna.

Ani słowa o mnie. Moje ego jest na tyle duże, że to zauważam. Jakbym dla Catrin przestał istnieć w dniu, gdy nie uratowałem jej dzieci.

Ustępnym, który Rachel musi przeczytać, słowa, które przytoczone w każdym sądzie przyniosą wyrok skazujący, znajdują się pod koniec. Dziewiętnastego października tego roku Catrin napisała:

*Ludzie będą mnie przekonywali, żebym wybaczyła Rachel; że to, co się stało, to wypadek, niczyja wina, że ona też cierpi. Będą mówili, że tylko przebacząc, znajdę ukojenie mojego bólu. Jakby to w ogóle było możliwe, żeby dało się ten ból uciszyć. Lub pożądane. Nie potrafię znieść myśli o życiu bez swoich synów. W tym półżyciu, jakie mi pozostało, w tej mrocznej egzystencji, oni wciąż ze mną są. Nie mogę pozwolić im odejść.*

Rachel podskakuje, kiedy widzi na ekranie swoje imię.

*Prawda jest taka, że wcale nie nienawidzę Rachel, kobiety, którą kiedyś znałam, bo ona dla mnie już nie jest tamtą osobą. W moich oczach nie jest już teraz człowiekiem. Jest wydarzeniem. Żyjącą katastrofą. Próżnią, która zasysa ostatnie resztki światła wokół mnie. To przez nią świat utracił wszelką równowagę. Póki ona żyje, wszechświat będzie do góry nogami, a ci co są pod spodem, runą wprost do czeluści piekieł.*

Już nie patrzę na Rachel. Nie mogę.

Dalej jest urywek, który w moim przekonaniu bez wątpienia zostanie w przyszłości uznany za przyznanie się do winy Rozpoczyna się od wtorku, pierwszego listopada, w dzień po porwaniu Archiego Westa.

*Zaginęło dziecko. Nie obchodzi mnie, kto to jest ani jak do tego doszło. Nie obchodzi mnie, czy znajdą go dzisiaj, czy za pół roku, kiedy jego kości będą wydziobane do czysta przez ptaki. Nie interesuje mnie żadne żyjące dziecko, ale nie mogę się pozbyć z głowy obrazu jego matki. Znikała na moich oczach. Zapadała się do wewnątrz. Nie mogła pomieścić w sobie szoku i bezradności.*

*Pomyślałam, że wyglądała jak ja. Całą drogę do domu widziałam swoją twarz w miejscu jej twarzy. A potem, gdy już dojechałam, zobaczyłam ją jako Rachel.*

– Wystarczy? – pytam. Niczego bardziej nie pragnę, niż żebyśmy zakończyli w tym punkcie. Kręci głową.

*Zastanawiałam się, co gorsze – wiedzieć, że twoje dziecko nie żyje, że zginęło szybko i bezboleśnie, czy nie wiedzieć, gdzie jest, kto je przetrzymuje i jak bardzo może cierpieć? Ile godzin takiej niewiedzy, wyobrażania sobie najstraszniejszego może znieść kobieta, zanim straci kontakt z rzeczywistością?*

*Zanim zaczniesz cierpieć tak, jak ja cierpię?*

Rachel opuszcza głowę w dłonie i znowu wybucha płaczem. Daję jej czas. Już nie proponuję, żebyśmy przestali czytać. Wiem, że to nie ma sensu.

– Trzy lata żyła z czymś takim w sercu – mamrocze w końcu. – Możliwe, żeby dalej było jeszcze gorzej?

– Niestety tak.

– Dobra, pokaż następny wpis.

– Rach...

– Pokaż.

*Jakby ktoś włączył światło, jakby wszystko, co dotychczas kryło się w mroku, nagle stało się jasne jak w blasku dnia. Dlaczego to nie Rachel miałyby stać w porcie i rozpadać się na kawałki? Dlaczego nie ona miałyby cierpieć, tak jak cierpi ta biedna suka? Dlaczego nie Rachel miałyby teraz umierać ze strachu, zamiast kołysać do snu ciepłe ciało swojego synka? Dlaczego nie ona miałyby wpatrywać się*



*w jego zimne i puste łóżeczko, zastanawiając się, gdzie on, na Boga, jest?*

Gdy docieramy już prawie do końca, widzimy zdjęcie, którego ja cały czas nie mogę się pozbyć z głowy. Catrin, blada, nieruchoma jak kamień, stoi przy ciele olbrzymiego grindwala, twarz ma obryzganą jego krwią, z pistoletu w jej dłoni nadal unosi się dym. Widzę ją, jak stoi dokładnie w tej samej pozycji nad ciałem martwego dziecka, i wiem, że za sprawą artykułu w „Daily Mirror” cały świat wkrótce będzie sobie wyobrażał to samo.

Ostatnia notatka pochodzi z czwartku trzeciego listopada, dzień po katastrofie z wielorybami. Catrin musiała to pisać kilka godzin po tym, jak przekazaliśmy Archiego Westa rodzicom. Wszyscy, którzy byli tego świadkami, płakali. Oprócz Catrin.

*Zastanawiałam się, czy mam w sobie to coś, co pozwala zabić. Czy potrafiłabym patrzeć żywej istocie w oczy i zrobić tę jedyną nieodwracalną rzecz, która kończy życie. Spytałam i chyba dostałam odpowiedź. Nie mam problemu z zabijaniem. A nawet jestem w tym całkiem dobra. Dzisiaj przypada rocznica śmierci chłopców. Minęły dokładnie trzy lata od dnia, gdy lekkomyślność Rachel zakończyła życie ich i moje. Trzy lata, odkąd zaczęłam rozmyślać, jak przywrócić równowagę. Przez większość tego czasu rozważałam, w jaki sposób i kiedy zabiję Rachel. Teraz myślę, że to chyba za mało. Że może powinnam się posunąć o krok dalej.*

*Nic już ze mnie nie zostało. Właśnie odebrałam życie stu siedemdziesięciu sześciu istnieniom. Jakie znaczenie będzie miało jedno więcej?*

## 25

**R**achel odjeżdża, a ja wracam do miasta, choć nie mam większego pojęcia, dokąd pójdę i co zrobię, gdy tam dotrę. Catrin potrzebuje adwokata. Mogę zadzwonić do kancelarii w Stanley i porozmawiać z jednym z partnerów biznesowych, żeby ją reprezentował, przynajmniej na początku. Później trzeba znaleźć i ściągnąć z Anglii kogoś wyspecjalizowanego w sprawach karnych. To będzie słono kosztowało, ale na szczęście ani Catrin, ani ja nie cierpimy na brak pieniędzy.

Brzoskwiniowa paniusia, teraz w jasnoczerwonym wdzianku, przed posterunkiem nagrywa przed kamerą krótkie wejście na antenę, więc mijam ją i idę dalej do służbowego parkingu na tyłach. Wchodzę od tamtej strony na posterunek i znajduję się w jednym z biur na zapleczu.

Neil, dyżurny sierżant, obecnie poza swoim stanowiskiem, zauważa mnie i zagradza mi drogę.

– Wyjdź. Skorzystaj z wejścia od frontu jak wszyscy inni.

– Ale tam stoi ekipa telewizyjna i tarasuje przejście – kłamię. – Lepiej każcie im się stamtąd wynieść albo ludzie zaczną się skarżyć.

Mamrocząc pod nosem, sierżant wychodzi.

– Chcę się zobaczyć z Catrin – mówię do Skye, drugiej osoby w biurze.

Dziewczyna kręci głową.

– Jest na przesłuchaniu.

– A adwokata ma?

– Nie chciała. – Skye nachyla się nad biurkiem i zamyka plik w komputerze, który ona i Neil oglądali.

Mnie jednak udaje się wcześniej zobaczyć, co to było.

– A psychologa? Jest z nią ktoś taki?

Skye mruga, nie rozumie.

– Catrin jest rozchwiana emocjonalnie. Możliwe że cierpi na zaburzenia umysłowe. Brytyjskie prawo nakazuje, że nie powinna być przesłuchiwana bez obecności odpowiednio przeszkolonego specjalisty.

To w osiemdziesięciu procentach brednie, w dziesięciu domysły. Zwyczajnie stawiam na to, że Skye i jej koledzy nie są do końca na bieżąco z przepisami dotyczącymi procedur przesłuchiwania osób niestabilnych emocjonalnie. Ale Skye nie daje się łatwo zbić z tropu.

– Jestem przekonana, że wzięto to pod uwagę.

– Więc kto z nią jest? Kim jest ten specjalista i jakie ma kwalifikacje? Skye, do cholery, cały świat będzie śledził tę sprawę. Nie możecie sobie pozwolić na błędy, zwłaszcza że zamierzam wynająć dla niej najlepszego adwokata w Anglii, żeby jej bronił.

– Tak? Świetnie. – Wygląda jak wkurzona nastolatka.

– Ty nic nie rozumiesz. Jak się będziecie czuli i na kogo wyjdziecie, ty i twoi koledzy, jeśli Catrin zostanie wypuszczona przez szczegół, bo nie przestrzegaliście procedur? Wszystkich z posterunku będą musieli przenieść do pieprzonej Georgii, żeby was ochronić przed ludźmi z Falklandów.

Niełatwo ją zastraszyć, w końcu jednak się udaje. Każe mi zaczekać i wychodzi. Jej kroki cichną na korytarzu. Podchodzę do komputera. Zamknęła plik, ale otwieram historię i dokument, który oglądała z Neilem, jest na szczycie listy. To odcisk buta sprzed domu Grimwoodów.

Z pewną ulgą – jeśli ten trop w dochodzeniu nie został zamknięty, dla Catrin może być jeszcze nadzieja – otwieram plik i widzę zdjęcie.

Och, Boże, nie.

Przez chwilę mam wrażenie, że zemdleję. Pocieram oczy, zaciskam je na sekundę, potem znowu patrzę na ekran. Nic się nie zmieniło. Wciąż jest tam odcisk, który rozpoznałem natychmiast.

Tamto popołudnie, kiedy ścigałem Catrin, kiedy wykręcałem przy domu Grimwoodów i znowu gnałem za Catrin, popołudnie, kiedy zniknął Peter... nie pamiętam, żebym wtedy wysiadał z samochodu. A jednak musiałem to zrobić.

Butów, w których zwykle chodzę, te, których odcisk widzę teraz w komputerze – i nie ma tu mowy o pomyłce, odcisk kamasy rozpoznałbym wszędzie – akurat nie miałem na nogach, gdy się ocknąłem, przemoczony do suchej nitki, tej nocy, gdy mnie zaćmiło w terenie. Zmieniłem je wcześniej tego dnia. Żeby odciski tych butów mogły się znaleźć w błocie przed domem Grimwoodów, musiałem tamtego popołudnia wyjść z samochodu. Kiedy odwoziłem Roba, niespełna dwanaście godzin później, byłem w innych butach.

Słyszę hałas na korytarzu, zamykam plik i odsuwam się od biurka.

Jeśli nie pamiętam, że wysiadłem z samochodu, co jeszcze mi umknęło?

Jakbym przeglądał wstecz taśmę wideo, przebiegam przez wspomnienia z czasu ataku. Hałas, strzały, krzyki. Totalny chaos. Wbite we mnie przerażone oczy. Argentyński chłopak, którego zabiłem.

Tyle że te wpatrzone we mnie oczy nie są już piwne. Są jasnoniebieskie, szeroko otwarte z przerażenia, pomiędzy małych czerwonych warg wyrzywa się okrzyk. Podchodzę do ściany i opieram czoło na chłodnym gładkim tynku. Walę w nią głową, najpierw lekko, potem coraz silniej, jakbym próbował w ten sposób obudzić pamięć.

Niebieskie oczy. Jasne włosy. Przerażone dziecko.

Widziałem Petera tego dnia, nie był w samochodzie Catrin. Jeśli to, co sobie teraz przypominam, jest prawdą, Catrin go nie zabrała. Nie było go w samochodzie ani na łodzi. Ona nie zabiła dzieciaka.

Wypadek. Inny samochód, jedzie za Catrin, zbyt szybko. Kierowca myśli o czymś innym, nie jest

skoncentrowany na prowadzeniu. Małe dziecko ucieka z ogrodu po raz drugi, bo jak maluchy odkryją coś fajnego, nie odpuszczają. Dziecko na drodze. Światło dnia znika, wykradzione przez jakieś dziwaczne solarne zjawisko. Kierowca nie zdąża wyhamować.

Nie jest w normalnym stanie psychicznym. Wpada w panikę, gdy stwierdza, że mały nie żyje. Podnosi ciało i ukrywa je w aucie, możliwe że w coś owija, zanim ktoś zobaczy. Odjeżdża. Nikomu nic nie mówi. Całe zdarzenie usuwa z pamięci, tak jak wyzbył się innych wspomnień, zbyt przerażających, żeby je zachować.

Przechodzę do okna. Na zewnątrz widzę swojego land cruisera. W bagażniku leży zamykana na klucz skrzynia, w której poprzedni właściciel, jak gdzieś wyjeżdżał, woził broń. Próbuję sobie przypomnieć, czy zaglądałem tam od tej nocy, gdy zaginął Peter. Ktoś nadchodzi. Znowu wyślizguję się na zewnątrz.

Na tylnym panelu auta siedzi czarna mucha. Nic niezwykłego. Jest lato, muchy często siadają na rozgrzanych samochodach. Czy tylko o to chodzi, czy może...

Do land cruisera mam pięć metrów. Oglądam się. Biuro, które opuściłem, wciąż jest puste. Cztery metry, trzy. Sięgam do kieszeni i wyciągam kluczyki, zanim sobie przypomnę, że samochód zostawiłem otwarty. Nigdy go nie zamykam. Tak jak nigdy nie zamykam skrzyni. Nie ma tam już broni. Każdy mógłby do niej zajrzeć i zobaczyć, co w niej jest.

Dwa metry, jeden. Docieram do celu. Jeśli Catrin nie zabiła Petera Grimwoda, to...

Wciskam przycisk i otwieram bagażnik.

# CZEŚĆ III

## Rachel

*Dałabym sobie odrąbać rękę, pocięłabym sobie twarz na paski, gdyby to była wystarczająca pokuta za to, co się przeze mnie stało. Czasami myślę, że nie istnieje nic, co bym mogła zrobić, żadne poświęcenie nie byłoby wystarczające, żeby Catrin mi wybaczyła.*

# DZIEŃ PIERWSZY

## poniedziałek, 31 października

26

Jest odpływ. Największy, jaki dzisiaj będzie. Błyszczący piasek – to jedyne przypomina, że woda tu w ogóle kiedykolwiek docierała; na horyzoncie coś się porusza na znak, że znowu może powrócić. Plaża zrobiła się szeroka, łagodnie pofalowana, otaczają ją niskie klify. Naszyjnik z wyrzuconych przez morze kawałków drewna rozciąga się w odległości kilku kroków od powracających fal, ozdabia brzeg, który jak ciało młodej dziewczyny jest gładki i jasny. Nie tak daleko ode mnie trio ostrygojadów wyznacza szlak – runiczne odciski układają się we wzór całkowicie przypadkowy, choć być może jednak zawierają odpowiedź na tajemnice wszechświata. Coś odwraca ich uwagę od poszukiwań, czerwone jak korale dzioby obracają się zgodnie. Ptaki patrzą dokładnie w tym samym kierunku, jakby były potrójną emanacją pojedynczej duszy.

Siedzę na upstrzonej ptasimi odchodami skale jakieś dwadzieścia metrów od plaży, często tu przychodzę przy przyzwoitej pogodzie, a czasami nawet przy gorszej, i oglądam widok, który się nigdy nie zmienia, a zarazem nigdy nie pozostaje taki sam. W niektóre dni przyglądam się surferom. Kiedy fale są spienione, ci ludzie wyglądają jak stwory z głębin, mrocznych i lśniących, i tylko ich twarze wystawione są na zimno. Przyklejeni do desek wiosłują wściekle, potem przyczajeni w pianie czekają na swój moment. I nagle lecą, wystrzeliwują w powietrze, po czym zupełnie znikają pośród spienionych turkusowych wód, żeby znów się pojawić, tam gdzie się ich najmniej spodziewasz.

Dzisiaj nie ma surferów, jest tylko osamotniona kaczka, torpedówka, jej ślad na wodzie przypomina ten, jaki zostawia za sobą motorówka. Wrrrrrrrummm. Wydaję ten odgłos pod nosem, jak dziecko bawiące się samochodzikiem. Ostrygojady spoglądają w moją stronę, patrzą nieufnie, jak na wariatkę, która może niespodziewanie zrobić coś złego.

Dokoła mnie i wyżej, na zboczu klifu, rosną kępy matowoszarych traw. W wietrzne dni trawy się kołyszą, wyginają, siekąc skały niczym tysiące maleńkich pejców. Dzisiaj wiatr nie wieje i trawy stoją nieruchomo jak głązy. Ja też siedzę nieruchomo. Siedzę i gapię się na nieskończony ocean, aż wzrok zaczyna mi mętnieć i czuję się tak, jakbym się znajdowała na krańcu świata.

Z ziemi podrywa się stado ptaków. To chyba kormorany, ich szczupłe strzeliste ciała, gdy się unoszą z plaży, wyglądają jak ostre długie odłamki szkła. Bezpośrednio przede mną majaczy schronienie, do którego zmierzają, wielki dziób statku „Sannigham”. Wrak stoi w bezruchu, ocieka wodą, rozpada się ze starości. Dawniej, we wczesnych latach dwudziestego wieku to był statek

dostawczy, jedna z pierwszych żelaznych parowych jednostek, która wyruszyła w długie i niebezpieczne rejsy do Ameryki Południowej. Kilka dekad temu, opływając przylądek Horn, zaczął przeciekać i już nie wrócił do domu. W czasie przyptywu, ponad rozbijającymi się falami, z frachtowca widać tylko kabiny na pokładzie, ale gdy woda się cofa, wyłania się kadłub cały w plamach rdzy – w odpowiednim świetle wyglądają jak zaschnięta krew. Siedzę tu i przyglądam się, jak statek z każdym nowym przyptywem coraz bardziej pokrywa się rdzawą czerwieńią.

Lata temu, kiedy chłopcy byli dużo mniejsi, kiedy moje życie wyglądało inaczej, Catrin, ja i dzieci podczas odpływu popłynęliśmy do wraku i się na niego wspięliśmy. Zostało na nim wystarczająco wiele, żeby móc sobie przynajmniej po części wyobrazić, jak wyglądało życie marynarzy w przeszłości: wąskie pokłady, zdradzieckie w złą pogodę; ciasne koje, pewnie stale zamknięte; niskie kabiny, w których nawet po tylu latach wciąż zalatywało siarką.

Catrin opowiadała chłopcom o żyłkach morskich, które skolonizowały wrak, ale ja ją wyprzedziłam. Wymknęłam się kilka godzin wcześniej i ukryłam na wraku pięćdziesiąt czekoladowych monet w złotkach, opakowanych w wodoszczelne torebki. Mieliśmy najlepszą na świecie zabawę w poszukiwanie skarbów.

Dzieciaki były oczywiście zachwycone, od tamtego czasu ciągle mnie błagały, żebym pozwoliła im wrócić na wrak, ale to nie jest miejsce, do którego mogłabym ich puścić samych. Przy wysokiej wodzie na wraku jest zbyt niebezpiecznie, a trudno się na niego wspiąć, gdy poziom morza jest niski. Sander zabrał ich tam raz czy dwa. Ja zwyczajnie nie mogłam się na to zdobyć.

Zamiast tego obserwuję. Siedzę, wpatruję się w zniszczony, przeżarty korozją relikwiarz dawnych dobrych czasów i myślę sobie, że jest w lepszym stanie ode mnie.

W odległym rogu plaży coś się porusza. Nie muszę się odwracać, żeby wiedzieć, że to Ralph Larken. Jego widok zawsze przywodzi mi na myśl poemat Coleridge'a.

*Jednego zatrzymuje z trzech  
Sędziwy dziad marynarz.*

Tyle że Ralph nigdy mnie nie zatrzymuje. Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek zamienili ze sobą choćby słowo.

Teraz, gdy przeszedł na emeryturę, dwa razy dziennie podczas odpływu przemierza plażę, poszukując drewna, które wykorzystuje na rozpałkę, krabów pozostawionych przez morze na brzegu i nawet padliny: ptaki, pingwiny lub ryby wyrzucone w całości. Plotka niesie, że on i dwie kobiety, z którymi żyje, gotują i jedzą to, co znajdzie, ale ja nigdy nie miałam ochoty dłużej się nad tym zastanawiać.

Ralph jest na „czarnej liście”. To spis alkoholików, którym puby, restauracje i sklepy mają nie sprzedawać alkoholu. Jako zasada to się sprawdza, ale nie zawsze. Zagorzali pijacy zwykle znajdują sposób. Dzisiaj to, jak Ralph się porusza, sugeruje, że w ostatnich dwudziestu czterech godzinach znalazł sposób, żeby wyciągnąć od kogoś flaszkę. Wygląda jak marionetka, każdy krok, każdy wymach rąk jest sztywny i niezgrabny.

Sekundę lub dwie grzebie w piasku, potem znowu się prostuje; chyba mnie zauważył. Gapimy się na siebie; ja bezgłośnie recytuję strofę poematu.

*Na brodę twą i oka błysk,  
I po cóż mnie ty trzymasz?*

– Rachel.

Głos mojej matki, za mną, na klifie. Myślałam, że zjawi się później. Ma iść z chłopcami zbierać halloweenowe słodycze. Nawet zrobiła dla nich przebrania, łącznie z kostiumem wypychanej dyni dla

najmłodszego. Będą najfajniejszymi potworkami w mieście i każdy, kto ich zobaczy, pomyśli: Cóż, przynajmniej mają babcię.

Ptaki wykorzystują czas odpływu, jak potrafią najlepiej, panoszą się na plaży, rozglądają się za wyrzuconymi na mieliznę skorupiakami i za nazbyt siebie pewnym robactwem. Musi ich być setka lub więcej, kręcą się wszędzie i przez chwilę przywodzą mi na myśl robaki na zwłokach. Co jakiś czas coś je przestrasza. Nie ja, bo nie poruszyłam się od prawie godziny, a Ralph Padlina jest nadal zbyt daleko. Niemniej co jakiś czas ptactwo zrywa się do ucieczki, przy czym jest mnóstwo nagłego harmidru, trzepotu skrzydeł, srania. Te stworzenia srają co kilka sekund, jakby w środku miały sam płyn. Takie rzeczy się zauważa, jeśli dostatecznie długo się obserwuje przyrodę.

– Rachel!

Nie mogę znów zignorować matki. Pierwszy raz da się wytłumaczyć tym, że zagłuszył ją szum fal i skrzeczenie ptaków. Kolejny brak reakcji to już przegięcie, a nie mogę sobie pozwolić, żebyśmy się skłóciły. Podnoszę się, odwracam i widzę, że zeszła z klifu dość odległą ścieżką. Będzie zła. Podejście jest strome; gdybym się szybciej odwróciła, zaoszczędziłabym jej wysiłku. Ciężko dyszy, chociaż w tamtym miejscu schodzi się dość łatwo. Stosunkowo łagodna trasa nie obciąża zbytnio kolan. Matka tym sapaniem chce coś udowodnić. Znowu.

– Od godziny próbujemy się do ciebie dodzwonić. – Ciężko wzdycha. To westchnienie rozdrażnienia, westchnienie z czasów, kiedy byłam nastolatką. Ostatnio słyszę je prawie ciągle. – Gdzie Peter?

Podchodzi bliżej, niż musi, próbuje wyczuć ode mnie alkohol. Nie wyczuje. Dzisiejszy dzień należał do tych lepszych.

Był czas, że odczuwałam pewien niesmak, kiedy patrzyłam na swoją matkę. Na jej pulchne ciało, wciśnięte w ubrania zawsze o numer za małe. Na wyblakłe, coraz słabsze ufarbowane na blond włosy. Na obwisłą brodę. I myślałam: to ja za dwadzieścia lat. Teraz myślę, że te dwadzieścia lat to było może powiedziane zbyt optymistycznie, ale jakoś trudno mi się tym przejąć.

– Peter śpi – odpowiadam i posyłam jej uśmiech, chociaż uśmiechanie się sprawia mi coraz większy ból.

Matka zerka na zegarek, stwierdza, że jest prawie czwarta.

– A jeśli by się obudził, a ty byś była tutaj?

– Nie obudziłby się. To mały śpioch.

– Lepiej pójdę po niego.

Odchodzi, a ja znowu widzę te niewidzialne sznurki, które odciągają mnie od domu, tak mi utrudniają powrót. Ruszam za matką, zastanawiam się, jak ją grzecznie zapytać, po co przyszła. „Czemu zawdzięczam wizytę?” – to najlepsze, na co wpadam. Znowu się uśmiecham albo próbuję, żeby załagodzić kąśliwość pytania.

– Twój ojciec mnie przysłał. Zaginęło dziecko. – Zniża głos, jakby się bała, że ktoś ją podsłucha. – Kolejne.

W mojej głowie pojawia się nagle obraz: ostrygojady odwracają do siebie łebki i mówią z odrazą: Dziecko zaginęło? Kolejne? Ach ci ludzie!

– Jakie dziecko? Jak to zaginęło? Gdzie? – Oglądam się. Drugie z zaginionych dzieci, przynajmniej w kilku minionych latach, ostatni raz było widziane na plaży pod nami.

– Dziecko turystów. W mieście wybuchła panika. Ludzie organizują poszukiwania. – Moja matka nie jest wysportowana. Ona prowadzi pod górę, więc idziemy wolno. – Jego rodzina i on wybrali się na ryby w okolicy Estancii. Dzieciaki się znudziły i zaczęły się bawić w chowanego. Najmłodszy nadal się nie odnalazł.

– Rozumiem, że policja została zawiadomiona.

– Szukają go już od kilku godzin. – Zatrzymuje się, zaczepiła swetrem o gałązkę krzaku.

Wyciągam rękę, żeby ją uwolnić, a ona się ogląda przez ramię i patrzy ponad moim ramieniem. – Ralph wykazuje duże zainteresowanie twoją szopą na łodzie.

Podążam za jej spojrzeniem – Ralph, tuż pod nami, idzie w stronę starej szopy, utkniętej przy zboczu klifu.

– A niech sobie stamtąd bierze, co chce. – Ciągnę za sweter ostatni raz. – No, już. Jesteś wolna.

Znowu ruszamy pod górę. Mama ciężko dyszy. W pewnym momencie każe mi za to słono zapłacić. Na szczycie otwiera furtkę oddzielającą klif od ogrodu.

– Jesteś pewna, że ta zapadka jest wystarczająco bezpieczna? – pyta, nie po raz pierwszy. – Nie chcielibyśmy, żeby Peter mógł otworzyć furtkę.

– Więc, jaki jest plan? Mówię o poszukiwaniach.

– Wiesz, on chyba jednak wszedł do tej szopy. – Znowu zerka w dół, na plażę.

– Nie była otwierana od wieków – rzucam. – Poza tym wcale go tam nie ma. Przyjrzyj się, widać go na tle „Sanninghama”.

Przekonuje się, że mam rację, i prycha. Brudne szarobrazowe ubranie Padliny powoduje, że jego sylwetka prawie się zlewa z zarysem kadłuba starego frachtowca. Ralph przybliżył się do statku, wzrok ma wbity w piasek. Pewnie wciąż szuka krabów.

W tym momencie we wrak uderza monstrualna fala. Woda pryska wysoko w powietrze, wygląda, jakby tam zawisła. Przez sekundę, może dłużej, naprawdę czuję się tak, jak gdyby czas się zatrzymał. Proszę, nie, tylko nie to. Moje dni i bez tego dłużą się niemiłosiernie.

– Gdzie się zbierają ludzie, którzy będą szukać?

– W pobliżu farmy. W miejscu, gdzie rodzina zaparkowała samochód. Chcą, żebyś zabrała Bee. Ja pójdę po Petera i odbiorę chłopców.

Bee, czyli Belzebub, jeśli chcesz użyć pełnego imienia, to mój koń. Ośmioletni, wysoki na siedemnaście dłoni<sup>2</sup> wałach rasy chilijskiej. Piękny jak wschód słońca, narowisty jak diabeł, po którym otrzymał imię. Sprzedałabym go już wiele lat temu, ale nikt poza mną nie potrafił na nim jeździć.

W dawnych czasach, zanim zmotoryzowany transport stał się tak wyrafinowany, jak jest teraz, na długo przed powstaniem w miarę porządnymi dróg, ludzie tutaj przemieszczali się na koniach. Mój dziadek od strony ojca, Anglik, był na wyspach lekarzem rodzinnym. Nauczył się bardzo szybko jeździć, odwiedzał pacjentów konno, i od tamtego czasu Duncanowie już zawsze trzymali wierzchowce. Nawet teraz spore połacie terenu są praktycznie niedostępne dla pojazdów.

Kiedy poszukiwania są odpowiednio poważne, używamy do tego koni.

W połowie trawnika przed domem słyszymy płacz Petera. Mały nie jest wystraszony, tylko marudny, ale mama rzuca mi wymowne spojrzenie. Oczekuje, że przyspieszę kroku, potem mnie wymija.

– Zajmę się nim – deklaruje się.

Dla mnie to bez różnicy. Idę na tył podłączyć przyczepę. Gdy się pojawia, mój koń zaczyna kopać w drzwi stajni. Zbieram osprzęt pod siodło i sprawdzam, czy Bee ma świeże siano. Teraz trze szyją o bok boksu. Konie mogą sobie w ten sposób wyrządzić dużą krzywdę, ale ten robi tak tylko w mojej obecności. Piekielny z niego histeryk.

Obok niego pojawia się jasnoszary nos. Truskawka, kucyk dzieci, ledwie może wyrzeć ponad drzwiami ogrodzenia. Głaszczę ją i daję miętówkę, za co od jej sąsiada dostaje mi się pełne wkurzenia parsknięcie.

– Chodź, ty stara zrzędliva cholero. Mamy robotę do odbębnienia. – Odryglowuję drzwi, a on już sam otwiera je kopnięciem i wychodzi na podwórko, sierść mieni mu się w słońcu.

Oficjalnie Bee określiłoby się jako konia maści czarnej, ale to nie do końca odpowiadałoby rzeczywistości. W jego sierści doliczyłam się kilku różnych odcieni, od najgłębszej czerni po



czerwonawy brąz.

– Są tu gdzieś te bachory? – Rozgląda się z niechęcią, szuka dzieci, których nie znosi. – Trochę zgłodniałem.

– Uważaj, przyszła babcia. – Zniżam głos. Okna w domu są otwarte, poza tym nigdy nie wiadomo, gdzie moja matka mogła się przyczaić. – Kupa mięcha na dupsku.

– A dokąd, do jasnej cholery, mnie teraz ciągniesz? – Prowadzę go do przyczepy, co mu niespecjalnie leży. – Już mnie dzisiaj wyprowadzałaś.

– Do Estancii. Spodoba ci się tam.

– Tak... jasne. Potem tygodniami mam glinę na kopytach.

Te rozmowy z moim koniem są oczywiście zmyślane, nie jestem zupełną wariatką. Ale ostatnio bardzo często przyłapuję się na kłótniach, których nigdy nie odważyłabym się wszcząć naprawdę. Zadawanie ciosów z obu narożników, siłowanie się z samą sobą w udawanej potyczce – to czasami wystarcza, żebym się uspokoiła. Czasami.

– Włóż do środka. – Daję Bee klapsa w zad, a on rozszerza odbył i wypuszcza na ziemię trzy doskonale okrągłe kule słodkawo pachnących odchodów. Jedna przetacza się na moją stopę.

– Wielkie dzięki – mamroczę.

– Bardzo proszę – parska koń.

– Peter chciał się pożegnać.

Matka wyszła do mnie na podwórko. Mały, wciąż skrzywiony i marudny po drzemce, siedzi na jej biodrze kurczowo wczepiony w ramię. Zauważa nas i zaczyna płakać.

– Nie przyprawdzamy go tutaj. Boi się Bee.

Jakiś rok temu Peter siedział na plecach ojca, kiedy mój wspaniały koń postanowił uszczknąć nieco z dzieciaka. Sander w porę się odsunął i tej łajdzie udało się pochwycić tylko kępkę włosów. Ale, co zrozumiałe, synek nabrał do konia niechęci.

Podchodzę, żeby się pożegnać. Peter nigdy się do mnie nie nachyla ani nie wyciąga rączek, żebym go podniosła, chociaż widzę, że cały czas tak się zachowuje wobec Sandera, a nawet chłopców. Jego duże niebieskie oczy, wciąż mętne po śnie, patrzą na mnie z pewnym zaciekawieniem.

– Idź teraz z babcią – mówię. – Zobaczysz się z Mikiem i Chrisem. Ja wrócę później.

– Umówiłaś tę wizytę?

– Umówię, ale na pewno wszystko będzie dobrze. Dzieci rozwijają się we własnym tempie. On jest po prostu bardziej leniwy niż jego bracia. – Ostatnio moja matka wbiła sobie do głowy, że mój najmłodszy syn nie mówi tak płynnie, jak powinien w jego wieku. – Masz wszystko, co ci potrzeba?

Z zaciśniętymi ustami kiwa głową.

– Ojciec też tam będzie. Spotkacie się.

Cudownie, mój ojciec też w tym bierze udział. Czekam, aż samochód matki zniknie na końcu drogi, i dopiero wtedy idę do domu po rzeczy.

– Miłej zabawy – świergocze Truskawka, kiedy wsiadam do samochodu.

Bee pokazuje jej środkowy palec, czyli lekceważąco strzyże uszami.

Już mam ruszać, gdy w oczy wpada mi wystający z torebki róg białej koperty. Czekająca na mnie dziś rano na pocztę, przysłał ją ktoś z wysp. Nie rozpoznałam charakteru pisma. Staranne, raczej duże, trochę koślawe na obu końcach. Jak kogoś, kto ma niewprawną rękę albo chciał ukryć swój prawdziwy styl.

Wyciągam ze środka pojedynczą kartkę. Jest biała, tak jak koperta. Wiadomość napisana odręcznie, tym samym niebieskim długopisem. Cztery krótkie słowa.

*Nie zostawiaj go samego.*

Miasto opuszczam dość szybko, ale muszę zwolnić na podjeździe na wzgórze rozciągające się między Stanley a dużą zatoką morską, nad którą leży Port Salvador. Kiedy przejeżdżam przez tak zwane kamienne rzeki, spomiędzy kamieni wylatują kryjące się między nimi małe szare ptaki. Przez kilka sekund otaczają mnie ze wszystkich stron, co wygląda, jakby same kamienie wzbily się w powietrze.

Kamienne rzeki to dziwne, niemal nieziemskie formacje skalne. Rzadko występują w innych częściach świata, tutaj są powszechne i wiją się przez Falklandy właśnie jak rzeki. Lubię o nich myśleć jako o pradawnych szlakach wybudowanych przez przybyszów tak różnych od człowieka, jak my różnimy się od tysiąca innych stworzeń, z którymi dzielimy wyspy. Jestem przekonana, że te kamienne rzeki nie są tu bez powodu, że istnieje przyczyna, dla której wstęgi z otoczków przedzierają się wężykiem przez krajobraz.

Bywało, że odnosiłam wrażenie, że skalne strumienie ożywały, kamienie zaczynały się toczyć, tak jak zdaniem naukowców toczyły się niegdyś. Tak się dzieje, gdy światło płata dziwaczne figle, gdy chmury wiszą nisko, wieje silny wiatr i świeci mocne słońce. Wtedy na ziemię padają cienie, miliony maleńkich plam bez światła, które biegają po kamiennych okruchach, a te w takich właśnie okolicznościach wydają się turlać, osuwać, staczać ze wzgórze, choć są przytwierdzone do podłoża równie mocno jak wszystkie inne skałki. Jeśli się mocno zamruga, ruch ustaje. Spojrzysz na nie kątem oka, a one wznawiają swój szalony, wyimaginowany bieg.

Do tego miejsca przyjeżdża mnóstwo turystów, żeby zobaczyć te dziwne skalne formacje.

Estancia też jest popularna. Właściciele farmy, George i Brenda Barrellowie, w letnie miesiące organizują wycieczki, przeważnie na Punkt Ochotnika, żeby obserwować pingwiny. Kiedy zjeżdżam po drugiej stronie wzniesienia, widzę przed sobą większą część zatoki. Linia brzegowa jest tak pofałdowana i postrzępiona, że czasami trudno powiedzieć, gdzie kończy się ląd, a zaczyna morze. Bywają dni, kiedy morze wydaje się nieruchome, a ląd w ciągłym falującym ruchu. Ale nie dzisiaj. Przejrzyste powietrze uwydatnia kolory w dole. Błękit oceanu, biel plaży, zielenie, szarości i żółcie stoków. Są tam też zastygłe jeziora, zbiorniki wody, która nie potrafi odnaleźć drogi powrotnej do morza. Te mieniają się najpiękniejszymi barwami, jakie tylko występują w naturze. Szmaragdową zielenią, głębokim lazurowym błękitem, nawet odcieniami fioleto.

W pochmurne dni moja ojczysta ziemia wydaje się jałowa i ponura, ale gdy świeci słońce, wyspy wyglądają jak utkane z tęczy.

Grupa poszukiwawcza zebrała się na farmie, wykorzystwała Estancję jako bazę. Podjeżdżam bliżej, dostrzegam radiowozy, transportery do przewozu koni, w tym transporter mojego ojca, i kilka aut z napędem na cztery koła. Zdaje się, że jeden szczególnie jest w centrum uwagi tłoczących się wokół ludzi. Nie rozpoznaję go, więc się zastanawiam, czy to przypadkiem nie jest wypożyczony samochód rodziny zaginionego. Nowy land rover, srebrny, z czarnymi ozdobami.

Parkuję jak najdalej od wozu ojca i wysiadam. Twarze zwracają się w moją stronę i zaraz odwracają z powrotem. Tak się dzieje już od jakiegoś czasu. Mieszkańcy wysp traktują mnie jak widmo. Nikt na mnie nie patrzy i nie myśli: kobieta, która zabiła dwoje dzieci. Ciekawe, czy komuś z nich przychodzi do głowy pytanie: Gdzie jest dzisiaj jej własny syn? Zostawiła go samego? Znowu?

*Nie zostawiaj go samego.*

A tak w ogóle, co to znaczy „Nie zostawiaj go samego”? Nie wychodź do pokoju obok? Nie ruszaj się z domu, nie idź do ogrodu? Nie wyprowadzaj koni, chyba że masz dzieciaka na oku?

Opieram się o bok samochodu, rozważając to wszystko. Nie mamy blisko żadnych sąsiadów, nikogo, kto mógłby wiedzieć, czy mój syn jest ze mną, czy nie. Znajomi już dawno przestali do nas wpadać, nikt się nie pokazuje, zwłaszcza kiedy wyjeżdża Sander. Ralph widuje mnie na plaży, ale on pewnie nawet pisać nie potrafi.

A jednak ktoś uznał, że wstyd, jaki mnie ogarnia już chwilę po przebudzeniu z rana, to za mało. Najwyraźniej, jeśli chodzi o poczucie winy, kobieta nigdy nie jest przez nie dręczona odpowiednio mocno. Pochylam się do samochodu, odnajduję list i wtykam go głęboko do kieszeni bryczesów.

Bee zaczyna wierzgać, żeby go wypuścić.

– Zamknij się choć na minutę – warczę.

– Słucham? – To nie głos mojego konia. Odwracam się i widzę młodą policjantkę. Skye McNair czai się z tyłu przyczepy.

– Cześć, Skye. Co słychać? – Uśmiecham się nazbyt promiennie, nieadekwatnie do sytuacji, ale odpowiada mi względnie uprzejmie.

– Nie najlepiej. Szukamy małego już od dwóch godzin.

Bliżej farmy ludzie wsiadają na konie. Sześciu jeźdźców, o ile dobrze widzę; mój ojciec na potężnej kasztance próbuje przejąć dowodzenie.

– Co mam robić?

– Twój ojciec uważa, że poszukiwacze na koniach powinni działać razem. Plan chyba wygląda tak, że pojedziecie szeroką kawalkadą na zachód. Ci, co są pieszo, pójdą drugą stroną drogi. Chłopiec nie mógł odejść daleko.

Ktoś ją wzywa. Dziękuję mi, że się stawiłam, i odchodzi. W przyczepie znowu słychać kopanie.

– Okej, okej. – Opuszczam drzwi, dokonuję szybkiej oceny, w którą stronę koń z Hadesu najprawdopodobniej wyceluje kopytem, potem się przy nim przeciskam.

– Ktoś cię obserwował – mówi do mnie, kiedy mu zakładam ogłowie.

– Możesz mnie ugryźć, wiesz w co. – Trochę się odsuwam, w razie gdyby potraktował propozycję dosłownie.

– Kręcił się koło domu. Szpiegował cię.

– Już się przymknij, dobra?

– Cóż, ktoś musi ci to powiedzieć. Powinnaś się pilnować.

Zarzucam mu na grzbiet siodło.

– Wyluzuj, błażnie. Nie jestem idiotką.

Jak dużo koni, Bee nadyma pierś, gdy zapinam popręg, więc ten jest niebezpiecznie luźny, kiedy wsiadam. Przysięgam, że raz, jak spadłam, słyszałam głośny śmiech tego diabła.

– Bandydzi na szóstej – ostrzega mnie teraz.

Na zewnątrz przyczepy słychać tętent kopyt. Biorę głębszy niż zwykle wdech i wypycham Bee do świata krytyki, negacji i przyłapywania mnie na błędach, bo na tym właśnie opierają się moje relacje z ojcem.

– Dzień dobry. – Obniżam strzemień, dwukrotnie sprawdzam popręg i dosiadam Belzebuba. Ten przykuca na zadzie, jakbym ważyła sto kilo, a nie sześćdziesiąt.

– Kiepska sprawa – rzuca ojciec, wskazuje głową góry na zachodzie. – Nadciąga mgła. Powinniśmy zacząć wcześniej. Ucięłaś sobie popołudniową drzemkę, co?

Obracam Bee i kieruję go ku reszcie jeźdźców, teraz już wszyscy są na koniach. Jakoś nie widzę gęstych oparów. Mgła raczej zawsze zbiera się nad wodą, z samego rana, a nie o tej porze dnia.

– Wydawało mi się, że twój silnik się krztusił, kiedy zjeżdżałaś. – Tata jest tuż obok mnie, jedzie bardzo blisko. To głupie, biorąc pod uwagę złośliwą naturę Bee. – Kiedy go ostatnio oddawałaś do przeglądu?

– Sander się tym zajmuje.

– Jak wszystkim innym.

Przez chwilę rozmyślałam, jak zareagowałyby ojciec, gdybym mu powiedziała o liście, który dostałam rano. W stu procentach stanąłby po stronie autora.

– Pewnie dzieciaka porwał któryś z tych pętałów z koszar – mamrocze. – Co kilka miesięcy przysyłają nam tu nową partię. Nie mamy zielonego pojęcia, kim są ani, jaką mają przeszłość. Mówiłem Bobowi Stopfordowi, że powinien sprawdzić, którzy z nich nie byli wcześniej na służbie.

– Jestem przekonana, że chłopca nikt nie porwał. Po prostu się zgubił.

– Och, wybacz, że od razu nie spytałem cię o zdanie. – Mówi teraz podniesionym głosem. Chce wciągnąć do kłótni ze mną innych albo żeby byli świadkami mojej porażki, kiedy mnie przytłoczy siłą swoich argumentów. – Krótko mówiąc, możemy spokojnie wracać do domu, skoro Rachel uważa, że dzieciak się znajdzie w ciągu kilku minut.

Dlaczego on mnie tak traktuje? Kuźwa, od czego mam zacząć? Po pierwsze, w przeciwieństwie do siedemdziesięciu pięciu procent moich rówieśników nie wróciłam do domu zaraz po ukończeniu studiów. Boże, jacy jesteśmy dumni z tych statystyk: siedemdziesiąt pięć procent naszych młodych ludzi – naszych inteligentnych młodych ludzi, zważcie – wraca na wyspy przy najbliższej okazji, tak wspaniałym miejscem jest ta kupa skał na południowym Atlantyku. Odwlekając powrót, dołączyłam do dwudziestu pięciu procent tych, których zachowanie nieuchronnie odbiera się jako osobiste i kulturowe odrzucenie.

Każdemu z domu, kto pytał, tłumaczyłam, że doświadczenie, jakiego nabywam w angielskiej gazecie, to nieoceniony zysk, że będę lepszą reporterką, a w końcu lepszym redaktorem. Że składam w ofierze własne preferencje dla dobra wysp. Oczywiście kłamałam jak z nut; nie chciałam wracać na Falklandy.

Kiedy ludzie w Anglii pytali, dlaczego zostałam, odpowiadałam, że lubię Londyn. Nawet napisałam o tym jakiś artykulik. Kochałam anonimowość tłumy, wrażenie, że wszystko jest możliwe i że nikt z domu o niczym nigdy się nie dowie; że mogę być kimkolwiek zechcę, codziennie inną osobą, jeśli miałabym taką ochotę: z rana poważną damą w falujących kieckach, piszącą wiecznym piórem z fioletowym atramentem; popołudniami Gotką, która kopci jak lokomotywa, przeklina, nosi porwane czarne skóry i ma biały makijaż; a wieczorami mogłabym wkładać dresy i biegać po rozlicznych londyńskich parkach. I nikt by mnie nie pytał: Rachel Duncan, kiedy to zaczęłaś biegać? Rachel, czy twoja matka wie, że się tak ubierasz? Dobry Boże, Rachel, idziesz na jakieś wystawne przyjęcie?

Trzeba pochodzić z małej wyspy gdzieś w środku totalnego pustkowie, napisałam, żeby móc prawdziwie docenić anonimowość. Oczywiście to też kłamstwo. Prawdziwy powód, dla którego zostałam, był zupełnie inny.

Tak czy inaczej, ojciec odebrał ten wyraz mojej niezależności jako demonstrację przekonania o mojej wyższości. Nie wracając od razu, dawałam tak jasno do zrozumienia, jak to tylko możliwe, że uważam się za lepszą od wszystkich, z którymi dorastałam. W zachowaniu ojca wobec mnie dostrzegam pogardę zarezerwowaną dla tych, którzy próbują nas przerosnąć, pragną pozostawić nas w tyle.

Albo może to o wiele mniej skomplikowane. Może po prostu nie jest w stanie znieść kontaktów z osobą, jaką się stałam przed trzema laty.

I w dodatku robiłam coś strasznego.

Coś, o czym nigdy nie pozwoli mi się zapomnieć.

– Jedźmy! – wołam i rwę z kopyta w stronę torfowisk.

Ojciec spina swoją klacz Primrose i rusza tuż za mną.

Najpierw przemierzamy teren suchy i smagany wiatrem. Ze skalistego podłoża pokrytego cienką warstwą gleby sterczą nagie głązy, a niskie krzewy tworzą gęste kępy. Są na tyle miękkie, że można na nich stawać, ale przez nie teren jest tak nierówny, że przejechanie po nim z większą prędkością nie wchodzi w grę. Kwiaty jednak też tu rosną, niczym symbol falklandzkiego ducha – prężnego i pełnego wigoru.

– Uważaj. – Podjechałam zbyt blisko do ojca i Bee próbowała ugryźć jego klacz w zadek.

– Przepraszam. Nie widziałam. Skupiłam się na szukaniu dziecka. – Mimo wszystko odsuwam się trochę dalej. Nie mam ochoty reszty popołudnia dyskutować z ojcem.

Z mojej lewej rozlega się czyjś okrzyk. Ktoś coś znalazł. Jak na dużego rasowego konia, Bee całkiem dobrze sobie radzi na nierównym gruncie, więc dość szybko dołączam do naszej miejscowej psycholożki Sapphire Pirrus.

Po wypadku jednym z warunków, jaki mi postawiono, żebym nie trafiła do więzienia, była obietnica, że zgłoszę się na terapię. Pod koniec trzeciej sesji zaczęłam dochodzić do wniosku, że chyba wolałabym więzienie. „Jak się dzisiaj czujesz, Rachel? Jakie uczucia to w tobie wywołuje, Rachel? Co czułaś w tamtej chwili?” Ja pierdziele, a jak jej zdaniem mogłam się czuć? Świat mi się rozpadł. Wystarczyło, że zamknęłam oczy, od razu widziałam twarze tych dwóch martwych chłopców, słyszałam ich krzyk, kiedy samochód spadał, a ona sądziła, że rozmowa o moich uczuciach w czymś pomoże?

Podczas ostatniej sesji powiedziałam jej o poemacie Coleridge’a, o tym, którego nigdy specjalnie nie lubiłam, ale zapamiętałam z niego sporo fragmentów, bo myślałam, że sprawię tym przyjemność Catrin wywodzącej się z dawnego rodu marynarzy. Sapphire szklął się wzrok, jak opowiadałam o długiej niebezpiecznej podróży na południe, o albatrosie, który dla marynarzy jest czymś w rodzaju zwierzęcia domowego lub namiastki dziecka, a tytułowy sędziwy marynarz go zastrzelił.

Poczucie winy dręczy go do końca opowieści. Dosłownie lub w przenośni (nigdy nie byłam pewna), jako symbol brzemienia ciężącego mu na duszy, nosi na szyi martwego ptaka.

Czuję się tak, jak ten sędziwy marynarz Coleridge’a, wyznałam. Zrobiłam coś głupiego, bezmyślnego, a teraz konsekwencje mojego czynu dotyczą wszystkich wokół mnie. Czuję się tak, jakbym ściągnęła klątwę na wszystkich, których kocham. Jakby mieszkańcy na tych wyspach zawiesili mi na szyi martwego albatrosa, mówiłam. Jakbym wszędzie, dokąd idę, niosła ze sobą odór rozkładającego się ciała. Mam wrażenie, że każdy, kto na mnie patrzy, widzi kapiącą krew. Która już zawsze będzie skapywała. Czego jej nie powiedziałam, to że pod koniec poematu marynarz w końcu uczy się modlić i że albatros odpada z jego szyi.

Żeby mi odcięto gnijące ścierwo z szyi, potrzeba będzie dużo więcej niż tylko kilka minut w kościele.

Sapphire na szarym wałachu, dopasowanym barwą do koloru jej włosów i ubrania, i ja na swoim mahoniowym czarcie, podjeżdżamy do grupki ludzi – jakiś mężczyzna trzyma w górze kawałek czerwonej szmatki. Wcześniej już nas poinformowano, że Archie był ubrany na czerwono.

– Mogę zobaczyć? – Popędzam Bee do przodu. Sapphire rusza ze mną, więc zbliżamy się razem.

Mężczyzna niechętnie oddaje mi skrawek. Czerwona kratka. Duży nadruk. Strzępek zmatowiałej bawełny o wymiarach dwadzieścia pięć na dwadzieścia centymetrów, oderwany od dołu koszuli, z wciąż dołączoną metką z opisem zasad prania.

– Nie. – Sapphire kręci głową. – Znam to logo. Ubrania tej marki można kupić w Stanley. Ten skrawek nie ma nic wspólnego z zaginionym dzieckiem.

Ludzie patrzą na mnie, oczekują potwierdzenia. Jesteśmy tu jedynymi kobietami, więc oczywiście powinnyśmy znać się na wszystkim, co się wiąże z ciuchami.

– Też rozpoznaję naszywkę. Myślę, że to z koszuli kogoś, kto mieszka na wyspach. Poza tym nadruk jest wyblakły. Ale na wszelki wypadek lepiej to zachować.

Wciskam skrawek do torby przy siodle, zanim zdąży go dorwać mój ojciec. Widzę, że już go świerzbią ręce. Sugeruje, żebyśmy z powrotem ustawili się w linii, po czym znowu ruszamy.

– Musimy go szybko odszukać. – Oglądam się. Sapphire nadal za mną jedzie. – Nawet jeśli nie żyje... a modłę się, żeby było inaczej... tak czy owak, trzeba go znaleźć. Nic tak nie wzbudza paniki w społeczności ludzi jak zaginięcie dziecka.

Myślę – jednak tego nie mówię – że niektóre społeczności gustują w martwych dzieciach.

– To nasz największy, najpierwotniejszy lęk. – Słyszę zdyszany oddech. Trudno jej dotrzymać tempa, choć mój koń jest większy i silniejszy. – Świadomość, że ktoś mógłby nam zabrać dzieci. Twój ojciec napisał na ten temat wspomniały artykuł jakiś rok temu. Czytałaś?

Nie tylko czytałam – przemyślenia o tym, jak wspólnota ludzi reaguje na zaginięcia dzieci, jak opowieści o nich przedostają się do miejscowego folkloru – ale go sama napisałam. Ojciec się uparł, prawdopodobnie słusznie, że nikt nie będzie chciał czytać tekstu o nieszczęściach dzieci, który wyszedł spod mojego pióra, więc umieścił go w gazecie pod swoim nazwiskiem. Od tamtego czasu chyba zdążył przekonać sam siebie, że przede wszystkim to on go napisał, nie ja.

– Maluch bawił się w chowanego – mówię. – Jestem przekonana, że tylko się zgubił.

– Miejmy nadzieję. Ale strach zmienia wspólnoty.

– Uważaj na Bee. – Wyrrywam się do przodu. – Kopie, paskudny drań.

– Patrzcie, kto to mówi – prycha mój koń.

Tego popołudnia nie znajdujemy żadnych śladów dziecka, choć szukamy aż do chwili, gdy słońce przesuwa się nisko nad góry, a niebo zabarwia na fioletowo. Niedaleko Estancii podjeżdżam do Toma Barrella, najmłodszego syna właściciela farmy. Jedzie po mojej lewej i rozmawia z Sapphire po jego drugiej stronie.

– Chyba nie widziałam tu dzisiaj twojego ojca – mówi do Toma.

– Wyszedł z domu wcześniej rano. Jeszcze nawet nic nie wie.

– Myślisz, że ten chłopczyk wpadł do rzeki?

Twarz Toma się marszczy, sam ma małe dziecko. To jasne, nikt nie chce myśleć, że chłopiec się utopił, ale stąd do wody niedaleko, więc musimy rozważać taką ewentualność. Wiosną, po zimowych deszczach i śniegach, rzeki są głębokie, wartkie.

– Zaczyna na to wyglądać – odpowiada. – Przez noc albo jutro wypłynie wraz z przyplływem.

Zamykam oczy, biorę głęboki oddech. Ned i Kit nie utonęli, sekcja zwłok jasno to ustaliła, a jednak mnóstwo razy wykonywałam ten straszny lot razem z nimi. Każdy koszmar, jaki mi się śni, wszystkie wizje na jawie są o tym samym. Więc wiem, jak to jest mieć wokół siebie wyłącznie wodę, nie widzieć niczego, tylko ją czuć, jak uderza w twarz, wpychając się siłą do gardła. Wiem, jak to jest zagubić się w tym wodnym świecie bez świadomości, czy kiedykolwiek się z niego uda wyrwać. Ned i Kit tego nie przeżywali, ale ja to przeżywam, codziennie.

Woda, woda, wszędzie.

Nikt nie powinien umierać na skutek utonięcia, zwłaszcza nie trzyletnie dziecko.

Jesteśmy z powrotem. Bee dostrzega siatkę z sianem i zaczyna brykać. Jak strzała rzuca się ku żarciu, nieomal wyrzucając w powietrze młodą posterunkową.

– Tom, chciałabym cię o coś zapytać! – woła Skye.

Bee dociera do siana i zaczyna jeść, zanim nawet zdążę zeskoczyć z siodła.

– Jeden z braci Archiego twierdzi, że widział jeszcze innego srebrnego land rovera, który stał tu zaparkowany wcześniej. – Dziewczyna uskakuje na bok jak nerwowe źrebię, boi się, że któryś z koni nastąpi jej kopytem na nogę. – Czy ktoś z was na farmie coś zauważył?

Tom myśli, potem kręci głową.

– Szczerze mówiąc, z domu nie widać dobrze tego miejsca. Ale latem parkuje tam dużo samochodów. Czasem i kilkanaście w ciągu tygodnia. Możliwe że jakiś land rover tam stał.

– A to nie było auto kogoś z tamtej grupy? – Pojawił się mój ojciec. Jak zawsze musi być w centrum wszystkiego.

– Rodzina Archiego i znajomi przyjechali dwoma wypożyczonymi samochodami – wyjaśnia Skye. – Land roverem i czerwonym fordem mondeo. Byli tu też ludzie w niebieskim vauxhallu estate, i wciąż tu są, pomagają w poszukiwaniach. Więc mamy trzy pojazdy. A teraz się okazuje, że mógł być czwarty.

O ile się orientuję, co drugi samochód tutaj to szary lub srebrny land rover. Dzieciak mógł się pogubić.

– Muszę koniecznie porozmawiać z twoim ojcem – zwraca się Skye do Toma. – Może skojarzy ten czwarty samochód. Albo nawet widział chłopca. Mówiłeś, że o której wyszedł?

Zostawiam ich, odprowadzam Bee do przyczepy, zakładam mu kantar i odsuwam się, żeby wziąć siodło. Na końcu pochylni odwracam się i prawie wpadam na mężczyznę, którego znam. Średniego wzrostu, szczupły, ciemne oczy – często i dość mocno mruga. Ziemista cera. Jego dawniej ciemne włosy teraz są oprószone siwizną.

Ben Quinn. Jego synowie zginęli przeze mnie. W czasie gdy byliśmy w terenie, przyjechała karetka. Domyślałam się, że Ben dotarł tu z ekipą medyków.

– Och. Cześć. – Wydaje się równie zaskoczony jak ja. Nie rozpoznał mojej przyczepy.

Przez chwilę żadne z nas nie wie, jak się zachować. Więc tylko na siebie patrzymy. Pewnie jestem ostatnią osobą, którą Ben chciał spotkać, jednak zasady obowiązujące w cywilizowanym świecie nakazują mu przynajmniej uprzejmie się ze mną przywitać.

– Cześć, jak się miewasz? – Gwałtownie mruga, jakby chciał przerwać to dziwne zakłęcie, a ono go uparcie trzyma przy kobiecie, którą w myślach nieraz dusił gołymi rękoma.

– Dobrze, a ty?

I co teraz? Zapytać, co słyhać u jego rodziny? Jego siedmiomiesięcznego dziecka? Dzięki Bogu, nie mam okazji palnąć żadnej głupoty, bo wcześniej Ben się odwraca i odchodzi, potykając się o bryłę ziemi.

Zapominam o siodle, wracam do przyczepy. Wchodzę, najgłębiej jak się da, i roztrzęsiona opieram się o twardą pierś swojego konia. Bee z poirytowaniem się wzdraga.

– A to co znowu?

– Cicho, daj mi chwilę. – Spuszczam głowę. Sierść jest ciepła i mokra od potu. Czuję, jak Belzebubowi bije serce.

– Jesteś żałosna. – Potrząsa łbem.

– Wiem.

Od kurzu wierci mnie w nosie, mimo to nie ruszam się z miejsca. Tulę się do Bee i wmawiam sobie, że potrzebna mi minuta, tylko jedna minutka, jednak doskonale zdaję sobie sprawę, że nie wystarczyłoby ich nawet tysiąc, nawet milion.

Ponieważ byliśmy z jednego rocznika, ja i Catrin pojechałyśmy do Anglii razem, chociaż nie na te same uczelnie. Ona miała studiować oceanografię w Plymouth, ja wybrałam filologię angielską i dramaturgię.

Chyba nigdy nie zapomnę, jaka byłam podekscytowana tą pierwszą podróżą. W RAF-owskim tristarze leciało nas na studia pięcioro, również Ben, który zaczynał trzeci rok medycyny. Starsi spali, ale ja i Catrin cały czas czuwałyśmy, oglądałyśmy zachód słońca i jego nienaturalnie szybki wschód, gdy przekraczaliśmy strefy czasowe.

Mówiliśmy sobie, że to po prostu nowa faza naszej przyjaźni. Chciałyśmy kupić maty i śpiwory, żebyśmy mogły w weekendy spać jedna u drugiej na podłodze. Nowi znajomi Catrin mieli być też moimi nowymi znajomymi (zamierzała ich dobierać ostrożnie, wyłącznie wyjątkowe osoby, wyselekcjonowane według wysokich standardów), a moi – jej znajomymi (postanowiłam, że zarzucę się jak najszerzej, zamoczę nogi w każdej rzece, każdym jeziorze i każdej kałuży – „bo inaczej, jak się dowiedzieć, kto mi naprawdę odpowiada, Catrin?”). Pamiętam, że w ostatnich miesiącach przed wyjazdem ciągle perorowałam o naturze prawdziwej przyjaźni, o jedności dwóch dusz, które są sobie tym bliższe, im silniejsza staje się każda z nich. Catrin sprawdziła rozkład pociągów i obliczyła, ile każda z nas musi odłożyć z rocznego stypendium na przejazd.

– Marzę, żeby zobaczyć Szkocję – powiedziałam, gdy samolot znowu wystartował po przystanku na tankowanie na Wyspie Wniebowstąpienia. Zaczytywałam się sir Walterem Scottem i snułam fantazje o starych rozpadających się zamczyskach, wojownikach odzianych w tartanowe spodniczki i wzgórzach pokrytych wrzosami rodem z *Rob Roya*.

– Bristolskie Towarzystwo Dramaturgiczne zwykle wybiera się z kilkoma sztukami na Festiwal Edynburski – spróbowałam ponownie, kiedy nie zareagowała. – Czy on się nie odbywa w lecie?

Ponieważ byłyśmy studentkami zaledwie pierwszego roku, oczekiwano się od nas, że na długie letnie miesiące wrócimy do domu.

Catrin obejrzała się za siebie.

– Ben, kiedy jest festiwal w Edynburgu?

Siedział trzy rzędy dalej, z Joshem Savidge’em, który w Bath studiował na ostatnim roku prawa. W tamtych czasach Ben zawsze wyglądał tak, jakby się właśnie obudził. Może to przez dziwnie ociężałe powieki, a może dlatego, że dość często i mocno mrugał. A może za mało się wysypiał.

– W sierpniu. – Odsunął włosy z oczu. Czuprynę miał kruczoczną jak Hiszpan, jeszcze bez śladów siwizny. – Dlaczego pytasz? Chcesz się wybrać?

– Rachel się wybiera.

– Przyjedź na Hogmanay, szkocki Nowy Rok. Jest odlotowo. Zwykle idziemy potańczyć.

Poszliśmy na Hogmanay, szkocki Nowy Rok. Nasz pociąg sypialny przyjechał o szóstej trzydzieści we wtorek rano. Ben wyszedł po nas na stację. Potem było pięć dni łożenia po mieście, które wyglądało jak wykute z czarnego lodu. Byliśmy oszołomieni Edynburgiem, imponującym i wiecznym, jak otaczające go góry. Przybyliśmy z krainy, gdzie jeśli się chce wzmocnić dom, żeby przetrwał próbę czasu, układa się na nim mocniejszy blaszany dach, więc w stolicy Szkocji byliśmy pod wrażeniem zamków i innych budowli, wieży i kościołów, szerokich kolumnad i rozłożystych klatek schodowych, brukowanych ulic i piwnicznych barów w piwnicach. Niebo było bardzo podobne do tego u nas, ale miasto nie mogło się bardziej różnić od wszystkiego, co do tej pory znaleźliśmy.

Obchody Nowego Roku były wspaniałe, zapierały dech w piersi, zupełnie jak pałacy bursztynowy płyn, który ciągle laliśmy w nasze spragnione gardła. Przez pięć dni prawie się nie kładliśmy. I nie pamiętam, żebyśmy choć przez godzinę byli trzeźwi. I jednak nie spałyśmy z Catrin na podłodze, nie po pierwszej nocy. Bo podczas tamtej wycieczki Ben i Catrin połączyli się w parę.

Zostawiam swojego prychającego, przytupującego konia i podkradam się do wyjścia z przyczepy, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Ben jest przy karetce, rozmawia z ratownikiem medycznym, a jednocześnie kierowcą.

Tak sobie myślę, że ludzie przez nas kochani należą do dwóch różnych obozów. W pierwszym są ci, na których nam zależy niejako z obowiązku, połączeni z nami więzami krwi i czasem poprzez małżeństwa innych. Potem są te dusze tak idealnie do nas dopasowane, że najzwyczajniej nie możemy ich nie kochać. Sama ich bliskość nas uskrzydla, koi skołatane nerwy, przywraca równowagę w naszym zwichrowanym świecie.

W całym swoim życiu tylko dwie osoby kochałam w ten sposób. Dwie osoby, których nie mogłam



nie kochać. Moja przyjaciółka i bratnia dusza Catrin, oczywiście.

I mężczyzna, za którego wyszła za mąż.

## 28

Te pięć dni w Edynburgu zamieniły się w pięć nocy fizycznej i emocjonalnej tortury. Sama w śpiworze na brudnym dywanie w salonie marzyłam o pieszczotach Bena, o gorącym dotyku naszych ciał, mięśniach jego dłoni, podczas gdy Catrin doświadczała tego w rzeczywistości zaledwie kilka metrów dalej. Powiedziałam sobie, że to nie przetrwa, że pewnego dnia znowu będzie wolny i że następnym razem wybierze mądrzej, ale to trwało. Przez całe trzy lata studiów. A na ostatnim roku Catrin nosiła na palcu brylant od Bena.

Kiedy wróciła do domu, do pracy w rezerwacie i żeby zaplanować ślub, po prostu nie mogłam za nią pojechać. Zjechałam dopiero po roku na to wielkie wydarzenie i przepłakałam wtedy cały dzień. Szczęśliwie wszyscy uważali, że to ze wzruszenia. Zawsze łatwo się wzruszałam. Później uznałam, że w zasadzie równie dobrze mogę zostać. Gorzej już przecież być nie mogło.

Poza tym na wyspach pojawił się nowy młody chłopak, Holender o imieniu Sander, który przyjechał pracować dla Sekretariatu ONZ. Najwyraźniej miał słabość do rozmazanych lasek, bo w dzień ślubu nie odstępował mnie na krok. Później czasami się zastanawiałam, czy wiedział, że te łyzy są z rozpachy i że pod jasnozłotą satyną mam serce rozdarte na strzępy. Jeśli wiedział, nigdy się z tym nie zdradził.

Myśl o Sanderze trochę mnie uspokaja. Jak zresztą zwykle. Nie kocham go – czy kiedykolwiek kochałam? – ale jestem lepsza, silniejsza, kiedy mam go obok siebie.

Zbieram resztę osprzętu, wysłuchuję pobieżnie sformułowanego planu, żebyśmy się spotkali nazajutrz rano – jeśli będzie trzeba – i wszyscy wracamy do Stanley. Żeby znów się nie natknąć na Bena, odjeżdżam ostatnia, nie licząc wozów policyjnych i aut rodziny.

Kilka metrów przed miejscem, gdzie droga przecina kamienną rzekę, spostrzegam przed sobą starego zielonego range rovera. Zjeżdża na bok, żeby mnie przepuścić. Dziękuję uniesieniem dłoni. George Barrell, powracający do domu po jakichś swoich zajęciach, w odpowiedzi też podnosi rękę.

Do tego czasu droga zupełnie opustoszała. Jestem na niej sama i przypomina mi się, że niedługo pora kłaść Petera spać.

Coś mnie cały czas kłuje w pośladek; zapomniałam, że w kieszeni bryczesów wciąż mam anonimowy list. Powinnam o nim kogoś powiadomić, przynajmniej Sandera. Jednak nie mogę tego zrobić, jeśli zarazem nie chcę wyjawić, że przez większą część dnia faktycznie zostawiam najmłodszego syna samego. Układam go do drzemki i idę na swoją skałkę nad plażą albo biorę lek, który przepisał mi lekarz na dni, kiedy mam kłopoty z zaśnięciem. Peter często budzi się przede mną albo zanim wrócę z plaży, ale na szczęście nie może sam wyjść z łóżeczka. Jest całkowicie bezpieczny.

Zbliżam się do punktu, w którym droga ze Stanley się rozwidła, lewa odnoga prowadzi do Darwin, Goose Green i na lotnisko, prawa (ta, którą teraz wracam) do Estancii. Z zachodu nadjeżdża inny samochód, jedzie szybciej ode mnie, jakby koniecznie chciał dotrzeć do rozwidlenia pierwszy. Zwalniam, puszczam jasnego land rovera przodem, ale wcześniej udaje mi się odczytać trzy pierwsze

literary rejestracji, SNR, które przywodzą mi na myśl kamienne rzeki.

Jadąc przez Stanley, przekonuję się, że obchody Halloween toczą się tam pełną parą. Mijam grupki małych czarownic, miniaturowych diabłów i karłowatych kościotrupów – najmłodszych dzieci pilnują rodzice. Starsze i większe też widać, ich maski i kostiumy są mroczniejsze, bardziej przerażające. Nagle muszę ostro wyhamować, przed moim samochodem przez ulicę przechodzi zombi.

Znów ruszam, ale wcześniej zauważam, że niektórzy dorośli też wczuli się w klimat. Mel, szef kuchni z Globe, kroczy dumie ulicą w kostiumie matrony z pantomimy. Dostrzega mnie i przystaje, jedną dłoń wspiera na biodrze osłoniętym jedwabnym różem, drugą mocniej naciąga na głowę barwny kapelusz w stylu tych, jakie nosiła brazylijska gwiazda estrady Carmen Miranda.

– Jak wyglądam, skarbie?

Mel to jedna z niewielu osób, które są dla mnie szczerze miłe. Dlatego mierzę go wzrokiem od góry do dołu i próbuję się uśmiechnąć.

– Nie ma to jak prawdziwa dama – mówię.

Udaje, że poprawia bieliznę w kroku.

– Racja, ale niestety daleko mi do damy. – Puszczą oczko i odchodzi, kołysząc się na wysokich obcasach.

Chłopców zastaję w domu, nie śpią. Bawią się z babcią, choć najmłodszy już dawno powinien być w łóżku. Matka wyszukała gdzieś stare kartonowe pudła i w salonie zbudowała z nich ciąg tuneli i grot. Chłopców nie widać, kiedy wchodzę cicho tylnym wejściem, ale widzę, że kartony się trzęsą i ze środka dobiega szelest przeciskających się przez nie małych ludzi.

– Bu, bu! – Babcia jeszcze bardziej niż zwykle brzmi jak gnom. Wyłania się z jednego końca tekturowego miasta i widząc mnie w progu, robi zakłopotaną minę. Wyczołguje się na zewnątrz i niezgrabnie dźwiga na nogi. – Ojciec z tobą wrócił? – Strzepuje z ubrania pył.

– Chyba pojechał prosto do redakcji. Planują dzisiaj nadawanie dłużej niż zwykle. – Szmer w kartonach zupełnie ustał. Chris wystawia głowę z tunelu, żeby się do mnie wyszczerzyć w uśmiechu, potem Michael. Na samym końcu wyłazi najmłodszy. Ale nie zwraca na mnie uwagi.

– Babciu, goń nas!

Wszyscy trzej są w piżamach. Czuję zapach szamponu i ciastek.

– Udało się? – pyta mnie matka bezgłośnie, tylko porusza ustami. Kręcę głową.

– Znaleźliście go? – Chrisowi nic nie umyka.

Michael podchodzi i obejmuje mnie w pasie. Zawsze lubił się przytulać. Peter widzi, że otaczam ramieniem jego starszego brata i jak sądzę, bierze go zazdrość. Podbiega i wyciąga obie ręce, żeby go podnieść. Patrzy na Michaela, nie na mnie, ale to ja go biorę.

– Co powiecie na gorącą czekoladę? – proponuje babcia.

W kuchni naczynia są pozmywane i pochowane do szafek. Bałagan ze stołu sprzątnięty. Błaty się świecą. Próbuję widzieć w tym to, co było zamierzeniem matki: uprzejmość, ale widok błyszczących kranów w zlewie mówi mi jedynie, że jestem do niczego.

– Co się z nim stanie? – pyta Chris, kiedy siadamy.

– Jestem przekonana, że nic – zapewniam. – Trochę zmarznie i będzie wystraszony, ale nic złego mu nie grozi. A dzisiaj ma być ciepła noc. Zabierzesz Petera, żebyś mogła pomóc babci? – Oddaję mniejszego chłopca większemu.

– Czy on umrze? – pyta Michael.

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałby umrzeć? Pingwiny by go zadziobały na śmierć?

Ruchliwy jak żywe srebro chłopak zamienia się w pingwina: ramionka sztywno przyklejone do

tułowia, dłonie wygięte pod odpowiednim kątem, usta ułożone w dzióbek. Zaczyna udawać, że dziobie młodszego braciszka, a ten, a jakże, uznaje, że to najlepsza zabawa na świecie.

– Mama Sama Welsha mówi, że ten Archie zginie od hipopotamii – rzuca Chris.

– Hipotermii, i to bardzo mało prawdopodobne. Dużo ludzi śpi latem na zewnątrz.

– Jeszcze – domaga się Peter.

– W namiotach. Śpiworach. – Chris nie daje się przekonać. Wciąż jest zmartwiony.

– Nie mówię, że będzie mu dobrze, mówię tylko, że nic mu się poważniejszego nie stanie przez to, że spędzi noc na dworze. – Widzę, że nikt nie ulega moim próbom przedstawienia sytuacji w jaśniejszych barwach.

– Zgasiliśmy świece w dyniach – oznajmia Michael. – Żeby się nie przestraszył, jak tu dotrze.

– Ja im kazałam. – Matka nie zamierza pozwolić ośmiolatkowi odebrać sobie chwały za coś, co ona wymyśliła. – Rozumiem, że jego rodzice też z wami byli – dodaje ściszym głosem, jakby nie widziała, że Chris i Michael wyłapują każde nasze słowo. – Człowiek nigdy nie wie, co ma, dopóki tego nie straci. – Stawia na stole dwa porcelanowe kubki i jeden plastikowy z przykrywką. – Boże, co ta biedna matka musi teraz przeżywać. Och, ty też chcesz, Rachel?

– Nie, dziękuję – odpowiadam, chociaż nie jadłam nic od lanczu.

Mama pomaga mi położyć chłopców do łóżek, później odprowadzam ją do samochodu.

– Czy policja widzi jakieś powiązania? – pyta, otwierając drzwi; żeby się osłonić od wiatru, idę blisko krzaków. – Z tymi wcześniejszymi zaginięciami?

– Nikt nic takiego nie mówił. – Chyba poza ojcem. On we wszystkim dopatruje się czegoś podejrzanego.

– Wszyscy trzej zaginęli w pobliżu wody. – Matka sadowi pulchny tyłek na fotel kierowcy i spogląda na mnie. – Może powinniśmy pomyśleć o ludziach z łodziami.

Połowa tutejszych mieszkańców ma łodzie i ona o tym wie.

– Jutro na pewno go znajdziemy. Dobranoc, mamó. – Pochyliam się, żeby ją cmoknąć w policzek, i udaję, że nie zauważam jej odruchu, żeby uniknąć pocałunku. – Dziękuję za pomoc.

Prycha i odjeżdża. Ledwie zdążam się cofnąć. Nie przejechała mi po nodze, ale niewiele brakowało.

Godzinę później budzi mnie płacz. Odczekuję kilka minut; w pokoju najmłodszego zawsze pali się nocna lampka, mały najczęściej sam się uspokaja. Ale nie tej nocy. Zaczyna płakać jeszcze bardziej i wiem, że za chwilę obudzi resztę.

Kiedy idę korytarzem, moją uwagę przyciąga jakiś błysk przed domem. Podchodzę do okna, zakładam, że z zewnątrz raczej mnie nie widać.

Na drodze stoi samochód. Od razu go rozpoznaję, chociaż nie widzę wyraźnie twarzy bladej, ciemnowłosej kobiety, która siedzi za kierownicą. Catrin znowu przyjechała pod dom nocą i wpatruje się w okno sypialni mojego najmłodszego syna.

Wychodząc, zamykam drzwi. Prawie nigdy tego nie robię, jednak zaginięcie dziecka, no i ten anonim nie dają mi spokoju. Wiatr, którego nie było prawie przez większość dnia, teraz przybiera na sile, budynki skrzypią i jęczą w proteście.

Tego również zwykle nie robię, jednak na stole w kuchni zostawiam wiadomość dla Chrisa. Nigdy raczej nie budzi się w nocy i nie schodzi na dół, ale ta noc nie wydaje się zwyczajna.

„Poszłam sprawdzić, co u koni”, napisałam. „Zaraz wracam”.

– Och, to chyba jakieś żarty – narzeka Belzebub.

– No ruszaj się, ty leniwy czorcie. Zarób choć trochę na swoje utrzymanie.

Szybko go siodłam i wyprowadzam na podwórze po pasie trawy, która wycisza stukot kopyt.

Do domu Catrin szosą mam kilka kilometrów, ale na przełaj mogę tam dotrzeć w niewiele ponad pół godziny. Bawimy się w tę zabawę już od jakiegoś czasu. Ona przejeżdża pod moim domem nocą samochodem, niekiedy nawet na chwilę się zatrzymuje. Ja jeżdżę do niej konno. Jakoś zawsze wyczuwam, kiedy stoi pod domem, i wydaje mi się, że ona też wie, kiedy ja ją odwiedzam. Ale nic z tym nie robimy. Którejś nocy, może dzisiejszej, jedna z nas coś wymyśli, żeby przerwać ten impas.

I może, jeśli tak się stanie, zdołam wreszcie spróbować odnaleźć siebie. Po odprawieniu pokuty wydam się z tej otchłani, w której ugrzęzłam.

Ponad dwadzieścia lat, czyli przez większość naszego życia, Catrin była drugą połową mnie. Nawet gdy umierałam z zazdrości, że ma Bena, nadal potrzebowałam jej w swoim życiu. Teraz, po latach nieodzywania się do siebie, jestem bez niej zagubiona.

Dałabym sobie odrąbać rękę, pocięłabym sobie twarz na paski, gdyby to była wystarczająca pokuta za to, co się przeze mnie stało. Czasami myślę, że nie istnieje nic, co bym mogła zrobić, żadne poświęcenie nie byłoby wystarczające, żeby Catrin mi wybaczyła.

Żeby zmyć z siebie krew albatrosa.

Wyspy w poświacie zachodzącego słońca zmieniają wygląd. Wraz z zanikaniem kolorów, gdy wyraźne kontury krajobrazu zaczynają się stapiać z półmrokiem, budzą się zapachy, ożywa faktura ziemi. Ludzie w gęsto zaludnionych częściach świata mówią o ciszy, o bezruchu nocy. Tutaj, gdy nieliczni mieszkańcy udają się na spoczynek, dzieje się odwrotnie. Tutaj czas nocy oznacza początek nieskończonej kakofonii odgłosów. Ptaki w gniazdach, które mijamy z Bee, chichoczą i plotkują, tworzą gęsty dywan dźwięków, utkany z ich chaotycznych pokrzykiwań. W górze przy akompaniamencie wysokich pisków imprezuje ptasia młodzież, upojona lotem i wolnością. Jastrzębie śpiewają, pingwiny na pobliskim brzegu pohukują na wyjący wiatr, a o albatrosach z kolonii na szczycie klifu można by powiedzieć, że toczą polityczne dyskusje, tak różnorodne i inteligentne wydają się ich rozmowy. W tle tego wszystkiego słychać nieustanne grzmienie i ryk oceanu.

Zjeżdżam ze szlaku na otwartą przestrzeń, słodkawa woń podpowiada mi, że podróżuję pośród krzewów janowca. Kiedy dotrzemy na torfowiska, zapach się zamieni na ten charakterystyczny dla zawilgoconej, gnijącej roślinności. Podmuchy przybrały na sile, to irytuje Bee, ale wkrótce dojeżdżamy do punktu, gdzie mogę skręcić, i teraz, ponaglając nas, wiatr wieje nam w plecy.

*Nie zostawiaj go samego.*

Jestem już w połowie drogi, mimo to mam ochotę zawrócić. Zostawiłam samych wszystkich moich synów, całą trójkę. Jeśli ktoś mnie obserwował, możliwe że widział, jak wychodzę.

– Może oni tam są, zakradli się do ogrodu, próbują dostać się do środka.

Tylko mój koń potrafi mnie tak bardzo wesprzeć, gdy toczę wewnętrzny spór. Poza tym to niedorzeczne, co on wygaduje. Tutaj nic złego nie może się przytrafić śpiącym dzieciom. Mówię mu to.

– Rodzice Archiego Westa też go zostawili samego.

– Archie się zgubił. Odszedł i nie wiedział, jak wrócić. I tyle.

– Wmawiaj to sobie, moja droga, wmawiaj.

– Wróćmy do domu, kiedy ja tak zdecyduję. A teraz się zamknij.

W sypialni Catrin się świeci. Dostrzegam to, choć jeszcze pół kilometra do jej domu. Ale to nic nadzwyczajnego, że tak długo siedzi w nocy. Zdarza jej się nawet wypływać nocą łodzią. Płynie do jakiejś opustoszałej zatoki i tam zarzuca kotwicę. Może też ma kłopoty ze snem.

Ostatni odcinek pokonuję szosą, chociaż trzymam się pobocza, żeby nie było słychać stukotu kopyt

Bee. Widzę górne piętro domu, szczyty szkieletów, resztę jednak zasłaniają rosnące wokół ogródka krzewy janowca. Zsiadam i w osłoniętym miejscu za hałdą skałek przywiązuję Belzebuba.

W szpalerze janowca jest wąska szpara. Przełazenie między kolcami nie należy do przyjemności, ale już to wcześniej przerabiałam. Opuszczam głowę i wciskam się w szczelinę, po chwili jestem po drugiej stronie. Światło, które zauważyłam z oddali, wciąż się świeci. Myślę o tym, że chyba bym nawet chciała, żeby Catrin wyjrzała i mnie zobaczyła albo żeby Queenie mnie wyczuła i zaczęła szczekać.

Nagle z miejsca, gdzie przywiązałam konia, dolatuje mnie jego parsknięcie, a sekundę później słyszę cichy niski pomruk. Jęk wysiłku, odgłos tylko trochę głośniejszy od westchnienia. Ktoś nadchodzi. Gramolę się z powrotem w krzaki i czekam.

Do furtki zbliża się wysoki mężczyzna. Przechodzi nad nią, dając wysoki krok. Potem przystaje na skraju ogrodu i się rozgląda.

– Halo?

Od razu rozpoznaję akcent, jeśli już nie sam głos. Szkot. Duży wzrost i szerokie bary – to może być tylko Callum Murray.

Odnoszę wrażenie, że mnie widzi, że przecinając ogródek, patrzy wprost na mnie. Cofam się jeszcze głębiej, ale wiem, że nie uda mi się uciec bezszelestnie. Ratuje mnie to, że nie zna tego ogrodu tak dobrze jak ja i dlatego nie zauważa stosu harpunów. Zaczepia o jeden nogą. Harpun spada, pociąga za sobą inne; wszystkie rozsypują się z łoskotem.

Wykorzystuję okazję, przeciskam się przez szparę całkiem na drugą stronę, ale gdy już mam się odwrócić i odejść, w domu otwierają się tylne drzwi.

– Trochę za późno na zbieranie halloweenowych słodyczy. – Na progu stoi Catrin, ledwie widoczna na tle ciemnego pomieszczenia za jej plecami.

Callum mamrocze coś o tym, że mu się wydawało, że widział ją w ogrodzie. Kiedy podchodzi do Catrin, ich głosy zagłusza wiatr, więc nie słyszę już, o czym rozmawiają. Jednak głos w mojej głowie brzmi głośno i wyraźnie. Znowu się zeszli.

Trzy lata temu wiedziałam, że jest coś, o czym Catrin mi nie mówi. Wiedziałam o tym przez wiele miesięcy. Catrin się zmieniła. Przede wszystkim nagle zaczęła mieć o wiele mniej czasu. I utraciła tę otwartość, tę chęć dzielenia się ze mną wszystkim, co się dzieje w jej życiu. Bez wątplenia coś ukrywała. Myślałam z nadzieją, że może ona i Ben mają problemy, ale głęboko w duszy czułam, że to nie to. Catrin pod żadnym względem nie sprawiała wrażenia nieszczęśliwej. Potem, pewnego dnia, bez uprzedzenia podjechałam do niej na Bee. Przywiązałam konia dokładnie w tym samym miejscu, w którym stoi teraz, podeszłam do drzwi i usłyszałam jej głos dochodzący z za domu. Obeszłam budynek i zatrzymałam się na rogu.

Z tyłu, od strony morza jest świetne miejsce do opalania się. Przy słabym wietrze i bezchmurnym niebie zamienia się w mały skrawek ciepła. Wtedy to była późna wiosna, a dzień bardzo gorący jak na Falklandy.

Catrin leżała naga na kilku rzuconych na ziemi poduchach. Z mężczyzną, również nagim, ale na pewno nie z Benem. To zauważyłam od razu. Silne ramiona otaczające Catrin były jasne i bardzo umięśnione, nogi o wiele dłuższe niż jej męża. Napięte ciało, obciążone palce stóp, dłonie wczepione w ramiona mężczyzny, po tym wszystkim rozpoznałam, że para zaraz będzie się kochała. Potem on uniósł głowę i rozpoznałam piaskowe włosy.

Wtedy uciekłam stamtąd, zastanawiając się, jak utrzymam tajemnicę tak ogromną, tak ważną. Nie mieściło mi się w głowie, że kobieta, do której Ben wracał codziennie po pracy, mogłaby chcieć rozglądać się za kimś innym. A jednak zarazem układało się to w bardzo logiczną całość i ledwie skrywane zainteresowanie Catrin Szkotem, weteranem wojny falklandzkiej, stało się dla mnie całkowicie zrozumiałe.

Tamtego dnia, gdy już się otrząsnęłam z szoku, czułam czystą radość. Catrin się zadurzyła. Znałam ją na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie wdałaby się w romans z kimś, na kim by jej nie zależało. Zakochała się w innym mężczyźnie. Ben znowu będzie wolny. I będzie mógł być ze mną. Oczywiście czekały nas komplikacje – niechętnie myślałam o tym, że zabrałabym chłopcom ojca, ale wierzyłam, że coś wymyślimy. Nagle moje życie stało się pełne możliwości. Po raz pierwszy od lat pojawiła się we mnie nadzieja na szczęście, a nie tylko na ukojenie złamanego serca. Coś więcej niż tylko pociecha.

Coś takiego czuję również teraz, gdy odchodzę z Bee. Catrin ponownie spotyka się z Callumem. Jeśli wrócił do jej życia, czy to oznacza, że ona wydobywa się z depresji? Jeśli znowu szuka szczęścia, może znajdzie sposób, aby mi też pozwolić wrócić?

# DZIEŃ DRUGI

## wtorek, 1 listopada

29

Następnego dnia dalej szukamy małego Westa. Cały poranek jeźdźcy Apokalipsy, jak się nas uparł nazywać ojciec, patrolują plażę, wypatrują utyłanych w piachu części garderoby, bucików wystających zza skał. Inni, w tym Catrin i Callum, przeczesują wzgórze. Wraz z nadchodzącym południem optymizm staje się wysiłkiem. Jeśli dziecko tylko gdzieś się oddaliło, do tej pory powinno się znaleźć. Jeśli zmarło na wrzosowiskach, jego zwłoki już by zostały znalezione.

Zostają jeszcze dwie możliwości. Pierwsza, że chłopiec wpadł do rzeki, której prąd zmiotł go do morza. W takim przypadku, jeśli przypływ jeszcze go nie wyrzucił na brzeg, to już raczej nie wyrzuci. Możemy dzieciaka nigdy nie odnaleźć.

Druga możliwość, co do której zdania są bardzo podzielone, to taka, że ktoś go porwał. Żaden wyspiarz, poza moim ojcem, nie przyzna otwarcie, że to prawdopodobny scenariusz, jednak przyjezdni o tym myślą. Wojsko również. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzę, widzę narastającą podskórną nerwowość. Ludzie nie ukrywają, że nie są zadowoleni. Zaczynają się kłótnie.

W połowie dnia muszę wymiksować się z poszukiwań. Mama, która rano zajmowała się Peterem, ma umówioną wizytę w szpitalu, poza tym to jeden z tych dni, kiedy właśnie mnie przypada obowiązek odebrania chłopców ze szkoły. Przejmuję od matki najmłodszego i jadę do Stanley – nie wyobrażam sobie, że miałabym być sama w domu z Peterem choćby jedną godzinę.

W mieście jest więcej ludzi niż zwykle. Wielu z nich to żołnierze, przybyli tu pomagać w poszukiwaniach. Inni to turyści z „Princess Royal”. Żadna nowość, oczywiście, jednak goście zwykle schodzą na ląd tylko na kilka godzin, żeby oglądać dziką przyrodę, udać się na mniej dostępne plaże. Nie kręcą się po Stanley. Wydaje się, że tych teraz ściągnęły do miasta jego kłopoty, są jak muchy przyciągane przez gnijące mięso.

Nie jest też tak, że ktoś z nich osobiście zna bliskich Archiego, bo Westowie przyjechali niezależnie, nie przypłynęli wycieczkowcem. Ci ludzie ze swoimi wyfiokowanymi fryzurami, w jaskrawych, ręcznie szytych koszulach i rażących bielą tenisówkach są tu z powodu dramatu. Chcą się nawdychać odoru naszych problemów.

Odbieram z poczty garść listów i wtykam je do torby, nie oglądam ich dokładnie. W sklepie spotykam Ralpha Padlinę, kupuje bibułki i tytoń. Kiwa do mnie głową i chyba zamierza coś powiedzieć, ale woła go kasjerka, więc Ralph się odwraca.

Kiedy już załatwiam wszystko, co mam załatwić, wciąż zostaje mi jeszcze godzina do zakończenia lekcji w szkole, więc idę na kawę do Bob-Cat. Wahadłowe drzwi są ciężkie, trudno je otworzyć, zwłaszcza jak idziesz z wózkiem, dlatego nie bardzo się skupiam na tym, kto jest w środku.

– Pach, pach, pach! – Głos dziecka. Mojego.

Coś się roztrzaskuje na kamiennej posadzce, gdy drzwi za mną głośno się zamykają. Za ladą Bob-Cat rzuca przekleństwo. Klienci milkną.

Callum stoi między ladą a drzwiami i gapi się z przerażeniem na mojego syna, na pistolet w jego ręku. Kawałki potłuczonego kubka są rozsypane po całej podłodze. Mój synek wybucha dręczącym głośnym szlochem.

– Na litość boską, człowieku, to tylko dziecięcy pistolecik, co z tobą? – Bob-Cat jest naprawdę wkurzona zbitym kubkiem i rozlaną kawą.

Callum sterczy jak zahipnotyzowany. W oczach ma jakiś błysk, który mi się nie podoba, którego z pewnością nie rozpoznaję. Odsuwam wózek do tyłu, a Bob-Cat przechyla się nad barem i pociąga Calluma za ramię. Wtedy on się przebudza. Kręci głową, jakby chciał ją oczyścić, potem spogląda w dół na pobjowisko na ziemi.

– O cholera, przepraszam. – Pochyla się i zaczyna zbierać odłamki, po chwili nieruchomieje. – Rachel, chyba zalałem go kawą. Chyba się poparzył.

Nagle klienci tawerny okazują się ekspertami od pierwszej pomocy, robią wielkie zamieszanie wokół Petera, który widząc, że jest w centrum uwagi, przestaje zawodzić. Na lewej łydce ma różowy ślad i plamy od kawy na skarpetce, ale my ją zdejmujemy, owijamy nogę zimną mokrą ściereczką i już po minucie lub dwóch nie ma znaku po oparzeniu.

Podczas gdy doglądam Petera, Callum sprząta potłuczone resztki i proponuje, że zapłaci za kubek. Bob-Cat bierze go za słowo i wystawia rachunek na kwotę, która wystarczyłaby na zakup całego kompletu kubków, i to z najlepszej porcelany.

– Przepraszam, moja wina – mówię, kiedy już się robi trochę spokojniej. – Nie wiedziałam, że ma ten pistolet przy sobie. To jego brata. Musiał być schowany głęboko w wózku.

– Nic się nie stało. – Callum uparł się, że postawi mi kawę, a mojemu synowi mleczny koktajl.

Zamierzałam usiąść przy pustym stole w głębi sali, ale teraz wyglądałoby to nieuprzejmie. Poza tym Callum i Catrin? Zajmuję miejsce obok niego na stołku przy barze. Peter grymasi, co było do przewidzenia, więc go rozpinam z szelek i sadzam sobie na kolanach. Próbuje się wspiąć na bar, ale odciągam jego uwagę ciastkiem.

– Nie udało się dzisiaj? – pytam.

Callum zniża głos.

– Stopford to idiota. Nie bierze pod uwagę innej opcji poza tą, że dzieciak się oddalił. Dlatego każe prowadzić poszukiwania tylko w jednym rejonie. Nikt nie szuka chłopca nigdzie indziej.

Chwilę się zastanawiam. Myślę o tym, jak rozległy obszar zajmują wyspy.

– No tak, ale bądźmy szczerzy, skąd miałby zacząć?

– Nikt nie próbował odszukać tego drugiego land rovera, którego widział brat chłopca.

Za nami drzwi się otwierają i do środka bucha odór smażonych potraw, wodorostów i oparów ropy, jakbyśmy się znajdowali na końcu tunelu aerodynamicznego prowadzącego wprost do portu. Odwracam się i widzę Ralpa Padlinę, w poplamionych nikotyną palcach trzyma do połowy wypalonego skręta.

– Te twoje chłopaki bawili się na wraku?

Trochę to trwa, zanim udaje mi się otrząsnąć ze zdumienia, że Ralph naprawdę się do mnie odezwał.

– Nie sądzę. Wiedzą, że nie wolno im tam samym chodzić.

Kiwa głową, jeszcze raz pociąga cienkiego rozpadającego się skręta, odwraca się i wychodzi.



– Muszę jego i te jego dziewczyny zaprosić kogoś dnia na obiad. – Callum mówi to ze śmiertelnie poważną miną, a ja w tym momencie widzę dokładnie, co Catrin w nim widziała. Widzi? Jestem zaszokowana tym, że wybucham śmiechem. Chwilę później Szkot do mnie dołącza.

Siedzę w barze za długo, gawędzę z Callumem o niczym, chociaż w rzeczywistości chcę go zapytać, co u Catrin. „Odezwie się do mnie, jak myślisz? A przy okazji, nigdy ci nie podziękowałam za to, co zrobiłeś tamtego dnia. Wiem, że wszedłeś do morza, żeby szukać mnie, moich synów, że ryzykowałeś życie, żeby uratować nas, ale to był dzień, kiedy zginęli jej synowie, kiedy stałam się potworem, któremu nikt nie może spokojnie spojrzeć w oczy, i dlatego nie możemy o tym rozmawiać, prawda? Nigdy nie będziemy mogli?”

Callum wychodzi pierwszy. Później idę w jego ślady, pcham wózek wznoszącą się ulicą do samochodu. Muszę być bardziej rozkojarzona niż zwykle, bo mylę auta. To nietrudne, tutaj nikt nie zamyka samochodów, poza tym mamy sporo jasnych land roverów. Otwieram tylne drzwiczki i myślę, że ktoś ukradł fotelik dla dziecka. Potem dostrzegam kartonowe pudło z nalepką z napisem „boczek” i uzmysławiam sobie, że przez pomyłkę otworzyłam samochód Bob-Cat. Zakłopotana, wysiadam i rozglądam się, ale chyba nikt na mnie nie patrzył, więc chwytam rączkę wózka i pcham go kilka metrów dalej, już do swojego auta.

Po powrocie do domu wyciągam listy, które odebrałam na poczcie. Jest wśród nich następna biała ręcznie zaadresowana koperta. Miejscowy stempel.

Chociaż słyszę, że chłopcy się bawią, muszę wejść do pokoju i ich policzyć. Duży, średni, mały, wszyscy są, cali i zdrowi, pochłonięci budowaniem Gwiazdy Śmierci z klocków Lego. Najchętniej wyrzuciłabym kopertę, ale jakoś nie mogę się na to zdobyć.

Otwieram. Prawie to samo co poprzednio. Prawie.

*Nie zostawiaj go samego. Ostatnie ostrzeżenie.*

Nie śpię dobrze. Często się budzę, wydaje się, że co godzina, wstaję, sprawdzam zamki, szczerzej zaciągam zasłony i zaglądam do chłopców. Za każdym razem wyliczam godzinę w miejscu, w którym jest Sander. Zdumiewa mnie, jak bardzo chcę, żeby już był w domu. Zdumiewa mnie, jak bardzo się boję.

Podczas trzeciego z kolei obchodu sypialni, widzę ogniska. Tuzin lub więcej, rozciągają się na zboczach, tańczą na wietrze. Sygnały dla Archiego Westa. Na całej wyspie ludzie obozują na zewnątrz, czuwają, żeby chłopiec nie czuł się tak całkiem osamotniony. Mają dobre intencje, wiem, ale wolałabym, żeby nie było tych ognisk, bo obraz wzgórz wydaje się żywym odwzorowaniem strof, których nie mogę się pozbyć z pamięci.

*I wokół, wokół, w wirze, w skoku  
Ogników moc płąsało*

Dla mnie każdy najmniejszy płomień wygląda jak stos pogrzebowy.

# DZIEŃ TRZECI

## środa, 2 listopada

### 30

To już dwie noce, Archie West jest poszukiwany od dwóch dni. Wszędzie, dokąd idę, widzę oznaki tego, o czym Sapphire mówiła pierwszego dnia poszukiwań. Strach zmienia społeczność. Z pewnością zmienił naszą. Gdy odwożę chłopców do szkoły, mijam cztery samochody, których kierowcy nie witają się ze mną machnięciem dłoni. Bo to tutejszy zwyczaj – kiedy spotykamy kogoś na drodze, machamy do niego. Przyjezdni się z tego śmieją, myślą, że ciągle musimy odrywać ręce od kierownicy, ale nas jest tak niedużo, że nawet do głowy by nam nie przyszło porzucić ten uprzejmy rytuał. Jednak dzisiaj, chociaż znam osoby prowadzące auta, nie doczekuję się ciepłego pozdrowienia. A potem sobie uświadamiam, że sama też nie macham. Wszyscy jesteśmy zajęci. Wszyscy myślimy o martwym dziecku. Już nie zaginionym, chociaż wciąż tak mówimy, kiedy wspominamy o nim w rozmowie. W naszych głowach on nie żyje.

Kolejne martwe dziecko. Co jest z nami nie tak? Dlaczego nie potrafimy upilnować swoich dzieciaków?

Przed pocztą, kiedy obok niej przejeżdżam, awanturuje się dwóch mężczyzn. Nie znam ich ani ludzi w tłumie, którzy z pewnej odległości obserwują kłótnię. Ktoś mi wychodzi na drogę i muszę ostro zahamować. Otyły facet w średnim wieku spostrzega w środku chłopców i nachyla się bliżej, żeby lepiej widzieć. Zauważa najmłodszego na tylnym siedzeniu i robi wielkie oczy. Wdeptuję pedał gazu. Postanawiam w drodze powrotnej pozamykać drzwi samochodu od środka.

Żegnam się z Chrisem i Michaelem przy szkolnej bramie, mocno ich do siebie tulę. Zauważam, że inni rodzice robią to samo. Matek jest więcej niż zwykle. W innych okolicznościach nawet maluchy z podstawówki przychodzą do szkoły same. Matki żegnają się z nimi na stopniach domów zadowolone, że nie muszą odprowadzać pociech, które zresztą mają do przejścia zaledwie kilka ulic, krótkich i spokojnych. Ale nie dzisiaj. Dyrektor Savidge chyba wszystkich przelicza, jakby się chciał upewnić, że na razie każdy z jego podopiecznych jest cały i zdrowy.

– Nie mogę oderwać od nich oczu – mówi jedna z kobiet. Nie do mnie. Rzadko się do mnie odzywają, ale stoją na tyle blisko, że słyszę strzępy rozmów.

Całą gromadą czekamy, aż ostatnie dziecko wejdzie do środka i zamkną się za nim drzwi. Zastanawiam się, ilu z nas wróci tu w czasie przerwy tylko po to, żeby się upewnić, że dzieci są nadal bezpieczne.

Idę z wózkiem do sklepów. Często tak robię. Moje życie stało się jednym długim ćwiczeniem zabijania czasu. Na ulicy jest bardzo dużo żołnierzy. Są tu, żebyśmy się czuli bezpieczni, ale dzisiaj ich widok tylko nam przypomina, jak bardzo zawiedliśmy. Jak nadal zawodzimy.

– Stado pieprzonych wielorybów! Wszyscy ciągną na tę wyspę na szarym końcu świata wyłącznie po to, żeby ratować garść cholernych wielorybów. Pokręciło tych ludzi, czy co?

– A wydawałoby się, że po zeszłej nocy ważniejsze będą zaginione dzieci.

Zwalniam. Znowu wróciłam do grupki awanturujących się turystów, których widziałam wcześniej. Chyba jedną z osób jest ojciec Archiego Westa. Co do reszty nie mam pewności.

– Zawiadom prasę. Zdobądź numer „Daily Mirror”.

– To skandaliczne, że twój mały wciąż gdzieś tam błądzi.

Dyskretnie zmieniam kierunek i idę do biura „Penguin News”. Nie bardzo chcę się widzieć z ojcem, ale jeśli na horyzoncie mającą telefony od brytyjskich dziennikarzy, muszę go wesprzeć.

W korytarzu słyszę jego głos w eterze, co oznacza, że nad drzwiami do studia pali się czerwona lampka i nie będzie mógł przerwać. Więc zostawię mu wiadomość. Moja babcia dopada Petera i wyciąga go z wózka.

– Zaczyna się robić nieciekawie – zagaduję do Cathy, starej przyjaciółki rodziny, która pracuje z ojcem i kilka razy w tygodniu przywozi chłopców ze szkoły do domu.

Zdaje sobie sprawę, że nie mam na myśli pogody.

– Mnie to mówisz? Telefony się u nas urywają. Jakbyśmy coś wiedzieli.

Jakby na zawołanie odzywa się jeden z biurkowych aparatów. Cathy nachyla się do niego, włącza automatyczną sekretarkę i podnosi palec na znak, żebyśmy byli cicho. Muzyka przestaje grać, a ja orientuję się, że ojciec przeprowadza wywiad z komisarzem Stopfordem.

Wszyscy słuchamy; mój syn nie marudzi, więc jestem przekonana, że babcia Mabel pasie go miętówkami. Nigdy nie przepuszcza okazji, żeby je po kryjomu przemycić moim dzieciom i koniom. Poza mną to jedyny człowiek tolerowany przez Bee.

– No cóż, to jasne, że dbamy o miejscową przyrodę, Bob, ale czy możesz nas zapewnić, że poszukiwania Archiego wciąż zajmują priorytetowe miejsce? – Głos mojego ojca przez radio zawsze wydaje się głębszy, kulturalniejszy.

– Naturalnie, Robercie. Jak najbardziej. – Stopford odchrząkuje. – Nawet poszerzamy obszar poszukiwań. W tej chwili przy Estancii działa wojsko, jak również tyłu ochotników, ilu jest w stanie poświęcić swój czas.

– Poza tymi, którzy udali się na Speedwell pomagać pracownikom rezerwatu ratować wyrzucone na brzeg wieloryby?

– Robercie, nie mam prawa mówić mieszkańcom, co powinni robić ze swoim czasem. Sami o tym decydują. Ja mogę cię tylko zapewnić, że dzisiaj również wiele osób szuka Archiego i że z bożą łaską w końcu go odnajdziemy.

– A sprawdzaliście na „Princess Royal”?

Stopford zaczyna odpowiedź, traci wątek i zaczyna znowu. Podkreśla fakt, że policja ma wystarczająco dużo ludzi, żeby przeczesać teren, na którym zgubił się Archie.

– Udało się wam już namierzyć tego srebrnego land rovera?

Kolejne przechwałki o tym, że podążają za kilkoma tropami. Jednak jeśli chodzi o srebrnego land rovera, to przede wszystkim nie ma pewności, że taki w ogóle pojawił się w okolicy Estancii. Poza tym najważniejszą informacją dla słuchaczy jest to, że poszukiwania małego Westa są kontynuowane i będą kontynuowane, aż, no cóż, tak długo, jak długo to będzie konieczne.

– A co z przeszukaniem domów? W Stanley jest niewiele ponad siedemset posesji. Z pomocą wojska, o której tyle mówiłeś, zajęłoby wam to nie więcej niż dzień.

– No wiesz, Robercie, nie możemy przeszukiwać domów bez nakazu, a wszyscy ludzie byli bardzo

pomocni. Powiem tyle: każdy mieszkaniec Stanley w ciągu ostatniej doby i tak na wszelki wypadek przeszukał swoje obejście. Sądzę, że nasze działania lepiej skoncentrować tam, gdzie są najbardziej potrzebne.

– Zamierzasz zwrócić się z prośbą o wsparcie do policji z Londynu?

– W razie konieczności, oczywiście, ale w tym momencie nic nie wskazuje na to, że mamy do czynienia z sytuacją inną niż... Chcę po prostu powiedzieć, że do poszukiwań Archiego oddelegowaliśmy całe nasze zasoby, i nie mam żadnych wątpliwości, że wkrótce małego znajdziemy.

W studiu zapada cisza. Trwa sekundę lub dwie. Mabel i Cathy wymieniają spojrzenie.

– No to teraz się zacznij – rzuca moja babcia.

– Dzisiaj rano w mieście rozeszła się plotka, że zeszłej nocy w Port Pleasant znaleziono zwłoki dziecka, komisarzu. Może nam pan coś o tym powiedzieć?

Co? Odwracam się szybko do Cathy. Ta znowu mnie ucisza.

W eterze słychać zdławione pokasływanie Stopforda.

– Informacje na ten temat zostaną podane do wiadomości publicznej we właściwym czasie, Robercie. Wiesz, że to byłby błąd, gdybym zaczął teraz snuć jakieś spekulacje.

Zwłoki? W Port Pleasant? Przy śniadaniu ja i chłopcy słuchaliśmy radia. Nikt nic nawet nie napomknął o żadnych zwłokach.

– Myślisz, że to Archie? – pyta ojciec.

– W tym momencie nie mamy podstaw uważać... To znaczy, jesteśmy prawie pewni, że to nie Archie, i taką właśnie wiadomość przekazaliśmy jego rodzinie.

Zwłoki dziecka? Nic dziwnego, że ludzie w mieście są tacy podminowani. Ale jeśli nie Archie, to...

– Jimmy – mówi Cathy bezgłośnie. – Jimmy Brown.

– Kiedy będziecie mieli pewność w kwestii identyfikacji?

– Naprawdę trudno to przewidzieć. – Prawie widzę, jak Stopford wstaje z krzesła i idzie do drzwi.

– Twoim zdaniem te dwie sprawy są powiązane?

– Nic nie... na tym etapie nie ma absolutnie żadnych podstaw, żeby... no żeby je ze sobą łączyć. Takie spekulacje byłyby nieodpowiedzialne. I bardzo krzywdzące dla rodzin.

– Trzech chłopców w ciągu minionych dwóch lat. Wszyscy zaginęli w pobliżu wody... i ty nadal chcesz, żeby ludzie wierzyli, że tych wypadków nic ze sobą nie łączy?

– Robercie, takie sugestie w niczym nie pomagają, poza tym wywołują niepokój zainteresowanych rodzin. Musimy na tym poprzestać.

Zaczyna grać muzyka, słyszymy szuranie odsuwanych krzeseł, potem otwierają się drzwi studia. Komisarz, nie zwracając na nas uwagi, przechodzi szybko do wyjścia i opuszcza biuro. Mój ojciec idzie za nim, przystaje w progu i odprowadza Stopforda wzrokiem. Tymczasem po całej wyspie roznoszą się dźwięki piosenki *Sweat* grupy Inner Circle. „Jeszcze się przeze mnie spocisz” – ostrzega wokalista.

Bywają dni, że nawet ja jestem zmuszona kochać swojego ojca.

Po powrocie do domu robię Peterowi jakąś przekąskę, a potem zabieram go ze sobą na plażę, czego zazwyczaj nie robię. Mały szybko zaczyna grymasić, powinien się przespać po lanczu, ale ja mam ogromną potrzebę być poza domem i z jakiejś przyczyny – prawie na pewno są nią anonimowe wiadomości – nie chcę zostawiać syna samego.

Gdy wychodzę, głos ojca w radiu podaje, że wstępne oględziny zwłok – co do których policja jeszcze nie ma pewności, że należą do Jimmy’ego Browna – mają być przeprowadzone w szpitalu tego popołudnia.

Znowu zaczynam się zastanawiać, czy powinnam kogoś zawiadomić o listach, jednak biorąc pod uwagę wszystko inne, czym policja musi się zajmować, mój bezimienny przyjaciel korespondencyjny raczej nie zyska pierwszeństwa w policyjnym grafiku. Tym bardziej że rodzina Archiego nie otrzymywała ostrzegawczych wiadomości przed jego zaginięciem.

A może otrzymywała, tylko to ukrywano. Więc co? Zgłosić sprawę listów i ryzykować, że funkcjonariusze zmarnują cenny czas, nie wspominając, że ściągnę tym uwagę na moje godne pożałowania rodzicielstwo, czy... Zgłoszę, postanawiam. Zdecydowanie. Niedługo.

Nowość, jaką jest dla mojego najmłodszego dziecka przebywanie na plaży, sprawia, że zapomina o zmęczeniu. Daje kilka szybkich kroków w stronę stadka ptaków, a te podrywają się wysoko. Peter robi młynki na piasku, zauroczony faktem, że posiada moc oddziaływania na tak wiele innych istnień.

To niebezpieczna moc, myślę sobie, gdy się przyglądam, jak jego jasna główka podskakuje, stopy uderzają w piasek, oczy są szerokie z zachwyty. Coś o tym wiem.

Kiedy urodził się Chris, w tych kilku pierwszych dniach, gdy stawałam się matką, nagła odpowiedzialność wzbudzała we mnie uczucie zbliżone do przerażenia. Tak wiele czasu w tym początkowym okresie spędzaliśmy tylko ze sobą. Tylko ja i ta kruszynka zdana wyłącznie na moją łaskę. Zaczęły mnie wtedy nachodzić chore fantazje o przemocy.

Pojawiały się znikąd. Robiłam sobie herbatę i nagle przychodziła myśl, jak łatwo byłoby wyłączyć zawartość czajnika na łóżeczko brzdąca. Zabierałam go do ogrodu, żeby nałykał się świeżego powietrza, podchodziłam z nim do skraju klifu i zastanawiałam się, że gdyby mi się teraz wysunął z rąk, to jak długo by spadał. Czy by płakał? Czy byłabym załamana? W ciągu tych kilku ostatnich krótkich chwil, zanim uderzyłby w skały, kto – on czy ja – krzyczałby głośniej?

Próbowałam go karmić piersią, ale szybko zrezygnowałam i przesłam na butelkę. Mogłabym do tych butelek nalać wszystko, myślałam sobie, przygotowując je co rano. Środek do czyszczenia rur? Alkohol? Kto mógłby mnie powstrzymać?

Nie miałam pojęcia, co się popsuło w moich zwojach mózgowych, dlaczego stale mnie nawiedzają te okropne myśli. Bo przecież nie chodziło o to, że nie kocham swojego dziecka. Czasami wręcz miałam wrażenie, że ta miłość do niego jest tak silna, że brakuje we mnie miejsca, żeby ją całą pomieścić. Nie lubiłam się z nim rozstawać. W nocy budziłam się i przekonywałam, że miękko dotykam dłonią brzuszka synka, który śpi w kołysce obok. Zastanawiałam się wtedy, jak mogłam żyć tak wiele lat bez niego. A jednak te mroczne, zwichrowane myśli wciąż mnie nachodziły.

Zaczęłam się bać samej siebie, tego, co mogłabym zrobić, i nie miałam do kogo zwrócić się po pomoc. Bo niby jak miałabym się przyznać, że fantazjuję, że zabijam własne dziecko? Inne matki byłyby przerażone, znalazłyby wymówkę, żeby szybko opuścić mój dom. Lekarz rodzinny wysłałby mnie do psychiatryka. Sander odebrałby mi prawa rodzicielskie. Moja najlepsza przyjaciółka sama dopiero co urodziła, nie był to dla niej odpowiedni moment, żeby się zajmować moją paranoją.

Jednak w końcu się jej zwierzyłam. Pewnego popołudnia totalnie się rozkleiłam i o wszystkim opowiedziałam Catrin. Nieprzenikniona i spokojna jak zwykle, chwilę się zastanawiała.

– Myślę, że tu chodzi o twoją podświadomość, która w ten sposób stara się uporać z ogromnymi zmianami, jakie zaszły w twoim życiu – oznajmiła. – Na jakimś poziomie masz świadomość, że mogłabyś zrobić te wszystkie rzeczy, więc na poziomie rzeczywistym odreagowujesz i badasz granice. Nie martwiłabym się tym. Sądzę, że te natrętne myśli z czasem miną, kiedy już się przyzwyczaisz do tego całego biznesu bycia matką.

– A jeśli nie miną? A jeśli naprawdę zrobię jedną z tych rzeczy?

Popatrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Rach, widziałam, jak łapiesz osy w dłonie, bo nie masz serca ich zabić. To tylko fantazje.

Z czasem zaczęłam uważać, że Catrin miała rację. Fantazje nachodziły mnie coraz rzadziej, aż w końcu zupełnie ustały, a kiedy urodził się Michael, nie powtórzyły się.

Niemniej wciąż uważam, że to niebezpieczne posiadać taką władzę i kontrolę. W mojej przeszłości nastąpił dzień, że wywarłam ogromny wpływ na życie innych, a konsekwencje tego jednego błędu mimo upływu tylu lat wciąż toczą moją duszę jak rak.

Zza cypla wyłania się kuter policyjny, przyglądam się, jak się zbliża. Płyń do wraku. W ciągu następnych kilku dni wszystkie wraki mają być przeszukane. Stary statek, na którym ludzie, których kochałam, bawili się w piratów, zapełni się funkcjonariuszami policji.

Nagły powiew wiatru uderza w nas z całą siłą, niemal przewraca Petera. Oddalił się ode mnie na kilka metrów i teraz rozgląda się w panice, pewnie myśli, że się zgubił.

Czasami mam uczucie, jakby wokół mnie wszyscy się pogubili. Kilkanaście kilometrów stąd ludzie wciąż szukają zaginionego chłopca. Jeszcze dalej, jakieś osiemdziesiąt kilometrów, inni próbują przenieść ponad setkę zagubionych wielorybów z powrotem do ich naturalnego środowiska. Siedzę na zimnym piasku, przyglądam się chudemu dwulatkowi, który ściga po plaży kormorany i nurzyki, i zastanawiam się, kto mnie odnajdzie i jak zdołam kiedykolwiek wrócić do domu.

Chris budzi mnie w nocy. W ręce trzyma telefon. Dzwonek pewnie długo brzęczał, ale dźwięk nie zdołał się przedrzeć przez mój wspomagany proszkami sen.

– Mamo.

Siedzi na moim łóżku, szarpie mnie za ramię. Zalewa mnie panika, szybko się rozbudzam.

– To dziadek. Znaleźli go. Znaleźli tego chłopca.

Chwytam telefon, próbuję się skupić. Wcale nie jest aż tak późno, kilka minut po północy, ale proszki nasenne mocno działają. Mimo wszystko to, co trzeba, do mnie dociera. Znaleźli Archiego Westa. Żyje i jest we względnie dobrym stanie.

Chris nachyla się blisko, próbuje podsłuchać. Na twarzy ma uśmiech ulgi. Ojciec bardzo się stara ukryć swój entuzjazm, mama papla w tle. Odnoszę wrażenie, że każdy wokół głęboko odetchnął, uwolnił napięcie. Już po wszystkim.

Ojciec coś jeszcze mówi. Małego znaleźli Catrin i Callum – że też akurat oni – kiedy wracali ze Speedwell. Tata ledwie może zapanować nad radością, że los mu podrzuca taką historię, jak dzban ambrozji strącony przez bogów z Olimpu. Ukatrupili prawie dwieście wielorybów po ich bezprecedensowym wyrzuceniu się na brzeg i w drodze do domu przy szosie zauważyli zziębniętego, wygłodzonego małego chłopca.

Kiedy ojciec milknie, żeby nabrać tchu, ja korzystam z okazji i się z nim żegnam, Chris zwinięty u mojego boku prawie już zasypia.

Przesuwam się na stronę Sandera. Prześcieradło pode mną jest chłodne.

Koniec koszmaru. I to lepszy niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Dziecko z dalekich stron się znalazło. Przy okazji wygląda na to, że Callum i Catrin znów są razem. Nagle otwiera się przede mną tak wiele możliwości. Układam się wygodniej zadowolona, że czuję pod sobą chłodną czystą pościel Sandera, że słyszę obok oddech Chrisa. Skończyło się. Cokolwiek spotkało Archiego, już...

Potem przypominam sobie, co to za dzień. Trzeci listopada. Dzień, kiedy zabiłam dzieci swojej najbliższej przyjaciółki.

Wiem, że teraz już nie ma szans, żebym zasnęła, więc wstaję, wcześniej naciągam wyżej kołdrę na Chrisa. W pokoju Michaela narzuta na łóżku zakrywa dziwnie duże wyrzucenie, u góry spod nakrycia wystają dwie jasnowłose główki. Peter nie potrafi sam wychodzić z łóżeczka, więc mogę się tylko domyślać, że się obudził, Michael go usłyszał i przeniósł do siebie.

W drodze powrotnej do własnej sypialni zaglądam do pokoju Petera i choć wiem, gdzie jest teraz mój najmłodszy syn, widok jego pustego łóżka budzi we mnie falę strachu.

Nasze najmłodsze dzieci powinny być dla nas najcenniejsze. Najmłodsze, najśłodsze, najbardziej

kochane, ostatnie dzieci wydane przez nasze ciała. Archie też jest najmłodszym dzieckiem. Jego matka, która znowu może go ściskać w ramionach, musi mieć wrażenie, że cienka i krucha otoczka jej serca prawdopodobnie nie wytrzyma ogromu emocji, jakie się w nim zbierają. Kobieta pewnie nie zaśnie przez całą noc, będzie tuliła do siebie małe zziębnięte ciało, ledwie dając wiarę, że los podarował jej drugą szansę.

Czy to możliwe, że dla mnie też istnieje druga szansa?

– Mamo. – W moim pokoju zaspana młoda twarzączka nawołuje mnie, żebym wracała.

Nie wracam. Stoję w progu pokoju Petera i wpatruję się w jego puste łóżeczko.

# DZIEŃ CZWARTY

## czwartek, 3 listopada

### 31

Ona nie jest normalna. Przynajmniej nie od czasu...

Jedna z plotkujących matek mnie zauważa i przerywa drugiej, szturcha ją łokciem.

– No co? Przecież mówię tylko to, co i tak wszyscy wiedzą. – Kobieta ścisza głos, ale niewiele.

Już dawno przestałam być kimś, z czyimi uczuciami należy się liczyć.

Czekamy na otwarcie szkoły. Niebo jest czyste, ale chmury już się zbierają, więc wiemy, że później pogoda się popsuje. Gęste obłoki gromadzą się nad morzem, pas, który tworzą wraz z ciągle napływającymi nowymi masami, staje się coraz szerszy i ciemniejszy, jego cień rozkłada się na wodzie. W tej chwili kolorowe dachy domów w Stanley jeszcze dumnie błyszczą w słońcu, ale za kilka godzin będą się kurczyły, jak pranie pozostawione na deszczu.

Równo przed trzema laty pogoda dopisywała, jak na tę porę roku było zaskakująco spokojnie i ciepło. Dzieciaki spędzały czas na plaży i pamiętam, że kiedy odwoziłam Neda i Kita do domu, myślałam o tym, że będę musiała odkurzyć samochód. Oczywiście nie miałam okazji tego zrobić. Piasek, kamyczki i inne nadmorskie brudy utonęły razem z chłopcami.

W dniu śmierci Neda i Kita pogoda była idealna.

Burze rozpętują się tu szybko, ale uczymy się czytać znaki. Formująca się od zachodu armia chmur w trakcie poranka jeszcze się powiększy. A później każdy, kto to będzie obserwował, zauważy, że nagle zapadnie moment bezruchu. Ci, którzy nie znają tego miejsca, mogliby pomyśleć, że najgorsze już minęło, ale to właśnie wtedy pojawi się nowy przybysz, podłużny, nisko się kładący cień chmury, która porusza się szybciej, prawie nad lądem. To przednia straż, nadciąga z przytupem i bez strachu, przeciera szlak reszcie. A potem natura już w pełni objawi swoją moc, gwałtownie zalewając świat strumieniami wody.

*A potem nadbiegł wicher, dął –*

*Gwałtowna, zła nawałność.*

Staram się nie zwracać uwagi na plotkujące matki, udaję, że przyglądam się Michaelowi – brat ściga go po podwórku. Starszy chłopiec odbiega, potem trochę zwalnia, czeka, aż młodszy prawie go złapie, po czym znowu mu ucieka. Młodszy wkrótce się znuży tą zabawą, ale na razie jest z niej



zadowolony.

– Nie mam pojęcia, jak ona to mogła zrobić. Jeden po drugim, jak na jakiejś egzekucji.

– No, ale przecież na tym polega jej praca, prawda?

– Potrafiłabyś tak? Bo ja nie. Prawie dwieście sztuk. Nawet oseski i ciężarne matki.

Nie rozmawiają o mnie, tylko o Catrin.

– Za to znalazła tego chłopca.

– Znalazła obu. Jeden był martwy. To o czymś świadczy.

– No tak, wiem. Jest dziwna. Ma swoją ciemną stronę.

Dosyć. Odwracam się i podchodzę do mamusiek.

– Ile owiec twój Alan zarzyna każdej wiosny, Alison? – Patrzą na wyfiokowaną blondynę z czerwonymi policzkami. Ona i jej mąż na jednej z mniejszych wysp prowadzą farmę owiec. – I jak on to robi, może mi opisziesz?

Kobieta rzuca mi oburzone spojrzenie.

– To coś innego i dobrze o tym wiesz.

Alison chodziła ze mną do szkoły, chociaż do klasy lub dwie wyżej. Pamiętam, że nie była szczególnie inteligentna, za to wyszczekana. Trudno się z nią kłóciło.

– Masowy ubój przeprowadzany z konieczności – rzucam. – Owce są zabijane, bo potrzebujemy ich mięsa. Wieloryby zostały zabite, żeby nie cierpiały. Można zatem powiedzieć, że to, co zrobiła Catrin, było o wiele bardziej humanitarne niż to, co robicie ty i twój mąż.

Prycha i daje do mnie krok. Sztywnieję. Nachyla się, jej twarz jest tuż przed moją.

– No bardzo cię przepraszam. Zupełnie zapomniałam, że jesteś naszym ekspertem od zabijania niewinnych istot.

I na to akurat nie mogę nic odpowiedzieć. Nie wiem, jak zareagować. Większość kobiet dokoła nas – a do tego momentu ściągnęłyśmy spory tłumek – wygląda na zakłopotane, ale niektóre, widać to po ich minach, czerpią przyjemność z tej napiętej sytuacji.

Nie mam żadnych szans na wygraną. To, co zrobiłam, na zawsze odebrało mi prawo do wyrażania sądów na jakikolwiek temat, do obrony swojego stanowiska. Nie mogę już nigdy nikomu się przeciwstawić, bo ludzie dysponują bronią, którą jakby co, doszczętnie mnie zniszczą: zabiłam dwoje dzieci. I za to będę płaciła, ustawicznie, raz za razem, każdej godziny każdego dnia.

– Patrzcie, już wracają do szkoły. – Grupa matek się rozprasza, niektóre biegną do swoich pociech, żeby się z nimi pożegnać. Reszta zbiera się wokół Alison jak sfora psów. Czekają na mój moment słabości. Pod powiekami czuję pieczenie łez. Nie, nie wolno mi się rozpłakać. Nie teraz, nie wobec tych kobiet.

– Mamo! Peter próbuje wejść do środka.

Głos Chrisa. Stoi na schodach przy poręczy, przytrzymuje brata. Michael już zniknął. Podchodzę do Chrisa i pochylam się, żeby podnieść Petera. Nie chce ze mną pójść. Oczywiście, że nie chce, kto by chciał? Wrywa się do brata, wije się i kopie. Świetnie, atak hysterii w pełnym wydaniu.

Trzylatki w furii potrafią być niesamowicie silne. W końcu udaje mi się zapiąć Petera w wózek, ale jestem udręczona, że muszę się z nim zmagać pod ostrzałem krytycznych spojrzeń Alison i jej psiapsiół. Nagle jedna z wymachujących piąstek trafia mnie w oko i pod wpływem chwilowego bólu bez zastanowienia krzyczę:

– Uważaj, co robisz, gnojku!

Świadoma tego, że one wciąż się na mnie gapią, że nawet Chris na schodach widział moje upokorzenie i też je ze mną dzieli, uznaję, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zawrócić wózek i odejść.

Większość poranka przepłakujemy. Znoszę Peterowi zabawki, puszczam mu ulubioną bajkę na wideo i zostaję z nim w pokoju. Ale jemu mimo wszystko udziela się mój nastrój, jest grymaśny, niesforny i albo się do mnie klei, albo wciska w kąt pokoju i się dąsa.

Jest mi go strasznie żal. Aż mnie boli serce. Kiedy Sander i chłopcy są poza domem, czyli prawie przez większość dnia, ten malec nie ma nikogo poza mną, do kogo mógłby się zwrócić. Widzę, że czegoś mu brakuje, że tęskni za czymś, czego jeszcze nie potrafi określić, ująć w słowa. Nie ma pojęcia, za czym tak tęskni, wie tylko, że w jego życiu brakuje czegoś istotnego. Płacze, krzyczy, a każda z tych oznak jego nieszczęścia drze się na mnie, żebym się pozbierała, żebym była dla niego matką, żebym się nim zajęła, tak jak się zajmowałam i wciąż zajmuję starszymi synami, ale po prostu nie potrafię.

Nie mogę.

Na koniec włączam radio, żeby znaleźć coś, cokolwiek, co odciągnie moje myśli od rozważań o sobie i swoim życiu. Przegapiłam dużą konferencję dziennikarską, ale aktualne wiadomości uzupełniają moją wiedzę, tak że jestem na bieżąco z informacjami.

Szczałki znalezione na „Endeavourze” zostały oficjalnie zidentyfikowane i rodzina siedmioletniego Jimmy’ego Browna będzie go mogła wkrótce pochować i stosownie pożegnać. Policja nie ma podstaw sądzić, że śmierć chłopca nastąpiła na skutek czegoś innego niż wypadek.

Osoba odczytująca wiadomości, nie ojciec, informuje następnie, że policja uznała, iż Archie jednak był porwany, a śledczy przypuszczają, że porywacz prawdopodobnie się wystraszył i porzucił chłopca. Już wszczęto pościg, a „Princess Royal” nie dostanie w najbliższym czasie pozwolenia na wypłynięcie.

O trzeciej – jeszcze ponad godzina do powrotu chłopców – wsadzam Petera do samochodu i jadę z nim pod dom Catrin. Wiem, że jej tam nie ma, że jest w pracy. Ani razu przez te trzy lata w rocznicę wypadku nie było jej w miejscu, w którym zginęli jej synowie, w którym auto z nimi w środku stoczyło się z klifu. To ponure czuwanie odprowadzam zawsze sama.

Wysiadam z auta, wcześniej sprawdzam, czy mój mały jest dobrze zapięty w foteliku i czy mocno zaciągnęłam hamulec ręczny. W dniu tragedii nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy. Potem idę w stronę domu. Trzy lata temu, gdy szłam tak jak teraz, byłam rozpromieniona i serce waliło mi mocno. Wiedziałam, że zastanę Bena; przyjechałam godzinę wcześniej, niż zapowiedziała mu to Catrin. Trzy lata temu szłam ku niewiadomej.

Przy drzwiach się odwracam, nigdy nie idę dalej, i przez sekundę mam wrażenie, że mój samochód toczy się do przodu, tak jak wtedy tamten. Tak oczywiście nie jest, to tylko złudzenie, ale mimo wszystko szybko do niego podbiegam.

Z drzemki wyrywa mnie odgłos skręcającego pod dom samochodu. Słyszę, jak Cathy woła „to na razie”, potem rozlega się tupot biegnących ścieżką Michaela i Christophera. Siadam, kręcę głową, przecieram sen z oczu.

Kiedy wstaję, prawie tracę równowagę. Jestem osłabiona. Pod oknem Chris i Michael cicho rozmawiają ze sobą. Obok w pokoju woła ich Peter.

Wychodzę do łazienki, załatwiam się, myję ręce i twarz.

– Mamo! – Chris zwykle po powrocie biegnie prosto do mnie do pokoju.

Inne dzieci wracają ze szkoły i zastają swoje matki w kuchni, jak te szykują obiad. Moje wybudzają mnie ze snu wywołanego proszkami.

– Tu jestem. – Próbuję mówić normalnym głosem. – Zaraz wyjdę.

– Okej.

Zbiegam z powrotem na dół. Na podwórku słyszę głosy. Spoglądam na siebie w lustrze i nie

rozpoznaję kobiety, która na mnie patrzy.

Potem uświadamiam sobie, że w pokoju jest ciemniej, niż powinno być. Przypominam sobie o zaćmieniu. Chris i Michael. Nie chcę, żeby schodzili ścieżką z klifu w półmroku.

Znów jakiś samochód podjeżdża w górę zbocza. O tej porze dnia to może być tylko Cathy. Pewnie czegoś zapomniała.

Ale to nie czerwony saloon, którego się spodziewam. Drogą pędzi srebrny land rover z czarnym dachem. Terenówka Catrin. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby pojawiała się za dnia. Jedzie szybko. O wiele za szybko na tej wąskiej, źle naprawionej szosie. Ostro wyhamowuje i sekundę potem czuję woń palonych opon.

Wysiada. Nie wydaje mi się, naprawdę wysiada. Jej ciemne włosy są rozwiane. W twarzy ma coś, co budzi lęk. Tak wiele razy marzyłam o tym, żeby zainicjowała kontakt.

Nie dzisiaj. Nie dam rady dzisiaj przed nią stanąć.

Znika z widoku, kucając nisko za krzakami. Potem znowu się prostuje.

Trzyma na rękach moje dziecko.

Patrzę z otwartymi ustami, jak się odwraca w stronę samochodu. Kobieta, która mnie nienawidzi, która życzy mi śmierci, kobieta, która wczoraj udowodniła, że potrafi zabijać z zimną krwią, ma moje dziecko.

# DZIEŃ PIĄTY

## piątek, 4 listopada (późny wieczór)

32

Dopiero kiedy w domu robi się cicho, wrywam się z otępienia, jakie mnie trzymało w okowach przez większość dnia. Policja, ci życzliwi i ci wścibscy już sobie poszli, matka śpi w pokoju gościnnym, moi dwaj starsi synowie wyczerpani przygnębieniem zwinęli się razem w jednym łóżku i też śpią. Dopiero teraz wstaję, wychodzę z sypialni i idę po omacku przez ciemny dom.

Tak naprawdę to mało pamiętam z dnia, który minął; gdyby nie mrok na zewnątrz, nie byłabym pewna, czy to się w ogóle wydarzyło. A jednak minione godziny coś musiało wypełniać.

Schodzę cicho po schodach – nie bardzo wiem, dlaczego tak robię, komu staram się nie zakłócić spokoju, i po drodze zaglądam w każdy ciemny kąt, tak na wszelki wypadek. Na wszelki wypadek, gdyby było tam coś małego i nieważnego, o czym zapomniałam. Tak jak w rzeczywistości zapomniałam o swoim najmłodszym dziecku. „Och tak, tu jest! Jak mogłam zapomnieć, że wetknęłam go pod małą szafkę na buty przy schodach? Wybaczcie wszyscy, ale już po strachu, on tu był przez cały czas”.

Głęboko wdycham powietrze, ale mam wrażenie, że do płuc przedostaje się go o wiele za mało. Z trudem przeglądam w pamięci cały dzień, staram się wszystko sobie przypomnieć, żeby mój umysł miał coś, o co mógłby się zaczepić. Wdech, wydech.

Wcześniej rano dowiedzieliśmy się o zatrzymaniu Catrin. Oczywiście poprzedniego dnia, zaraz jak pojawili się policjanci, opowiedziałam im, że podjechała pod dom, że brała na ręce Petera. Cóż innego mogli zrobić, jak tylko uznać ją za główną podejrzaną? Szybko odkryli, że opuściła port na Łodzi, i naturalnie zarządzili regularny pościg, ale Catrin świetnie zna falklandzkie wody i do czasu, zanim zdążyli wysłać na poszukiwania helikopter, zapadł wieczór.

Odnaleźli ją dopiero o brzasku, ale wtedy na pokładzie nie było już śladu po nikim innym poza psem i samą Catrin. Nikt mi nie mówił, że miała ze sobą Petera przez ponad dwanaście godzin, że w tym czasie mogła z nim zrobić wszystko, wyrzucić go gdziekolwiek, ale wiem, że wszyscy tak właśnie myślą.

Wczoraj była trzecia rocznica wypadku, dnia, kiedy zostawiłam dwoje dzieci bez nadzoru w samochodzie zaparkowanym niebezpiecznie blisko krawędzi klifu. Nawet przez chwilę sobie nie wyobrażałam, że przeze mnie obaj zginą w lodowatej wodzie. Rocznicą nie mogła umknąć uwadze ludzi. Ile osób będzie się zastanawiało, czy Catrin nie wybrała tej daty z rozmysłem, żeby zrobić to

samo mojemu synowi?

Przez cały dzień policja przekazywała nam bieżące informacje telefonicznie, przypuszczalnie dlatego, że gdyby tego nie robili, ojciec doprowadziłby ich do obłądu ciągłym wydzwanianiem na posterunek. Więc wiemy, że Catrin została poddana długiemu przesłuchaniu, ale że się do niczego nie przyznała poza tym, że widziała Petera na drodze, że go podniosła i przeniosła do ogrodu. Na jej swetrze znaleziono włosy i odciski palców na torbie, ale samo to niczego nie dowodzi oprócz tego, że go wzięła na ręce, do czego się od razu sama przyznała.

Na dole u podnóża schodów w holu jest zimno, dotyk terakoty pod moimi stopami nieprzyjemny. Sander dzwonił wielokrotnie. Myślę, że odchodzi od zmysłów, jest tak daleko i nie może nic zrobić. Jakby to coś zmieniło, jakby był mniej bezradny, gdyby tu był.

Policja jest przekonana, że Catrin kłamie, głównie dlatego, że znaleźli maskotkę na jej łodzi, małego wypchanego królika. Rozpoznałam natychmiast – to stara zabawka Michaela, którą przejął młodszy brat, a potem nie mogliśmy odnaleźć jej nigdzie w domu. Policja uważa, że to dowód na to, że Catrin miała Petera na łódce, że go wywiozła w morze. Nurkowie spędzili w Port Pleasant prawie cały dzień. Szukali czegokolwiek, co mogła wyrzucić za burtę. Tak przynajmniej mówią oficjalnie. Ale wiadomo, że szukają zwłok mojego syna.

Kuchnia wciąż pachnie spaghetti bolognese, które babcia ugotowała dla chłopców. Wszyscy patrzyliśmy, jak rozstawia trzy talerze, łącznie z małym talerzem z Rabbitem, z którego zawsze jadł mały. Nikt nie miał serca nic powiedzieć. Kiedy się zorientowała, co zrobiła, wybiegła z kuchni. Słyszeliśmy, jak płacze w korytarzu. To Chris wstał i odstawił talerz Petera do szafki, a potem nałożył spaghetti sobie i Michaelowi.

Informacja o dwóch anonimowych wiadomościach, które dostałam, na razie jest trzymana w tajemnicy. Sam Stopford twierdzi, że to częsta praktyka w takich sprawach, że się nie ujawnia pewnych faktów publicznie, chociaż my wiemy, że Catrin zeznała, że te anonimy nie pochodzą od niej. Analiza listów nie wykazała innych odcisków poza moimi oraz pracownicy poczty. Ale ta kobieta oczywiście sprzedaje mnóstwo tej papeterii. Próbka pisma Catrin ma być odesłana do porównania, jednak zanim nie wrócą pozytywne wyniki, wiadomości nie mogą posłużyć za użyteczny dowód.

Nie mam nic innego do zrobienia, więc wracam do łóżka. W Stanley rozpoczął się pokaz fajerwerków. Każdy poszczególny huk brzmi jak kanonada.

Następnego dnia rano wstaję pierwsza. Szybko się ubieram i wychodzę z domu. Przez ogród idę do ścieżki na klifie. Kiedy się zbliżam do skraju, niebo zaczyna zabarwiać się kolorami, refleksami rzucanymi przez promienie szybko wznoszącego się słońca. Zwykle nie istnieje widok, który bardziej krzepi, bardziej podnosi na duchu, niż widok wschodzącego słońca – chwalebnie oznajmia światu, że noc się skończyła. Teraz nie ma w tym nic radosnego. W palecie barw, jakie się wokół mnie stopniowo pojawiają, brakuje delikatnych różów, pastelowych odcieni. Chmury, równie gęste i ciężkie, i zawieszane na tej samej wysokości, na jakiej wisały przez całą ostatnią dobę, zamieniają się w masy ciemnych cieni i ostrej miedzianej czerwieni. To jest to „niebo jak miedź” z poematu Coleridge’a. Potem ocean też się zabarwia i jego wznoszące się i opadające fale zaczynają wyglądać jak krzepnąca krew. Głębokie ciemne czerwienie wokół mnie stają się coraz intensywniejsze, nawet trawy i krzewy janowca, nawet skały połyskują szkarłatem. Świat pokryła czerwień.

Jeśli zasnute czerwienią niebo z rana może sprawiać wrażenie zapowiedzi czegoś złowieszczonego, to niebo, na które teraz patrzę, właśnie budzi takie skojarzenia. Ten świt jest jak znak obwieszczający śmierć dziecka.

Wracam do domu. Czeka tam na mnie policja. Catrin się przyznała.

# DZIEŃ SZÓSTY

## sobota, 5 listopada (pięć godzin później)

### 33

Po przeczytaniu z Callumem pamiętnika Catrin nie wracam do domu. Nie mogę. Zresztą nawet nie muszę. Chłopcy są pod opieką mojej matki, i choć doprowadza mnie ona do szału, trzeba jej przyznać, że jest wspaniałą babką. Chris nakarmi, oczyści i wyprowadzi na padok Truskawkę. Tata, jeśli zajdzie taka potrzeba, będzie ich wszystkich strzegł za cenę własnego życia, to na pewno. Za kilka godzin w domu pojawi się Sander, najlepszy ojciec, jakiego każde dziecko mogłoby sobie życzyć. Nie potrzebują mnie. Myślą, że potrzebują, ale tak nie jest.

Mogłabym już nigdy nie wracać.

Kiedy minie początkowy szok, pierwsze przygnębienie, będzie im beze mnie o wiele lepiej. Jak po odjęciu objętej gangreną kończyny od poza tym zdrowego organizmu. Więc nie wracam. Zamiast tego jadę na najbliższy klif, wystarczająco wysoki na to, co mi chodzi po głowie.

Boże, wiatr. Wyje i zawodzi mi prosto w twarz. Wydaje się na tyle silny i wściekły, że mógłby zmieść do morza cały Falkland Wschodni. To ułatwi sprawę, myślę, zdejmie ze mnie odpowiedzialność. Mogę mu się poddać, dać się unieść i nie martwić się, że zmienię zdanie. Niech sam wybierze moment, kiedy mnie wypuści.

Dwadzieścia metrów od krawędzi zmuszam Bee, żeby zwolnił. Jest niespokojny z powodu wichury, nie chcę go bardziej stresować, każąc mu podjeżdżać bliżej.

„W moich oczach nie jest już teraz człowiekiem”.

Jakże adekwatnie to ujęła. Nie jestem człowiekiem w niczyich oczach. Jak ona mnie nazwała? Wydarzeniem, żyjącą katastrofą, próżnią. Jestem sztormem, który starł z powierzchni Ziemi dwa młode istnienia, zatrutym wiatrem, który zasiał spustoszenie w życiach tak wielu innych.

Mężczyzna, którego kochałam, moja najbliższa przyjaciółka, mężczyzna, który kochał ją, wszyscy przemienieni przez żalobę w coś, czego nawet sami nie potrafią rozpoznać. I potem moi synowie, mąż, rodzice, każdy z osobna skażony tym, że są ze mną powiązani. Jedno z nich już poniosło koszty, a to ja powinnam zapłacić. Jedno z nas, najmniejsze, najbardziej bezbronne, zostało poświęcone. To musi wystarczyć.

Ześlizguję się z konia, ściągam siodło i uzdę, kładę na ziemi. Ktoś je odnajdzie, niedługo, niczym wskazówki w zabawie w poszukiwanie skarbów.

– A ty co znowu wyprawiasz, na litość boską?

Nie oczekiwałam, że mój koń przyjmie to wszystko spokojnie, więc w zasadzie nie jestem zaskoczona. Przytulam się do niego, głaszczę go po wilgotnej sierści w miejscu, gdzie leżało siodło, przesuвам rękę pod szczękę.

– Już cicho, bądź grzeczny. Wracaj do domu.

*To przez nią świat utracił wszelką równowagę. Póki ona żyje, wszechświat będzie do góry nogami, a ci, co są pod spodem, runą wprost do czeluści piekieł.*

Ludzie, których kocham, są po spodem. Jedno z nich już spadło. Więcej już nikt nie polecą w dół. No, może tylko jeszcze jedna osoba. Ja.

Odsuwam się od ciepła bijącego od mojego konia, zwracam jego łeb we właściwym kierunku i popycham Bee, żeby odszedł. Potem staję przodem do klifu.

– Widziałem już, jak robisz głupoty, ale coś takiego...

Bee nie ruszył się z miejsca. Mocno uderza mnie łbem między łopatki.

– Wracaj do domu, głupia łajzo. Kocham cię. Nie gryź nikogo. – Znowu go odpędzam mocnym klepieniem, oddala się truchtem.

Nie mogę dłużej na niego patrzeć. Odwracam się i prawie nic nie widzę, bo gwałtowne podmuchy niemal wyszarpują mi oczy z oczodołów. Oślepią, wyczuwając drogę po omacku, daję krok, potem następny.

*Dlaczego to nie Rachel miałyby stać w porcie i rozpadać się na kawałki? Dlaczego nie ona miałyby cierpieć, tak jak cierpi ta biedna suka? Dlaczego nie Rachel miałyby teraz umierać ze strachu, zamiast kołysać do snu ciepłe ciało swojego synka? Dlaczego nie ona miałyby wpatrywać się w jego zimne i puste łóżeczko, zastanawiając się, gdzie on, na Boga, jest?*

Tak się właśnie dzieje. Robię to wszystko. Ale już dosyć. Przyspieszam. Nie zatrzymam się i nie będę więcej o tym myślała. Będę szła dalej. Nawet lepiej, jeśli pobiegnę. Pobiegnę i skoczę.

Nie mogę biec. Nie mam tyle odwagi. Ale już stoję przy krawędzi. Jedno ostatnie spojrzenie. Plaża poniżej jest upakowana wielkimi, twardymi głazami o ostrych kantach. Roztrzaskają czaszkę, jeśli mi szczęście dopisze, bo to by była najszybsza śmierć. Ale nawet jeśli głowa pozostanie nienaruszona, wielokrotne złamanie rozerwą organy wewnętrzne, dojdzie do silnego krwotoku, od którego umrę w kilka minut. A może będę miała tyle szczęścia, że skrucę kark.

Rozkładałam ręce i się nachylałam, wiatr mnie porywa, utrzymuje na krawędzi nicości – i wtedy mój pieprzony koń wgryza się nagle w moje ramię.

Cofa się, zapierając kopytami o miękkie podłoże. Zabiera mnie ze sobą.

– Puszczaj. – Próbuję się wyszarpnąć. Zrobiłabym to, wiem, że bym zrobiła. Czułam, że tracę równowagę, że moje ciało się przechyla.

Bee nie może mówić. Zęby ma zaciśnięte na luźnym skrawku mojej koszulki. Zresztą wysiłek, jaki wkłada w to, żeby mnie odciągnąć, pochłania większość jego energii. Nie mam siły się szarpać, osuwam się na ziemię. Belzebub mnie puszcza i ociera się pyskiem o moją głowę.

– Wstawaj, osiodłaj mnie z powrotem i wracajmy.

– Bee, ja nie mogę. Po prostu nie mogę.

– Paniusiu, jutro sam cię zepchnę z tego klifu. Ale najpierw musisz coś zrobić.

Odwracam się, żeby spojrzeć na miękki czarny pysk, na te czekoladowe oczy i mimo całej mojej niechęci, wiem, że Bee ma rację. Wrócę tu tak szybko, jak będę mogła. Ale wcześniej trzeba coś załatwić.



To Noc Ognisk. Jesteśmy Brytyjczykami – no, w jakimś sensie – więc obchodzimy to święto. Naturalnie tutaj to nie takie proste, bo listopad u nas przypada późną wiosną i długo jest jasno. Pokaz sztucznych ogni nie wygląda tak samo dobrze w półmroku wieczoru, musimy poczekać dużo dłużej, zanim wystrzelimy fajerwerki, ale mimo to czekamy.

Jak tylko wracam do domu, pytam matkę, czy mogłaby zostać z chłopcami, ale ona wyrywa się, żeby wyjść. Wraz z ojcem biorą czynny udział w nadal trwających poszukiwaniach mojego syna, więc trudno, żebym ją zatrzymywała. Za to zgadza się, że zabierze chłopców na pokaz wieczorem. Zostało mi do przebrnięcia jeszcze tylko kilka godzin.

Chciałabym powiedzieć, że w tym czasie porządkowałam wszystko – doglądałam koni, sprzątałam dom, szykowałam obiad dla Sandera i chłopców – ale prawda jest taka, że to zostało już za mnie zrobione. Więc przez najbliższe godziny tylko patrzę na chłopców, siedzę blisko nich, ilekroć mogę. Staram się nie zastanawiać, czy decyzja, jaką podjęłam na klifie, jest słuszna. Obserwuję wskazówki zegara – przesuwają się bardzo wolno. Wreszcie wybija szósta po południu. Zostawiam instrukcje dla Sandera: gdzie trzymam różne rzeczy, jak karmić konie. Nie piszę o tym, co planuję ani dlaczego. O pierwszym dowie się wystarczająco szybko, drugiego nigdy nie zrozumie.

– Nie chcemy iść na pokaz. – Chris zaczyna grymasić, jeszcze zanim przypnę go do fotelika. – Chcemy zostać w domu.

Z trudem się powstrzymuję, żeby nie wrzasnąć: Cicho siedź, do cholery!

– Zawsze chodzimy oglądać sztuczne ognie – przekonuję go. – Pozwolą ci przez chwilę nie myśleć o innych rzeczach.

– A jeśli w tym czasie wróci Peter, a nas nie będzie?

– Niedługo przyjeżdża tata. A ja też, jak tylko załatwię sprawy, spróbuję wpaść do domu.

– Nie jedziesz z nami? – pyta Michael.

– Peter nie chce ciebie. – Chris walczy ze sobą, żeby się nie rozpłakać. Zawsze staje się trochę złośliwy, kiedy jest przygnębiony, a nie chce tego pokazać. – Wie, że go nie kochasz. On chce nas.

Biorę głęboki oddech. Mały mądrała.

– Kocham cię – mówię. – Kocham ciebie i Michaela bardziej niż cokolwiek na świecie. Proszę, zróbcie to dla mnie.

– Ale Petera nie kochasz.

– Oczywiście, że jego też. – Chwytam go za ramiona i przytulam mocno, tak żeby nie mógł widzieć mojej twarzy.

Wkrótce będzie wyższy ode mnie. Pewnego dnia, kiedy go przytulę, okaże się, że mnie przerósł. I nagle sobie uświadamiam, że teraz to się już może nigdy nie wydarzyć. Przebiega mnie lodowaty dreszcz, jakby do wnętrza samochodu wdarł się antarktyczny wiatr. Puszczam Chrisa, a on wciąż nadąsany odsuwa się ode mnie.

Wysadzam synów na podjeździe domu dziadków i macham na pożegnanie. Chciałabym ich jeszcze raz przytulić, powiedzieć coś, co z czasem mogliby uznać za ważne. Tyle że wiem, że jeśli zacznę, nigdy nie skończę.

Do posterunku nie mam daleko, a fajerwerki zaczynają strzelać wokół mnie, już kiedy jadę. Mijam domy z kolorowymi blaszanymi dachami, przy płotach widzę kukły Guya Fawkesa, rodziny zbierają się na podwórkach, żeby razem iść na pokaz, i czuję się tak, jakbym patrzyła na to wszystko po raz ostatni.

– Witaj, Rachel.

Znam tego dyżurnego sierżanta od dzieciństwa. W tej chwili jego twarz przybiera ponury wyraz.

– Niestety chyba nie mamy dla ciebie nowych wiadomości, ale mogę zawołać detektywa Savidge’a, żeby zszedł do ciebie porozmawiać.

Na posterunku jest pusto – wszyscy policjanci musieli pójść na pokaz, żeby go zabezpieczać lub po prostu zobaczyć. Mimo to czuję przymus, żeby być blisko sierżanta Neila, mówić cicho.

– Czy Catrin wciąż tu jest? – Wiem, że zeszłej nocy ją wypuścili, pozwolili wrócić do domu. Teraz też?

Marszczy brwi, kiwa głową.

– Jest. Ale Rach... zaczekaj, zawołam Josha.

Stoję w poczekalni, przyglądając się drgającym mięśniom na twarzy Neila, kiedy cicho mamrocze coś do słuchawki.

– Już idzie. – Słuchawka przy wtórze kliknięcia wraca na swoje miejsce. – Mogę ci coś podać. Herbaty?

Kręcę głową. Nie chcę, żeby cokolwiek dla mnie robił, a potem może tego żałował. A w to wliczają się również gesty życzliwości.

Josh Savidge wygląda na spiętego, kiedy się pojawia minutę lub dwie później. Zapewne myśli, że przyszedł domagać się wyjaśnień, z zarzutami, że jeszcze nie odnaleźli mojego syna. Wkrótce będzie żałował, że nie po to tu jestem.

– Rachel, przykro mi. Nie mamy nic nowego. – Rozgląda się, jakby szukał natchnienia. – Posłuchaj, chodź, napijmy się razem herbaty. Pokój przesłuchań jest wolny, prawda Neil? Nie, może lepiej do socjalnego.

Każdy stara się być dla mnie bardzo miły.

– Wiesz co? Postaraj się, żeby moja wizyta była bardziej oficjalna. Chcę złożyć zeznanie.

Kilka razy szybko mruga.

– Okej, w porządku. – Znowu mruga. – Coś ci się przypomniało, tak? No dobrze. Cóż, zapraszam za mną.

Ściany po obu stronach korytarza jakby się na mnie osuwały.

– Tędy, następne drzwi po prawej.

Wchodzimy do pokoju z wysokim zakratowanym oknem. Stół, zbyt duży dla czterech ustawionych przy nim krzesel, sprzęt do nagrywania. Przez okno widzę wystrzeloną w niebo petardę. Wybucha liliowymi gwiazdami, a ja mimowolnie przypominam sobie, że Peter nienawidzi sztucznych ogni, że w zeszłym roku, kiedy go zabraliśmy na pokaz, płakał i płakał. „Trochę się boję, tato” – chlpał w ramię ojca.

– Bardzo tu spokojnie. Mam na myśli posterunek.

– Większość ludzi poszła na pokaz. W mieście wciąż są pasażerowie z „Princess Royal”, no i atmosfera jest trochę... Zostali tylko dyżurni.

Josh sprawia wrażenie, jakby się czuł winny, jakby się obawiał, że będę miała pretensję o to, że nie ma całej ekipy, chociaż mój syn wciąż się nie odnalazł. Tylko dlaczego mieliby być w pełnym składzie? Przecież uważają, że zabiła go Catrin, a szukanie zwłok w nadgodzinach nie ma sensu ze względów finansowych.

Sekundę później dołącza do nas Skye McNair – siadając, uderza się w pizczel. Na jej kołnierzu widać plamę, chyba po keczupie, kok we włosach jest przekrzywiony.

Przed Savidge’em leży otwarty notes. Po kilku sekundach grzebania w torbie Skye wyciąga też swój. Oboje chwilę siedzą nieruchomo, czekają, aż zacznę.

– Mówiłaś, że coś ci się przypomniało, Rachel – ponagla mnie Savidge.

Daję sobie moment na uspokojenie, potem spoglądam mu prosto w oczy.

– To ja zabiłam swojego syna, sierżancie Savidge. Ja zabiłam Petera Grimwooda.

Cisza. Gdzieś wisi zegar, może na ścianie za mną, bo słyszę jego tykanie. Potem bulgotanie w czyimś żołądku. Wciąż patrzę na Savidge'a, Skye widzę kątem oka. Wydaje im się, że się przesłyszeli. Dają im czas. Właściwie zaczynam liczyć w myślach. Jeden, dwa... kiedy docieram do czterech, Savidge nachyla się nad stołem.

– Mogłabyś powtórzyć, Rachel?

– Sierżan...

– Zaczekaj, Skye. Rachel?

– Sierżancie, musimy jej przedstawić jej prawa. – Skye wykonuje zbyt gwałtowny ruch i prawie przewraca krzesło. – Powinniśmy to nagrywać.

Savidge uznaje, że koleżanka mówi sensownie, i wstaje.

Dziewczyna rzuca mi wystraszone spojrzenie, po czym przenosi je na starszego rangą kolegę – ten majstruje coś przy sprzęcie do nagrywania.

– Rachel Grimwood, chcesz dobrowolnie złożyć zeznania? – zaczyna Skye. – Nie jesteś w tej chwili zatrzymana, ale może za chwilę będziesz. Nie musisz nic mówić. Jeśli jednak zapytana przemilczysz coś, o czym później zeznasz w sądzie, to może ci zaszkodzić podczas procesu. Wszystko, co od teraz powiesz, będzie mogło być użyte jako dowód.

Savidge wraca na swoje miejsce u jej boku i patrzy na mnie tak, jakbym na jego oczach przeszła metamorfozę. Którą, jak się domyślam, przeszłam.

– Sierżancie, dobrze powiedziałam? Niczego nie pominęłam? – Skye zerka nerwowo na mężczyznę obok niej.

– Dobrze. Bardzo dobrze, moja droga. – Sierżant nie potrafi oderwać ode mnie oczu.

– Rachel. – To znowu Skye. – Rozumiesz swoje prawa, które ci właśnie przedstawiłam?

Ich krańcowe zaskoczenie działa na mnie uspokajająco. Sprawia, że czuję się, jakbym to ja tu miała władzę, nie oni.

– Tak, rozumiem, dziękuję.

Savidge nagrywa formalności. Podajemy nasze nazwiska, potem policjant prosi, abym powtórzyła zeznanie.

– Zabiłam swojego syna – mówię. – To nie Catrin Quinn. Ja to zrobiłam. Przykro mi, że przeze mnie zmarnowaliście czas.

Usiłują to sobie przyswoić. Czekam, aż zapytają: kiedy, gdzie, aż poproszą, żebym opisała, w jaki dokładnie sposób popełniłam ten najokropniejszy z czynów, o jakim każde z nich mogłoby pomyśleć.

– Dlaczego? – pyta zamiast tego Skye. Nie szkodzi. Odpowiem na to z łatwością.

– Nie kochałam go.

Nie przestają wpatrywać się we mnie ze zdumieniem.

– Nigdy nie kochałam – powtarzam. – Nie mogłam.

– Ale pozostałych dwóch synów kochasz? – upewnia się Skye.

– Najbardziej na świecie.

– Więc dlaczego nie Petera? – Mówi cicho, łagodnie, jakby się zwracała do kaleki.

Dobre pytanie, tyle że mam z nim kłopot. Nigdy nie próbowałam ująć przyczyny w słowach. Z nikim nie rozmawiałam o swoim stosunku do najmłodszego syna. Nikomu, ani mężowi, ani rodzicom, nawet Belzebubowi, nigdy się nie przyznałam, że moje uczucia do Petera nie są takie, jakie powinny być. Nigdy nie pozwalałam sobie o tym myśleć, ale prawda jest taka, że od początku nie

potrafiłam wykrzesać z siebie do niego uczucia choćby w najmniejszym stopniu zbliżonego do miłości.

– Trzy lata temu, zanim wróciłaś ze studiów w Anglii, Skye, zabiłam dwoje dzieci. Na pewno o tym wiesz. Josh oczywiście też wie.

– Wydarzył się wypadek. – W słabo oświetlonym pokoju włosy Skye wydają się dodatkowym źródłem światła. – Straszny wypadek. To jednak nie do końca to samo.

– Spróbuj to powiedzieć mojej przyjaciółce.

– Proszę mówić dalej, pani Grimwood – zwraca się do mnie oficjalnie Josh. – Spokojnie, bez pośpiechu.

– Po wypadku dręczyło mnie uczucie, że nie zasługuję na to, że mam dwóch synów, co tu mówić o urodzeniu następnego. Myślałam, że byłoby sprawiedliwiej, gdyby z klifu spadli jeden z moich chłopców i jeden z Catrin. Straszne, ale sprawiedliwe, nie uważacie?

Czekam na odpowiedź, choć zdaję sobie sprawę, że jej nie otrzymam. Jakby sprawiedliwość miała cokolwiek wspólnego z przypadkowym okrucieństwem, jakim jest śmierć w wyniku wypadku.

– Powinien zginąć jeden z moich synów. Wtedy Catrin wciąż miałaby jeszcze jedno dziecko. Jej życie nie rozpadłoby się całkowicie, nie rozchorowałaby się, nie straciłaby dziecka, które wtedy nosiła w łonie.

Patrzę na mnie, jakby mi trochę odbiło. Tylko trochę? Muszę się bardziej postarać.

– Gdyby stało się tak, jak mówię, obie miałybyśmy teraz po dwoje dzieci. Byłybyśmy zrozpaczone, ale jakoś byśmy przeszły przez żałobę, razem. Bo wszystko robiłyśmy razem. Tak to powinno wyglądać.

– To znaczy chciałyby pani, żeby to któryś z twoich synów wtedy zginął?

– Nie, oczywiście, że nie. Tylko tak po prostu byłoby sprawiedliwiej. Jeśli musisz wybierać między ogromną rozpaczą po czyjejś śmierci a przemożnym poczuciem winy, myślę, że w ogólnym rozrachunku rozpacz łatwiej znieść. Wam się tak nie wydaje?

Skye zaczyna coś mówić, ale dla mnie to nagle bardzo istotne, że bym to ja była pierwsza.

– Nie że bym kiedykolwiek potrafiła wybrać, którego bym chciała poświęcić. Tak bardzo kocham obu, mojego najstarszego poważnego, mądrego chłopca i tego mniejszego, tę przylepę. Kocham swoich synów bardziej niż kogokolwiek.

– Ale nie najmłodszego?

Już mnie o to pytała, ale chyba nie potrafi ogarnąć, jak to możliwe. Urodziłam dziecko. I go nie kocham.

– Nie mogłam Petera pokochać. Nigdy nie byłam wobec niego okrutna. Nie robiłam mu krzywdy. Karmiłam go i przewijałam. Ale nie potrafiłam się z nim bawić, nie umiałam mu śpiewać ani go tulić, tak jak to robiłam ze starszymi synami. I nie było między nami więzi. Chemiczne substancje nie zadziałały w moim mózgu, tak jak powinny, mówiąc mi, że dałam życie tej maleńkiej duszyczce. Cały ten proces zachodzący między matką a nowo narodzonym dzieckiem u mnie nie nastąpił.

Natomiast poczucie winy, które i tak już mnie zżerało, miało świeżą pożywkę i na niej urządziło sobie prawdziwy bankiet.

Z zewnątrz dochodzą nas jakieś okrzyki, odgłosy biegnących stóp. Brzęk kopniętej, toczącej się po chodniku puszki. Już nastała pora, żeby rozpałać ogniska, wydawać potrawy z grilla, ale – jak widać – nie wszyscy są na szkolnym boisku.

– Miała pani zdiagnozowaną depresję poporodową? Takie stany bywają całkiem poważne. – Wygląda na to, że prowadzenie przesłuchania przejęła Skye.

– Miałam każdego rodzaju depresję, jakie kiedykolwiek rozpoznano, i jeszcze kilka nowego typu. – Dziwne, ale mówienie tego wszystkiego na głos po raz pierwszy przynosi mi niejaką ulgę. Na pewno o niczym takim nie opowiadałam Sapphire Pirrus podczas wymuszonych sesji

terapeutycznych. – Jeśli mam być szczerą, prawie nie pamiętam pierwszego roku z jego życia. A potem nagle musiałam się zajmować tym wrzeszczącym, ciągle się czegoś domagającym dzieckiem. Jakby się pojawiło znikąd. Jakby zamieszkał z nami mały podmieniec.

– Podmieniec? – przebudził się Josh. – Co to jest „podmieniec”?

Skye na chwilę się do niego odwraca.

– Baśniowe dziecko. Brytyjski folklor, sierżancie. Wróżki wykradają ludzkie niemowlęta i w ich miejsce podkładają baśniowe. Tylko że te są złośliwe, wybuchowe i brzydkie. Tak właśnie myślała pani o Peterze, pani Grimwood?

W głowie pojawia mi się nagły obraz – dziecko patrzy zza sztchetek łóżeczka, zaróżowione od snu.

– Nie, oczywiście, że nie. Peter był ślicznym chłopczykiem. Tylko że nie moim.

Josh odchrząkuje.

– Więc co się stało w czwartkowe popołudnie? Trzeciego listopada.

Daję sobie czas. Teraz najtrudniejsze.

– Byłam u siebie w sypialni. – Widzę to, kiedy opowiadam. Budzę się i stwierdzam, że blask popołudniowego słońca zastąpiła dziwna złowieszcza ciemność. Przez otwarte okno słyszę szum oceanu, czuję gorzkosłoną woń, która czasami nadlatuje do domu. – Chłopcy wrócili ze szkoły. – Słyszę samochód, który ich podwiózł, Cathy woła coś na pożegnanie, ich kroki na schodach. Mały krzyczy, żeby przyciągnąć uwagę braci, ale oni zawsze najpierw przychodzą do mnie. – Weszli do mojego pokoju. – Byłam już wtedy w łazience, próbowałam się otrząsnąć po narkotycznym śnie. – Powiedziałam im, że boli mnie głowa. – Nie bolała, po prostu nie mogłam znieść myśli o tych kilku hałaśliwych godzinach, jakie zostały, zanim pójdą spać. Bywają momenty, że mam wrażenie, jakby moje dzieci rzucały we mnie kamykami, bo jedno żądanie goni następne. „Mamo, mogę wziąć chipsy? Mamo, mogę zjeść ciastko? Mamo, Peter ma brudną pieluchę. Mamo, boli mnie palec”. Wychowywanie trzech chłopców to katorga, nawet jeśli się nie kłócą, a przecież kłócą się przynajmniej przez połowę czasu. Sander wie, że najgorsze chwile przeżywam w czasie podwieczorku i przed położeniem ich do łóżek. Zwykle wraca do domu wcześniej.

Coś uderza w mur na zewnątrz. Savidge się podrywa i podchodzi do okna.

– Dzieciaki – mamrocze, wracając. – Proszę kontynuować, pani Grimwood. Chłopcy wrócili ze szkoły, pani miała migrenę.

– Chris i Michael poszli do pokoju Petera. – Słyszę, jak piszczy z radości na ich widok, słyszę stęknienie Chrisa, gdy podnosi młodszego braciszka. – Chris chyba go przewinął.

Kolejne krzyki na zewnątrz. Obie pary oczu spoglądają w okno, po chwili znów na mnie. Skye kiwa głową, żebym mówiła.

– Potem wszyscy wyszli na dwór. – Słyszę ich, biegają i pokrzykują do siebie. – Moi starsi synowie byli tacy dobrzy dla najmłodszego. Uwielbiali go, bardzo się nim opiekowali. – Później śmiechy i okrzyki cichną. Już ich nie słyszę. – Przypomniały mi się przestrogi matki o niedomykającej się furcie w ogrodzie. Dotarło do mnie też, że jest zaćmienie i że pewnie Chris i Michael będą chcieli zejść na plażę, żeby je oglądać. Wstałam. Usłyszałam jakiś samochód, podeszłam do okna. Zobaczyłam auto Catrin, potem ją samą, jak wysiada i później się schyla.

– Już nam to pani wszystko mówiła podczas wcześniejszej rozmowy. – Skye ze zmarszczonymi brwiami wertuje notes.

– Kiedy się znowu wyprostowała, trzymała dziecko. – Nie zwracam uwagi na policjantkę. – Peter musiał się w jakiś sposób wydostać na drogę. Już wam to mówiłam. Czego wam nie powiedziałam, to że widziałam potem, jak Catrin przechyla się nad furtką i stawia za nią mojego synka, wraca do samochodu i odjeżdża.

Westchnienie ulgi wydobywa się z ust dwojga policjantów jednocześnie. Spoglądają na siebie, na

mnie.

– Więc nie kłamała?

– Ależ skąd. – Czerpię chorą przyjemność z tego, że bronię byłej przyjaciółki. – Catrin nie potrafi kłamać.

Pauza. Patrzą na siebie, znów oboje wzdychają. Odnoszę wrażenie, że oczyszczenie Catrin z podejrzeń bardzo ich ucieszyło.

– Proszę kontynuować, pani Grimwood – rzuca Savidge.

Ostro wypowiedziane polecenie lekko zbija mnie z tropu, zaskakuje, ale oczywiście w opowieści, którą snuję, mój najmłodszy syn wciąż jeszcze żyje. Muszę ją doprowadzić do końca.

– Widzę go przy furtce. Myślałam, że jego bracia przyjdą i go zabiorą, ale musieli wejść głębiej w ogród w stronę plaży. Nie słyszałam ich. Potem Peter po raz kolejny podszedł do krzaków i zaczął się wspinać, żeby przejść na drugą stronę. Znalazł jakąś lukę i chciał wyjść na drogę. Musiałam tam do niego zejść.

– I zeszła pani?

– Chwilę mi to zajęło. Nie byłam do końca ubrana. Ale kiedy zeszłam, on stał już na drodze.

– A panią Quinn gdzieś pani dostrzegła?

– Nie. Ani Catrin, ani jej samochodu. Wydawało mi się, że słyszę silnik, że ktoś jeszcze wjeżdża pod górę, ale nie stałam tam i nie czekałam. Wzięłam na ręce Petera i zaniiosłam z powrotem do ogrodu.

– Proszę mówić dalej.

– Kiedy tylko przeszliśmy za furtkę, zupełnie oszalał.

– Oszalał, to znaczy...

– Wpadł w szal. Dostał ataku hysterii. Krzyczał, kopał, płakał. Okładał mnie pięściami. Nie wiem, jakie macie doświadczenie z rozhisteryzowanymi trzylatkami, ale potrafią być bardzo silne.

– Wierzymy na słowo – rzuca Josh.

Skye milczy; mogłabym się założyć, że raczej wolałaby nie słyszeć, co się wydarzyło później. Bóg mi świadkiem, że ja też wolałabym o tym nie opowiadać.

– Chciał wyjść na drogę albo dołączyć do braci. Czego nie chciał, to żebym psuła mu zabawę.

Milknę. Na stole stoi woda, chociaż nie przypominam sobie, żeby ktoś ją przynosił. Jest ciepła, jak powietrze w pokoju. Sięgam po szklanę. Woda ma gorzkawy smak, jakby nalano ją wiele dni temu. Funkcjonariusze czekają na mnie. Patrę najpierw na niego, potem na nią i widzę potępienie. Wiem, że od teraz będę je wychwytywała w każdym spojrzeniu.

– Kontynuuj – popędza mnie Josh.

– Postawiłam go na ziemi, natychmiast ruszył do szpary w krzakach. Zagroziłam ją sobą, zaczął mnie kopać i bić. Trzylatki czasami są potworami, naprawdę.

– I co zrobiła pani temu potworowi?

Skye z niechęcią zerka na kolegę. Nie chce, żeby mnie potępiiał, przynajmniej do chwili, aż wysłuchają mojego zeznania do końca.

– Niewiele pamiętam z tego, co się wydarzyło potem. – Próbuję sobie przypomnieć. – Przykro mi, ale naprawdę trudno mi o tym mówić.

Wszyscy podrygujemy, gdy kamień uderza w okno. Josh podnosi słuchawkę telefonu, ściszone głośnie przeprowadza krótką rozmowę z dyżurnym sierżantem. Mówi mu, żeby zrobił porządek z cholernymi chuliganami na zewnątrz, potem wraca do rozmowy ze mną.

– Co pani mu zrobiła? – pyta.

Patrę na mężczyznę, którego znam od dziecka, i widzę, że coraz bardziej traci dla mnie sympatię. Z każdą sekundą jego ocena mnie staje się coraz bardziej krytyczna. Z nich dwojga Skye trzyma się lepiej. Nachyla się i klepie mnie po rękę.

– Obawiam się, że doskonale wiemy, co się wydarzyło, Rachel. Nie spiesz się. Idzie ci bardzo dobrze.

Z powrotem się prostuje i pociera palce, którymi mnie dotknęła.

– Chwyciłam go za ramiona i potrząsnęłam nim, żeby przestał płakać. Był w hysterii. Potrzebował jakiegoś szoku. – Nie mogę patrzeć na żadne z nich, więc siedzę ze wzrokiem wbitym w blat stołu. – Przez to wszystko zaczął się zachowywać jeszcze gorzej. Naprawdę słabo to pamiętam. Chyba musiałam nim znów potrząsnąć. Słowo daję, nie wiem. Pamiętam tylko, że nagle zwiotczał mi w rękach. – Wydaje mi się, że kątem oka widzę, jak Skye opuszcza głowę w dłonie. Ale szybko się ogarnia. Kiedy znowu podnoszę na nią wzrok, twarz ma bladą, ale opanowaną. – Upuściłam go na ziemię. Nie oddychał.

– Próbowала mu pani robić oddychanie usta-usta. Reanimować go?

Patrzę w zimne niebieskie oczy Josha.

– Nie było w tym większego sensu. Miał skręcony kark.

– Skąd taka pewność? – Skye praktycznie mówi szeptem.

Kusi mnie, żeby jej przypomnieć, że musi odzywać się głośniej ze względu na nagranie, ale zdrowy rozsądek przeważa i tego nie robię.

– Widziałaś kiedyś kogoś z przetrąconym karkiem, Skye? Uwierz mi, to dość oczywisty widok. Zresztą, kilka minut i zwłoki zaczną sinieć. – Wyznanie przychodzi mi coraz łatwiej. W zasadzie muszę się w duchu upominać, że mówię o własnym dziecku.

– Myślała pani, żeby wezwać pomoc? Zawiadomić policję?

– Raczej nie. Bardziej się przejmowałam tym, żeby go szybko usunąć, żeby chłopcy go nie zobaczyli. – Słyszę samą siebie. Mój najmłodszy syn. Moje dziecko zamienione w przeszkodę. Niewygodny odpad, którego muszę się pozbyć. Przekroczyłam granicę.

– Chłopców wtedy nie było nigdzie w pobliżu?

– Dobry Boże, nie. Myślicie, że pozwoliliby mi skrzywdzić swojego brata? Nigdy.

– Więc co pani zrobiła?

– Wpadłam w lekką panikę, tak sędzę. Myślałam, żeby go zrzucić z klifu, żeby wyglądało, że jakoś wydostał się przez furtkę i potknął w tej szarzyźnie. Ale nie byłam pewna, czy sekcja nie wykaże, że Peter nie zginął na skutek upadku z wysokości, tylko wcześniej. Poza tym usłyszałam, że chłopcy wracają. Przecież nie mogłam rzucić ich bratem nad ich głowami, prawda?

Teraz to Josh i Skye potrzebują czasu, żeby ochłonać. Savidge odchyła się na oparcie, podnosi palec na w pół nienawistnej próbie zmuszenia mnie, żebym zwolniła. Daję mu kilka sekund, ale to Skye odzywa się pierwsza.

– Chłopcy wracali. Na usunięcie ciała miała pani tylko kilka minut. Więc co pani zrobiła?

– Ukryłam go w bagażniku samochodu.

– Swojego?

Wzruszam ramionami.

– Był pod ręką.

Savidge patrzy tak, jakbym go spoliczkowała.

– Niemożliwe. Przeszukiwaliśmy go. Sprawdzaliśmy cały teren wokół domu.

– Szczerze mówiąc, Josh, twoi ludzie szukali tylko powierzchownie. Nawet ja widziałam, że nie wkładają w to serca. Wszyscy uważali, że albo zwinęła go Catrin, albo ta sama osoba, która porwała Archiego Westa. Założyli, że dzieciak jest w drodze do kryjówki jakiegoś zbrojnego albo na łodzi płynącej w morze. Nikt się nie spodziewał, że może być tak blisko domu. I nikt nie zajrzał do bagażnika mojego samochodu. – Odczuwam pewną dozę satysfakcji, że mogę im wytknąć, że też nawalili.

Savidge wygląda tak, jakby chciał się zerwać z krzesła. Skye kładzie mu rękę na ramieniu.

– Możemy to sprawdzić, sierżancie – rzuca. – Najpierw dokończmy to.

– Więc co z nim pani zrobiła potem, pani Grimwood? – W oczach Skye nie widać już życzliwości, szczerzej czy udawanej. – A może chce pani powiedzieć, że wciąż leży w bagażniku?

– Nie. Pozbyłam się zwłok.

– Jak?

Nie spodoba się im to, co za chwilę usłyszą. Czekają, ale tylko trochę.

– Pani Grimwood?

Wciąż milczę.

– Pani Grimwood, co pani zrobiła z ciałem syna?

– Wam tego nie powiem – rzucam w końcu. – Powiem Catrin.

## 36

Mam wrażenie, jakby w pomieszczeniu ktoś odessał powietrze, napięcie między naszą trójką aż skwierczy. Widzę, że czeka mnie walka, i wiem, że tę potyczkę muszę wygrać.

– To niemożliwe. – Josh Savidge znowu ma taką minę, jakbym go spoliczkowała.

– Dlaczego nie? Myślicie, że coś jej zrobię? Wiem, że nie skrzywdziła mojego syna, wiem to lepiej niż ktokolwiek. A jeśli ona chciałaby mnie skrzywdzić... mogła to zrobić wiele razy przez te trzy lata. Chcę z nią porozmawiać. Jeśli pozwolicie mi się z nią zobaczyć, powiem wam, gdzie znajdziecie ciało mojego syna.

– I tak je znajdziemy, czy nam pani powie, czy nie – rzuca Josh. – Musi być gdzieś blisko, na terenie zaraz przy domu. Nie miała pani czasu wywieźć go dalej, a wiem, że od zniknięcia Petera prawie nie zostawała pani sama. Tym razem przeprowadzimy dokładne przeszukanie. Znajdziemy go. Wcześniej kierowaliśmy się tym, co spotkało Archiego Westa, ale...

Słychać pukanie do drzwi. Josh przeciąga dłońmi po twarzy, lecz myślę, że w pewnym sensie jest zadowolony, że ktoś mu przerwał. Zawiesza przesłuchanie, wstaje i otwiera drzwi. Nie rozpoznaję głosu osoby po drugiej stronie.

– Dzwon do szefa – słyszę polecenie sierżanta. – Musimy tu ściągnąć więcej mundurowych.

Jakieś niezrozumiałe mamrotanie.

– Nie obchodzi mnie, co się tam dzieje. Powiedz mu, że mam tu dwie zatrzymane, dokładnie pięciu policjantów i gang chuliganów na zewnątrz, który zaraz zacznie rozróbę.

Drzwi się zamykają. Taśma znowu zostaje włączona, a Josh najpierw podchodzi do okna, wygląda na zewnątrz, dopiero potem siada.

– Sierżancie. – Skye po raz kolejny przegląda swój notes, na czole między brwiami ma głęboką zmarszczkę. – Ta nurtująca nas kwestia... pytanie: które, jeśli w ogóle, z czterech przypadków zaginięć są powiązane... Dużo osób jest zdania, że to Catrin porwała Freda i Jimmy'ego, bo obaj byli bardzo podobni do jej synów i dlatego że to ona znalazła zwłoki Jimmy'ego. Z drugiej strony, Archie miał jasne włosy, w ogóle nie przypominał poprzednich zaginionych i nie stała mu się żadna krzywda.

Błękitne oczy wwiercają się we mnie.

– To co, Archiego Westa pani też porwała? Pani zabiła Freda i Jimmy'ego?



Jestem zadowolona, że o to pyta.

– Oczywiście, że nie. Nie mam pojęcia, co się stało z Jimmym i Fredem, chociaż myślę, że ich śmierć to był wypadek, dokładnie tak jak od lat powtarza komisarz Stopford.

– Ale oni naprawdę byli trochę podobni do synów Catrin – zauważa Skye.

– Jedna czwarta dzieci na wyspach jest pochodzenia latynoskiego – odpowiadam. – Nie sądzę, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Savidge chce mi przerwać. Nie pozwalam mu na to.

– Za to doskonale wiem, co się wydarzyło w przypadku Archiego Westa. Uświadomiłam to sobie kilka dni temu.

Kolejna wymiana zaskoczonych spojrzeń. Odzywają się prawie jednocześnie.

– Proszę mówić.

Splatam palce na blacie stołu. Staram się wyglądać na wyluzowaną, jak potwór, za którego już mnie uważają.

– Powiem wam, jeśli pozwolicie mi porozmawiać z Catrin.

Savidge uderza płasko dłońmi w stół. Obręczka na jego lewej ręce wydaje głośnie brzęknięcie, przez co gest jest agresywniejszy, niż miał być.

– Dlaczego tak bardzo pani zależy na rozmowie z panią Quinn?

– Chcę ją przeprosić. Chcę jej spojrzeć w oczy i powiedzieć, że naprawdę bardzo mi przykro, że jej zniszczyłam życie. Że jej zabiłam synów, których swoją drogą kochałam prawie tak samo mocno jak ona.

Savidge tego nie kupuje.

– Miała pani na to trzy lata.

– Nie, nie miałam, bo przez te trzy lata nigdy nie była w moim zasięgu, a bałam się do niej pójść. Nie chciała słuchać moich przeprosin ani wyjaśnień. Nie chciała na mnie patrzeć.

– Bardzo możliwe, że wciąż nie chce – zauważa Skye.

– Ale zechce, jeśli się dowie, że to doprowadzi do odnalezienia mojego syna.

Cisza, rozważają moją prośbę. Wyraźnie widać, że niczego bardziej nie pragną, jak udać się w jakiś kąt i przedyskutować plan szeptem. Ale jeśli opuszczą teraz pokój, impet przesłuchania zostanie przerwany.

– Hej, ty, Quinn! Jak to jest zabić dziecko?

– Suka, morderczyni! Co zrobiłaś Fredowi?

– Gadaj, gdzie oni są, Quinn!

Głosy brzmią, jakby dochodziły bezpośrednio sprzed posterunku. Skye nie potrafi dłużej skupiać uwagi na mnie, jej wzrok wciąż ucieka w stronę okna.

– Te błazy na dworze są tu ze względu na Catrin – mówię. – Gdzie ją trzymacie? Jest bezpieczna?

– Nic jej nie grozi – informuje Josh, głośniej niż potrzeba. – Proszę nam powiedzieć, co pani wie o zniknięciu Archiego Westa.

– Oni mogą się tu dostać? – Skye patrzy na Josha z niepokojem.

Ten kręci głową

– Neil pozamykał wszystkie wejścia do czasu, aż przyjedzie więcej chłopaków. To nie potrawa długo. – Jego uśmiech sprawia wrażenie wymuszonego.

– Zapytajcie ją, czy zechce ze mną porozmawiać – próbuję znowu. – Tylko ją zapytajcie.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli porozmawiacie, kiedy już rozwiążemy tę sprawę.

Założenie Josha, że jestem idiotką, wywołuje we mnie irytację.

– Jaką wtedy będę miała kartę przetargową? Dlaczego wy lub ona mielibyście się zgodzić na rozmowę, jeśli już przestanę być użyteczna? Poza tym, kiedy rozwiążecie sprawę, wyślą mnie do Anglii, do więzienia albo do jakiegoś psychiatryka. Nigdy więcej jej nie zobaczę. To moja jedyna

szansa.

Zegar za mną głośno tyka. Odliczam cztery, pięć, sześć sekund. Na zewnątrz cały czas słycać hałas. Brzęczą rzucane na ziemię puszki po piwie, ludzie krzyczą, skarżą się. W mury walą kamienie. Czego nie słyszę, to policyjnych syren. Zastanawiam się, co takiego się dzieje na ognisku, że policjanci nie zostają tu odesłani. Przypominam sobie też, że na obchodach są Chris i Michael. Trzeba to szybko kończyć.

– Co pani na to, żeby na znak, że działa pani w dobrej wierze, opowiedziała nam, co się stało z Archiem, a my potem pozwolimy pani zobaczyć się z Catrin? – proponuje Skye.

Josh wstaje.

– Przesłuchanie zawieszono o dwudziestej i cztery minuty. Proszę na słowo na zewnątrz, posterunkowa McNair. – Pokazuje ręką drzwi i Skye się podnosi, przewracając przy tym krzesło. Jednak to ona, a nie jej przełożony, pamięta o wyłączeniu taśmy.

– Zgadza się – odzywam się w chwili, gdy docierają do drzwi. – Wracajcie, włączcie nagrywanie i opowiem wam, jak to było z Archiem. Potem to sprawdzicie i jeśli się okaże, że mówię prawdę, pozwolicie mi porozmawiać z Catrin. Zakończymy tę całą paskudną sprawę, zanim ognisko zdąży się wypalić, a wy dwoje awans będziecie mieli w kieszeni jak w banku.

– Nie obchodzą nas awanse – rzuca szybko Skye. Wierzę jej, nawet się nad tym nie zastanawiając. – Chcemy tylko... chcieliśmy... znaleźć pani syna żywego i zdrowego.

Josh milczy, po chwili po prostu z powrotem włącza magnetofon. Patrzą na mnie jak psy, wygłodniałe, ale czujne. Rzucam im kość, na którą czekają.

– Zniknięcie Archiego z farmy w Estancii było całkowicie dziełem przypadku. – Mimo nagrywania Skye robi notatki. Przerrywam na moment, żeby nadążyć. – Z braćmi i innymi dziećmi bawił się w chowanego – podejmuję, kiedy ołówek nieruchomieje. – Ile razy słyszeliśmy, jak Archie uwielbia zabawę w chowanego? To jego ulubiona zabawa. Dlatego z początku rodzice się nie niepokoiili. Pomyśleli, że syn znalazł wyjątkowo dobrą kryjówkę. – Mimo wszystko jestem w gruncie rzeczy całkiem z siebie dumna, że tak to rozgryzłam.

– Więc gdzie się schował? – Ołówek Skye postukuje w notes.

– W land roverze rodziców. Albo raczej w land roverze, który jego zdaniem był samochodem rodziców. Ale wtedy stała tam jeszcze jedna terenówka, niemal identyczna. Zatrzymała się zaledwie na kilka minut, w tym czasie turyści byli na farmie. Tylne drzwi miała otwarte. Potem jej właściciel wrócił, zamknął drzwi i odjechał. Nie miał pojęcia, że w aucie jest dziecko.

– Brat Archiego wspominał, że widział innego srebrnego land rovera – przypomina Skye Savidge'owi.

– Którego nie widział nikt inny – dopowiadam. – I dlatego że nikt inny tego nie potwierdził, i dlatego że brat Archiego to tylko dziecko, uznaliście tę informację za nieistotną.

Savidge'owi to się nie podoba. Ja mogę się przyznawać, że zamordowałam dziecko, ale nie ma mowy, żeby on się przyznał, że popełnił jakiś błąd.

– Pytaliśmy Barrellów. Tamtego popołudnia nikt ich nie odwiedzał. Nic nie wiedzieli o żadnym land roverze.

– Pytaliście George'a Barrella?

Savidge mruga, próbuje sobie przypomnieć. Skye od razu kręci głową.

– Nie było go tamtego popołudnia, ale rozmawialiśmy z nim nazajutrz. Nikt nie przyjeżdżał na farmę.

– Okłamuje was. I ma powód, niemniej skłamał.

Kolejna pauza, zastanawiają się, o co mnie teraz zapytać. Savidge odzywa się pierwszy.

– Okej, więc Archie jest w tajemniczym land roverze, który go wywozi Bóg wie dokąd. Dlaczego nie daje o sobie znać?

– Z początku myślał, że siedzi w aucie rodziców, i nadal się ukrywał. Kiedy się zorientował, że tak nie jest, że w rzeczywistości jedzie u kogoś zupełnie obcego, milczy, bo się boi. Prawdopodobnie był przerażony. Jak często powtarzamy dzieciom, żeby nie wsiadały z obcymi? No, może tutaj nie aż tak często, ale w Anglii ludzie mają paranoję na punkcie zagrożeń czyhających ze strony obcych osób. Archie to brytyjskie dziecko.

– I ten land rover pojechał do tej szopy na karmę? – Skye sprawia wrażenie zaintrygowanej.

– Tak. Na spotkanie. Kierowca od dłuższego czasu się tam z kimś spotyka. Para przystosowała szopę do swoich celów. Sądzi, że to ostatnie miejsce, o którym ktoś mógłby pomyśleć, i prawdopodobnie tak by było, gdyby nie zabrali ze sobą małego pasażera na gapę.

– Ta para ma ze sobą romans. – Skye robi minę, jakby odkryła Amerykę. – Dwoje mieszkańców wysp, każde w stałym związku. Ta szopa to nie kryjówka pedofila, tylko miłosne gniazdko.

– O kogo chodzi? – pyta ostro Savidge.

– Po pierwsze o George’a Barrella – mówię. – Dlatego skłamał w sprawie srebrnego land rovera. Jego dziewczyna wpadła z krótką wizytą, umówili się na spotkanie w szopie, odjechała, niezauważona przez nikogo poza bratem Archiego. Kilka minut później George pojechał za nią. Mijał mnie w drodze powrotnej, wczesnym wieczorem.

– Kim jest ta kobieta? – dopytuje Skye. – Z kim spotyka się George?

– To Roberta Catton. – Sądzę, że gdyby nie okoliczności, byłabym uradowana swoją wielką chwilą w stylu „panna Marble”<sup>[9]</sup>. – Bob-Cat z tawerny. Jej auto też widziałam tamtego popołudnia, srebrny land rover, dokładnie taki sam, jaki wypożyczyli Westowie. Litery rejestracyjne to SNR. Jest trochę starszy od auta Westów, ale wątpię, żeby trzylatek mógł zauważyć różnicę. Wracęła od strony Darwin, kiedy wjeżdżałam na główną szosę. Wtedy wprawdzie jej nie rozpoznałam, ale zauważyłam rejestrację i potem następnego dnia widziałam auto przed knajpą.

Twarz Skye jest pomarszczona skupieniem.

– Musieliby zauważyć chłopca po dotarciu do szopy.

Gwałtownie kręcę głową. Z tego, co mi wiadomo, Barrell i Catton są winni jedynie cudzołóstwa, nie zamierzam obrzucać ich dodatkowymi oskarżeniami.

– Niekoniecznie. Pamiętajcie, że Archie najprawdopodobniej był przerażony. Myślę, że wymknął się z samochodu i ukrył. Mówił o mężczyźnie i kobiecie, kiedy z nim później rozmawialiście, prawda? Schował się na czas, gdy para była w szopie zajęta tym, po co tam przyjechała. Potem pewnie szybko odjechali, każde w swoją stronę, a mały został sam. Cóż, wrócił do szopy, jadł resztki, jakie tam zostały, aż w końcu, gdy już dłużej nie mógł znieść samotności, ruszył w kierunku szosy. Szczęśliwie wtedy przejeżdżali tamtędy Callum i Catrin.

– Ojej, biedny dzieciak – mamrocze Skye.

Savidge przeciera twarz. Jego dłonie, kiedy je odsuwa, są lekko oleiste.

– Okej, to nawet prawdopodobny scenariusz. Ale właśnie: tylko scenariusz. Teoria.

– I to taka, na której potwierdzenie może nigdy nie znajdziemy dowodów. – Skye, jak widzę, nadal jest pogrążona we współczuciu dla wystraszonego chłopca, pozostawionego samemu sobie w totalnej dżicy. Zastanawiam się, czy dziewczyna nie ma za miękkiego serca, żeby być naprawdę dobrą policjantką.

– Porozmawiajcie z George’em i Bob-Cat. Obiecacie im dyskrecję, a jestem przekonana, że się przyznają, że byli tamtego popołudnia w szopie i że Bob-Cat parkowała wcześniej przed farmą w Estancii. Prawdopodobnie już skojarzyli, że to ona nieświadomie przewiozła Archiego do szopy.

– Ale przecież coś by na pewno powiedzieli? – Skye nie jest przekonana.

– Po co mieliby ryzykować, że ich romans wyjdzie na światło dzienne? Archie się znalazł, nic złego się nie stało. Myśleli, że jak będą cicho, wszystko szybko rozejdzie się po kościach. Och, i tu jest coś jeszcze... – Sięgam do kieszeni džinsów i wyciągam plastikową torebkę. Kładę ją na stole

między sobą a Skye.

Ona wyciąga rękę; Savidge ją powstrzymuje.

– Potrzebujemy do tego torebki dowodowej – ostrzega. – Co to jest, pani Grimwood?

– Piasek. Zebrałam go w samochodzie Bob-Cat w czwartek, z podłogi pod tylnymi siedzeniami. Założę się, że to dokładnie ten sam piasek, jaki jest tylko na plaży przy Estancii. I jeszcze że znalazł się w samochodzie wniesiony na podszwach butów Archiego Westa.

– Przesłuchanie zawieszono o dwudziestą piętnaście. – Savidge wstaje, idzie po inną plastikową torebkę i wkłada do niej moją. – Każę pani podesłać herbatę, pani Grimwood.

Skye wychodzi za nim, ja zostaję sama.

Wytopienie Bob-Cat i George'a zajmie kilka godzin. Nawet jeśli tych dwoje będzie współpracowało, sprawa nie zakończy się szybko. Policja zajrzy do auta Bob-Cat, kobieta na pewno go nie wysprzątała, ale nawet jeśli znajdą w nim piasek, nie będą mogli stwierdzić, że pochodzi z Estancii, dopóki nie prześlą go do analizy i nie dostaną wyników. Wszystko zależy od tego, czy para zakochanych ptaszków zechce się dobrowolnie przyznać. Wygląda więc, że mogę jeszcze długo nie zobaczyć Catrin.

Migoczące niebieskie światło na ścianie naprzeciwko okna mówi mi, że przybył co najmniej jeden wóz patrolowy. Słyszę, że wolno objeżdża budynek.

Wkrótce zjawi się też mój ojciec, zażąda wyjaśnień, dlaczego tak długo tu siedzę. Prawdopodobnie zostanie wtedy poinformowany, że złożyłam zeznanie i przyznałam się do zabicia Petera. Ojciec będzie chciał się ze mną widzieć. Wydaje mi się, że wolno mi odmówić, więc oczywiście właśnie tak postąpię.

Nie musieć nigdy więcej patrzeć ojcu w oczy, nie musieć więcej wysłuchiwać jego krytycznych uwag na swój temat to może być jedyny pozytywny aspekt w całym tym koszmarze.

Na zewnątrz jest cicho. Radiowóz odjechał. Zniknął chyba też rozrabiający tłum wrogów Catrin, który policja miała opanować. Wkrótce ten motłoch zwróci swoją nienawiść przeciwko mnie.

Próbuję nie słuchać tykania zegara, siedzę i rozmyślam o swoich chłopcach, swoich ukochanych synach i o tym, że nie będę z dnia na dzień obserwowała, jak dorastają. Że będę ich widywała po drugiej stronie biurka, pewnie podobnego do tego tutaj, zaledwie kilka razy w roku. Będę patrzyła w oczy, jakby inne przy każdej wizycie, próbując odnaleźć w nich resztki miłości, ale znajdując jedynie potępienie i zawstydzenie moją osobą.

Fala bólu uderza we mnie tak mocno, że muszę wstać, przejść się po pokoju, oprzeć o chłodną twardą ścianę. Na zewnątrz panuje cisza. A jednak brak odgłosów wydaje się bardziej złowieszczy niż krzyki i bieganina, jakie słyszeliśmy wcześniej.

Zegar odlicza ostatnie sekundy życia, którego wciąż się czepiam. Myślę o Sanderze – zasługuje na kogoś o wiele lepszego ode mnie. Mój mąż to dobry człowiek. Mądry, pracowity, lojalny, bardzo opiekuńczy. I tak bardzo we mnie zakochany. Żałuję, że nie postarałam się bardziej. Tyle jest miłości w tym moim wielkim, brzydkim Holendrze. Dlaczego nie dostrzegałam tego wtedy, kiedy to jeszcze mogło coś zmienić?

Tykanie wskazówki staje się coraz głośniejsze. Krążę po pokoju, wpatruję się przez okno w niebo, oglądam pokaz sztucznych ogni, prawdopodobnie ostatni, jaki mi przyjdzie widzieć w życiu. I rozmyślam o więzieniu. Będę zabójczynią dzieci, kimś, kogo nikt nie toleruje. Myślę o pobiciach, przemocy, i dochodzę do wniosku, że być może, w pewnym sensie, przyjmę te cierpienia z radością.

Myślę o ludziach, którzy stali przed posterunkiem wcześniej, domagając się krwi Catrin. Wkrótce zażądają mojej. Przeczucie mi mówi, że wracają. Nie słyszę ich, ale wyczuwam jakąś czającą się blisko obecność.

O Catrin nie myślę. Nie mogę. Ilekroć próbuję, w mojej głowie pojawia się zaporę i nie dopuszcza tych rozważań do świadomości. Zobaczę się z nią dzisiaj, ale na to spotkanie nie mogę się

przygotować. Kiedy w końcu staniemy przed sobą, będę musiała improwizować.

I tak, na koniec, zaczynam rozmyślać o swoim najmłodszym synu. Powinien być dla mnie najcenniejszym z dzieci, moim ukochanym dzieciątkiem, tym, którego długo bym nie wypuszczała spod skrzydeł, o wiele dłużej niż w przypadku jego braci. Powinien być moim pupilkiem, moją maskotką. Zamiast tego był intruzem, podmieńcem, stałym przypomnieniem najbardziej przerażającego czynu, jaki mogłam popełnić. Był wcieleniem moich wyrzutów sumienia, poczucia winy.

Rozmyślam o jego skórze – przybiera bladożółty odcień taniego wosku. Myślę o tym, że jest mu zimno, że jest sam w ciemności. Widzę, jak jego ciało gnije, a dusza woła do mnie, upominając się o miłość, której mu odmówiłam, gdy żył.

Już nie widzę zegara. Nie widzę ścian w pokoju. Nie widzę nic poza błyszczącymi kroplami łez, skapującymi z moich oczu na blat stołu.

Kiedy drzwi znowu się otwierają, jestem już trochę spokojniejsza. Głowę trzymam na stole, jest miejscami obolała od uderzania w blat, wilgotna od łez lub potu. Ale nie od krwi, mam nadzieję, bo to by tylko spowodowało dalsze opóźnienia. Dyżurny sierżant. Przyniósł herbatę.

– Jest tu pani mąż. – Odstawia kubek, trzymając się na odległość. Napotykam jego spojrzenie. Już wie. Nie porusza się, ale widzę, jak jego umysł wzdraga się na widok potwora przed nim.

Przyzwyczajaj się. Tak odtąd będzie na ciebie reagował świat. Policjant coś powiedział. Skup się. Sander. Udało mu się przylecieć innym samolotem.

– Tutaj? Na posterunku?

Pojedyncze krótkie skinienie głową. Na takich jak ja nie marnuje się słów.

– Chce się ze mną widzieć?

– Tak.

– Muszę się zgodzić?

Wzrusza ramionami. Myślę, że gdyby to od niego zależało, zaciągnąłby mnie siłą, żeby stanęła twarzą w twarz ze swoim mężem. I byłby tam, żeby na to spotkanie patrzeć.

– Nie musi pani.

– Nie chcę go widzieć. Proszę mu powiedzieć, że dzieci są u dziadków.

– Powiem, że dwóch z pani synów jest u dziadków.

Drzwi się zamykają. Na klucz. Piję herbatę. Czekam.

Gdy następnym razem słyszę zgrzyt klucza w zamku, stoję przy oknie, dłonie zaciskam na prętach krat. Przez słabo wpasowane szyby do wewnątrz wdziera się bryza – przynosi ze sobą zapach dymu torfowego i przypalonej soli, które zawsze czuć w powietrzu w Noc Ognisk. Mamy tu niewiele drzew, drewna jest zawsze mało, więc palimy te kawałki wyrzucone przez morze, a żeby ogień nie gasł, dosypujemy torfu. Przyglądałam się fajerwerkom, które wznoszą się do gwiazd, jakby chciały je zastąpić, i myślałam o tym, że w świecie równorzędnym mogłabym siedzieć w domu, w fotelu przy oknie, ze swoim najmłodszym synkiem na kolanach. Nie bałby się fajerwerków, bo oglądałby je z oddali. I wtedy, patrząc na nie z bezpiecznego miejsca, w objęciach moich ramion, zakochałby się w tym dziwnym nietrwałym pięknie ognia przelatującego przez niebo.

*Powietrze w górnych warstwach wre,  
Sto zórz północnych pała.*

– Był tu twój mąż, Rachel. – Głos Skye.

– Wiem.

Pokaz sztucznych ogni zbliża się ku kulminacyjnemu końcowi. Wybuchy stają się coraz intensywniejsze. Zabawa będzie oczywiście trwała dalej, do późnych godzin nocnych, ale już w prywatnych gronach. Tutaj w przejrzyste noce możesz się wspiąć na jakieś wzgórze i przyglądać przyjęciom z fajerwerkami urządzanym na obszarze całych Falklandów.

– „A środkiem, tam i tu, i tam, garść białych gwiazd płąsała”.

– Słucham?

– Samuel Coleridge. – Wciąż patrzę w niebo. – *Rymy o sędziwym marynarzu*. Fajerwerki mi o nim przypomniały. Co mówiłaś o moim mężu?

– Pojechał się zająć Christopherem i Michaeliem. Zabierze ich do domu.

Przesyłam w myślach podziękowania mężowi za to, że udało mu się dzisiaj wrócić, że dzięki temu chłopcy nie będą tylko z dziadkami.

Skye i Savidge są po obu stronach drzwi. W samych drzwiach z kolei stoi policjant w mundurze. Razem wyglądają jak pluton egzekucyjny.

– Rozmawialiśmy z George’em Barrellem i Robertą Catton – pierwszy odzywa się Savidge. – Oboje przyznają się do romansu, potwierdzają, że popołudniem, o którym mowa, byli w szopie. Jutro każde z osobna przyjdzie na posterunek złożyć oficjalne zeznanie. Oczywiście zaprzeczają, że wiedzieli o chłopcu z nimi w samochodzie, chociaż...

– Nigdy tego nie udowodnicie, więc nawet nie próbujcie – przerywam mu.

Savidge wygląda tak, jakby miał ochotę mi przyłożyć, więc notuję sobie w pamięci, żeby go więcej nie prowokować. Musimy szybko to wszystko zakończyć.

– Proszę za mną. – Pokazuje na drzwi.

– Dokąd idziemy? – Nie ruszam się z miejsca. – Chcę się widzieć z Catrin.

– A ona, ku mojemu ogromnemu zdumieniu, na to przystała. Jest w sali konferencyjnej. Chodźmy, zmarnowaliśmy już wystarczająco dużo czasu.

W pełni się z tym zgadzam. Dlatego ruszam za Savidge’em tak szybko, jak mogę. Na końcu korytarza skręcamy, tam inny posterunkowy przytrzymuje otwarte drzwi do sali konferencyjnej. W środku pewnie czeka Catrin. Wyobrażam ją sobie, że wygląda przez okno, jej długie włosy spływają na plecy, odwraca się do mnie w ostatniej chwili.

Oczywiście tak się nie dzieje. Catrin nigdy nie robi nic na pokaz, nawet by jej się nie śniło odstawić taki teatr. Nadal jest najbardziej bezpretensjonalną osobą, jaką kiedykolwiek poznałam. Siedzi spokojnie przy stole i nie podnosi na mnie oczu, gdy wchodzę.

Kierują mnie do krzesła naprzeciwko. Catrin jest ubrana w ciuchy o wiele na nią za duże. Bawełniane spodnie ma mocno zaciągnięte w pasie. Jej drobna sylwetka tonie w luźnej koszuli. Ściągnięte w tył włosy są złapane gumką. Splecione ramiona spoczywają na stole. Wygląda jak uosobienie spokoju, oprócz tego, że drżą jej palce prawej dłoni. Twarz ma wychudzoną, skurczoną. Zmarszczki, które pamiętam, są wyraźniejsze niż trzy lata temu. To teraz zmarszczki rozpaczy, a nie tylko bruzdy od wiatru i słońca.

Reszta osób też siada. Skye po mojej prawej, Savidge po lewej. Pozostali dwaj funkcjonariusze zajmują miejsca po bokach Catrin. Dwie przeciwne armie, tyle że tylko jeden wróg – ja. Magnetofon zostaje włączony, wszyscy podajemy nasze nazwiska. Kiedy nadchodzi kolej Catrin, głos jej się załamuje, jakby go nie używała od dłuższego czasu. Odchrząkuje i ponawia próbę.

– W porządku. – Savidge przejmuje prowadzenie przesłuchania. – Pani Grimwood, poprosiła pani o widzenie z panią Quinn i pani Quinn się na to zgodziła. Pani Quinn, pragnę panią poinformować, że jeśli w którymkolwiek momencie przesłuchania będzie je pani chciała przerwać, proszę nas poinformować. Nie ma pani żadnego obowiązku i nie musi pani rozmawiać z panią Grimwood. Chciałbym również obu paniom przypomnieć, że nadal zachowujecie przedstawione im wcześniej

prawa.

Na zewnątrz rozlega się jakieś szuranie, potem taki odgłos, jakby ktoś kopnął piłką w mur. Jeden z umundurowanych posterunkowych wstaje i mówi coś cicho do słuchawki wiszącego na ścianie telefonu. Ja nie potrafię oderwać oczu od twarzy Catrin. Ona nie potrafi oderwać wzroku od rękawów swojej koszuli.

– Dobra, pani Grimwood, stało się tak, jak pani chciała. Teraz prosiłbym, aby nam pani opowiedziała, co zrobiła ze zwłokami Petera?

W tym momencie Catrin podnosi wzrok. Jej szare oczy emanują spokojem. Wpatrują się w moje i wiem, że tak będzie do chwili, aż wyjdziemy z pomieszczenia.

– Chcę, żeby Rachel powtórzyła mi to, co mówiła wam. – Głos ma taki sam. Może trochę drży, ale zasadniczo się nie zmienił.

– Już przez to przechodziliśmy. – Savidge mówi łagodnie, jakby spokój Catrin i jemu się udzielił. – Powtórzyliśmy pani wszystko, co powiedziała. Nie ma potrzeby, żebyśmy słuchali tego powtórnie.

– Muszę to usłyszeć z jej ust, jej słowami. – Catrin zwraca się do Savidge’a, ale cały czas patrzy na mnie. – Chcę, żeby mi opowiedziała, jak zabiła swojego syna.

Spodziewałam się tego. Jestem przygotowana. Opowiem – dokładnie to samo, co opowiedziałam wcześniej Joshowi i Skye – że widziałam, jak jej samochód zatrzymuje się przed moim domem, że widziałam, jak ona podnosi Petera i wstawia go do ogrodu.

Jej brwi są uniesione; wciąż nie odrywa ode mnie oczu.

Mówię, że widziałam, jak odjeżdża – w ten sposób odsuwam od niej wszelkie podejrzenia o udział w zaginięciu mojego syna. Mimo to nadal się nie odzywa. Zwracam jej wolność, oczyszczam z oskarżeń, otwieram przed nią możliwość ułożenia sobie życia z mężczyzną, którego kocha. Trzymam w obu rękach własne życie i jej podarowuję, a ona w zamian nie daje mi nic. Oprócz niepodzielnej uwagi.

Nie pomijam niczego. Niemal słowo w słowo powtarzam to, co zeznałam przed Joshem i Skye. Dwaj funkcjonariusze, którzy nie słyszeli tego wcześniej, są zaszokowani – rozpoznają to po ich ostrych sapnięciach, po ukradkowych spojrzaniach, jakie sobie rzucają – ale Catrin pozostaje nieporuszona.

– Ukryłam go w bagażniku samochodu. – Nie potrafię się zmusić, żeby powiedzieć „jego ciało”. – Wiedziałam, że wybuchnie wielkie zamieszanie. Że rozpoczną się poszukiwania. Więc go schowałam, żeby się tym zająć później.

Szare oczy mrugają i wilgotnieją. Kolejne mrugnięcie. Ale całe czas wzrok wbity we mnie.

– To wszystko – kończę.

Przez chwilę siedzi nieruchomo. Potem jej dłonie się podnoszą i zaczynają klaskać, jeden, dwa, trzy razy. Wolne oklaski rozcinające panującą w pomieszczeniu ciszę. Nikt inny się nie porusza. Jakby Catrin rzuciła na nas czar. Ja nie potrafię przerwać kontaktu wzrokowego z nią. Bawimy się w grę, którą uwielbiałyśmy jako dzieci – jedna próbowała tak przetrzymać drugą. Pierwsza, która odwróciła wzrok, przegrywała. Catrin zawsze mnie pokonywała. Tym razem jej się nie uda.

Na zewnątrz wybucha fajerwerk. Ktoś go odpalił tuż przy budynku. Wstążka srebrnych gwiazd. Wystrzały i huki rozbrzmiewają przez minutę, potem znowu zapada cisza. Zakłęcie pryska.

– Dobra. – Savidge ma dość. – Wypełniliśmy pani warunek, pani Grimwood, pani również, pani Quinn. Teraz chcę się dowiedzieć, gdzie jest dziecko.

Czekam, aż Catrin coś powie. Ona czeka na mnie.

– Pani Grimwood. Rachel. – Savidge wie, że ryzykuje, pozwalając mi i Catrin rozmawiać, i panikuje, że mu się to nie opłaciło. – Ze względu na dobro pani bliskich, ze względu na dobro wszystkich, łącznie z pani własnym, proszę wskazać, gdzie znajdziemy Petera.

– Ona nie może tego powiedzieć. – Wydaje się, że Catrin mówi bez poruszania ustami albo ja

jestem tak skupiona na jej oczach, że nie widzę niczego innego. – Bo nie wie. Okłamuje was.

– Co takiego? – stęka Skye u mojego boku.

Mężczyźni patrzą po sobie. Catrin i ja nadal tkwimy w uwięzi naszych zawodów: kto pierwszy odwróci spojrzenie. Ja modłę się w myślach, tak jak się jeszcze nigdy nie modliłam. Widzę, że usta Catrin się rozluźniają, zaczynają lekko drgać.

– Zawsze była z niej paskudna manipulatorka.

Cała czwórka funkcjonariuszy sztywnieje na krzesłach. Patrzą na Catrin i na mnie, i z powrotem, jakby się spodziewali, że za chwilę któraś z nas rzuci się na drugą.

Och, błagam, Boże, błagam, błagam.

Catrin lekko się prostuje, potem odrywa ode mnie spojrzenie i przenosi je na Savidge'a.

Nie wiem, czy jeszcze kiedyś zdołam zaczerpnąć oddech. Chyba że...

– Rachel nie zabiła Petera. – Mówi to tonem pogardliwym, graniczącym z niedowierzaniem. – Wstyd, że w ogóle mogłeś coś takiego potraktować poważnie, Josh. Znasz ją od dziecka, gdzie ty masz rozum?

– Ona sama się do tego przyznała. – Skye wygląda tak, jakby się trochę bała Catrin. – Mamy to zeznanie na taśmie.

– Przyznała się, bo myśli, że to ja go zabiłam. – Catrin znowu powraca do mnie wzrokiem. – Uważa, że jest mi coś winna. Zniszczyła mi życie, więc w zamian oddaje swoje. Chce, żebym uniknęła kary za zabicie jej syna, i chce odsiedzieć za mnie wyrok w więzieniu, który to ja powinnam odsiadywać, bo myśli, że to jedyny sposób, w jaki może mi zadośćuczynić.

– Ja już nic... – Savidge chyba zaraz się popłacze.

Nie mogę na niego spojrzeć. Nie mogę oderwać oczu od kobiety, która trzyma w rękach resztę mojego życia.

Odchyła się na oparcie, wydaje się całkowicie zrelaksowana.

– To bardzo możliwe, że Rachel widziała, jak podnoszę Petera, ale w żadnym wypadku nie mogła widzieć, jak go odstawiałam do ogrodu. Z okna sypialni nie widać furtki. – Spogląda na zgromadzonych z poirytowaniem. – Na litość boską, byłam w tym pokoju dziesiątki razy. Wiem, co z tamtego okna widać, a czego nie. Rachel widziała, że podniosłam jej syna, przestraszyła się i szybko zbiegła na dół, żeby go obronić, ale gdy dotarła do ogrodu, mnie już tam nie było. Ani Petera.

– Pani Grimwood, czy to prawda?

Moje dłonie zaciskają się na brzegu stołu. Jeśli go puszcze, przewrócę się.

Catrin jeszcze nie skończyła.

– Tyle że moja była przyjaciółka jest sprytniejsza, niż się nam wszystkim wydaje. Podjęła ryzykowną próbę, zakładając, że nie dopuszczę, żeby ją niesłusznie oskarżono. Że ugnę się w ostatniej chwili i sama się przyznam, powiem, co zrobiłam Peterowi i gdzie go ukryłam. Jest gotowa zaryzykować odsiadkę, żeby tylko odzyskać ciało syna. Oto jak bardzo kocha tego małego chłopca, którego rzekomo uśmierciła. – Catrin kręci głową, a coś w jej zimnej, napiętej twarzy łagodnieje. – Ty biedna głupia krowo.

Nie chcę tego, ale po prostu nie mogę się powstrzymać. Zaczynam głośno szlochać. Płacz przypląwa znikąd, a potem oboje Skye i Josh mocno mnie trzymają, próbują powstrzymać, żebym nie waliła głową w twardego stół. Wreszcie, po czasie, który mnie wydaje się wiecznością, a w rzeczywistości to zapewne zaledwie kilka minut, zostaję unieruchomiona na krześle. Skye otacza mnie ramionami, co jednak wygląda bardziej jak uścisk niż uchwyt krępujący ruchy. Josh przykucnięty z boku ciężko dyszy.

– Daję słowo, że oskarżę was obie, jeśli zaraz nie usłyszę jakichś wyjaśnień. – Sam nie wierzy w to, co mówi, widzę to. Jest skołowany, nieszczęśliwy i oszołomiony jak reszta nas. Może poza...

Catrin czeka, aż się opanuję, aż przestanę płakać i znowu na nią spojrzę.



– Proszę... – błagam. Padnę przed nią na kolana, jeśli będę musiała. Zrobię wszystko, żeby tylko móc ostatni raz zobaczyć swojego małego chłopca. Czuję, że moja twarz się kurczy, że zaraz znowu się rozpłaczę.

– Rach. – Nachyliła się nad stołem. Dwóch strażników po jej bokach podąża w jej ślady, są gotowi, żeby ją odciągnąć. – Posłuchaj mnie.

Mam wrażenie, jakby tylko jej głos sprawiał, że jeszcze nie popadam w obłąd.

– Przez trzy lata zastanawiałam się, jaką wyrządę ci krzywdę. Trzy lata myślenia tylko o mojej rozpaczliwej i głupich planach zemsty. Nawet niektóre spisałam, i to przede wszystkim dlatego zostałam zatrzymana w areszcie. Ale wszyscy tutaj mają sporo racji, czwartek miał być szczególnym dniem. Zaplanowałam, że we czwartek doprowadzę całą sprawę do końca.

Nie mogę tego słuchać. Sądziłam, że jestem wystarczająco silna. Ale nie jestem.

– Rach, słuchaj mnie, spójrz na mnie. Planowałam, że w czwartek do ciebie pojadę, około trzeciej po południu, przed powrotem chłopców ze szkoły. Zamierzałam powiedzieć, że musimy porozmawiać, że to się już za długo ciągnie. Zamierzałam zaproponować, żebyśmy się wybrały na przejażdżkę moją łodzią. Tak, żebyśmy były same, żeby nikt nie wiedział, co robimy, i żeby nikt nam nie przeszkadzał. Wiedziałam, że byś się zgodziła.

– Tak. – Zgodziłabym się. Bez chwili zawahania.

Oczy Catrin nadal są utkwione w moich, ale jej usta lekko się wyginają, układają do bardzo nikłego, ale jednak uśmiechu.

– Zamierzałam wywieźć nas z portu, a później, gdy już nikt z lądu nie mógłby nas widzieć, chciałam do ciebie strzelić z pistoletu do usypiania zwierząt.

Nikt się tego nie spodziewał. Rozpoznaję to po tym, jak wszyscy się wzdrygnęli, po zmarszczonych zdumieniem czołach, nerwowych spojrzeniach.

– To był ryzykowny plan. – Catrin nie zważa, że jesteśmy w towarzystwie przedstawicieli prawa. Jakbyśmy były w sali tylko ja i ona. – Oczywiście mniej więcej wiedziałam, ile ważysz, mogłam wyliczyć, jakiej dawki środka usypiającego potrzebowałabym dla morskiego ssaka twoich rozmiarów. Ale każdy gatunek reaguje na te środki inaczej. Mogło się skończyć tym, że bym cię zabiła.

– A nie zamierzałaś zabić?

Jej szare oczy są zimne jak stal.

– Oczywiście, że zamierzałam. Ale nie tak szybko.

Atmosfera znowu się zmienia. Savidge odchrząkuje, ale zdaje się, że nie wie, od czego powinien zacząć. To Skye się odzywa ze swojego miejsca obok mnie.

– Więc jaki pani miała plan? Kiedy... jeśli... Rachel... pani Grimwood by się ocknęła?

– Popłynęłybyśmy na południe.

Policjanci wymieniają spojrzenia.

– Co to znaczy: popłynęłybyście na południe? – pyta jeden z posterunkowych.

– Nic – odpowiadam, bo w tych trzech słowach Catrin zdradziła mi swój cały plan. – Miałyśmy zginąć razem, prawda? Po kilku dniach, może po tygodniu, ocean byłby za duży dla tak małej łodzi. Zgubiłybyśmy się na nim.

Catrin przytakuje.

– Zakładałam, że będziemy płynęły przynajmniej kilka dni. To wystarczający czas na rozmyślanie o tym, co się miało wydarzyć. O tym, co zostawiałaś za sobą. Kilka dni agonii to i tak zbyt mało, ale nic lepszego nie mogłam wymyślić.

– Natknęłaś się jednak na drodze na Petera? – wtrąca Savidge. – I nagle wpadłaś na inny pomysł. Postanowiłaś porwać dziecko zamiast matkę.

– Tak.

No to teraz się dowiem. Zaraz poznam prawdę. Wyciągam rękę do Skye, ale ona się odsunęła. Nie poszukam jej wzrokiem, bo nie mogę oderwać oczu od Catrin.

Przeciągle wzdycha, najwyraźniej ją też mówienie o tym, co zrobiła, zupełnie wyczerpywało.

– Kiedy tamtego dnia zobaczyłam Petera na drodze, zatrzymałam się, wysiadłam i wzięłam go na rękę. Tak jak mówiłaś, że widziałas.

Chcę ją powstrzymać. Zmieniłam zdanie. Nie mogę tego słuchać. Nie mogę.

– Już po raz drugi w ciągu dwóch dni trzymałam na rękach małe dziecko. Archie, kiedy go znalazłam, był oszołomiony, wyziębiony, więc tylko do mnie przywarł, szukając ciepła. Ale Peter zachował się inaczej. Zarzucił mi rączki na szyję i wtulił w nią twarz, tak jak to robił Kit w jego wieku.

Nadal nie spuszcza ze mnie wzroku, ale jej spojrzenie robi się lekko zamglone. Cofnęła się w przeszłość, na nowo przeżywa moment, gdy trzymała Petera. Mam wrażenie, że w jej oczach dostrzegam blask łez.

– I... – ponagla ją Savidge.

Catrin wraca do terażniejszości, mruga, lekko wzrusza ramionami.

– I wszystko się zmieniło.

Savidge otwiera usta, ale ona nie daje mu szansy.

– Zrozumiałam, że nie mogłabym zabić Petera. – Znowu mówi tylko do mnie. – Już nawet nie chciałam zabijać ciebie. Więc zaniosiłam go do furtki i odstawiłam do ogrodu. Zawróciłam samochód i odjechałam. Kiedy ostatni raz widziałam twojego syna, Rachel, był cały i zdrowy.

I znów wszyscy patrzymy na siebie jak się wydaje, bardzo, bardzo długo.

Aż do chwili, gdy odzywa się Savidge:

– Więc jeśli nie zabrała pani Petera, dlaczego tak szybko pognała pani do łodzi? Dlaczego zniknęła pani na tyle godzin?

Jej wzrok na krótko się ode mnie odrywa.

– Bo musiałam się zastanowić. Od miesięcy planowałam, że moje życie dobiegnie końca w czwartek. Musiałam uporać się ze świadomością, że tak się nie stanie. Że nie umrę i nie zabiję Rachel.

– Dlaczego wcześniej nic nam pani o tym nie powiedziała?

Kręci głową w rozdrażnieniu.

– To by raczej nie poprawiło mojej sytuacji, nie uważasz? Poza tym to nie miało żadnego znaczenia, bo ostatnim razem, gdy widziałam Petera, chłopiec żył i czuł się dobrze. – Traci zainteresowanie Savidge'em, ponownie odwraca się do mnie. – Wiem, co się wydarzyło tamtego dnia – mówi. – No wiesz, tego gdy zginął Ned i Kit.

W odpowiedzi mogę tylko wybałuszyć na nią oczy. Wie? Wie, co wtedy robiłam?

– Wiem, co czułaś do Bena. – Smutno kręci głową. – Nikt ze wzruszenia nie płacze przez cztery godziny na ślubie przyjaciółki. I zdawałam sobie sprawę, że namierzyłaś nas z Callumem. – Wzrusza ramionami. – Przypuszczam, że pokusa była zbyt duża, żeby się jej oprzeć. – Wyciąga do mnie rękę, tyle że stół jest zbyt szeroki. – Ale to nic – dodaje i na jej twarzy pojawia się widmowy uśmiech. Uśmiech litości, lecz ja przyjmę wszystko, co zechce mi podarować. – Najlepsze, że gdyby nie wypadek, prawdopodobnie wyrządziłabyś mi uprzejmość. Naprawdę to nie miało znaczenia.

Nie sądziłam, że cierpienie może być aż tak bolesne. A jednak gdzieś tam we wszechświecie koła zębate przesuwają się na swoje właściwe miejsce. I znowu zaczynają się obracać, a ich ruch jest płynny.

*On wypowiada mnie i precz*

*Krew zmyje albatrosa.*

– Przykro mi – mamroczę.

Jej drobne, szczupłe ciało rozluźnia się, gdy opuszcza je nienawiść do mnie. Zorientowała się, że to zauważyłam.

– Wiem – odpowiada.

– Gdyby było coś, cokolwiek, co mogłabym zrobić...

Rzuca krótkie, niemal rozbawione spojrzenie na salę.

– Oczywiście.

Rozlega się odgłos szurania nóg krzesła.

– Wystarczy. – Savidge wstaje. – Wzywam szefa. I rozdzielam was. W ten czy inny sposób dotrzemy do prawdy.

Otwieram usta, ale Catrin mnie wyprzedza.

– Nie zachowuj się jak dureń, Josh. Jak najbardziej wezwij Stopforda, ściągnij tu całą załogę, ale rozdzielając nas, niczego nie osiągniesz. Powiedziałyśmy ci wszystko, co wiemy. Rachel nie zabiła Petera. Nie potrafiłaby zabić nikogo, nawet w obronie własnego życia.

– A Catrin nie potrafi kłamać. – Zwracam się do sierżanta, lecz patrzę na swoją przyjaciółkę.

Ona też przenosi spojrzenie na mnie.

– W przeciwieństwie do ciebie. Ty jesteś w tym cholernym mistrzem.

– Ale i tak nigdy nie dałaś się oszukać, prawda?

Leciutki, leciuteńki uśmiezek, po czym ponownie zwraca się do Savidge'a.

– Josh, daj spokój. Ty się koncentrujesz na nas, a zapominasz o Peterze. Nie szukacie go już od momentu, kiedy uznałeś, że ja go porwałam.

Nie przekonała go, widzę to po jego minie. Ma na posterunku dwie podejrzane i nie wypuści ich z rąk bez walki.

Ktoś puka do drzwi, zaraz potem się otwierają. Sierżant dyżurny.

– Josh, muszę cię prosić na słowo.

– Za chwileczkę, Neil.

– Nie, teraz. To ważne, Josh.

– Na litość boską, co znowu?

Dyżurny rozgląda się po pokoju, po czym podejmuje decyzję.

– Zgłosił się Callum Murray. Twierdzi, że zabił Petera Grimwooda.

## 37

Znowu jestem w pokoju przesłuchań. Sama. Catrin została odprowadzona do celi. Przyjazd Calluma – nie wspominając jego oświadczenia – zwałił z nóg wszystkich, jednak Josh Savidge jeszcze na tyle zachował przytomność umysłu, żeby postanowić, że przesłucha Calluma na osobności.

Procedura trwa już od dziesięciu minut, a oni jeszcze nawet nie zakończyli wstępnych formalności. A przecież nie ma teraz na to czasu. Powinni szukać mojego dziecka. Peter. Cicho powtarzam jego imię jak mantrę. Peter, Peter, Peter.

Nie siadam. Nie mogę. Krążę po pokoju, uderzam pięściami w ściany, ale nie za głośno, żeby nikt nie usłyszał. Nie chcę ściągać na siebie uwagi, nie powinniśmy już więcej marnować czasu. Wyglądam na korytarz, nikogo tam nie widzę. Podchodzę do okna i spoglądam w niebo.

Nie wierzę Callumowi. On nie mógł tego zrobić. Nie on, człowiek, któremu jeszcze dzisiaj rano wypłakiwałam się na ramieniu. Zawsze go lubiłam. Ten olbrzym jest przyjazny, sympatyczny, pod każdym względem godzien podziwu. Tak, ma też mroczniejsze strony, nikt nie wychodzi bez szwanku po czymś takim, przez co przeszedł, ale Callum trzyma swoje demony na uwięzi. Nigdy nie myślałam, że może być niebezpieczny.

Mój ojciec bardzo go szanuje, a on się nie myli co do ludzi. Mnie z pewnością rozgryzł już wiele lat temu.

Callum nie zabił mojego syna. Nie potrafiłby. A jednak już też nie wierzę, że to zrobiła Catrin. Patrzyłam jej w oczy. To nie ona.

Więc może ja? Czyżbym uśmierciła własnego syna i usunęła to z pamięci? Czy coś takiego jest w ogóle możliwe? Jeszcze trochę tego zamieszania, a zacznę wierzyć we wszystko. Próbuję sobie przypomnieć ciąg wydarzeń. Widziałam, jak Catrin podchodzi do samochodu z Peterem na rękach, potem straciłam ją z oczu (co do tego miała świętą rację), wypadłam z pokoju, z domu, przebiegłam ogród.

Na zewnątrz do życia budzi się z rykiem silnik jakiegoś dużego pojazdu, instynktownie odsuwam się od ściany. Silnik wyje coraz głośniejsze. Potem słyszę, że pojazd gwałtownie rusza. Cofam się, prawie pod drzwi, auto się zatrzymuje. Świeci światłami w okno. Potem, równie szybko, silnik wydaje wysoki pisk, słyszę chrobot opon na asfalcie i samochód odjeżdża.

Wewnątrz budynku słyszę, że ktoś biegnie. Odzywa się kolejna syrena, ale samochód na sygnale jedzie na wzgórze, w kierunku ogniska.

Mam ochotę zabębnić w drzwi, zażądać wyjaśnień, żeby mi powiedziano, co się dzieje, ale na posterunku jest po prostu zbyt mało ludzi, żeby ktoś miał czas zajmować się jeszcze moją histerią. Mogę sobie odchodzić od zmysłów, ale po cichu, żeby nikomu nie przeszkadzać.

Na ognisku musi się coś dziać, inaczej policjanci byliby na posterunku. Modlę się, żeby Sander zabrał chłopców do domu. Modlę się, żeby moim trzem mężczyznom, gdziekolwiek się znajdują, nic nie zagrażało.

Rozlega się pisk alarmu, zagłusza hałas na zewnątrz. Znów słyszę dudnienie biegnących stóp gdzieś na korytarzu.

Ucieczka? Czyżby Callum zmienił zdanie i postanowił zbiec?

Alarm nie cichnie, jest boleśnie przenikliwy. Potem ktoś pędem się zbliża do drzwi. Odsuwam się, wpada Skye. Ma na sobie odblaskową kamizelkę.

– Bierz kurtkę. – Nie czekając, aż wykonam polecenie, sama ją zdiera z oparcia krzesła, na którym siedziałam.

– Co się dzieje?

Z korytarza napływa słaba, ale nie do pomylenia z niczym woń dymu. Skye też go ze sobą wniosła do pokoju wraz z zapachem swoich tanich perfum.

– Ktoś wrzucił przez okno odpalony fajerwerk. Palą się biura. – Wyciąga do mnie kajdanki. – Niestety muszę cię skuć. Rozkaz sierżanta.

Dym na korytarzu jest gęstszy. Gdy przykuta teraz do mojej ręki Skye, ciągnie mnie ku poczekalni, skądś blisko słyszę skwierczenie.

– Staraj się jak najmniej oddychać do chwili, aż będziemy na dworze. – Łapie ją atak kaszlu.

W oczach zaczynam czuć szczypanie. Za nami słyszę kroki, jednak się nie oglądam. Przebiegamy przez drzwi antywłamaniowe do poczekalni. Neil, dyżurny sierżant, zasłaniając usta chustką, przytrzymuje otwarte drzwi frontowe.

Wyprzedzają nas kłęby dymu, który kłębi się dziko w chłodnym powietrzu. Skye niemal wyszarpuje mnie na zewnątrz i odciąga z dala od ognia, z dala od fali gorąca, która z każdą sekundą się powiększa. Wdychając czyste powietrze, odczuwamy ogromną ulgę.

W oknie pęka szyba i w tym samym momencie wybiega za nami Catrin przykuta do umundurowanego posterunkowego. Wolną ręką przeciera oczy i się rozgląda. Kieruje spojrzenie nie na mnie, tylko na Calluma. On też już stoi na parkingu przy policyjnym minibusie, również w kajdankach, w towarzystwie gliniarza. Wzrok ma wbity w ziemię, ramiona unoszą się wyraźnie przy każdym wdechu.

Jako ostatni budynek opuszcza Josh Savidge.

– Straż pożarna? – pyta.

Neil wyrzuca ręce w powietrze.

– Już jadą. Ale zgadnij, gdzie wszyscy są?

Josh podchodzi do nas.

– Wsiadajcie do busa. – Szuka czegoś w kieszeni. – No już. Nie wiemy, kto wrzucił tę petardę do środka, więc lepiej, żebyście nie stali na otwartej przestrzeni.

– Dokąd chcesz pojechać? – dopytuje Neil.

Josh nie wie. Widać to po jego minie.

– Będę dostępny przez radio – rzuca do dyżurnego. – Spróbuj połączyć mnie z szefem.

Zagania nas do samochodu. Uruchamia silnik i rusza z parkingu, jeszcze nawet zanim wszyscy zdążymy usiąść.

– Może jedźmy do ratusza – podpowiada Skye.

– To zły pomysł – wtrąca się posterunkowy przydzielony do Calluma. – Pełno tam dzisiaj ludzi. Chyba lepiej nie pokazywać im na oczy tej trójki, która się przyznaje do zabójstwa dziecka.

– Cholera, racja. – Josh opiera głowę na kierownicy. Bus stoi na środku drogi.

– Katedra? – podsuwa posterunkowy skuty z Catrin.

– W nocy jest zamknięta – rzuca Catrin. – Josh, jedź do biura rezerwatu. Na ganku w kryjówce jest klucz. Tam nikt nie będzie nas szukał, a busa postawimy na tyłach.

Josh uznaje, że to ma sens, a może już tylko chwytą się ostatniej deski ratunku. Zwalnia hamulec i rusza w stronę Ross Road, do biura, gdzie pracuje Catrin.

Na miejscu wszyscy wysiadamy. W pobliżu nie ma nikogo. Albo jeśli jest, my nikogo nie widzimy. Powietrze wypełnia dym z okolicznych ognisk. Jakby całe Falklandy zasnuła mgła, a kanonada fajerwerków brzmi jak ogień artyleryjski.

Catrin znajduje klucz, wchodzimy do środka. Kiedy drzwi wejściowe są już zamknięte, zostajemy uwolnione z kajdanek, po czym Catrin prowadzi nas do sali konferencyjnej. Wygląda niemal tak samo jak tamta na posterunku. Catrin spuszcza żaluzje i w ten sposób odcinamy się od świata.

Callum nadal jest w kajdankach. Policjanci wolą nie ryzykować – w sumie mają do czynienia z postawnym mężczyzną, byłym żołnierzem. Prowadzą go do szczytu stołu konferencyjnego, tam siada, oddzielony od reszty nas.

– I co? – Nadal nie potrafi spojrzeć nikomu w oczy, a już chyba najbardziej mnie. – Co teraz?

Teraz zaczynamy się kłócić. Josh nalega, żebyśmy poczekali na Stopforda i resztę. Musimy przestrzegać procedur, tłumaczy. Każdy z podejrzanych powinien zostać przesłuchany oddzielnie.

Catrin się z nim nie zgadza, argumentuje, że na Stopforda trzeba będzie długo czekać, a potem jeszcze wszystko mu wyjaśnić.

– A on nie grzeszy bystrością – przypomina. – Rozdzielenie nas to niemądre posunięcie – upiera się. – Za każdym razem, gdy któreś z nas coś zezna, będziecie to musieli porównać z zeznaniami pozostałych. To zajmie całą noc. A w tym czasie nikt nie będzie szukał Petera.

Catrin przy każdej okazji powtarza jak refren, że sytuacja jest pilna. Przypomina nam, że Peter gdzieś tam jest i czeka, aż go odnajdziemy. Mogłabym się założyć, że gdyby mnie z nimi nie było, ktoś by jej odpowiedział, że dzieciak już prawdopodobnie nie żyje i że kilka godzin niczego nie zmieni. Ale jestem z nimi i dlatego się powstrzymuję.

– Nie mamy co liczyć na wyrok skazujący, jeśli coś pochrzaniemy przy przesłuchaniach – ostrzega Josha Skye.

– Przecież on się przyznał – wtrąca jeden z posterunkowych. – Wyrok to pewniak.

– Tak... mamy aż trzy cholerne przyznania się do zabójstwa w jeden wieczór – rzuca ostro Josh. – Wybaczcie, ale nie jestem już w stanie żadnego traktować poważnie.

Przez prawie dziesięć minut przy moim poparciu Catrin próbuje przekonać sierżanta do swojego zdania. Josh chce wezwać wsparcie, ale jego próby wyciągnięcia czegokolwiek od Neila, który został na posterunku, spełzają na niczym. Priorytetem dyżurnego, co zrozumiałe, jest ugaszenie pożaru, żeby budynek policji doszczętnie nie spłonął. Callum wygląda prawie tak, jakby wpadł w trans. Wreszcie, mimo że nadal targają nim wątpliwości i skrupuły, Savidge się zgadza. Chce poznać prawdę równie mocno jak inni.

Catrin odszukuje magnetofon, sprawdza sprzęt, nastawia na nagrywanie. Wszyscy podajemy swoje nazwiska; Callum ostatni.

Jest bardziej czerwony na twarzy niż zwykle. Ma ten typ jasnej karnacji, na której od razu się odznaczają wszystkie przeżywane w danej chwili emocje. Jednak poza tym, że ciężko oddycha, wydaje się całkiem spokojny. Do chwili, gdy się spojrzy na jego zaciśnięte za plecami dłonie, które ciągle drżą. Josh siada na krześle naprzeciwko Calluma. Jest za dziesięć jedenasta, na zewnątrz ciemna noc.

– Proszę nam opowiedzieć, co się wydarzyło trzeciego listopada po południu – zaczyna Savidge. – Tego dnia, gdy zniknął Peter Grimwood.

Callum przełyka ślinę.

– Martwiłem się o Catrin. – Nie patrzy na nią, chociaż ona od wejścia do sali prawie nie odrywa od niego wzroku. – Wiedziałem, że widziała swoje zdjęcie w „Daily Mirror”. Wiedziałem, że się przejmie. Chciałem ją odszukać, upewnić się, że nic jej nie jest. – Zerka w prawo, na sekundę napotyka spojrzenie Catrin. Ona chyba ma ochotę coś powiedzieć, ale w końcu tylko kręci głową. – Pojechałem za nią swoim samochodem. – Przerzuca spojrzenie na mnie. – W górę, pod twój dom, Rachel. Uważałem, że nie powinna być sama w takiej chwili.

– Która to była godzina?

Kilka minut przed czwartą, tak mi się wydaje. Pamiętam, że zaczynało się ściemniać. – Spogląda na Catrin, jakby szukał u niej potwierdzenia. Ona sprawia wrażenie oszołomionej. Zachowywała lodowaty spokój przez cały czas, gdy się przyznawałam, że zabiłam własne dziecko. Rozpadła się na kawałki teraz, gdy zaczął mówić Callum.

– W porządku, proszę dalej.

– Nie powinienem wsiadać za kierownicę. Czułem, że zbliża się atak.

– Atak?

– Zamroczenie. Nie, nie, to nie to. Nie jestem epileptykiem, ale cierpię na pewne zaburzenia.

Na wszystkich twarzach maluje się wyraz konsternacji.

– To stres pourazowy. Mam napady wspomnień z okresu wojny. Czasem trwają kilka godzin, a jak się skończą, praktycznie nie pamiętam, gdzie w tym czasie byłem ani co robiłem.

Wokół zapala się światełko zrozumienia. Każdy słyszał o zespole stresu pourazowego.

– Czy ktoś może potwierdzić, że faktycznie ma pan tę przypadłość?

– Doktor Pirrus. Chodzę do niej na sesje już od kilku lat. I Catrin. Kilka dni temu niemal jej nie udusiłem.

Na wzmiankę o atakach Catrin spuściła głowę w dłonie. Teraz ponad czubkami palców zerka na Calluma.

– Nic mi nie zrobiłeś. Przynajmniej nic poważnego. Ja cię zraniłam dużo bardziej.

Jego spojrzenie mięknie.

– Bo ostra z ciebie babka. Ale wyobraź sobie, gdybym w takim stanie dostał w ręce dziecko...

W moją stronę zwracają się pełne niepokoju oczy. Skupiam się na równym oddychaniu, bo jeśli zauważą, że jestem zbyt przytłoczona zeznaniami, usuną mnie z sali. Wzrok mam wbity w punkt na ścianie, nad głową Catrin. Staram się nie patrzeć na Calluma, próbuję nie zwracać uwagi na jego olbrzymie dłonie, które mogły się zaciskać na szyi mojego synka.

– Dobrze, więc jechał pan Airport Road za Catrin i czuł, że zbliża się atak?

– Właśnie. Ale zanim dotarłem pod dom Grimwoodów, jeszcze nawet zanim go mogłem zobaczyć, z naprzeciwka nadjechał land rover Catrin. Nie jestem pewien, czy mnie dostrzegła, chociaż praktycznie wpadła prawymi kołami w rów, żeby mnie minąć. Odjechała na pełnym gazie, ja zostałem skierowany w drugą stronę.

– Zauważyłam cię – wtrąca Catrin.

– Chciałem wtedy wrócić do domu i dać ci spokój. – Mówi teraz bezpośrednio do niej. – Potem sobie uświadomiłem, że prawdopodobnie jedziesz do portu, na łódź, i pomyślałem, że to nie najlepszy pomysł. Więc pojechałem trochę dalej, żeby zawrócić, po czym ruszyłem za tobą.

– Kilka minut przed szesnastą – rzuca Josh. – Catrin chwilę wcześniej odstawiła Petera do ogródka. Rachel dostrzegła ją z okna i zbiegła po schodach. Dalej, proszę.

– W tym momencie jadę już o wiele za szybko. Niepokoję się o Catrin i zaczynam się osuwać.

– Osuwać? – Tym razem to Skye.

– Tracę kontrolę. Czuję, że wspomnienia biorą nade mną górę.

– Dochodzi szesnasta. Do tej pory musiał pan dotrzeć pod dom Rachel.

Dochodzi szesnasta. Callum jest przed domem, a ja jestem... gdzie ja jestem? Wkładam buty? Nie, byłam boso, kiedy wybiegłam tego dnia.

– Dojechałem pod dom. Prowadzę zbyt szybko. Nie skupiam się. Peter znowu wyszedł na drogę. Wpadam na niego, uderzam czołowo. Wylatuje w górę, spada na maskę, na przednią szybę, potem znika pod kołami.

Catrin biała jak ściana wodzi wzrokiem od Calluma do mnie i z powrotem. Nie reaguję. Nie mogę. Myślę: czyli odbyło się to szybko. Peter nie miał czasu się przestraszyć. Nie cierpiał. Prawdopodobnie nawet nie czuł bólu. Wolno mi to sobie powtarzać, prawda? Z pewnością istnieją gorsze sposoby, w jakie może zginąć dziecko.

Callum nadal mówi.

– Oczywiście się zatrzymałem. Wsiadłem, ale chłopiec nie żył. Zorientowałem się natychmiast. Bo gdyby żył, coś bym zrobił, kogoś wezwał, na pewno. Ale widziałem wystarczająco dużo zwłok, żeby wiedzieć, kiedy nie da się już komuś pomóc.

Zginął na miejscu. Jeśli się okaże, że naprawdę nie żyje, taka śmierć byłaby chyba najlepsza. Uświadamiam sobie, że Skye trzyma mnie za rękę. Ściskam dłoń dziewczyny na znak, że jestem jej wdzięczna.

– Co pan z nim zrobił? – Josh wzdycha.

Callum powraca do opowieści, nie patrząc na nikogo.

– Podniosłem go, owinąłem w koc z samochodu i włożyłem do skrzyni na broń. Potem zawróciłem i zjechałem ze wzgórza. Wydaje mi się, że pojechałem do portu, bo wciąż chciałem odnaleźć Catrin, ale tej części nie jestem pewien.

Zrobił dokładnie to samo co ja. Relacjonując swoją idiotyczną zmyśloną wersję wydarzeń, opowiedziałam, że schowałam zwłoki Petera do bagażnika. Teraz za to płacę.

– Nie jest pan pewien? – Skye puszcza moją rękę. – Wyraźnie pamięta pan sam wypadek, ale nie potrafi sobie przypomnieć, co się działo zaraz po nim?

– To niezupełnie tak. – Bierze głęboki wdech, szykuje się na jeszcze jedną próbę.

– Przed sekundą twierdził pan, że po ataku niewiele pamięta z tego, co się działo – zauważa Skye. –

Że nachodzą pana wspomnienia z wojny. A jednak zapamiętał pan, że uderzył w Petera i wsadził go do skrzyni w bagażniku.

– Ludzie, musicie mnie wysłuchać do końca.

Sierżant odchrząkuje.

– Proszę mówić, panie Murray. Skye, nie przeszkadzaj.

– Zwłok pozbyłem się później. Nie wiem, o której dokładnie to było, wspomnienia są zamazane, ale na pewno pojechałem na klif nad Port Pleasant.

Głowa Catrin podrywa się w górę, jak u charta, który wyczuł trop.

– Skręciłem z szosy i podjechałem tak blisko krawędzi, jak tylko się dało. Potem wyciągnąłem Petera z bagażnika i zrzuciłem go z klifu.

Dłoń Skye znowu zamyka się na mojej. To już nie ma znaczenia, mówię sobie. Wtedy już nie mogłem odczuwać strachu. Ani bólu.

– Sierżancie, myślę, że powinnam wyprowadzić panią Rachel z sali.

– Nic mi nie jest – zapewniam, chociaż tak mocno ściskam jej rękę, że dziewczyna pewnie ledwo to wytrzyma. – Dziękuję, dam radę. Mów dalej, proszę.

Josh rzuca w moją stronę zaniepokojone spojrzenie, dopiero potem pyta:

– Widziałeś, jak upadł?

Callum kręci głową.

– Nie patrzyłem. Zdaje się, że był przyływ. Pewnie założyłem, że woda zmyje ciało.

Zastanawiam się, czy przypadkiem nie zemdlałam, bo nic nie widzę. Po chwili uświadamiam sobie, że tylko zamknęłam oczy.

– Dlaczego wcześniej tego pan nie zgłosił? – dopytuje Savidge. – Dlaczego akurat teraz?

– Bo nic z tego nie pamiętałem. Nie miałem pojęcia, dopóki nie zobaczyłem odcisku w komputerze na posterunku.

– Chwila, chwila. Odcisku?

Teraz są już tylko same głosy, wirują wokół mnie w ciemności.

– Byłem dzisiaj u was. W biurze na zapleczu zastałem dwoje funkcjonariuszy, ale musieli z jakiegoś powodu wyjść, więc zostałem sam. Zajrzałem do twojego komputera, Skye, i otworzył mi się plik z odciskiem, który zebraliście przed domem Rachel. Natychmiast go rozpoznałem. To odcisk mojego buta. A te buty miałem na nogach wyłącznie tamtego popołudnia, gdy zaginął Peter, co oznacza, że musiałem wysiąść z samochodu, nawet jeśli tego nie pamiętałem.

Wyczuwam, że obecni w sali kiwają głowami, zgadzają się z tym tokiem rozumowania.

– Kiedy zobaczyłem odcisk, uświadomiłem sobie, że zabiłem Petera, a potem usunąłem to z pamięci. Z posterunku poszedłem prosto do samochodu. Byłem pewien, że w skrzyni znajdę dzieciaka. Oczywiście nie znalazłem, tak jak nie znalazłem koca.

No tak, bo mój syn leżał na plaży, połamany na skałkach. O Boże, a jeśli jeszcze żył? A jeśli tam na dole czepiał się resztek życia, wzywał... nie, nie mnie, mnie by nie wzywał.

– Dobrze się pani czuje?

Pytanie Skye pomaga mi się trochę opanować. Otwieram oczy i przytakuję. Policjanci przyglądają mi się uważnie. Catrin gapi się na Calluma. On jest zapatrzony gdzieś w przestrzeń.

– Chyba jednak powinna pani poczekać na zewnątrz – stwierdza sierżant.

Kręcę głową. Nigdzie nie wyjdę.

Skye coś sobie nagle uświadamia.

– Panie Murray, rozumiem pana niepokój, ale z tego wszystkiego, co pan powiedział, niekoniecznie wynika, że zabił pan Petera.

– Zgadzam się. – Josh ma tak samo nieszczęśliwą minę jak jego podwładna. – Jeśli dobrze zrozumiałem, tak naprawdę żadnego z tych wydarzeń pan nie pamięta, tylko wyciągnął pan takie



wnioski po tym, jak zobaczył odcisk buta w naszym komputerze i nie znalazł koca w samochodzie.

Oczy Calluma są teraz wbite w blat stołu. Nie potrafię podzielać ulgi, jaką odczuwają policjanci. Catrin też nie, jak widzę. Obie wiemy, że to jeszcze nie koniec.

– Dzisiaj po południu zszedłem na tę plażę – mówi Callum. – Na tę, na którą spadłyby zwłoki. Czekamy.

– Znalazłem go.

Z moich ust wydiera się spazm szlochu, nie mogę go powstrzymać. Po drugiej stronie stołu rysy Catrin kurczą się we współczuciu. Chyba wyciągnęła do mnie rękę, ale zaraz szybko ją cofnęła.

– Znalazł pan? Na tej plaży? Nadal tam jest? – Josh zasypuje go pytaniami.

Callum ciężko zwiesza głowę, po czym ją podnosi. Moje dziecko leży martwe na plaży. Staram się nie wyobrażać sobie tego. Staram się nie myśleć o niczym. Te szczupłe małe rączki, ta jasna, perfekcyjna skóra.

Savidge wydaje polecenia dwóm posterunkowym.

– Jedźcie tam. Od razu. I zadzwońcie, jak tylko go znajdziecie.

– Zaczekajcie. – Catrin jest trupio blada.

Sierżant nie chce tego słuchać.

– Nie, nie zamierzam dłużej czekać. Ruszajcie. I dajcie znać, jak coś znajdziecie.

– Tylko bądźcie ostrożni! – woła za nimi Catrin. – Ten klif jest stromy. Zabierzcie ze sobą dobre latarki i uważajcie na każdy krok. – Gdy drzwi zamykają się za wychodzącymi, odwraca się do Calluma. – Co widziałeś na tej plaży? Opowiedz mi dokładnie, co tam widziałeś.

Co ona wyprawia? Skye znowu chwyta moją rękę. Josh odchrząkuje.

– Nie teraz. Najpierw musimy odwiedzić panią Grimwood do rodziny. Pani Queen, zaczeka pani tu do naszego powrotu?

Catrin patrzy teraz na mnie.

– Zaufaj mi – prosi. – Zaufaj mi, Rach.

Kiwam głową. Czuję, że na tyle jeszcze chyba mnie stać. Znowu odwraca się do Calluma.

– Co widziałeś na plaży?

Szkot spogląda w moją stronę, jakby tylko czekał na pozwolenie.

– Odpowiedz – mówię.

– Koc namierzyłem dość szybko – zaczyna. – Zaczepił się o głaz, blisko brzegu. Niczego więcej początkowo nie zauważyłem, ale kiedy podszedłem bliżej... przykro mi, Rachel... zobaczyłem zwłoki.

Chcę być dzielna. Chcę ufać Catrin, ale kiedy myślę o swoim synku, jak leży u podnóża klifu...

– Nie! – Catrin wali dłońmi płasko w stół. – Opowiadaj, co widziałeś, a nie co ci się wydawało, że widziałeś. Co tam zobaczyłeś?

– Na litość boską, Catrin!

W odpowiedzi podrywa się z krzesła i zanim policjanci mają szansę ją powstrzymać, podchodzi do Calluma i pochyła się nad stołem.

– Widziałeś ubranie? Kiedy go brałam na ręce, Peter był w niebieskich spodenkach i koszulce w żółto-białe pasy. Widziałeś spodenki i koszulkę?

Callumowi udaje się jakoś zebrać w sobie. Kręci głową.

– Ubrań tam nie było. Myślę, że coś je z niego zdarło. Catrin, on leżał na tej plaży całe dwa dni. Jest wiosna. Wiesz, co się mogło z nim dzieć.

Zwłoki mojego dzieciątka na łasce każdego stworzenia na tych wyspach: latającego, pełzającego, pływającego. Czuję, że szloch podchodzi mi do gardła. Już go nie zdławię, jeśli dotrze do ust.

– Widziałeś buty? – Catrin jest nieugięta. – Jestem prawie pewna, że pamiętam zapinane sandałki. Te nie tak łatwo dałoby się zerwać.

Callum się zastanawia. Czy były brązowe skórzane sandały na pulchnych stópkach?

– A włosy? Peter ma jasne włosy. Wydawały mi się dość długie. Dawno niepodcinane. Widziałeś włosy?

– Widziałem tyle, ile trzeba! Nie poszedłem tam, do cholery, przeprowadzać autopsji!

Odrywam się od Skye i obejmuję się ramionami. Zaczynam się kołysać, w przód i w tył, stara jak świat reakcja na rozpacz. A więc jednak Catrin chce wymierzyć mi karę. Zmusza mnie, żebym przez to wszystko przechodziła.

Kłęczy teraz obok Calluma, wyciąga do niego ręce, chce ująć jego twarz. On się chyba wyrywa. Nie pozwala mu na to.

– Powiedz, co widziałeś. Rachel to zniesie. Jest silniejsza, niż się wydaje.

Wątpię w to. Czuję się tak, jakbym zwisała na ostatniej cienkiej nitce.

– Żebra, czaszkę, kręgosłup. Coś, co wyglądało jak palce. Na więcej nie miałem siły patrzeć. Zobaczyłem to i odszedłem.

– Same kości czy z ciałem?

W tej chwili Callum prawie płacze. Przez Catrin przeżywa koszmar, podobnie jak ja.

– Głównie same kości. Trochę ciała, ale kiedy podchodziłem, siedziały na nim ptaki i go rozdziobywały. Ciało zostało bardzo mało.

Catrin robi długi wydech, prostuje się, nachyla do Calluma i całuje go w czoło. Nie mogę uwierzyć w to, na co patrzę. Wiedziała, że mnie nienawidzi, ale...

– Widziałeś fokę, idioto – mówi.

– Co takiego?! – wykrzykują jednocześnie Josh i Skye.

– Myślę, że to był kotik południowoamerykański, z rodziny uchatkowatych. Młode dorosłe osobniki są wielkości małych dzieci. – Rozgląda się dokoła, patrzy na drzwi. – Mogę wam pokazać. Pozwólcie mi włączyć komputer, znajdę obraz szkieletu kotika.

Josh i Skye wpatrują się w siebie. Callum nie może oderwać oczu od Catrin. Ja nie mam odwagi zebrać myśli. Nie czekając na pozwolenie, Catrin wychodzi z sali. Sierżant daje znać podwładnej, żeby za nią poszła. Ja też wstaję i wychodzę. Za mną ruszają Callum i Josh.

Wszystko toczy się jakby w zwolnionym tempie. Przynajmniej jak dla mnie. Wzrok mam skupiony na tyle głowy Catrin, która włącza komputer i loguje się do systemu, wpisuje hasło.

– Tego dnia rzeczywiście pojechałeś do Port Pleasant. – Mówi głośno, tak żeby Callum ją słyszał. – Wczesnym wieczorem, około osiemnastej trzydzieści. Najpierw usłyszałam twój samochód, potem zobaczyłam ciebie.

Stoimy za nią w półkolu. Oczy wszystkich wpatrują się w ekran, mimo to policjanci pilnują, żebyśmy z Catrin nie byli zbyt blisko siebie.

– Możesz potwierdzić, że około wpół do siódmej wieczorem pan Murray wjechał na klif nad Port Pleasant?

– Mniej więcej wtedy, tak. – Jest rozkojarzona, przeszukuje bazę danych. Wpisuje coś do wyszukiwarki, ale zbyt szybko, żebym zdążyła przeczytać. – Był tam około pół godziny. Większość czasu przesiedział w samochodzie, ale w pewnym momencie wysiadł i przeszedł na szczyt. – Odwraca się do Calluma. – Przez chwilę się o ciebie bałam. Podszedłeś bardzo blisko krawędzi.

– Czy pan Murray coś niósł? – pyta Josh. – Miał coś przy sobie?

Catrin przegląda w komputerze jedno zdjęcie za drugim.

– Nie, nic. Miał na sobie wyblakłą płócienną kurtkę i džinsy. Na szyi niebiesko-brązowy szalik. Wcześniej był ubrany inaczej. Pamiętam, że się zastanawiałam, po co się przebrał.

– A ja cię widziałem? – pyta ją Callum.

Kręci głową.

– Byłam na dole, obserwowałam cię z luku. Ale przez cały czas ani razu nie straciłam cię z oczu. I

kiedy już chciałam wyjść na pokład i do ciebie pomachać, odwróciłeś się, wsiadłeś do samochodu i odjechałeś.

– W takim razie zrobiłem to później.

– Faktycznie wróciłeś tam. – Ostre skinienie głowy. – Ale dużo później. Następnego dnia rano. Widziałam, jak parkujesz, wysiadasz z samochodu i znowu idziesz na skraj wzniesienia, tym razem opatulony kocem. Nie dziwię się. To był bardzo zimny poranek. Widziałeś, jak mnie aresztują i sprowadzają na drugą łódź.

Callum kiwa głową.

– To pamiętam. Atak już się wtedy skończył. Trwał kilka godzin. Nie spałem całą noc.

– Rzeczywiście wyglądałeś trochę nieświeżo. Zanim policja się zjawiła, przyglądałam ci się przez lornetkę.

– Czy widział go ktoś jeszcze? – pyta Josh. – Któryś z policjantów dokonujących zatrzymania?

– Bardzo możliwe, ale sądzę, że przede wszystkim skupiali się na mnie. Ale to, o czym opowiadam, widziałam, jeszcze zanim kazali mi zejść pod pokład.

– Czyli co?

– Że się odwróciłeś i poczłapałeś z powrotem do samochodu. I widziałam, jak wiatr zrywa z ciebie okrycie. Koc poszybował z klifu w dół.

Callum z niedowierzaniem kręci głową.

– Nawet tego nie zauważyłeś, co? Byłeś pochłoniętym myślami o mnie. No i proszę bardzo.

Powiększa zdjęcie na ekranie. Wszyscy wpatrujemy się w szkielet kotika południowoamerykańskiego. Długiego na jakiś metr. To są niezaprzeczalnie kości uchatki.

– Pani Quinn, ja naprawdę nie... – zaczyna Savidge.

– Tamten na plaży pewnie nie był aż tak kompletny jak ten. – Podnosi głos, żeby utrzymać naszą uwagę. – Tamten pewnie był uszkodzony przez zwierzęta. Callum, dzisiaj na plaży zobaczyłeś swój koc i to potwierdziło twoje najgorsze obawy. Potem zobaczyłeś szkielet klatki piersiowej, bardzo podobny do ludzkiego. Widziałeś kawałki kręgosłupa, też prawie nie do odróżnienia, może część czaszki. Nawet chrząstki płetw mogły wyglądać jak ludzka ręka dla kogoś, kto nie był w najlepszym stanie psychicznym. Ale teraz już wiesz, że nie zrzuciłeś z klifu koca, więc nie ma powodu myśleć, że zrzuciłeś stamtąd dziecko.

Na twarzach wokół jednak powątpiewające miny. Chciałabym się dać przekonać, ale...

Catrin już się odwróciła od komputera, patrzy na Calluma.

– Cały czas, gdy byłeś na szczycie, obserwowałam cię. Nie zrzuciłeś Petera. Nie zabiłeś go.

– Więc, kto, do diabła, to zrobił?

Oboje zwracają się do mnie. Kręcę głową. Nie zabiłam Petera. Nie wiem, kto go zabił. Wymieniamy między sobą spojrzenia. Tylko nasza trójka. Jakby dwojga policjantów z nami nie było. Pierwszy odzywa się Callum.

– Zniknął w ciągu ilu... piętnastu minut? Zarówno ja, jak i Catrin, byliśmy wtedy przed twoim domem. Trzy samochody na drodze w tak krótkim czasie? Niemożliwe.

– Nie widziałam go – mówię. – Kiedy wybiegłam przed dom, jego tam nie było.

– A jednak. To musiałem być ja. Przykro mi, Cat, ale oprócz ciebie, tylko ja tam podjechałam. Tylko ja cierpię na stałe zaburzenia psychiczne. Tylko ja w przeszłości dopuszczałem się przemocy wobec ludzi.

Catrin nie przyjmuje tego do wiadomości.

– Nie.

– Nie było nikogo innego.

– Oprócz braci Petera – wtrąca cichym głosem Skye.

Sądziłam, że jestem całkowicie odrętwiała. Jakże się myliłam. Swoje zaszokowanie widzę odbite jak w lustrze na twarzy mojej przyjaciółki.

– Nie – powtarza kolejny raz.

Callum nie zamierza tak łatwo dać sobie odebrać miana winowajcy.

– Nie bądź śmieszna, Skye.

– W pobliżu domu, gdy zniknął Peter, było pięć osób. – Policjantka mówi spokojnie, lecz stanowczo.

– Kiedy zeszła pani do ogrodu, Rachel, byli tam pani dwaj starsi synowie? – podejmuje Josh.

Udaję, że się zastanawiam.

– Nie – odpowiadam po kilku sekundach. – Zeszli na plażę. Rozmawiali o tym wcześniej, że chcą iść obejrzyć zaćmienie. Wrócili, gdy usłyszeli, że ich wołam. Pomagali mi szukać Petera.

– Szukaliście go razem?

Nie. Kiedy się zorientowałam, że Peter zaginął, wpadłam w panikę, przestałam jasno myśleć.

– Chłopcy chyba zeszli z powrotem na plażę – odpowiadam. – Ja sprawdzałam w domu i stajni. Byliśmy rozdzieleni przez jakieś dwadzieścia minut. Potem wezwałam policję. – Cisza. Nie potrafię znieść tego, co widzę na twarzach przede mną. – Oni kochają swojego brata. Lepiej się nim opiekują ode mnie. Nie skrzywdziliby go.

– Na pewno, pani Grimwood. – Skye znowu ujmuje moją dłoń. – Ale mógł się wydarzyć wypadek. Może czuli się winni. Nie mieli odwagi pani o nim powiedzieć.

Furtka w ogrodzie. Ta, o którą matka na okrągło mnie męczy. Ścieżka na klifie pogrążona w mroku.

– Muszę jechać do domu. Muszę z nimi porozmawiać.

– Są w domu? Myślałam, że u dziadków?

– Wrócił Sander. Na pewno ich zabrał. – Spoglądam na Josha. – Muszę z nimi porozmawiać.

– Teraz tam nie pojedziemy. Nie mamy odpowiednio dużo funkcjonariuszy.

Callum potrząsa rękami, pokazuje, że wciąż jest skuty.

– Ja nie będę stanowił zagrożenia.

Przyglądam się, jak sierżant dochodzi do wniosku, że skoro tego dnia złamał lub nagiął już tyle przepisów i zasad, równie dobrze może to zrobić po raz kolejny. Wybiegamy na dwór i pakujemy się do minibusa. Prowadzi Skye, Josh siedzi z tyłu, pilnuje nas. Niepotrzebnie. Skupieni na drodze myślimy tylko o tym, żebyśmy jak najszybciej dotarli na miejsce.

Policjantka wyjeżdża ze Stanley, lawirując między ludźmi na drodze. Dochodzi północ.

Za każdym razem, gdy mi się wydaje, że już gorzej być nie może, okazuje się, że może. Jeśli mój syn rzeczywiście nie żyje, milion razy wołałabym, żeby zginął z rąk Catrin w ramach zemsty lub Calluma w trakcie zamroczenia wywołanego wojennymi wspomnieniami niż z rąk własnych braci.

Przypomina mi się, jak Ralph Padlina pytał mnie, czy moi chłopcy bawili się na starym wraku. Musiał coś widzieć, może odciski stóp prowadzące do starego statku, może któryś wdrapywał się na pokład. Czy to tam ukryli brata? Jak ja ich przekonam, że nie muszą czuć się winni? Że to wszystko przeze mnie? To ja miałam obowiązek opiekować się Peterem, nie oni. Moja wina, nie ich.

Docieramy do domu i pierwsza wyskakuję z busa. Słyszę, jak Josh woła, żebym zaczekała, ale już jestem za furtką, pędzę przez ogród i wbiegam do środka, chociaż oni zaledwie zdążyli wysiąść.

Myślę, że zastanę dzieci w łóżkach, ale słyszę, że w salonie cicho gra telewizor. Z kanapy spogląda na mnie Sander, jego błękitne oczy są bledsze niż zwykle z powodu smutku. Po obu bokach, z

głowami na jego kolanach, leżą chłopcy. Obaj nakryci kocami. Śpią.

Do pokoju wchodzi Skye. Kładzie mi rękę na ramieniu.

– Tylko spokojnie – ostrzega mnie szeptem.

– Muszę z nimi porozmawiać. – Patrzę na synów, wciąż tak dziecinnych, takich ślicznych, kiedy śpią. – Obudź ich – proszę, ale mówię tak cicho, jakbym wcale nie chciała przerywać im snu.

Sander otacza dzieci rękoma, żeby je osłonić, ochronić przede mną. Wierzy, że zabiłam jego najmłodszego syna. Widzę to po jego twarzy.

– Co ty robisz? – oburza się. – Wyjdź stąd.

– Panie Grimwood, musimy porozmawiać z Christopherem i Michaeliem. – Skye wychodzi przede mną. Za nami do pokoju wchodzi Josh, Catrin i Callum.

Coś, albo głosy, albo powiew chłodniejszego powietrza, budzi Chrisa. Trze i otwiera oczy.

– Mama. – Podrywa się na równe nogi, tak jak zaraz po obudzeniu potrafią tylko dzieci.

Podbiegam do niego, a on zarzuca mi ręce na szyję. Ponad jego ramieniem zwracam się do Sandera.

– Powiedziałeś im?

Chris sztywnieje.

– Co tata miał nam powiedzieć? Co, mam?

Ujmuję jego twarz w dłonie. Chyba nigdy bardziej go nie kochałam niż teraz.

– Chris, chcę, żebyś mi powiedział prawdę. Tata i ja kochamy ciebie i Michaela ponad wszystko na świecie. Cokolwiek się wydarzy, zawsze będziemy was kochali i zawsze będziemy się wami opiekowali, ale musisz mi powiedzieć prawdę.

Widzę to na jego twarzy. To jak się kurczy, jak ciemnieją mu oczy. Nie musi pytać, o czym mówię.

Och Boże, nie.

– Rachel, co tu się dzieje?

Nie mogę brnąć dalej. Nie chcę tego usłyszeć. Usta Chrisa drżą. W oczach zbierają się łzy.

– Przepraszam, mamusiu. – Wybucham płaczem. Przytulam go do siebie mocniej. Straciłam już jednego syna. Nie stracę kolejnego.

– Już dobrze, aniołku. Cokolwiek się stało, nie musisz się bać. Kocham cię.

Teraz płacze już bardzo mocno, w moje ramię. Ilekroć bierze oddech, słyszę słowo „przepraszam”. Mam wrażenie, że jeśli usłyszę je jeszcze raz, pęknie mi serce.

– Rachel. – Sander, który wciąż siedzi na kanapie, nie chcąc budzić Michaela, zwraca się już do mnie błagalnym tonem.

– Zdarzył się wypadek – odpowiadam, bo teraz już wszystko stało się dla mnie tak bardzo jasne. – Tamtego dnia, gdy zniknął Peter. To całkowicie moja wina, nie pilnowałam go. Chciał pójść za chłopcami na plażę i spadł. Oni to widzieli, zobaczyli, że nie żyje, i uznali, że to się stało przez nich. Ale to nie przez was, mój kochany, nie przez was. – Kołyszę Christophera, który chyba chce się uwolnić z moich objęć, ale ja jeszcze nie jestem gotowa go wypuścić. – Wpadli w panikę i gdzieś ukryli ciało. Prawdopodobnie na wraku. Myśleli, że będę na nich zła. Że będę ich obwiniała, ale ja bym nigdy tego nie zrobiła, skarbie. Nie wolno ci myśleć, że to twoja wina.

Stojąca za mną Skye pociąga nosem.

– Ale musisz nam teraz powiedzieć, kochanie. Musisz nam zdradzić, gdzie on jest.

– Peter nie umarł, mamusiu. Jest w szopie na łodzi.

Nieruchomieję. Wszyscy nieruchomieją. Wcześniej, choć tego nie zauważyliśmy, obudził się Michael. Podciągnął się w górę i siedzi obok ojca. Jego spojrzenie przebiega ode mnie do grupy w drzwiach.

– Cześć, ciociu Catrin.

– Co?

Nie wiem, kto to powiedział. Na pewno nie ja. Ja nie mogę wydobyć z siebie głosu. Tylko wybałuszam oczy.

Michael mruga gwałtownie, potem spuszcza wzrok na ziemię jak zawsze, kiedy coś przeszkobie.

– Ukryliśmy go w szopie, jak wszyscy oglądali zaćmienie. Daliśmy mu twoje proszki nasenne, żeby nie płakał. Chris powiedział, że jeśli pomyślisz, że Peter odszedł, zaczniesz go kochać tak jak nas. Mówił, że zachowasz się jak inne mamusie tych małych chłopców, co zniknęli. Będziesz smutna i w ogóle. To był pomysł Chrisa.

Christopher przestał się poruszać. Jego głowa leży ciężko na moim ramieniu, jakby do niego przyklejona. Wydaje się, że przestał oddychać.

– I to Chris pisał te listy. Sam widziałem. Wrzucał je do skrzynki w mieście.

Resztkami świadomości odnotowuję, że Sander wstaje.

– Ale myślę, że Peter chce już stamtąd wyjść – ciągnie Michael. – Skończyły nam się pigułki. Dzisiaj ciągle płakał.

Nie poruszam się. Nie mogę. Dlatego to świat porusza się za mnie. Dom się rozpląwa, zamienia w mgłę. Wybiegam na dwór, czuję wiatr na twarzy, słoną bryzę. Dźwięki uderzają we mnie w ciemności z każdej trony. Wybuchają fajerwerki. Okrzyki ludzi, których kocham. Skrzek mew. Ogłuszający huk wiatru, katedralny zegar wybija północ.

– Rachel, my tam pójdziemy. Wracaj.

– Rachel, zwolnij. Nie możesz tam zbiec w ciemności.

– Niech ktoś mi zdejmie te pieprzone kajdanki!

– Mamusiu, przepraszam.

– Mamo!

Widzę plażę, połyskuje blado w blasku tysiąca petard. Rozciąga się daleko pode mną; później już nie tak daleko plaża się unosi, wychodzi mi na spotkanie. Wybuchy jak wystrzały odbijają się echem od okolicznych skał. Przewracam się i plaża chwyta mnie w objęcia. Brakuje mi tchu, siły, w głowie mam pustkę, ale przede mną majaczy już ściana starej ceglanej szopy, do której nikt nie zaglądał przeszło dziesięć lat.

– Rachel! – Głos Sandera płynie ze szczytu. – Oni mówią, że świetlik jest poluzowany. Tak się tam dostali.

Rozglądam się, szukam drogi, jaką chłopcy wspinali się na dach. Widzę kamienie, obluzowane cegły w murze, i w chwili gdy rzucam się w tamtą stronę, obok mnie pojawia się Callum. Robi nogą wymach i jednym kopniakiem wyważa drzwi. Wpadają do środka. Uderza w nas zapach mokrego siana i brudnych pieluch. Callum chce wejść pierwszy, ale ja wpycham się przed niego.

Peter, z ciemnymi śladami po łzach na policzkach, brudny, odurzony po śnie i proszkach siedzi na starej narzucie dla koni. Wokół pełno siana, w rączkach ściska pluszowego królika. Na jego twarzyczkę wypływa wyraz zdumienia i desperacji. Wyciąga do mnie ręce. Opadam na kolana i wtedy słyszę za sobą, że ktoś wbiega, potem zdławiony okrzyk, który mi mówi, że moja przyjaciółka znowu jest przy mnie. Rączki synka sięgają do mnie, mocno oplatają mi szyję, pulchne paluszki zrywają wiszący na niej pordzewiały łańcuszek.

Albatros odpada z mojej szyi i tonie, spada głęboko na dno.

## piątek, 3 listopada 1995 (rok później)

### 39

Z radia, gdy docieram do dawnego domu Catrin nad zatoką Whalebone, płynie głos mojego ojca.

„...John Wilcock z Falklandzkiego Rezerwatu Przyrody przekazał nam aktualne wiadomości o toczącej się obecnie przy wyspie Carcass akcji usuwania wycieku ropy. Jest to zarazem przypomnienie dla wszystkich, którzy są w morzu w okolicy wysp. Jeśli ktoś zobaczy zanieczyszczoną wodę, powinien natychmiast zgłosić to pracownikom rezerwatu. O tej porze roku taki wyciek może mieć tragiczny wpływ na naszą przyrodę”.

Parkuję w najbezpieczniejszym miejscu, czyli przy skarpie, mocno zaciągam hamulec ręczny i odwracam się przez ramię. Peter śpi spokojnie w foteliku na tylnym siedzeniu. Nie mogę powstrzymać uśmiechu. Tak bardzo urósł przez ostatni rok. A gdy nie śpi, buzia mu się po prostu nie zamyka. Prawdziwy też z niego synuś mamusi, chodzi za mną wszędzie, nie opuszcza mnie na krok.

„Mówi Rob Duncan, słuchacie popołudniowego programu nadawanego przez Radio Falklandy. Za kilka minut się wyłączę, ale najpierw kilka wiadomości, które pragnąłem wam przekazać już od początku dnia. Dodam, że to bardzo pomyślne wieści, aż z St Andrews na wschodnim wybrzeżu Szkocji, o naszych przyjaciołach, którzy niestety opuścili tutejsze wyspy niecały rok temu.

No to już, ale lepiej zróbmy to jak należy. Gdzie ta kartka? Dziękuję, Mabel. Hm, hm.

Catrin i Callum Murrayowie pragną z radością ogłosić przybycie na świat ich pierwszego dziecka, córeczki. Skye Elise urodziła się dzisiaj rano o dziesiątej piętnaście czasu środkowoeuropejskiego, waży trzy kilogramy i dwadzieścia trzy gramy. Dziewczynka ma jasnorude włoski, a jej oczy, jak jest tu napisane, są dokładnie tego samego koloru. Ale jaki to kolor, usłyszycie później, jeśli z nami zostanieie. Rozumiem też że świeżo upieczona mama i jej dziecko czują się dobrze”.

Wysiadam z samochodu i przechodzę na szczyt klifu. Na horyzoncie widać płynącą w stronę brzegu łódź. Nawet z takiej odległości wydaje się znajoma.

Dzień jest wyjątkowo gorący i bezwietrzny, więc na plaży w dole wypoczywa sporo rodzin. Trochę z boku grupa dzieci gra w piłkę. Jeden z chłopców, na oko sześciolatek, odłączył się od reszty. Idąc przed siebie, wypatruje czegoś w piasku. Za mną wciąż rozbrzmiewa głos ojca.

„Każdy, kto chciałby posłać kartkę lub wiadomość z gratulacjami dla nowej rodziny, na pewno chętnie usłyszy, że moja córka Rachel organizuje wysyłkę paczki w następną środę. Jak sądzę nie będzie miała mi za złe, jeśli zdradzę, że poproszono ją, aby została matką chrzestną nowo narodzonej Skye. Więc skontaktujcie się z Rachel, jeśli chcecie oszczędzić na znaczkach”.

Łódź jest coraz bliżej, płynie wolniej, kierując się do małej przystani w dole plaży. Ledwie mogę

dostrzec samotną postać przy sterze.

Catrin i ja już nigdy nie będziemy prawdziwymi przyjaciółkami. Pogodziłam się z tym kilka dni po tej nocy, gdy znaleźliśmy Petera w szopie. To niemożliwe przyjaźnić się z kimś, kto ci tak dużo odebrał. Więc prawie odczułam ulgę, gdy Callum namówił ją na przeprowadzkę do Szkocji. Na odległość możemy dalej zachowywać pozory, a prośba Catrin, żebym została matką chrzestną, to wiadomość dla świata, że mi przebaczyła. Tyle wystarczy. Musi.

Nadal jak co roku odbywam swoją pielgrzymkę do miejsca, w którym zabiłam jej synów.

To dokładnie przed czterema laty przyjechałam tu, wcześniej niż miałam przyjechać, w próżnej i dość żalostnej nadziei, że uda mi się chwilę porozmawiać z Benem sam na sam. Przeczuwałam, że Catrin wkrótce go porzuci, i chciałam być tą, która pomoże mu się pozbierać. Ben. Tylko o nim mogłam myśleć. O życiu z nim.

Nade mną, w samochodowym radiu, tata żegna się ze słuchaczami.

„Teraz już się z wami pożegnam piosenką z 1982 roku, czyli z roku, w którym Callum po raz pierwszy zawitał na naszych wyspach. Dedykuję ten utwór jego nowo narodzonej córeczce. Skye, Elton John zaśpiewa dla ciebie *Blue Eyes*”.

Nigdy nie zamierzałam powiedzieć Benowi o romansie Catrin z Callumem, pod tym względem się myliła. Moim zdaniem było tak, że Ben sam się zorientował, gdy urodziło się ich trzecie dziecko, niestety martwe. Syn o włosach barwy truskawkowego blondu, dokładnie takich, jakie miał jego biologiczny ojciec. Nie zaprzeczam, że przed czterema laty przyjechałam tu, żeby ją zdradzić, ale nie w taki sposób, jaki sobie wyobrażała. Przyjechałam zapoczątkować własny romans z jej mężem.

Oddech mam przyspieszony. Jak zawsze, kiedy tu przychodzę. Ale oprócz niego słyszę też, że silnik łodzi w dole cichnie. To łódź mojej przyjaciółki, nic dziwnego, że wydała mi się znajoma, ale to nie Catrin stoi przy sterze. Ona jest tysiące kilometrów stąd, leży na porodówce. To Ben cumuje łódź do przystani.

Oczywiście już dawno przestałam o nim marzyć. Już zanim zabiłam jego synów, bo tamtego dnia Ben mnie odrzucił. Wiedział, jeszcze zanim się odezwał, dlaczego przyjechałam. Uprzejmie, bo zawsze tak się zachowywał, niemniej stanowczo oświadczył, że to niemożliwe. Że nawet jeśli bym nie była przyjaciółką jego żony, i tak by się nie zgodził. Po prostu nie myślał o mnie w tych kategoriach. I nigdy nie będzie.

– Gdzie są chłopcy? – spytał, kiedy się od niego odwróciłam. Dusząc się łzami, zamierzałam wybiec z pokoju. – Rachel, gdzie zostawiłaś chłopców?

Wyszedł za mną. Zobaczył, co się dzieje, jeszcze chyba zanim ja to zauważyłam. Pobiegł w stronę samochodu, za późno. Chyba nigdy nie zapomnę widoku jego rąk, jak zaciskają się na tylnym zderzaku, przerażonej twarzy Kita, który patrzy w oczy ojca po raz ostatni.

Do końca życia, do ostatniego dnia, będę pamiętała krzyk Bena, gdy auto się osunęło.

A jednak to on okazał się z nas najsilniejszy. Podczas gdy Catrin, Callum i ja pogrążeni w rozpacz rozpadaliśmy się na kawałki, Ben znalazł sposób, żeby się podźwignąć. Catrin odcięła się od świata, coraz bardziej się od męża odsuwała, poszukiwała tylko duchów tych, których straciła. Ben natomiast postawił na coś przeciwnego, znalazł nową miłość i rozpoczął nowe życie. Podczas gdy Catrin zżerana przez nienawiść snuła nieskończone, jednak w ostatecznym rozrachunku bezowocne plany na zemstę, Ben odważył się wybaczyć.

Ból, jaki cierpiał, musiał być tak samo straszliwy jak ten, który trawił Catrin, Calluma i mnie, lecz Ben, uzdrowiciel, zdołał uleczyć swoją duszę.

Przyglądam się mu teraz, jak wychodzi na przystań, idzie wolno ku brzegowi tym swoim swobodnym, zrelaksowanym krokiem. Podsuwa okulary na czoło i się rozgląda. Cofam się, chociaż



wątpię, żeby mógł mnie z tak daleka zauważyć. Po pierwsze przede mną rosła janozca, po drugie za plecami mam słońce. Ben przykuca. Wtedy spostrzegam, że ten sześciolatek też stoi na przystani. Zaczynają rozmawiać. Zdaje się, że Ben pokazuje chłopcu coś, co trzyma w dłoni, a wcześniej wyciągnął z kieszeni. Dzieciak jest szczupły, ma ciemną karnację, ciemne oczy, jak Ned i Kit – dwóch jego synów, których zabiłam.

Ben pokazuje ręką na łódź. Spojrzenie małego wędruje we wskazanym kierunku.

Szczupły, śniady, ciemnooki, jak Fred i Jimmy, ci dwaj chłopcy, którzy – jak wszyscy w końcu uznali – musieli zginąć w wyniku tragicznego wypadku. Ci, których – zdaniem wielu jeszcze jakiś czas temu – miała zabić pogrążona w rozpacz Catrin, bo tak bardzo dręcząco przypominali jej nieżyjących synów.

Z mojego samochodu dociera do mnie nagły okrzyk paniki. Peter się obudził. Jest sam, zdezorientowany. A ja nawet się cieszę, że mam wymówkę, żeby do niego wrócić. Więc wracam, wkładam głowę do środka samochodu i uciszam malca pocałunkami. Czas się zbierać. Wkrótce do domu wrócą jego bracia, a ja teraz zawsze staram się ich witać przy furtce.

Kiedy ocieram Peterowi twarz z łez, obiecując mu, że w domu dostanie kawałek piernika, słyszę, że silnik łodzi znowu ożywa.

Nie chcę znów wyglądać na plażę, ale nie potrafię się powstrzymać. Po prostu nie potrafię. Ben stoi u steru. Silniki pracują cicho, łódź sunie wolno, ale jest już jakiś kawałek od przystani. Opuszczając płytcinę, przyspiesza i oddala się od Stanley, płynie w kierunku Narrows i otwartego morza. Nigdzie nie widzę chłopca.

Wracam do samochodu, wsiadam za kierownicę, uruchamiam silnik i cofam. Jadę do domu i wiem, że już nigdy więcej tu nie wrócę. Nie patrzę ani na morze, ani w niebo. A już na pewno nie patrzę na plażę. Na ten skrawek piasku, jakieś dwieście metrów od przystani, gdzie już niedługo biwakująca tam rodzina zacznie się zastanawiać, gdzie jest ich najmłodsze dziecko.

# Od Autorki

*Małe mroczne kłamstwa* to fikcja, w pewnej części zainspirowana konfliktem falklandzkim z 1982 roku. W powieści odnoszę się do autentycznych wydarzeń, jednak bohaterowie to wyłącznie postaci z mojej wyobraźni. Wszelkie podobieństwa do rzeczywistych osób, żyjących lub zmarłych, powiązanych z Falklandami, są czysto przypadkowe.

Trzeciego listopada 1994 roku rzeczywiście było zaćmienie Słońca, ale ja przesunęłam jego wystąpienie na Falklandach o kilka godzin.

Wymienione niżej książki przeczytałam z przyjemnością, poza tym okazały się przydatne:

Andrew Gurr *A Little Piece of England* (John Blake, 2001)

Tony Banks *Storming the Falkland* (Little Brown, 2012)

Hugh McManners *Forgotten Voices of the Falklands* (Ebury Press, 2007)

Tom Hopwood *A Falkland Island Story (A Doctor on Horseback)* (Lulu Press, 2007)

Ian i Georgina Strange *Atmosphere, Landscape of Falkland Islands* (Design in Nature, 2005)

Robin W. i Anne Woods *Birds and Mammals of the Falkland Islands* (Wild Gnides Ltd, 2006)

Andrew Coe *Falkland Adventure* (Bluebell Publishing, 2000)

William Barron *Old Whaling Days* (Irving Lewis Press, 2007)

# Podziękowania

*Powieści rzadko są dziełem wyłącznie autora, a moje z pewnością do takich nie należą. Składam podziękowania następującym osobom:*

*Adrianowi Summonsowi, który wymyślił, aby akcja powieści toczyła się na Falklandach.*

*Trishowi Prestonowi Whyte'owi, który przez jakiś czas jako oficer RAF-u stacjonował na Falklandach, oraz Andy'emu Williamsowi, który mieszkał tam przez wiele lat.*

*Zespołowi wydawnictwa Transworld, który nadal udziela mi wsparcia, daje zachętę i swoją przyjaźń. Nie wyobrażam sobie pracy z grupą miłszych osób. Specjalne podziękowania dla Sarah Adams, Alison Barrow, Larry'ego Finlaya, Frankie Gray, Claire Ward, Suzanne Riley, Kate Samano i Billa Scotta Kerra.*

*Elizabeth Lacks, Andrew Martinowi i Kelly Ragland z wydawnictwa St Martin's Press, moim wydawcom w USA.*

*Belindzie Bauer, która pozwoliła mi sobie podkraść tytuł.*

*Rodzinie Buckmanów (Rosie, Jessice i Peterowi), moim ukochanym agentom, w ojczyźnie i za granicą.*

*I wreszcie Anne Marie Douulton, która w tym roku zasługuje na specjalną wzmiankę. (Anne wie dlaczego).*

# Przypisy

<sup>[1]</sup> Wszystkie fragmenty poematu Samuela Taylora Coleridge'a pochodzą z: *Rymy o sędziwym marynarzu*, [w:] *Angielscy „Poeci jezior”*; wybrał, przełożył, wstępem i objaśnieniami opatrzył Stanisław Kryński, Wrocław 1963, BN II, nr 143 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). <sup>[2]</sup> *coffin* (ang.) – trumna. <sup>[3]</sup> Falklandczycy, potocznie: Kelperzy (ang. Falklanders, Falkland Islanders lub Kelpers) – grupa etniczna zamieszkująca to brytyjskie terytorium zamorskie. <sup>[4]</sup> Barra (gael. Eilean Bharraigh) – wyspa w archipelagu Hebrydy, w Szkocji. <sup>[5]</sup> Rhyl (wal. Y Rhyl) – nadmorskie miasto w północnej Walii nad Morzem Irlandzkim. Ważny ośrodek turystyczny. <sup>[6]</sup> Noc Ognisk (ang. *Bonfire Night*) to obchodzone w Wielkiej Brytanii, w wybranych częściach Irlandii Północnej oraz w poszczególnych krajach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów coroczne wydarzenie poświęcone ogniovi. Związane jest z tradycją obchodzonej piątego listopada rocznicy wykrycia spisku prochowego Guya Fawkesa. Paleniu ognisk towarzyszą pokazy sztucznych ogni i palenie kukły różnych znaczących osobistości, które stały się obiektami gniewu społeczeństwa, choć większość współczesnych kukieł to wizerunki Fawkesa. <sup>[7]</sup> Dłoi – dawna jednostka miary długości, około 7,44 cm, nadal używana do pomiaru wysokości koni wierzchowych w krajach anglosaskich. <sup>[8]</sup> Jane Marple – detektyw amator, postać fikcyjna stworzona przez Agathę Christie.

# Table of Contents

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[Mapa](#)

[CZEŚĆ I Catrin](#)

[DZIEŃ DRUGI wtorek, 1 listopada 1944](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[DZIEŃ TRZECI środa, 2 listopada 1944](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[DZIEŃ CZWARTY czwartek, 3 listopada, 15.45](#)

[13](#)

[CZEŚĆ II Callum](#)

[DZIEŃ CZWARTY czwartek, 3 listopada, 10.30](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[DZIEŃ PIĄTY piątek, 4 listopada](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[DZIEŃ SZÓSTY sobota, 5 listopada](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[CZEŚĆ III Rachel](#)

[DZIEŃ PIERWSZY poniedziałek, 31 października](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[DZIEŃ DRUGI wtorek, 1 listopada](#)

[29](#)

[DZIEŃ TRZECI środa, 2 listopada](#)

30

DZIEŃ CZWARTY czwartek, 3 listopada

31

DZIEŃ PIĄTY piątek, 4 listopada (późny wieczór)

32

DZIEŃ SZÓSTY sobota, 5 listopada (pięć godzin później)

33

34

35

36

37

38

piątek, 3 listopada 1995 (rok później)

39

Od Autorki

Podziękowania

Przypisy